

FILM  
NA PODSTAWIE KSIĄŻKI  
KANDYDAT DO OSCARA

# UCIECZKA Z AUSCHWITZ

Alfréd Wetzler

MARGINESY



Alfréd Wetzler

# UCIECZKA Z AUSCHWITZ

Przełożyli

Katarzyna Dudzic-Grabińska  
i Tomasz Grabiński

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

1. Tylko do pracy
2. Do pracy... na sposób niemiecki
3. Ważna wizyta
4. Jeszcze ważniejsza wizyta
5. Ceremoniał
6. Wieczór niemal powszedni
7. Dwa tysiące metrów torów
8. Umrzeć czy zginąć?
9. „W imieniu Reichsführera SS”
10. Tu się strzela ostrą amunicją
11. Dwaj naprzeciw pułku
12. Śmierć mieszka po drugiej stronie
13. Widzieliście to na własne oczy?
14. Tu są przecież kartki...
15. Ludzka wyobraźnia ma granice

**Dodatek.** Sprawozdania Alfréda Wetzlera i Rudolfa Vrby

Sprawozdanie Alfréda Wetzlera

Sprawozdanie Alfréda Wetzlera i Rudolfa Vrby

Sprawozdanie Rudolfa Vrby

Przypisy

*Čo Dante nevidel*

Książka została opublikowana dzięki wsparciu SLOLIA – Centrum Informacji o Literaturze w Bratysławie



Powieść powstała w 1963 roku pod pseudonimem Jozef Lánik, którego Alfréd Wetzler używał w słowackim ruchu oporu. Pierwsze wydanie ukazało się po słowacku (*Čo Dante nevidel*) w wydawnictwie Osveta z Bratysławy.

Tytuł oryginału *Čo Dante nevidel*

Przekład KATARZYNA DUDZIC-GRABIŃSKA i TOMASZ GRABIŃSKI

Wydawca ALICJA GAŁANDZIJ

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA

Redakcja MAGDALENA JANKOWSKA

Korekta ANNA SIDOREK, JAN JAROSZUK

Projekt okładki i stron tytułowych ZESPÓŁ

Zdjęcia na okładce: © Stephen Mulcahey / Trevillion Images; Hulton Archive / Getty Images

Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © Peter Varnai-Wetzler 2020

All rights reserved. Except for quotation of short passages for the purposes of criticism and review, no part of this book may be reproduced in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopy, recording, or any information storage or retrieval system not known or to be invented, without the written permission of the publisher.

Copyright © for the translation by Katarzyna Dudzic-Grabińska, Tomasz Grabiński

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Warszawa 2021

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66671-08-9

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa

tel. 48 22 663 02 75

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

## Tylko do pracy

Wielkanoc, kwiecień, rok 1942.

Rok 1942 według kalendarza gregoriańskiego, 5702 według żydowskiego, kilkumiliardowy według badań kosmosu i Ziemi.

Słońce uśmiecha się wysoko na błękitnym niebie, ziemia wydycha brzdami wyrazisty, odurzający zapach. Pachnie ziemia i pachnie trawa. Co jakiś czas zrywa się wietrzyk, szumi kojąco. Jest nasycony gęstą, parną wonią gleby, trawy, żywicy i drzew obsypanych kwiatami.

Dziś słońce na błękitnym niebie uśmiecha się zapewne wszędzie, tylko nie tutaj. Tu jest zachmurzone. Chmura wdarła się do oczu i dusz setek Żydów. Stoją w szeregu, słuchają przemowy, jaka im się nawet nie śniła; słowami zostają ograbieni z ojczystego nieba, pól, łąk, zapachu ziemi, z podwórek, żon, sióstr, dzieci, matek, babek i dziadków.

– ...wyjeżdżacie do pracy – kontynuuje zastępca komendanta obozu w Seredi, zgarbiony, niemrawy mężczyzna. Pod jego załamionymi oczami wiją się fioletowe żyłki. – Wszystko jest tam dla was przygotowane. Nie ma powodu do paniki, przecież traktujemy was jak należy, jak ludzi. Tam będzie tak samo. Bez obaw! Każdy będzie robić swoje: szewc szyć buty, lekarz leczyć. Czyli każdy zostanie przy swoim fachu. Za pracę gwarantujemy wam wikt, opierunek i pensję, żebyście mogli sobie kupić, co wam będzie potrzeba. I będziecie wszyscy razem. Odpracujecie swoje i za pół roku, góra rok, wrócicie. – Słowa brzmią nieprzekonująco, można w nich wyczuć źle skrywaną kpinę. – Mam nadzieję, że to dla was jasne. Jesteście zdrowi, prawda? To nie bójcie się pracy! Ktoś z nas przyjedzie sprawdzić, jak wam się powodzi...

Przy głównej bramie zatrzymała się škoda (nad prawym reflektorem ma podwójny biały krzyż na błękitnym polu) i wytrwale trąbi.

Zgarbiony mężczyzna rzuca okiem na bramę, naprędce dodaje, że ani on, ani nikt inny nie ma nic przeciwko Żydom, po czym zwraca się do gwardzistów<sup>[1]</sup>. Jest

ich osiemnastu, w czarnych mundurach i wypolerowanych butach. Młodzi, o niewojskowych sylwetkach, są wręcz śmieszni, kiedy próbują stanąć nieruchomo na baczność. Nie słyszą, co do nich mówi.

Po krótkiej chwili ruszają w stronę szeregu.

– W lewo zwrot! Naprzód marsz! – krzyczą.

Teren rozbrzmiewa wrzaskiem i przekleństwami. Gwardziści skaczą, biegają, gwałtownie gestykują. W ich rykach, rozkazach i czynach jest niechlujna radość, dowodzą i rządzą, krzykiem wprawili w ruch setki ludzi, poczucie władzy ich upaja i podnieca jak alkohol.

Żydzi drgnęli, schylili się, szybko łapią bagaże, zmęczony tłum się poruszył. W rękach, na ramionach i plecach przeróżne toboły, walizy i walizki we wszelkich kolorach, skórzane i kartonowe; plecaki, tłumoki, aktówki i worki przewiązane rzemieniami i sznurkami.

– Żwawo! Śmiało! – krzyknęli gwardziści i szereg idzie, faluje po bezdrożach, polach, łąkach.

– Karol, ciężko ci, prawda? – nauczyciel Wagner pyta w maszerującym tłumie swojego byłego ucznia.

Wagner to starszy człowiek, pięćdziesięcioletek, stara się iść prosto i zdecydowanie, nawet w tych okolicznościach chce zachować godność i przynajmniej pozory spokoju.

– Karol...

– Ciężko – odpowiada Karol, niewysoki, ruchliwy, bystry młody mężczyzna z delikatnym, bladym puszkim na ufniej twarzy. – Ciężko, ale wytrzymam.

Stara się wypaść przekonująco. Skoro nie ma bagażu, pomaga nauczycielowi nieść jego masywną wiklinową walizę. Idą niemal na końcu. Boją się przerzucić ciężar do drugiej ręki, boją się na chwilę zatrzymać, z przodu jest to możliwe, ale tu, na tyłach, nie, tu nie mogą. Gwardziści wymachują pałkami, biegają, krzyczą.

– Dalej! Dalej! Żwawo! Weselej!

– Chodźmy! Idziemy! Jeszcze się tam nasiedzicie!

Czyżby osadę zalała woda, strawił ogień, że ludzie uciekają z niej ze wszystkim, co naprędce spakowali, jak przed pogromem? Nie, to nie jest taki tłum, za nim słyszą krzyki, wokół niego krzyki.

– Tylko żwawo! Tam wam będzie lepiej niż tutaj!

Przeszli około trzech kilometrów, po czym zatrzymali się obok torów, daleko od stacji. Zrzućli na ziemię tobołki, usiedli na nich, zdjęli swetry, pulowery, starsi nawet zimowe palta. Rozciągnięty tłum zrzędzi, ale gdzieniegdzie odzywają się też słowa zachęty. Karol spoczął z Wagnerem na wiklinowej walizie. Nauczyciel siedzi prosto i nieruchomo, wyciągnięty jak struna, jego oddech jest ciężki, odrobinę świszczący, wysokie czoło błyszczący mu od potu. Karol rozciera odciski na dłoniach.

Z przodu, na prawo od tłumy, stoi długi pociąg towarowy, wagony po obu stronach są otwarte. Po lewej, obok stacji, widać kilku kolejarzy, trzech czy czterech żandarmów, opierają się o barierkę, palą, sączą piwo, smutno patrzą na zgromadzonych. Nagle z poczekalni wybiegają z krzykiem gwardziści, otaczają tłum, wrzeszczą, klną. Dwóch cywili z podwójnym krzyżem na rękawie ryczy już z oddali:

– Podnieść się! Wstawać!

Tłum staje w szeregach.

– Po czterdziestu, jasne? Będziemy was wywoływać. Kogo będzie w czterdziestce brakować albo kto będzie nadplanowy, ten dostanie po łbie!

Wywołują, oddzielają pierwszą czterdziestkę i prowadzą do pierwszego wagonu. Czterdziestu wchodzi do wagonu po szerokiej desce. Czterdziestu i znów czterdziestu, do sześciu wagonów po trzydziestu dziewięciu.

– Chodź, Lacko, nic nie wykombinujesz – mówi Karol do przyjaciela i znów chwyta wiklinową walizę.

Laco, dwudziestoletni jednak, kilka miesięcy młodszy od Karola, jest trochę zakłopotany i przestraszony, ogląda się za siebie, wreszcie podnosi walizkę i worek, rusza za nauczycielem i Karolem do ostatniego wagonu. Na jego prawym rogu widać wielką, świeżo wymalowaną liczbę – XVI. Na lewym rogu pozaklejane stare oznaczenia, symbole.

– Hej, gdzie się szwendasz! – ryknął gwardzista na Karola. Chce do niego podbiec, ale od razu przystaje, ledwo utrzymuje równowagę. Śmierdzi pijaństwem.

– Tak tylko, patrzę, dokąd nas zawieziecie za darmo.

– Zamknij gębę, smarkaczu!

Nawet przy ostatnim wagonie wywołują numery porządkowe, imiona, nazwiska, trzeci raz w tej samej kolejności, i wpychają ludzi do wagonu. Trzech gwardzistów zaznacza nazwiska na liście. Ktoś wbiegł po desce wcześniej, krzyczy z wagonu: „Tu!”.

- Bydlaki, wylazić, jeszcze raz.
- Sześćset jeden...
- Tu!
- Sześćset dwa...
- Tu!
- Sześćset trzy...
- Tak.
- Żadne tak, ośle! Masz krzyknąć: Tu!
- Sześćset trzy...
- Tu!
- Zasraniec!
- Słucham?
- Sześćset trzydzieści cztery!
- To ja, doktor Wojtech Zimmer...

Gwardzista popatrzył na niego krzywo, słowa cisną mu się na usta, niech cię diabli, ale ugryzł się w język. Ołówkiem wskazuje drzwi. Lekarz Zimmer wchodzi na deskę jako ostatni. W oczy rzuca się biała opaska z czerwonym krzyżem na rękawie; żandarm pomaga mu wsiąść do wagonu, następnie podaje wiadro wody. Zimmer bierze je ostrożnie, żeby nie wylać ani kropli.

Podłoga w wagonie była świeżo wyszorowana, unosił się w nim zapach gnoju, siana, koni, amoniaku i oparów ługu.

- Bydło załadowane, tylko siana brakuje! – skomentował ktoś przy drzwiach.

Gwardziści zamykają z łomotem drzwi po prawej stronie wagonów, zakładają na nie kłódki i chwilę nimi szarpią. Przez przednie drzwi przekładają żelazny pręt. W środku wszyscy kłębią się przy otworze z przodu.

- Hej, szukają jakiegoś Laca. Ma ojca na dole!



Laco nie może przedrzeć się do przodu, podnosi rękę nad głowę. Ojciec rzuca do wagonu zwinięty i związany koc. Lacko, bądźcie razem z Karolem i uważajcie, podzielcie się, trzymajcie się razem, mama nie chciała przychodzić, bała się...

– Nie gadaj tyle! Odsunąć się od wagonu!

Karol i Laco stają na palcach, opierają się o ramiona ludzi przed nimi, ale nic nie widzą. Po chwili naburmuszeni i smutni idą do kąta, który zajęli wspólnie z nauczycielem. Laco rozwija koc, znajduje w nim dwa opakowania trójkątnych serów, dwie konserwy i pierniczki.

– Może coś przegryziesz, Karol? Mam też mięso, pesachowe.

– Nie martw się, nic się nie zmarnuje.

Laco wepchnął wszystko do worka, złożył koc, położył go na podłodze, proszę usiąść, nauczyciel usiadł. Laco złapał Karola za rękę i pociągnął do otworu z przodu. Udało im się przepchnąć na miejsce, skąd widać przynajmniej wąski wycinek życia na zewnątrz, na słońcu. Przy budynku stacji i wzdłuż magazynów stoją ludzie. Ci w wagonie, oparci z przodu o żelazny drąg, stękają pod naciskiem tych z tyłu i krzyczą:

– Do widzenia! Do widzenia, kochani!

Do widzenia... Do widzenia rodzice, rodzeństwo, narzeczone i narzeczeni, znajomi i nieznajomi. Wszyscy, którzy tam stoją i czekają na chwilę pożegnania. Do widzenia, rzucone na pocieszenie dla tych na zewnątrz i dla siebie.

– Chodź, ja... mam już tego dosyć – szepcze Laco. I głośniej dodaje: – Ci ludzie robią z tego taki cyrk, jakbyśmy płynęli za ocean.

Wracają do kąta, siadają obok nauczyciela na kocu. Siedzą w milczeniu, bez słowa. Karol podciąga kolana pod brodę, opiera się o nie łokciami i zakrywa twarz dłońmi. Dlaczego tu jest? Dlaczego nie w domu przy ulicy, gdzie dorastał przez dwadzieścia lat? Irenko, Irenko kochana, powiedz dlaczego, dlaczego? Ach, dlaczego wszystko jest takie poplątane?

Zerwał się, wszyscy się zerwali, na zewnątrz zabrzmiał ostry gwizdek.

Zgromadzony z boku stacji i magazynów tłum ruszył w kierunku wagonów.

– Zatrzymajcie ich! Partacze, zatrzymajcie ich! – krzyczy ktoś gniewnie na zewnątrz.

Gwardziści naprędce tworzą kordon, wał wycelowanych karabinów, zatrzymują ludzi i krzyczą, ale napór jest zbyt gwałtowny, wiele kobiet i mężczyzn dobiega aż

do pociągu.

– Hołota, oddalić się od wagonów!

Do środka wpadają paczka za paczką, medalionik, chustki, portmonetki, fotografie.

– Do widzenia! Bądźcie szczęśliwi! Piszcie i... do widzenia!

Do wagonu XVI kopniakami i kolbami karabinów torują sobie drogę trzej gwardziści. Skądś z boku przyplątał się żandarm, krzyczy na ludzi, czy wy macie rozum, przecież... I dyskretnie wrzuca do wagonu kilka paczek papierosów. Jeden gwardzista wymachuje nałożonym bagnetem, drugi krzyczy, a trzeci staje w drzwiach, żeby je zamknąć.

– Zapytajcie, dokąd właściwie jedziemy! – krzyknął z kąta nauczyciel Wagner. – Teraz już mogą nam powiedzieć.

Drzwi wagonu XVI zamknęły się z łoskotem. Brzęk wieszanej kłódki, szcęknięcie, szarpnięcie. Odgłos jazgoczącego metalu dudni w uszach.

– Dokąd jedziemy... – rozległ się piskliwy głos.

– Jedziecie do pracy i bądźcie cicho! Niech was cholera, jeszcze się zeszacie ze strachu!

Karol z Lacem i nauczycielem kucają w kącie. Nauczyciel chciałby powiedzieć coś uspokajającego, mądrego, ale nie potrafi; wszystko, co zobaczył i usłyszał, kiedy pędzili ich na stację, i wszystko, co widzi i słyszy teraz w wagonie, przeczy rozumowi, logice i zwyczajom. Laco w milczeniu patrzy na Karola, jego wielkie ciekawskie oczy są smutne i pełne niepewności. Karol je zasłania, głowa mu pulsuje, trochę gwałtowniej oddycha, palce przyciska do skroni.

„Rznij i rąb do krwi, nie będziemy pierwsi”<sup>[2]</sup>. Już wtedy jakoś dziwnie się zaczęło, na ulice wylegli mundurowi, Żydzi musieli uciec na podwórza, przyszły nakazy, polecenia, zakazy, kodeks, oznaczenia, kary, spisy... Ale przecież w ten sposób się nie zaczęło, przecież żył też wcześniej, tak, był piękny poranek, siedł z książkami, stare podręczniki wzorowo obłożył nowym błękitnym papierem, całą drogę głęboko oddychał, wypinał pierś, prężył się, chciał być o głowę wyższy... Tego ranka siedł na pierwszą lekcję do pierwszej klasy gimnazjum, nawet dyrektor szkoły do nich przemówił (uroczyście i poważnie, jak do dorosłych), to istotny krok w waszym życiu, kto będzie wytrwale się uczyć, po ośmiu latach może iść do szkoły wyższej (i wszystkich stu dziesięciu uczniów zrozumiało to dosłownie),

możecie iść na uniwersytet, możecie stać się profesorami, lekarzami... W piątej klasie byli aż w Brnie, na zawodach lekkoatletycznych... Jeszcze przez rok chodzili tą samą drogą do wielkiego, poważnego budynku... Ojciec powiedział: „Ja już nie mam sił, musisz iść do pracy”; więc poszedł do pracy, zaczął w składzie drewna, ach, jaka to była ostra zima, deski zamieniły się w lód, ale wytrzymał, z pierwszym zarobkiem pobiegł prosto do domu, z uśmiechem rzucił na stół kopertę z pieniędzmi, chełpił się przed braćmi, machał im kopertą przed nosem. A to nie było wszystko, coś tam z jego pierwszych pieniędzy wzięli rodzice. Mama, zasmucona sumą, wydzieliła mu dziesięć koron; teraz, jak chcecie, śmiał się z braćmi, mogę wam je dać choćby na kino; i oni się zaśmiali... Śmiali się też wtedy, gdy mu dokuczali, czy będzie się żenił, bo widzieli go w parku. Irenka i Karolek, potem zakochani, wymyślali sobie różne pieszczotliwe przezwiska, ale ostatecznie wrócili do imion; chodzili razem godzinami, trzymali się za ręce, dużo nie rozmawiali, próbowali zbliżyć się policzkami, potem przyszedł pierwszy pocałunek, ale nic sobie nie obiecywali, tylko tyle, nie możesz chodzić z inną, ty z innym też nie... A potem spotykali się potajemnie; pisała do niego listy, niedawno napisała ostatni i dała mu ostatni pocałunek, wszystko tak szybko się skończyło, ale chyba nie naprawdę, jedynie tu, w tym wagonie. Wagon, wagon, co to za wynalazek!

Jest wojna i jest wiosna, i na całym świecie są też dobrzy ludzie. Jadą do pracy. Wszystko jest tam dla nich przygotowane. Wikt, opierunek, wszystko. Będzie z braćmi, może nie od razu, ale na pewno ich znajdzie, razem będzie im łatwiej żyć. Spotka się też z innymi. Przecież już pracował, wręcz harował, żadnej pracy się nie boi. Jest młody, zdrowy, zarobi, jakoś się utrzyma. Ilu ludzi wyjechało w świat za pracą, żyją, niektórzy wysyłają nawet sporo pieniędzy do domu. Wojna przecież nie będzie trwać wiecznie. Może gwardziści kłamali. Może spędzą tam więcej niż pół roku albo rok, ale po wojnie na pewno wróci, i to z braćmi. Tak przyrzekł matce na wszystko, co święte. A jeśli tam będzie bardzo źle, ucieknie. Ucieknie... Tylko dokąd? Do kogo? No, do domu oczywiście, do rodzinnego miasta. Gdzie indziej miałby uciekać? Jak mu będzie bardzo źle, ucieknie do domu.

Dokąd właściwie jedziemy? Dokąd chcą nas zawieźć? Dlaczego nam tego nie powiedzieli? I gdzie będziemy pracować? W fabryce? Przy budowie dróg? W kopalni? Albo z murarzami? Może w składzie drewna. Jak tam będzie? I jak się tam pomieścimy? Tylu nas jest. Dlaczego jedziemy w wagonach towarowych?

I dlaczego wagony pozamykano, skoro nas wiozą do pracy? Z pewnością potrzebują tam bardzo dużo ludzi i boją się, że po drodze im puciekamy. Jakoś to będzie.

– Gotowe!

Głos zabrzmiał z jakąś ulgą, jakby człowiek, który powiedział to słowo, ucieszył się, że wreszcie pozbył się nieprzyjemnego zadania.

Długi i przenikliwy dźwięk kolejowego gwizdka. Z przodu wzdycha lokomotywa, wagon szarpie w przód i w tył, pociąg rusza. Ludzie w środku na chwilę cichną i zastygają.

– Wypuście mnie!

– Poczekaj chwilę, tylko otworzę drzwi.

Ludzie się zaroili, zaczęli popychać, nastał chaos głosów, ścisk w pobliżu okienka i długiej, wąskiej szpary między ścianą wagonu a drzwiami, za którymi znikali znajomi i nieznajomi ludzie, znajome i nieznajome rzeczy, miasteczko Sereď.

– Spójrzcie, spójrzcie na te dzieci, biedactwa, biegną za pociągiem! Machają i coś krzyczą. A jak biegną!

Ponieważ wszyscy chcieli to zobaczyć, nie widział nikt. Po chwili pociąg wjechał w zakręt, potem w następny, a kiedy wyrównał się na prostym odcinku toru, niewielkie wybrzuszenie zaoranego pola zakryło stację i miasto.

Ludzie oderwali się od drzwi i umościli na swoich miejscach. Przez zakratowane okienka skąpo przenika światło kwietniowego słońca. Koła w regularnym rytmie dudnią na złączach.

Karol siedzi zadumany w kącie. Myśli kłębią się dziko w jego głowie, jedna splata się z drugą, nieukształtowane znikają, robią miejsce dla nowych, tak samo wątków, niepewnych, niewesołych. Każde uderzenie o złącza torów jest ciosem w mózg, przerywa chaotyczne obrazy i przywołuje inne. Chwilami jest na swojej ulicy – zna tu wszystkich ludzi, ciekawe, co teraz robią. Chwilami jest w domu rodzinnym – ostatnie dni z matką i ojcem – chwilami z Irenką, pożegnanie, jeszcze pięć razy do siebie wracali, nie wiedząc, że po raz ostatni są razem, ostatni pocałunek i ostatni list, dziękuję ci za nie. A chwilami jest gdzieś na końcu tej niezrozumiałej drogi, daleko, w obcym świecie, dokładniej nie umie go sobie wyobrazić.

Moja dobra, nieskończenie dobra mama. Ciekawe, co robi? Pewnie siedzi jak wtedy, kiedy przyszli po niego. Zapłakana przy stole, z modlitewnikiem na kolanach, przed nią kubek białej kawy i górka niedojezionej macy. Mieszkanie było wywrócone do góry nogami. Ojciec stał obok powiązanego bagażu, walczył ze sobą, po męsku powstrzymywał łzy. Ale mama, ta dobra i niezwykle delikatna mama, nie miała tyle siły. Ciekawe, co robi teraz? Pewnie siedzi rozżalona i zmartwiona, czeka, czy nie przyjdą znów walić w kuchenne drzwi i krzyczeć. Martwi się i cierpi, ale czeka bez strachu, ponieważ nie ma już nic do stracenia. Oboje są starzy, może zostawią ich w spokoju. Tak, na pewno zostawią ich w spokoju, na stare lata nie będą ich przecież ciągnąć gdzieś na obczyznę. Mama ma reumatyzm, nogi spuchnięte, obandażowane. Niedomaga, ale cierpliwie znosi ciężki los. Teraz niewątpliwie siedzi na krześle, trzyma przykryte nogi na stołku i myśli o trzech synach. Wszystkich jej zabrano.

– Ludzie kochani, nie zabierajcie nam ostatniego! Nikogo już nie mamy!

– Niech pani nie lamentuje! Przecież nie odchodzi na zawsze, wróci.

Tak, wróci, jeszcze ich zobaczy, jeszcze sobie z nimi pożyje. Z płaszczu wyciąga kopertę z kilkoma rodzinnymi fotografiami. Mama własnoręcznie mu je powybierała i ładnie złożyła. Tę, na której jest tylko ona, Karol trzyma w ręce trochę dłużej. Dwa lata temu, na sześćdziesiąte urodziny, poszła zrobić sobie zdjęcie. Twarz miała opanowaną, spokojną, leciutko się uśmiechała. Wychowałam was najlepiej, jak potrafiłam. Karol z czułością patrzy na fotografię, palce odrobinę mu drżą. Nagle czuje w plecach dziwaczne mrowienie. Ta fotografia... to ma być pamiątka? Ostatnia pamiątka? Nie, jeszcze ją zobaczy, te dobre, mądre, troskliwe i wszystko rozumiejące oczy ujrzy jeszcze żywe. Jeszcze musi się jej odwdzięczyć za nieprzespane noce, za nadludzką troskę, opiekę i za wszystkie niekończące się wyrzeczenia; zwłaszcza on, najmłodszy, bo jemu poświęciła najwięcej z tego, czego tak mało mieli w ostatnim czasie.

Wkłada fotografię z powrotem do koperty. To cały jego majątek. Nie ma nic innego, ale ma wszystko, ponieważ w tej kopercie jest jego życzliwa, troskliwa mama.

Słońce zachodzi, do wagonu przedostaje się półmrok. Monotonne uderzenia kół z początku uporczywie przypominały o ponurej rzeczywistości, teraz stały się dziwnie uspokajające. Z jednostajnego stukania można poskładać sylaby, a z nich słowa: nie bój się... będzie dobrze... wró-ci-my... ma-ma...

Mama – pewnie umiera ze zmartwienia od chwili, kiedy go jej zabrali. To było trzy dni temu. Płacze, że nikogo już nie ma. Że nie mogła dać mu pieniędzy ani ciepłego ubrania, gdyby przypadkiem musiał tam przetrwać też zimę. Gdyby jej zostawili chociaż tego najmłodszego! Płacze z tęsknoty za nim i za jego braćmi, jeszcze nie napisali. Po co ich wychowałam. Komu? Dla kogo?

Wprost dusiła się od konwulsyjnego płaczu, kiedy wyrwał im się z rąk i podbiegł do niej, żeby ostatni raz mocno ją objąć i pocałować...

– Mój syn! Mój ostatni synek! – krzyczała w potwornym żalu, a on czuł, jakby ktoś po kawałku wydierał mu serce z ciała.

– Nie bój się, matko, ja wrócę. Nie płacz i nie martw się, na pewno przyjadę. Wrócę i zostanę z tobą na zawsze.

– Nie zabierajcie mi go! Nikogo już nie mamy...

Jest wojna i jest wiosna, i na całym świecie są też dobrzy ludzie. Pociąg dudni, mijają okolice, których nie widać z wagonów, a oni jadą do pracy.

Po policzkach płyną mu łzy. Trzy dni w obozie się trzymał, chciał być silny, bronił się przed uczuciami, wypierał obawy i niepewność. Trzymał się też dziś na stacji. Ale teraz coś w nim pękło, złamało się, łzy spadają mu na wierzch dłoni i na kopertę, bo znów wyciągnął ją z kieszeni. Obok słyszy głos Laca, cichy i troskliwy. Odwraca zapłakaną twarz.

– Może byś coś zjadł? – pyta Laco.

– Dziękuję, nie teraz. Trochę się porozciągam.

Wstaje, wypręża ramiona do przodu i do tyłu, zgina się w pasie i opiera o ścianę. Zapala papierosa, odrobinę się uspokaja. Patrzy na ludzi, na tobołki porozkładane na kolanach i śmierdzącej podłodze. Jedzą powoli i tylko po trochu, żeby jedzenia wystarczyło im na jak najdłużej. Nauczyciel Wagner częstuje Laca herbatą, Laco podaje ją Karolowi.

– Dziękuję – mówi Karol i pije.

Powietrze w wagonie jest ciężkie, duszne, dym szczypie w oczy. Od drzwi, gdzie chodzą oddawać mocz, śmierdzi. Teraz nawet pobliskie twarze gubią się w ciemności. Ciszę przerywa kaszel, ciemność przepędzają płomyki zapalek. Ktoś zapalił świeczkę, tam z przodu, obok wielkiego tobołka. Postawili ją na wojskowej walizce. Już ponad pięć godzin są w tej milczącej podróży – nie wiadomo dokąd.

Wró-cisz... je-dzie-my do pra-cy... monotennie szumią i wystukują koła. To wytrwale łomotanie jest usypiające, ale zarazem nie pozwala się zdrzemnąć. Wreszcie jego rytm spowalnia, w wagonie zaczyna się poruszenie, wielu ludzi wstaje, ktoś mówi:

– Chyba nie mamy zielonego światła.

Pociąg się zatrzymuje i wszyscy tłoczą się przy drzwiach.

– Gdzie jesteśmy? – pyta kilku naraz, nie wiadomo kogo.

– Trzeba było zabrać ze sobą jasnowidza – sarka spod drzwi zwalisty taksówkarz Róbert.

– To chyba stacja. Widzę jakieś światła, a przed nami stoją pociągi – informuje ktoś przy okienku.

Wzdłuż wagonu biegną dwaj kolejarze z lampami. Z przodu ktoś stuka młotkiem w koła. Z tyłu, za wagonem XVI, słychać z kolei dudnienie żelaza.

– Spytaj, gdzie jesteśmy – prosi Laco.

– Rozkaz, szanowny panie – odpowiada Róbert. – Właśnie zbliża się tu jeden, co wygląda na rozmownego. Kolejarz.

Wszyscy się uciszyli, żeby usłyszeć odpowiedź.

– Przyłączamy dziesięć wagonów – dobiega ich starczy głos.

– Pewnie nie z prowiantem? – pyta Róbert naiwnie.

– Nie, synu, to nie jest prowiant. – Starczy głos wciska się przez szczelinę w drzwiach.

– A gdzie jesteśmy?

– W Żylinie.

Kolejarz się oddala, stukanie młotka o koła się zbliża.

– Idą tu jacyś gwardziści – oznajmia Róbert.

Po chwili słyszą na zewnątrz ostry, władczy głos:

– Guzdrze się pan, jakby miał obie ręce lewe. Za dwadzieścia minut chcę mieć ten pociąg z głowy!

– Niech nas pan nie popędza! – odpowiada śmiało kolejarz. – Człowiek jest porywczy, młotek może mu się wyślizgnąć z ręki. – I mężczyzna o energicznym, śmiałym głosie gniewnie wali młotkiem w koło wagonu XVI. I jeszcze raz. Kiedy

przechodzi wzdłuż pociągu, słyszą, jak klnie ze złością. – Bałwan z frędzlem! Na rękawie krzyż, a w głowie nasrane!

Po chwili dziesięć wagonów dołączyło do stojącego składu, zderzaki brzęknęły, ciągną załomotały. A potem znów gwizdek kolejowy i długa, przenikliwa odpowiedź lokomotywy. Pociąg rusza. Uderzenia kół przyspieszają i wkrótce ponownie monotonicznie sylabizują: bę-dzie do-brze... nie bę-dzie źle... nie bój się... wró-ci-my... mo-ja do-bra ma-ma... ma-ma...

...Mama siedzi przy stole, spuchnięte reumatyczne nogi obwiązane flanelą trzyma na stołeczku. Na podółku otwarty modlitewnik. Na stole kubek białej kawy i kawałki macy. Ojciec siedzi naprzeciwko. W kącie koło pieca zawiązany plecak. Mama siedzi i szlocha, płacze bezustannie. Siedzi i płacze w pokoju ciemnym jak ten szesnasty wagon, wywróconym do góry nogami, ale pachnącym czystością. W wagonie czuć gnojem, ługiem sodowym i moczem. W wagonie, w którym Karol jedzie do braci.

Pociąg gna przez zakręty, wjeżdża na jakieś pagórki, zwalnia, znów przyspiesza i w końcu jedzie z jednostajną prędkością. Do wagonu przenika chłód, ludzie opatulają się kocami, osłaniają krzyże i kolana. Przez długą szparę pod drzwiami widać zaśnieżone połacie i ciemne pasma lasów. Pociąg wspina się wąską doliną między górami.

– Która godzina?

– Najlepiej na to pytanie odpowiedziałby ten, co zabrał ci zegarek.

– Jakby miał kieszonkowy, toby mu nie zabrali.

– Po co panu znać godzinę? Po co, ja się pytam. Na randkę nikt się tu nie spóźni. A nawet jeśli, to panienka wybaczy.

– Jeśli nie przestaniecie, zacznę dawać po mordzie! – krzyknął Róbert. – Jak się wam czas dłuży, wyciągnijcie modlitewniki albo zagrajcie sobie w mariasza. Człowiek nie może nawet przez chwilę spokojnie pomyśleć.

– Pociągnij za hamulec awaryjny i wysiądź – radzi Róbertowi cienki głos. – Powiedz im, że chcesz wstąpić do gwardii, u nas brakowało jednego trębacza. Albo powiedz, że jesteś nerwowy... że zapomnieli cię wykreślić w kasie chorych.

Niektórzy nie mogą powstrzymać śmiechu.

– Ludzie kochani, po co takie gadanie! Nie trzeba bluźnić ani się wyśmiewać. Przez takich Bóg nas wszystkich pokarał. Nie bluźnijcie i nie przeklinajcie, Bóg



o nas nie zapomni – zabrzmiał poważny głos z kąta, gdzie dopala się już druga świeczka.

Znów nastała cisza i przez dobrą godzinę nikt jej nie przerywał. Karol opiera się plecami o ścianę wagonu, bokiem do Laca, drzemie, tak jest im cieplej. Budzi go szum głosów i spowalniający stukot kół. Pociąg się zatrzymuje.

– No, mądrale, Bóg zapomniał odstawić nas do domu – oznajmia złośliwie Róbert. – Myślę, że jesteśmy na granicy.

Przy wagonach rozbrzmiewają zdecydowane kroki, stukot podkówek na podkładach i żwirze. Wokół panuje ciemność. Z zewnątrz dobiegają głosy, kilku mężczyzn biega w tę i w tę wzdłuż pociągu, z przodu ktoś gwizdze. Karol wyraźnie słyszy przed wagonem kroki stawiane przez nogi obute w ciężkie oficerki. Zamek szczęknął i załomotał, zatrzeszczały drzwi otwierane równocześnie we wszystkich wagonach.

– *Alles raus, los!*

Przy każdym wagonie stoją mężczyźni w mundurach.

## Do pracy... na sposób niemiecki

Gęsta mgła kłębi się nisko nad ziemią. Przy świetle dwóch żarówek, jednej wiszącej tuż przy lokomotywie, a drugiej niemal na końcu pociągu na torach, słabo widać krzyczące i biegnące postaci. Przed wagonem XVI stoją dwaj mężczyźni w gumowych płaszczach, z karabinami w rękach. Po chwili zatrzymuje się obok nich następny; ma długi skórzany płaszcz, na pasku kaburę z dużym wojskowym pistoletem. Nieopodal wartuje dwóch gwardzistów.

– *Niemand ist drin?* – krzyczy wysoki mężczyzna w skórzanym płaszczu i świeci latarką do środka wagonu XVI.

W wagonie nikogo nie ma. Wszyscy Żydzi stoją na zewnątrz. Trzęsą się z zimna, oniemieli i przestraszeni spoglądają na krzyczących uzbrojonych ludzi. Co to znaczy? Przecież mówiono, że mają jechać gdzieś do Polski. Chyba nie oddadzą ich w ręce tych niebezpiecznie wyglądających krzykaczy w mundurach? Jak to się stało? Dokąd ich przywieziono?

Gwardziści oddają drągalowi w skórzanym płaszczu dużą kopertę, mężczyzna świeci na nią latarką i mamrocze coś niezrozumiale.

– *Also, los!* – krzyczy. – Będziemy wyczytywać nazwiska, każdy ma się zgłosić i wracać do wagonu! – Jego głos jest ostry, suchy, jakby z ust wystrzeliwał amunicję.

Gwardziści zeszli na bok, zapalili papierosy, rozmawiają. To ich już nie dotyczy, swoje zrobili.

– *Also, los!*

– ...sześćset jeden, Alexander Vrbovský!

– Tu.

Przemarznięty mężczyzna wchodzi do wagonu. Numery i nazwiska lecą w powietrzu, ludzie jeden po drugim wspinają się do wagonu.

– Szybciej! – terkocze głos Niemca. – Może wam kopniakiem ruszyć dupy? Sześćset trzydzieści, Mikuláš Wagner!

– Tutaj...

– Sześćset trzydzieści cztery, Wojtech Zimmer.

– Tu...

Spis się zgadza, mężczyzna w skórzanym płaszczu zapala papierosa i odchodzi na czoło pociągu z kopertą pod pachą.

W wagonie XVI znów jest tłoczno przy drzwiach. W kotłownianinie ktoś przewrócił wiadro z wodą. Lekarz Zimmer ze smutkiem pokazuje wiadro jednemu z mężczyzn w gumowym płaszczu, chce się do niego zwrócić, ale Róbert go ubiega.

– Panie żołnierzu – mówi – czy możemy iść napełnić wiadro? Słyszymy, że tam z przodu leje się woda.

Niski mężczyzna w mundurze zrywa z pleców karabin i gwałtownym gestem uderza spodem kolby w wiadro, ono podskakuje i krawędzią zahacza o kolano Róberta.

– Kretyn – mówi Róbert ze złością.

– *Herr Soldat, Wasser, nur Wasser, bitte* – prosi starusieńki lekarz.

Niski mężczyzna zarzuca karabin na plecy i odchodzi, machając świecą latarką. Lekarz wychyla się odrobinę z wagonu. Zza nasypu przybywają dwaj w białych mundurach maskujących i zatrzymują się przy samych drzwiach.

– Przepraszam, dokąd jedziemy? – pyta zmartwiony lekarz. – Czy bardzo daleko? – Z rękawa spada mu opaska z czerwonym krzyżem.

Jeden z nich podaje mu opaskę i bez słowa odchodzi w kierunku nasypu. Drugi patrzy na zgromadzone w drzwiach twarze.

– Jesteśmy żołnierzami, za dużo nie wiemy – mówi cicho. – Jesteście w Zwardoniu, słyszeliśmy, że za trzy godziny będziecie na miejscu.

Rusza za kolegą.

Z mgły wyłania się niski mężczyzna z karabinem na plecach, staje przed wagonem XVI, przez chwilę gapi się na ludzi. Kiedy odnajduje wzrokiem starego lekarza, mówi:

– Chciał pan wody, prawda? Niedaleko są skały. Nie macie ze sobą jakiegoś Mojżesza, żeby uderzył w nie laską?... Uwaga, głowy do środka!

Kwadrat, przez który było widać kawałek ciemnego, nieprzyjaznego świata, zasłania drzwiami. Ciężki zamek opada. Niemal w tej samej chwili rozlega się łomot i krzyk dziesięć wagonów dalej. Ostry głos, krzyki kobiet i tupot nóg.

– Kobiety! – mówi zaskoczony Róbert. – W Żylinie dołączyli do nas kobiety. – Słysząc wywoływanie numerów i nazwisk, komplementy i wyzwiska: „Szybciej, piękne panie!”, „Ruszcie się, krowy!”, „Chyba macie za ciężkie dupy”, a na koniec ostry głos wysokiego Niemca: „Zgadza się, czterysta czterdzieści trzy. Gefrajter, biegnijcie do przodu! Pociąg może ruszać!”.

Ruszyli już po północy. Pociąg zaczął powoli wspinać się w góry. Powietrze jest coraz bardziej mroźne, z prawej strony dmie zimny wiatr.

Jeszcze trzy godziny, rozmyśla Karol. Za trzy godziny będziecie na miejscu – powiedział ten żołnierz. Gdzie i w jakim miejscu? Gdzieś w fabryce? Albo w kopalni? I ci Niemcy będą tam też tacy... tacy straszni? A te kobiety wywożą z nami gdzieś do pracy? Gdzie będziemy mieszkać? To będzie barak, pałac, koszary czy opuszczony klasztor?

Pociąg jeszcze przez chwilę wspina się z wysiłkiem, a potem szybko zjeżdża, bez ciężkiego wzdychania. Koła znów stukają i sylabizują w dokładnych odstępach, bezustannie, do znudzenia. Odgłos kół na torach, stukot i wstrząsy, skrzypienie buforów i gwizd, nagle wszystko staje się bardziej przytłaczające i beznadziejne.

Je-dzie-my do pra-cy... Jest woj-na, a-le my wró-ci-my... bę-dzie do-brze i przed zi-mą wró-ci-my...

Może to nie tak. Może to tylko pobożne życzenia. Co, jeśli koła wystukują i mówią coś zupełnie innego?

Pociąg gna, nadrabia czas stracony w trakcie podjazdu, wagony szaleńczo podskakują na złączach i zwrotnicach. Karol gwałtownie wstaje. Kiedy siedział, miał wrażenie, że koła, cała ta masa stali, żelaza i drewna, złośliwie naśmiewa się z niego, że bawi się nim jak bezwładną figurką, podrzuca, potrząsa wnętrzościami, nogami i rękami, przerzuca jego głowę z jednej strony na drugą. Zbliży się do szpary w drzwiach, nie narzekajcie, przecież muszę tam iść. Wnętrze wagonu jest całkowicie zadymione, palą nawet ci, którzy nigdy dotąd nie mieli papierosa w ustach. Karola szczypią oczy, pokasłuje razem z resztą, dym go dusi. Wszyscy powstawali z podłogi, wielu podskakuje, próbują oszukać głód. Ktoś

popija ciepłą herbatę czy kawę. Chce pan? Masz, napij się! Inni piją po cichu, w tajemnicy, kto wie, jak długo jeszcze będą w podróży.

Jedziemy dosyć szybko, może będziemy wcześniej niż za trzy godziny – myśli Karol, znów stoi w kącie oparty o ścianę. Ale jakie to ma znaczenie, godzinę wcześniej czy później? Nie, nie będę więcej o tym myślał, jakoś to będzie, byleby wyjść z tej ciemności i zimna, może tam nie będzie zimno, przecież jest już wiosna, tam, znowu tam, obraca się plecami do kierunku jazdy, tak, tak jest lepiej, Karol, napij się, dziękuję, i podaje nauczycielowi pusty kubek od termosu, zapala papierosa, nie pal tyle, rozboli cię głowa, szepcze do niego Laco, przecież to dopiero piąty, nie martw się, na powietrzu mi przejdzie... Mamusiu moja, jestem już bardzo daleko od ciebie, ale to nic, choćbym był nie wiem jak daleko, wrócę, tylko nie płacz ciągle, nie zdręczaj się, wytrzymaj, przecież ci pomogę, Irenka też do ciebie przyjdzie, ona się nie boi, z góry ci dziękuję, Irenko złota, z góry ci dziękuję, nie gniewaj się, że nie pożegnałem się inaczej, przecież jeszcze się zobaczymy... Drogi dziadku, ty też się nie gniewaj, że się z tobą nie pożegnałem, wybacz, jeszcze nigdy nie byłem na pogrzebie, nie lubię, wybacz... Ech, nawet takie stanie nie jest dobre. Gasi papierosa, siada na kocu, przegrywa ze zmęczeniem. Słyszy pytanie nauczyciela, które krąży po wagonie, drodzy przyjaciele, jak myślicie, długo jeszcze będziemy jechać? Nikt mu nie odpowiada.

Dopiero po dwóch godzinach lokomotywa ostro zagwizdała, hamulce kół nieprzyjemnie zapiszczały, pociąg zwolnił i wreszcie się zatrzymał. Naokoło nie było żadnego światełka, powitały ich tylko przenikliwy chłód i gęsta mgła. Czy to koniec podróży?

– Ach, mam nadzieję, że jesteśmy już na miejscu – mówi Laco. – Nie czuję kości. Jeszcze nigdy tak nie marzyłem o łóżku. O łóżku i wodzie. Mam nadzieję...

Wzdłuż całego pociągu słychać tupot ciężkich butów, szczekanie psów i głosy ludzi.

Karol przeciska się do Róberta i łapie go za łokieć.

– Będziemy razem? Róbert, będziemy trzymać się razem?

– Pewnie, że tak – odpowiada przekonująco Róbert.

Drzwi w wagonach otwierają się niemal równocześnie. Z wagonu XVI ktoś przy drzwiach świeci latarką na zewnątrz. Stoi tam czterech mężczyzn w długich

szarych płaszczach, na smyczach trzymają psy, wielkie wilczury o zjeżonej sierści i ze zwisającymi językami.

– My wam damy światło. Zgasić to, do cholery! – krzyknął jeden z nich.

– *Alles raus! Los!* – słysząc wzdłuż pociągu.

Po niecałych pięciu minutach stoją przed wagonami i strwożeni patrzą w ciemną mgłę. Czy to znów jedynie przystanek? Tu jest płasko, nie ma nasypu, może to już koniec podróży.

Z mgły wychodzą dziwaczni ludzie. Takich jeszcze przybysze nie widzieli. Chudzi, anemiczni, jak cienie, przeraźliwe cienie kościotrupów w pasiastych łachmanach, w pasiastych czapkach na ogolonych na łyso głowach, na nogach mają drewniaki. Straszdyła, które chyba powstawały z grobów, bojaźliwe i apatyczne. Bez słowa zatrzymują się przy wagonach. Przelękłe i zapadnięte oczy połyskują mrocznie, zaskoczony Karol widzi w tych półżywych głębinach jakieś odpychające pragnienie i lękliwy smutek, podobne mewają w przebłyskach świadomości osoby chore umysłowo. Więźniowie, przyszło mu do głowy, ale szybko pozbył się tej myśli, ponieważ w wyglądzie i milczącym, mechanicznym zachowaniu tych ludzi było coś innego, zupełnie niezrozumiałego i niedefiniowalnego, co wywołało w nim współczucie i przygnębienie. Kim oni są? Skąd tu przyjechali? I co znaczą trójkąty z literami P i F na ich pasiastych kurtkach?

Mgłę przecinają światła latarek, dookoła zaroilo się od uzbrojonych ludzi w mundurach, ze złymi, niespokojnymi psami na smyczach.

– Gdzie my jesteśmy? Przyjaciele, gdzie my jesteśmy?

Ci w pasiakach milczą. Nie usłyszeli czy nie rozumieją?

– Cofnąć się! Ustawić się piątkami! – zabrzmiał rozkaz. – O nic nie pytajcie, wszystko wam wyjaśnimy. Wszystko dostaniecie na miejscu!

Nie widzą krzyczącego mężczyzny. Szemrając i zderzając się ze sobą, ustawiają się z trudem w sto dwadzieścia sześć szeregów po pięć osób. Sto dwadzieścia sześć piątek i jedna czwórka z tyłu. Nauczyciel, Karol, Laco i lekarz Zimmer. Wszystko się zgadza. Jeszcze raz... sto plus sto, trzysta, czterysta, pięćset, sześćset, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści i cztery.

– Zgadza się?

– Gotowe! – krzyczy z tyłu jeden z psem.

– Szeregi wyrównać i utrzymać! Naprzód marsz!

Karol rozgląda się na boki i w tył. Widzi dziwacznych ludzi w pasiastych łachmanach, do tej pory zupełnie apatycznych, jak bez rozkazu wsiadają do wagonów, ale nie mógł zobaczyć, jak żywoło rzucają się na tobołki, mają nadzieję znaleźć w nich jedzenie. Ostatnich dziesięć wagonów z kobietami jest pogrążonych w ciemności i mgle, nie słychać stamtąd żadnego szumu, żadnego głosu. Uzbrojeni ludzie w szarych mundurach otwierają z przodu trzy wagony, większe bagaże są tam wzorowo oznaczone nazwiskami właścicieli.

– Idziemy, idziemy! – krzyczą Niemcy na długi pochód. – Kto się będzie ociągał, nie napisze listu do domu!

Ani nauczyciel, ani Karol, ani Laco nie wyczuwają w tym surowym ostrzeżeniu drugiego, strasznego znaczenia. Dlaczego nas tak popędzają? – zastanawia się Karol. Dlaczego prowadzą nas po nocy i w zimnie? Nie mogli nas zawieźć na miejsce docelowe? Albo zostawić w wagonach aż do rana? Chyba nie mogli. Ewidentnie mają opóźnienie, może coś im się gdzieś pali i od razu z rana chcą nas przydzielić do pracy. Niewyspanych, wyczerpanych. To nic, człowiek musi się przemóc i wytrzymać. Ludzie bez serca! Przecież nie będziemy dla was pracować już zawsze!

Długo idą wśród mroźnej nocy. Może jest ona jasna, księżycowa, ale na dole panuje nieprzenikniona mgła, a droga jest nierówna, co rusz potykają się i upadają. Doprawdy, idą po drodze czy polami?

– *Halt!* Dołączyć, wyrównać szeregi. *Los!*

Znów ich liczą.

– Naprzód marsz!

Po następnej godzinie ciemność się przerzedza i wraz z przybywającym światłem mgła zaczyna się podnosić. Wreszcie widzą w oddali długie rzędy latarni, ciemne zarysy niskich, długich budynków i dziwaczne wysokie budy koło białych, betonowych słupów. A po kilku minutach ich oczom ukazuje się ogrodzenie z drutu kolczastego i olbrzymia żelazna brama, a nad nią ułożone w łuk wielkie żelazne litery.

ARBEIT MACHT FREI

– Karol, co to znaczy? – pyta zdziwiony Laco.

– Jakieś niemieckie hasło, o robocie. Praca wyzwala, praca czyni wolnym, praca tworzy wolność... coś takiego. Nie przejmuj się tym.

– To jakaś klasyczna niemczyzna, prawda?

– Może tak, a może zupełnie nowoczesna – mówi nauczyciel Wagner, ot tak, bez zastanowienia.

Przechodzą przez bramę pod wielkimi żelaznymi literami, które – jak się zdaje – chcą podkreślić, że praca w tym miejscu też będzie żelazna, trudna. W tym momencie jednak praca nikogo nie martwi i nikt nie odczuwa strachu nawet z powodu tabliczki wiszącej na wysokim płocie z drutu kolczastego. „Uwaga! Grozi śmiercią!” – ostrzega zwięzły napis. Niemal na wszystkich twarzach maluje się ulga, koniec maszerowania, wreszcie na miejscu, wreszcie dowiemy się, na czym stoimy, gdzie będziemy pracować i jak będziemy mieszkać. Zatrzymują ich na sporym placu, znów wywołują numery i nazwiska według listy. Przybysze zgłaszają się cierpliwie i zdyscyplinowanie, stają po pięciu w szeregach dokładnie według kolejności odczytywania.

– Pierwszych stu może iść! – zarządza mężczyzna, który zatwierdzał listę, pewnie oficer.

Dwadzieścia piątek wchodzi do budynku na skraju. Pozostali zszokowani patrzą na dwa rzędy ceglanych domków, na wysokie wieże strażnicze, druty kolczaste i esesmanów w szarych mundurach; z niespokojnymi wilczurami wyglądają jeszcze straszliwiej niż wychudli ludzie w pasiastych łachmanach, kręcący się wokół w „przepisowej” odległości.

– Co to za naszywki? – Laco wskazuje na esesmanów z psami.

Karol go nie słyszy; szare baraki z małymi okienkami, najdziwniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek widział, w połatanych i porwanych łachmanach w paski i drewniakach, wyglądają, jakby wszyscy znaleźli się w bezlitosnych objęciach suchotniczej śmierci, wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego z licznymi zapalonymi lampami na betonowych słupach, strzeliste wieże strażnicze w regularnych odstępach i krzyczący uzbrojeni ludzie z psami – przez to wszystko czuje się zagubiony i przerażony, ponieważ żaden z elementów tej rzeczywistości nie pasuje do wyobrażeń, jakie snuł o tym obcym miejscu. O czymś takim wręcz nigdy nie słyszał ani nigdzie nie czytał.

– Co to za naszywki? – ponawia pytanie Laco.



– Mnisi i opat – odszczeknął taksówkarz Róbert. – Nie widzisz SS? Nie widzisz trupiej główki?

– SS? – powtarza zaskoczony Laco.

Szczupły i wyprostowany esesman wplata się między ostatnie szeregi. Z zainteresowaniem przygląda się twarzom, wkłada laseczkę pod pachę, zakłada rękawiczki, niektórym podnosi brodę, przygląda się każdemu od stóp do głów, zadaje przyjacielskie pytania.

– Kim jesteś? – pyta Róberta.

– Kierowca, mechanik samochodowy – oschle odpowiada Róbert.

– A ty?

– Pomocnik sklepowy, panie oficerze.

– A ty?

– Ślusarz.

– A ty?

– Krawiec, miałem wielu dobrych klientów, pan...

– Czy jest wśród was zegarmistrz?

– Tak. – Podnosi się kilka rąk.

– Rzemiosło dostatek przyniosło – oświadcza esesman, humor mu dopisuje. – Wspaniale! Właśnie takich nam tu trzeba. – A ty kim jesteś? – Kiwa na Karola.

– Ja nie mam fachu, byłem... studentem.

– Hm, a pan jest lekarzem, prawda? – zwraca się do stareńkiego Zimmera. Następnie dopowiada: – No dobrze, jest wśród was kilku elegantów. – Dotyka laseczką czapki. – Do widzenia.

Kołysząc się, odchodzi w kierunku bramy.

– A co będzie ze mną? – szepcze nauczyciel Wagner. – Nie jestem rzemieślnikiem. Co się ze mną stanie, chłopcy?

Z długiego murowanego budynku wychodzi stu nagich ludzi. Są ogoleni od stóp do głów, w rękach kurczowo trzymają pasiaste łachmany i drewniaki, popędzani krzykiem esesmanów biegną truchtem, podskakują, jakby deptali po igłach. Karolowi wydają się obcy. To ma być ta pierwsza setka? Całkowicie obcy i nierealni, jak istoty z jakiegoś prymitywnego, fantastycznego świata, gnają gdzieś

w poszukiwaniu odrobiny ciepła. Wchodzą do sąsiedniego baraku, na podwórzu został po nich smród cuchnącego płynu, którym zostali opryskani.

– Mój Boże – wzdycha przerażony nauczyciel Wagner. – Oni nas... oni nas ubiorą w te więzienne łachmany!

– Następna setka! – rozkazuje esesman z brodawką na policzku.

Karola nie opuszcza niepokój. Ogarnęło go to uczucie, zanim jeszcze zobaczył biegnących nagich i ogolonych ludzi z pasiastymi łachmanami i drewniakami w rękach. Dlaczego ubierają nas w takie wstrętne rzeczy? Dlaczego golą nam głowy? I dlaczego wszyscy Niemcy mają broń, dlaczego mają psy, dlaczego krzyczą i klną obrzydliwie? Co znaczą liczby na kurtkach tych wychudzonych ludzi, którzy nieprzerwanie kręcą się w pobliżu nas? Czy oni też przyjechali tu do pracy? Co to za praca, skoro wyglądają tak strasznie, skoro zabrała im z twarzy wszystko, dzięki czemu człowiek przypomina człowieka? Do jakiej pracy nas tu przywieźli? Ach, może tamci są jacyś... no, jacyś tacy, których za karę przydziela się do ciężkiej, niezdrowej roboty. Ten szczupły esesman w pięknym mundurze zasugerował nam przecież, że będziemy przydzielani do różnych zajęć. Esesman...! O nich przecież nic dobrego nikt jeszcze nie słyszał! Dokąd nas przywieziono? Do jakiej pracy? Mamusiu kochana, nie płacz, nie bój się...

Tysiące dręczących myśli wywołują w nim obawy, tysiące pytań pojawiają się w jego świadomości, ale na żadne nie potrafi odpowiedzieć.

Z namysłu wyrywa go krzyk esesmana z brodawką:

– Reszta! Szybko, łajzy! *Los!*

Nauczyciel bierze Karola za rękę. Jest lepka i chłodna, jakby uleciało z niej całe ludzkie ciepło.

– Chodźmy – mówi Wagner zrezygnowany – chodźmy, tu już nic nie zmienimy.

W długim pomieszczeniu jest rząd stołów, siedzą przy nich i stoją ludzie w pasiastych łachmanach. Na przybyłych patrzą z chłodną obojętnością, bez cienia zainteresowania, martwymi oczami kamiennego sfinksa pośród bezwartościowego piasku.

– Oddać wszystkie kosztowności! – warczy esesman z brodawką. – Wszystkie. Jasne?

Łańcuszki, medaliki, zegarki, papierośnice, pierścienie, obrączki z brzękiem upadają na blat pierwszego stołu.

– To od matki, panie... dowódco – prosi Laco. W ręce trzyma medalik ze zdjęciem mamy.

– Po wojnie kupisz sobie drugi. Oddać, dalej!

Ci w pasiakach wybierają ze stosu zegarki i układają je na kocu rozłożonym koło szerokiej, głębokiej skrzyni. Wrzucają do niej pozostałe kosztowności.

Przy drugim stole więźniowie wpisują do kartoteki dane osobowe, przy następnym zawód, pracę, wykształcenie, dokładny adres ostatniego miejsca zamieszkania, do kogo chce się pisać, gdzie ma się krewnych. To wielka kartoteka, podwójna, wszystko się w niej zmieści, kolor włosów, oczu, stan uzębienia, koronki złote, platynowe, inne, przebyte choroby. Przy ostatnim stole jest waga, trzeba odłożyć ubranie, buty, bieliznę, musi zostać zapisany ciężar netto, przy wadze mierzą też wzrost, kartę trzeba zabrać ze sobą. W sąsiednim pomieszczeniu zaglądną do jej prawego rogu, tam znajduje się numer. Na jego podstawie układają metalowe cyfry zamoczone w tuszu, ponoć zdezynfekowanym, a potem brutalnie przybijają je pod obojczykiem. Mają tam też przygotowane po dwie szmatki, na nich taki sam numer jak w kartotece i pod obojczykiem, potem je pan sobie naszyje, stąd trzeba iść do małego pomieszczenia z prysznicami, niech pan idzie, proszę się nie wstydzić, musimy pana ogolić, mógłby pan tu dostać wszy, proszę poczekać, jeszcze trochę opryskamy – i już jesteś na dworze, ci w pasiakach rzucają pasiastą kurtkę, pasiaste spodnie, dwa drewniaki, nie można wybierać, potem sobie wymienicie – tu kończy się doskonały, precyzyjny pas transmisyjny. Nie, jeszcze do piwnicy, tam dostaniesz majtki, koszulę – dwie porwane szmaty, ale szybko się w nie ubierzesz, bo w piwnicy jest bardzo zimno.

– *Alles raus! Antreten!*

Uzbrojeni esesmani, psy, między ponurymi barakami wałęsają się cienie w pasiakach, ich liczba wzrośnie teraz o sześćset trzydzieści cztery osoby ze Słowacji, wieże strażnicze i wszędzie dookoła drut kolczasty. Do jakiego świata trafiliśmy? – zastanawia się Karol. Tam, na stacji, gdzie zatrzymał się pociąg, zostały pakunki i bagaże. Tu okradli nas ze wszystkich drobiazgów. Zabrali nam ubranie, a dali numery. Po co nam numery? Żebyśmy nie uciekli? Bez wątplenia boją się, że uciekniemy. Chyba dlatego nas ogolili i ubrali w te obrzydliwe łachmany. Jak śmiesznie wyglądamy, jak śmiesznie ubrany jest nauczyciel i mały, stareńki lekarz bez opaski na rękawie, Laco też, och, wszyscy jesteśmy tacy, nie, my nie jesteśmy tacy jak ci, co stali koło pociągu, albo ci, co wałęsają się wokół.

Ale jacy właściwie jesteście? I jakie to jest zajęcie, przy którym mamy pracować ogoleni, ponumerowani i w więziennych ubraniach? Co planują z nami zrobić?

– Jaki masz numer? – pyta Laco Karola. Jest blady, trzęsie się z zimna, nieustannie smarka. – Ja mam 29163 – odzywa się ponownie. – A jaki ty masz numer?

– Gdzieśmy, na Boga, trafili?! – mamrocze Karol. Co tam numer, wolałby wiedzieć, gdzie są. Spogląda na kawałek szmatki, niech was diabli, ale ten obojczyk boli. – Mam o jeden niższy, 29162.

Godzinę później, wkrótce po tym, jak szczupły esesman w wyprasowanym mundurze kilkakrotnie ich wywoływał, żeby dobrze zapamiętali swój numer, i sześćdziesiąt razy przećwiczył z nimi powitanie *Mützen ab*, stoją na baczność na podwórzu, zrywają czapki z głów i opuszczają je do nogi – w ten sposób witają wysokiego suchego oficera w eleganckich okularach. Chyba to oficer, czort wie, kto by się tam rozeznał w tych pagonach. Podszedł do nich w towarzystwie kilku osób, pewnie też oficerów lub podoficerów, przyjął z kamienną twarzą meldunek, a teraz niezrozumiale długo milczy i stoi nieruchomo. Wreszcie zdecydowanym krokiem zaczyna się przechadzać w tę i z powrotem, spogląda raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby oglądał towar, który ma przejąć. Wszyscy patrzą na niego, wstrzymując oddech, domyślają się odpowiedzi na setki trapiących ich pytań. W końcu się zatrzymuje, wkłada dłoń za połą płaszcz i bez jakiegokolwiek wstępu zaczyna mówić.

– Zapomnijcie o imionach i nazwiskach. To zbędne obciążenie. Nazwisko może być wulgarnie i śmieszne, ale numer jest zawsze poważny i dokładny. Staliście się numerami. Jasne?

Wyraża się zwięźle, ale zrozumiale, a jego twarz wciąż jest kamienna, nieprzenikniona i chłodna.

– Zgodnie z umową przyjechaliście tu, żeby pracować – kontynuuje. – Przyjechaliście do pracy, a nie do jakiegoś sanatorium. Mam nadzieję, że już to zauważyliście. Będzie dla was lepiej, jeśli od razu wszystko dobrze zrozumiecie. Jesteście w niemieckim obozie koncentracyjnym, wkrótce zapoznacie się ze wszystkimi przepisami. Jesteście inteligentnymi ludźmi, prawda? Wierzmy zatem, że będzie nam się dobrze układało. Nie zapominajcie o jednym: jeśli nie będziecie zdyscyplinowani, my będziemy surowi, a może też nieznośni. Rzesza kocha porządek. Została zbudowana na porządku i będzie na nim stać tysiąc lat.

Robi znaczącą pauzę. W tej chwili cisza dosłownie szarpie nerwy. Karol cały sztywnieje, wydaje mu się, że powoli zapada się w ziemię. Tak musi czuć się człowiek, z którego nieodwracalnie ucieka życie.

– Potrzebujecie tłumacza? – wrzyna się w ciszę głos oficera.

Patrzą na niego przerażeni. Milczą.

– Słusznie, nie przyjechaliście tu przecież dyskutować – mówi. – Ma ktoś jakieś pytanie? – Chwila ciszy. – Nie ma – stwierdza. – To dobrze. Pytania też są zbędnym obciążeniem. Rozumiemy się? Dużo pytań to bałagan. Od zawsze tak było, a tu w szczególności obowiązuje zasada, że kto nie pyta, ten nie dostanie po mordzie. Tu będziecie tylko odpowiadać.

Znów się przechadza. Krocząc, poprawia okulary, po czym wraca na poprzednie miejsce i dodaje:

– Niemcy mają jedną wyjątkową cechę: o ile jest to w ich mocy, zapobiegają złu. Powiem, gdzie jesteście, żeby zaoszczędzić wam zbędnych pytań. Zostaliście przydzieleni do KL Auschwitz. To jest Auschwitz, rozumiemy się? Auschwitz! Mała próbka niemieckiego porządku i niemieckiej dobrej woli. Nie wiem, do jakich świętych najchętniej się modlicie, ale niech was Bóg broni przed jej nadużywaniem. Może nie powiedziałem wszystkiego, co by was interesowało, ale jutro będziecie mądrzejsi. Pójdziecie do sąsiedniego obozu, tu na razie nie ma miejsca. – Odwraca się do szczupłego, wyprasowanego esesmana i rozkazuje: – *Abführen!*

– W prawo zwrot! Naprzód marsz! Raz, dwa...

– *Los! Los!* Szybciej! Kto będzie szedł powoli, nie dotrze na miejsce!

Karol, Laco, nauczyciel i lekarz idą w ostatnim rzędzie. Więc to jest Auschwitz? – myśli Karol. Z jakiejś otchłani wraca do niego nazwa polskiego miasteczka, o którym, czy właściwie o czymś w jego pobliżu, słyszał już coś w domu. A to, co słyszał, wywołuje w nim teraz desperację i strach. Są w Auschwitz! I dokąd teraz idą? Ach tak, tu nie ma dość miejsca, prowadzą ich do sąsiedniego obozu, może większego.

– Tam z przodu, szybciej! Szybciej, cholera! To nie sanatorium. Szybciej albo będziecie galopować!

Z przodu ktoś jęknął po uderzeniu kolbą, świszczą różgi, biczyki, szczekają psy i krzyczą esesmani. Nowo przybyli przyspieszają kroku. Nierówna droga jest

wysypana kamieniami, rozbitymi cegłówkami, żuzlem, gliną i ziemią, nogi co chwilę wdeptują w błotnisty tłuczeń. W rowach wzdłuż drogi stoi brudna, tłusta woda, zalatuje moczem, a miejscami wręcz niezdolnie cuchnie. Pod nogami chlupie kleista, smrodliwa breja.

Karol łapie Laca za rękę i skinieniem głowy wskazuje rów po prawej stronie. Laco ledwo powstrzymuje omdlenie, oczy mu łzawią, mgła znów opadła na ziemię i przesłania widok. Przeciera powieki rękoma i jeszcze raz patrzy na rów. Na moment zatrzymuje krok i blednie z przerażenia. Mój Boże, ludzkie głowy! Cztery potwornie zniekształcone ludzkie głowy w kleistej, brudnej kałuży. Kawałek dalej to samo, zniekształcone, przerażające głowy, a obok nich strzępki zakrzepłej krwi. Laco się otrząsnął, w oczach ma nieskończoną grozę. Chodźmy stąd! Szybko! Mój Boże, byle jak najdalej!

– *Los! Los...!* Dalej! Tu wszystko będziecie robić szybko. *Los!*

Po jakichś czterech kilometrach marsz kończy się za bramą koło niskiej i długiej murowanej kuchni. Po prawej stronie, niedaleko, stoją trzy ciemne baraki, a poza nimi długo nic, tylko nieprzyjazna pustka, z rzadka porośnięta krzakami. W drzwiach kuchni stoi dwóch mężczyzn w pasiakach.

– Tutaj czterech! – krzyczą po polsku. – Tutaj czterech, po herbatę!

Nikt ich nie rozumie.

Jeden z kucharzy zdenerwowany macha ręką.

– Tutaj czterech! – znów krzyczy i pokazuje cztery palce.

Czterech podbiega do kuchni, w drzwiach stoją dwie beczki, z obu paruje. Karol i Róbert nachylają twarze nad wilgotnym ciepłem.

Czwórkami piją herbatę z głębokich, brudnych i obtłuczonych misek, obrzydliwy gorzki płyn.

Jeszcze nie skończyli, gdy rozlega się długie, metaliczne dudnienie. Karol spogląda w bok. Widzą kawałek szyny wiszący na drewnianym kole, zwałisty młodzieniec w białym fartuchu i pasiastych spodniach mocno uderza w niego metalowym młotkiem. Z dwóch baraków wychodzą ludzie w pogniecionych mundurach albo pasiastych łachmanach. Grupkami zaczynają wsypywać się do kuchni.

– Skąd jesteście? – pyta kilku z nich.

Karol słyszy języki francuski, niemiecki i polski.

– Ze Słowacji.

– Skąd? No... takich tu jeszcze nie ma. Będziemy mieć niezły Babilon!

Takich tu jeszcze nie ma? Zdumiony Karol spogląda na Laca, na nauczyciela, ogląda się też za Róbertem. Potem ogarnia go głębokie, bolesne rozczarowanie. Gdzie w takim razie są Żydzi wcześniej wywiezieni ze Słowacji? Dokąd trafili jego bracia? Posepnie rozgląda się wokół, jakby szukał twarzy, która udzieliłaby mu odpowiedzi. Ach, nie, nie ma potrzeby pytać, takich tu jeszcze nie było, i tak chyba jest lepiej – myśli po chwili Karol i trochę się uspokaja. Bracia pewnie mają gdzie indziej lepsze warunki, nie znajdują się w takim strasznym miejscu.

– A pan skąd jest? – słyszy pytanie nauczyciela.

– Z Francji. Ma pan może coś na ząb?

– Wszystko nam zabrali. Ale mają oddać, wtedy pana poczęstujemy – szczerze obiecuje nauczyciel.

– Idiota! Brrr! – Drobny Francuz wykrzywia usta w prześmiewczym grymasie.

Wokół Francuzów tworzą się grupki. Nauczyciel, Karol, Laco, Róbert i lekarz podchodzą do tych, którzy naiwnymi pytaniami zadziwiają dwóch więźniów z nad Loary.

– Od jak dawna tu jesteście? – pyta ich ktoś po francusku.

– Dwa tygodnie. Przedtem spędziliśmy pół roku w Drancy... Szkoda, tam było jak w pensjonacie. Papierosy, wino...

– Ilu was przyjechało?

– Tysiąc stu dwunastu. Została nas połowa.

– Pozostałych wypuścili?

– Tak. – Wesoły Francuz wskazuje kciukiem niebo. – W Himalaje.

– Przepraszam – mówi urażony nauczyciel – ale pytałem poważnie.

Francuz klepie swojego kolegę po plecach, chodźmy, kręci głową, mówi do niego coś żargonem, da się zrozumieć tylko pojedyncze słowa, transport idiotów, ptasich mózdzków.

Grupka się rozchodzi, nauczyciel znów ciągnie Karola i Laca do skupiska otaczającego ludzi w pogniecionych mundurach. Przed chwilą patrzyli na nich, jak wychodzą z baraków, i nie zauważyli nic dziwnego w ich wyglądzie, ale teraz

widzą na ich plecach wielkie litery SU. Nauczyciel od razu nadstawia uszu, po czym nachyla się do chłopców i szepcze:

– Rosyjscy jeńcy. Rosyjscy żołnierze!

Są wyrośnięci, młodzi, w wojskowych płaszczach, na głowach mają zimowe wojskowe czapki, rosyjskie, niemal wszyscy w wieku około dwudziestu dwóch, dwudziestu czterech lat. Mówią powoli, z rozważą, i równie wolno gestykują.

– Papierosy, *cigarety*, *niet*? – Jeden z nich klepie nauczyciela po plecach.

Wagner z żalem kręci głową.

– Jak się tu dostaliście? – pyta.

Trwa dosyć długo, zanim Rosjanin zrozumie pytanie.

– Wojna, puf, puf – wyjaśnia. – Potem cztery – pokazuje na palcach – a potem Mińsk i Witebsk, a tam Niemcy wzięli nas do... – na migi pokazuje osaczenie.

Na wojskowym płaszczu ma prostokąt R-11 212. Naszywka jest zabłocona, może to ósemki, a nie dwójki.

– Jesteście tu już sześć miesięcy? – Wagner pokazuje sześć palców, a potem zatacza palcem wskazującym kółko po przestrzeni obozu.

– *Da, da*, całą zimę.

– Ilu was przyjechało?

Rosjanin smutnieje, wzdycha i odchodzi.

– Ponoć było ich dwanaście tysięcy – mówi ktoś z sąsiedniej grupki. – Dwanaście tysięcy! A zostało mniej niż czterystu.

– Co tu robicie? – pyta Róbert towarzyskiego Francuza z Warszawy, Pinkusa.

Tak im się przedstawił:

– Jestem Pinkus, długo mieszkałem w Warszawie, potem w Paryżu. Z pochodzenia jestem ponoć Rzymianinem. Niewykluczone, przecież tam żyli tacy... Romulus, Remus, Oktawian August, Flawiusz, ale wam to nic nie mówi, widzę, że gapiacie się jak durnie. Żyłem w metropoliach, zwłaszcza w Paryżu dobrze mnie znali, tak, tam bardzo dobrze mnie znali, nie tylko kobiety, policja też. Tam żyłem w porządnym towarzystwie. Od akcjonariuszy wzwyż.

– Kiedy indziej nam to opowiesz. Teraz wyjaśnij, co tu robicie – powtarza pytanie Róbert.



– Rękami nic! Właściwie... prawie nic. To tu, to tam zbieramy martwych, dostajemy kolację i gażę, i...

– Martwych? Jakich martwych? – wydusza z siebie Laco, a Karol mimowolnie łapie nauczyciela za rękę.

– Normalnych martwych – odpowiada Pinkus z uśmiechem. – Jakbyście przykładowo wyciągnęli kopyta, to was też pozbieramy. Ale póki pamiętam: wieczorem bierzemy gażę i myk do baru, niekiedy do Moulin Rouge, zależy, kto ile dostanie, ha, ha, ha. – Skręca się dziwnie, gwizdże, pstryka palcami, jakby przywoływał kelnera, po czym prezentuje taniec brzucha. – *Toujours l'amour... mon cher ami, ma chère amie*, ha, ha, ach, wy idioci, sami zobaczycie, ha, ha... *travailler... travailler...* ha, ha...

Podchodzi do rowu, sika do niego, po czym biegnie do baraku, gdzie wszyscy zaczęli ustawiać się w szeregi. Jeńcy już stoją. Esesmani dzielą ludzi po trzydziestu–czterdziestu i wychodzą z nimi z obozu.

Po chwili do nich też podchodzi około piętnastu Niemców, dzielą ich na grupki i wyprowadzają za bramę.

– Ha, czego się boicie?! Nie zrobią wam krzywdy – rechocze esesman z przedziwnie długą końską głową.

Siedzi niedaleko nich na szerokim próchniejącym pniu, z rozbawieniem obserwuje Karola i Laca. Ma złe, wąskie oczy, jak jadowite szpary, i rozciętą dolną wargę.

– *Los*, na górę z nim! – krzyczy ze złością drugi esesman z olbrzymim grubym karkiem.

Karol i Laco znów łapią trupa, który spadł im podczas podnoszenia, i z wielkim wysiłkiem kładą go na wierzchu wagonika. W okolicznych bagnach zbierają ciała sowieckich jeńców, ciągną je do kolejki wąskotorowej i wkładają do wagoników.

– No, nareszcie! Na przyszłość radzę wam, żebyście wrzucali je na raz, a nie układali. To nie jest szkło – poucza esesman z końską głową.

– Na Boga, nawet we śnie bym nie uwierzył, że kiedyś będę robić coś podobnego – złorzeczy po cichu Laco, a na jego poblądłej twarzy malują się sprzeciw, wstręt i żal nad swoim losem.

– Tfu, co za durne gęby! – pogardliwie rzuca esesman z grubym karkiem i odwraca się od nich. – Kilka godzin wożą bolszewików i już całkiem zidiociele. Los, do kołchozu...

Wózki napełnione ciałami jeńców chłopcy pchają za ogrodzenie do wielkiego dołu. Przewracają je z przymkniętymi oczami i od razu ruszają z powrotem. Dół jest bardzo głęboki, dziesięć trupów to jak kropla w studni bez dna.

Wszędzie wokół nich rozciąga się pustkowie i śmierdzące bagna, tylko gdzieniegdzie z ziemi wystaje pień albo karłowaty krzak. Całkiem z tyłu, za dołem, wznoszą się dwa krzyże i kamienny postument, kiedyś niewątpliwie stał na nim jakiś święty. Po lewej stronie za torami grupki więźniów pracują przy osuszaniu rozległych moczarów. Targają ziemię na nosidłach, taczkach i w miskach. Moczary są głębokie, wszystko w nich niknie. Jak już zdążyli zauważyć – również ludzkie ciała.

Po prawej, daleko od nich, dziewczęta w pasiastych koszulach, płaszczach, ale przede wszystkim wojskowych mundurach po zamordowanych jeńcach sowieckich, zbierają cegły. Inne zeskrobują z nich zaprawę i wyczyszczone noszą na wielkie sterty. Jest tu mnóstwo cegieł i esesmani w żaden sposób nie skrywają, że to wszystko, co zostało z kilku polskich wiosek.

W porze obiadowej przerywają pracę. Na rozkaz esesmana z długą końską głową wszyscy ustawiają się przy kotle, w którym dostarczono wozem z obozu zupę. Jest rzadka i wodnista, na wierzchu pływają trzy, cztery kawałki natki, na spód opadły kawałki dziwnej marchwi i jeszcze dziwniejszego buraka, na całość zużyto nie więcej niż sześć–osiem ziemniaków. Róbert z obrzydzeniem patrzy na ciemny płyn w obitej misce, drżą mu kąciki ust.

– Mamy jeść tę breję? Po takiej robocie? Sami se to żryjcie! – krzyczy jak szalenciec i gwałtownie rzuca miskę pod nogi esesmana.

Długa końska głowa jeszcze bardziej się wydłuża z nagłego zaskoczenia. Niemiec spojrzał na buty i ryczy:

– Chodź tu, ty świni! Schyl się i liź buty! Chodź tu i liź!

Róbert ma przyspieszony oddech, nerwowo gniecie czapkę, przez kilka sekund wbija wzrok w esesmana, po czym ze złością rusza w jego stronę. Karol i nauczyciel łapią go za rękę, ale Róbert krewko im się wyślizguje.

– No, schyl się!

– Ty pierwszy, wieprzu! – krzyczy Róbert po niemiecku. – Ty pierwszy, brunatna świni! Patrz, jak się schylam...

Esesman gwałtownie kopie go w pierś. Róbert upada, a kiedy próbuje wstać, Laco krzyczy, bo esesman już trzyma w ręce rewolwer i dwukrotnie strzela. Róbert dziwnie się zgina i skręcony upada na ziemię. Esesman chwilę na niego patrzy, po czym przewraca go nogą, by się upewnić, że trafił.

– *Jüdisches Schwein!* – krzyczy i odchodzi na bok.

– Nie powinien był tego robić, nie powinien był tego robić – lamentuje lekarz, pochylając się nad Róbertem. – Takie... nieszczęście.

– A co miał zrobić? Co miał zrobić, skoro... nie był taki wystrachany jak my – odzywa się zgarbiony facet z przodu.

– Nic – odpowiada zmartwiony lekarz. – Nie powinien był nic robić.

Po pracy liczą każdą grupkę osobno, przy bramie czekają na ostatnią, zostają przeliczeni wszyscy razem, a potem jeszcze raz przed barakiem. Zgadza się, sześćset trzydzieści cztery. Potem niemal dwie godziny stoją i czekają. Za nimi leży Róbert i dwóch innych zastrzelonych z zimną krwią przez tego z końską głową, ponieważ odmówili noszenia trupów. Zgadza się, sześćset trzydzieści jeden i trzech.

Na baczność, z czapkami w rękach, słuchają głosu wysokiego, chłodnego esesmana, ponoć szefa.

– Będziemy obserwować, jak pracujecie. Kto sobie zasłuży, temu zwiększymy przydział. Rebeliantów skreślimy. Raczcie zapamiętać – esesman ma wadę wymowy, jego „r” jest gardłowe – skreś-li-my!

Patrzy w bok, gdzie w czarnym mundurze stoi więzień z nadzwyczaj szpiczastymi, odstającymi uszami i wąskimi ustami, na szmatce ma czarny trójkąt, litery RD i czterocyfrową liczbę.

– To dowódca waszego baraku – przedstawia go. – Ma wieloletnie doświadczenie z Flossenbürga. Oprócz tego, że powie wam wszystko o tutejszych zasadach i dyscyplinie, będzie od was wymagać jednej drobnostki. Posłuszeństwa. Bezwarunkowego posłuszeństwa. Tutaj to zasada numer jeden, a jej złamanie jest karane. Kara zazwyczaj kończy się śmiercią. Tamten elegant – wskazuje bacikiem na stojącego niedaleko Pinkusa – to jego zastępca. Będzie wam przydzielał zadania potrzebne do wykonania w baraku. Zrozumiano?

- Tak – cedzą starsi z przodu.
- Z tyłu to nie jest jasne?
- Tak – odpowiadają wszyscy.

Nauczyciel przez cały dzień sypał ziemię z blaszanego wózka do olbrzymiej, śmierdzącej kałuży, a teraz jest całkiem wyczerpany staniem. Karol i Laco podpierają go z obu stron, wiedzą, że tylko w ten sposób mogą utrzymać go na nogach. Ale oni też są zmęczeni i przemarznięci, wszystko, co przeżyli tego dnia, widok setek połamanych, nieruchomych ciał z krwią zaschniętą na twarzach, piersiach i rękach, ciał, które trzymał w jednym kawałku chyba wyłącznie mundur, olbrzymi, nieznośnie cuchnący dół, do którego je wrzucali, śmierć Róberta i tych dwóch, co teraz leżą za nimi, to wszystko spowodowało niewyobrażalnie głębokie zmiany na ich twarzach i w wyrazie ich oczu.

Wysoki, chłodny esesman wciąż mówi. Co zaskakujące, teraz już się nie odgraża. Nagle przeszedł do obietnic. Wielu podniosło głowy i patrzy na niego smutnymi oczami; po takim dniu każde uspokajające słowo jest na wagę złota.

– Zbudujecie tu sobie piękne baraki, świetlice i kantyny – kontynuuje esesman. – Potem przyjadą też wasze rodziny i będziecie razem. Tak, chcemy, żebyście byli razem. Nie będziecie tu długo, przecież wojna nie potrwa wiecznie. Pojedziecie też gdzie indziej, gdzie będzie ładniej, lepiej i zdrowiej niż tu, może nawet do domów, bo dobra wola przywódców Rzeszy jest nieskończona. Będziecie tu maksymalnie rok. – Spogląda w kierunku, w którym według niego znajduje się wschód, a na nim front wschodni i postępujące faszystowskie wojska, po czym dodaje z przekonaniem: – Gdzie tam rok! Najwyżej pół roku. Albo jeszcze krócej! – Wreszcie zwraca się do stojącego po lewej stronie szczupłego esesmana w wyprasowanym mundurze: – Dajcie rozkaz do rozejścia się! – I szybko odchodzi.

– Baczność! W prawo zwrot! – A po chwili: – Rozejść się do baraków!

W wilgotnym i zimnym baraku prycze są rozdzielone murem, w każdej części mieści się po piętnaście osób: pięć na dole na ziemi, po pięć w środku i na górze.

– Głowy muszą być od strony przejścia! – krzyczy Pinkus. – Od przejścia, rozumiecie? Żebyście mogli dostać po gębie, jak będziecie mieć coś na sumieniu. Ale jesteście kławe chłopaki – ostatnie zdanie wyrzaskuje do Karola i Laca.

Karol z wyraźnym obrzydzeniem patrzy na rękę i wyciera ją o spodnie.

– Pinkus nie jest prorokiem – krzyczy dalej warszawski paryżanin – ale w to mi uwierzcie: przejdzie wam!

Nikt nie zwraca na niego uwagi. Ci, co sprząтали martwych, dostali dodatkowy kawałek chleba i dwie łyżki marmolady. Chleb jest kwaśny, niedopieczony, gumowaty, a marmolada bardzo ostra. Żują po odrobinie, z niechęcią i wstrętem.

Nauczyciel, Karol, Laco i jeszcze dwóch innych w pół leżą, w pół kucają na dolnym legowisku. Laco trzęsie się z zimna, a nauczyciel szuka odrobiny ludzkiego ciepła – opiera się o Karola. Ziemia jest całkiem mokra, od drzwi ciągnie, wieje też przez dziurawy dach i zakratowane okienko.

Pinkus chodzi po wąskich korytarzach, na każdej pryczy szuka pięciu głów, ostrzega, radzi, mówi o przyszłości, wreszcie oddaje głos dowódcy baraku.

W głębokiej ciszy zaczyna mówić więzień w czarnym mundurze.

– Jestem Albert Hemele, Niemiec z Rzeszy, od ośmiu lat w lagrze, z zawodu artysta. Jestem dobrym człowiekiem, lubię rozsądnych ludzi, ale biada temu, kto mnie rozżłości. Będziemy tu żyć w zgodzie, każdy chce dożyć wolności, ale porządek musi być, a ten tutaj tłumacz – pokazuje bicz z wolej skóry – każdemu jasno wytłumaczy, co to jest porządek. Na dziś to wszystko.

– Ci dwaj pasują do siebie – szepcze Karol do Laca. – W domu też musieli być niezłymi bydlakami.

– Pinkus twierdzi, że w ciągu dwóch tygodni będzie nas tu dziesięć razy tyle – mówi nauczyciel. – Może wtedy będzie nam trochę lżej. To niemożliwe, żeby nas tak zostawili.

– Może – odpowiada Karol, lecz myśli o trzech martwych przed barakiem.

– Z pewnością będzie nam lżej – przekonuje sam siebie nauczyciel. – Jak nas będzie więcej, to mniej się narobimy. Będzie nam lżej, zobaczycie.

Karol nieraz wspominał te słowa po dwóch tygodniach. Liczba więźniów w obozie naprawdę wzrosła, ale wtedy już nie spał na pryczy z nauczycielem. Pewnego wieczoru przynieśli jego ciało znad Wisły. Kiedy kompletnie opadł z sił, esesmani wepchnęli go w moczary.

## Ważna wizyta

Mały walec parowy powoli sunie po głównej drodze. Pod oba jego wałki więźniowie rzucają ziemię, glinę, tłuczeń, kawałki cegieł, liście i konary, wszystkie śmieci, które nazbierali dookoła i przywieźli, żeby wyrównać drogę. W obozie już drugi dzień trwają nadzwyczajne generalne porządki.

Wszyscy wszędzie czyszczą, zamiatają, sprzątaj. Szorują baraki z zewnątrz i od środka, myją okna, drzwi, klamki. Wyrównują teren, zbierają szmaty, szczapy, zardzewiałe żelazo, blachę i blaszki, kawałki szkła oraz inne rupiecie. Ziemię wożą i noszą w kurtkach złożonych jak chusty, w rękach, blaszanych miskach, na taczkach i nosidłach, na wozach konnych, a także sami zaprzęgnięci do wozów i dwukółek. W garnkach, miskach i dziurawych wiadrach noszą wodę z rowów i wylewają ją na wysuszoną ziemię. Kilku wykwalifikowanych robotników naprawia dachy, wstawia okna, bieli baraki, a inni na skraju obozu podnoszą betonowe słupy, wsadzają je do dołów, utwardzają ziemię wokół nich, odwijają drut z bębnow, naciągają i przybijają go w kilku rzędach do słupów.

W obozie panuje nietypowy idealny porządek, ale ludzie wciąż wałęsają się to tu, to tam, sprawiają wrażenie, że coś podnoszą, przenoszą albo czegoś szukają. Po fundamentach i pogorzelsku byłych polskich wiosek Zasole, Babice, Klucznikowice, Rajsco, Brzeszcze, Bór i Brzezinka nie został nawet ślad. Chyba tylko archeolodzy potrafiliby wyznaczyć granice siedmiu wsi, których los przypieczętowano w Berlinie już pod koniec 1939 roku, aby u zbiegu Wisły i Soły, na obszarze czterdziestu kilometrów kwadratowych, dokładnie według planu Oberstandartenführera SS i inspektora policji von Bacha-Zelewskiego, w maju następnego roku założyć ten straszny obóz.

Teraz stoi tu to dziwaczne miasto otoczone wieżami strażniczymi, drutami, esesmanami i psami, wielka niewiadoma dla każdego instytutu kartograficznego. Wałęsają się po nim dziesiątki tysięcy wychudzonych ludzi, prześwitujące cienie z numerami i trójkątami na pasiastych i niepasiastych łachmanach.

Oprócz tego, że obóz się rozrósł i że umiera w nim coraz więcej ludzi, nic się tu nie zmieniło. Wszystko jest tylko zastępcze, zwyczajowe, adekwatne do tego, jak się w tych drucianych klatkach nazywa. Ludzie stracili imiona i stali się numerami. Życie nie jest życiem, nawet śmierć nie jest odpowiednim słowem. Barak nie jest domem mieszkalnym, a ubrania nie są ubraniami. Jedzenie w smaku przypomina pomyje. Woda nie gasi pragnienia, a ziemia nie rodzi, lecz zakażona tyfusem zabija. Dzień nie zaczyna się rano i nie kończy wieczorem, a nocą się nie odpoczywa. Praca jest bezsensowną torturą, nie ułatwia życia, lecz przyczynia się do śmierci innych i zbliża śmierć własną.

W drugą sobotę marca 1943 roku w całym kompleksie obozowym panuje niezwykle komfort pracy. Esesmani stoją niedaleko komand roboczych i jedynie z rzadka poświęcają im uwagę. Wszyscy są niesamowicie spokojni i obojętni. Nie słychać żadnych przekleństw, nic ze zwyczajowego słownika; żadnego *los, los, dalli, dalli*; żadnego *Judenschweine, Sauen, Schweinehunde, Parasiten, Banditen, Arschlöcher, Plutokraten, Scheisse*; nie świszczą bicze, nie szczekają psy, nie trzaskają kości i nie płynie krew. Więźniowie już wiedzą, że obóz ma odwiedzić Reichsführer SS Heinrich Himmler. Rozniosło się, że głównodowodzący SS lubi czystość, to tłumaczy generalne porządki. Ta wiadomość wywołuje przeróżne uwagi. Ponoć Himmler jest zwolennikiem ludzkiego traktowania więźniów, stąd niezrozumiała łagodność esesmanów. Na myśl o tym wielu podnosi głowy, jakby zwietrzyli szansę, że przybycie Reichsführera SS trwale poprawi ich nieznośne warunki życia. Nowo przybyli mają największą nadzieję i nie boją się mówić na głos: „Kto wie, może w Berlinie w ogóle nie wiedzą, jak te psy tu z nami postępują”. Ci, którzy są tu dłużej, zastanawiają się, czy może z Himmlerem przyjedzie też jakaś międzynarodowa komisja.

Karol drugi dzień pracuje ramię w ramię z Bubem, niskim, krępy młodym mężczyzną, w Planierungskommandzie. Kapo jest tu Paweł, spokojny, rozważny i bardzo serdeczny człowiek. Pracują powoli, raczej udają pracę, ustawicznie krążą z łopatami wokół walca parowego. Czasem oglądają się zmartwieni, bo cisza nie wieszczy nic dobrego, a kiedy „jest czysto”, chowają się za walec i przez chwilę tam stoją.

– Jakby mi ktoś po jedenastu dniach powiedział, że spędzę tu jedenaście miesięcy i będę giąć żelazo przy krematorium, to... – odzywa się Bubo, ale nie kończy, jak zwykle.

Wciąż nie otrząsnął się z szoku, że jeszcze tu jest. Przyjechali do obozu razem i przyłgnęli do siebie wkrótce po tym, gdy z życia Karola zniknął Laco.

– No tak, prawie rok, niech ich szlag – kontynuuje za niego Karol. – Kiedy nas tu wieźli, w domu świeciło słońce, tak jak dziś, i nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co nas tu czeka. Tyle czasu, a jeszcze żyjemy, jeszcze się kotłujemy! A co najdziwniejsze, jeszcze nie zwariowaliśmy! – Wygląda zza walca i dodaje ze złością: – Ruszmy się, znowu idzie ta świnia!

Zaczynają rzucać ziemię pod szeroki walec. Blasowany daszek nad zwałistą maszyną trzęsie się i wydaje nieprzyjemne skrzypiące dźwięki.

– No co, chłopaki, macie kości w brzuchu? Trudno się wam schylać? – krzyczy do nich już z daleka Stephan. Staje obok nich. – Znudziła wam się robota?

Stephan to kapo innej grupy. Ponieważ jego komando nie poszło dziś nad Wisłę, tylko zamiata przed barakami w klatce, Stephan włóczy się to tu, to tam, zaczepia ludzi, robi z siebie samozwańczego poganiacza. Wszyscy go nienawidzą, bo jest surowy, złośliwy i niebezpieczny, lubi przesadzać i prowokować. Starzy więźniowie omijają go szerokim łukiem, potrafiliby go sobie wyobrazić w esesmańskim mundurze.

Paweł zostawia grupkę Holendrów pracujących przy rowie za drogą, podchodzi i ostro mówi:

– Tobie się nie znudziło kłapać gębą? Ja jestem kapo tej grupy i moim zdaniem pracują porządnie. Zresztą... nie przyjechali tu do pracy. Ani jeden z nas nie przyjechał tu do pracy. Jeśli nie rozumiesz, mogę ci to powiedzieć po niemiecku.

Stephan puszcza ironię mimo uszu.

– Chcesz ich bronić, to broń! Jestem ciekaw, kto ciebie obroni, jak... przyjdzie twoja kolej.

– A ty pewnie myślisz, że twoja nie przyjdzie – spokojnie ripostuje Paweł. – Inaczej nie byłbyś taką świnia. Zapewniam cię... ty też wylecisz przez komin, o ile wcześniej coś się nie wydarzy. Patrz, Dawidów już prawie zlikwidowali; potem załatwią Stefanów i Pawłów, ale z pewnością przyjdzie też kolej na Stephanów, możesz dać za to głowę.

Twarz Stephana wykrzywiła się od hamowanej złości. Nawet w takiej rozpaczliwej sytuacji jest samolubny, nie znosi wymówek, pyskowania, czuje ulgę, gdy zwiększa cierpienie innych. Z początku wierzył, że to wszystko kiedyś się



skończy: zmieni się sytuacja Żydów, baptystów, komunistów i Cyganów, ludzi, którym Rosenberg i Hitler wyznaczyli w Nowej Europie miejsce w klatkach na bagnach Auschwitz. Był przekonany, że Polaków zgadzających się z Europą czystej krwi nie zniszczą, a wręcz będą im powierzać drobniejsze zadania. Dlatego podlizywał się esesmanom słowami i czynami, nieraz taktownie im sugerował, że potrafiliby nauczyć się ich wyjątkowego sposobu traktowania jeńców, gdyby tylko dali mu ku temu okazję. By ta okazja szybciej się nadarzyła, zdradził swoją polską matkę i stał się folksdojczem. Stefan zmienił się w Stephana, chętnego, by wdziać niemiecki mundur i pójść na przykład na front wschodni, strzelać do Rosjan, byle się stąd wyrwać. Podlizywał się esesmanom, ale Polaków się bał, szczególnie starszych więźniów, należał do nich też Paweł. Bał się czegoś, co było w Pawle i poza nim. Wiedział, że Paweł jest komunistą, wiedział coś o jego działalności w Poznaniu i podejrzewał, że pracuje też w miejscowej organizacji. Domyślał się tego od kilku miesięcy i chciał dowiedzieć się więcej; niestety, nie miał dostępu do ludzi, z którymi kontaktował się Paweł.

– Niech no trafiają do mnie, od razu zrozumieją, gdzie są – rzuca ze złością i odchodzi. Nienawidzi go także dlatego, że Paweł jest lubiany wśród więźniów.

– Wiedzą to i bez ciebie. – Paweł rusza za nim i coś mu dogaduje.

– Ten to chyba ciągle nie wie, gdzie jest – komentuje Karol.

– Na Polaków się wypiął, a Niemcy go nie chcą – dodaje Bubo.

Zastępca Pawła, Władek, zwalisty, dobrze zbudowany młody człowiek z szeroką twarzą i bezpośrednim spojrzeniem, obchodzi grupki i nieustannie mamrocze:

– *Los, los*, nie śpijcie!

Zbliża się do Karola i Buby i krzyczy z uśmiechem:

– *Los, los*, pocałujcie mnie w dupę, amen.

Od czasu do czasu gwałtownie macha ręką, to dla oczu stojących nieopodal esesmanów. Więźniowie, obok których przechodzi, posłusznie ozywają, troszkę szybciej manewrują pustymi i do połowy napełnionymi łopatami, i to cud, że się nie śmieją, bo Władek ciągle gada:

– *Los, los*, pracujcie. Rzesza tego potrzebuje, wszystko to wielkie „gie” i małe „o”, amen.

Dziś na drodze i wokół niej są przemieszani więźniowie ze wszystkich komand. Część spotkała się po raz pierwszy. Francuzi z ostatnim pobytom w obozach

Drancy i Pithiviers, Holendrzy z obozów w Westerborku i Amersfoort, Żydzi z Triestu i Narwy, z Wiednia i Hagi, z Włoch i Norwegii, z Belgii i Litwy – wszystko to „przesiedleńcy do wschodniej Europy”, Słowacy i Czesi, co jechali „tylko do pracy”, ludzie z większych i mniejszych więzień, „przesiedleńcy” z istniejących i likwidowanych gett, ponieważ „tam już zabrakło dla nich pracy”, są tu Niemcy i Austriacy z Flossenbürga, Buchenwaldu, Gross-Rosen, wszyscy, którzy długo byli w obozach i mają pomóc swoim doświadczeniem gdzie indziej; poza tym kilku sowieckich jeńców wojennych, mieli nadzieję, że dotyczą ich jakieś międzynarodowe prawa, i tysiące Cyganów zwiezionych tu w ostatnich dniach ze wszystkich zakątków Europy, bez słowa informacji o celu podróży.

Karol od czasu do czasu z niedowierzaniem spogląda na ospały tłum wokół siebie. Widzi wiele nowych twarzy i wysokich numerów. Do ich baraku trafiały już numery powyżej stu sześciu tysięcy. Z ich transportu, dziś liczyli to z Bubem, zostało tylko ośmiu. Kto z tych nowych zrozumiałby, uwierzył, jak tu było na przykład pół roku temu? Spojrzenie Karola zawiesza się na prawym rogu obozu, kawałek od ich baraków. Około dwustu metrów dalej po prawej znajdował się ogromny, głęboki dół. Bezustannie unosiły się z niego ciężki, gęsty dym i sycząca para, gaz i ogień, i smród palonego mięsa zmieszany z odorem płonącego spirytusu, przypalonego oleju czy innego tłuszczu oraz benzolu. W pobliżu dołu niemal stale rozlegały się strzały, krzyki, prośby, jęki, modlitwy – i trzaskanie drewna. Zaledwie trzy miesiące temu dół zasypano, ziemię udeptano, przejechano walcem i niedawno zasiano trawę. Na szczątkach kilkudziesięciu tysięcy trupów leży teraz gruba warstwa zwalcowanej jałowizny, ostatni ślad prymitywnego pochówku, niedostatecznego wyposażenia technicznego morderczej maszynierii. Pora na technologię, szybkość. Od tej pory martwi będą chowani ze wzorcową higieną, spaleni w czterech czystych krematoriach.

Bubo zaznacza łopatą krąg przed szerokim walcem maszyny, prostuje się i mówi:

– To co, jak to zrobimy? Trzeba to szybko zabrać, bo długo tam już nie popracujemy.

– Jeszcze nie wiem. Powiem ci w poniedziałek. Na razie trzeba to zostawić na dworze, nie można zabrać do środka. Nie martw się, to się nie zniszczy.

Karol znów musi spytać Pawła, czy zostawić jeszcze ten szkic krematoriów, czy zabrać go w inne miejsce. Narysowany na pergaminie szkic ukryli w metalowej

urce i zakopali, chwilowo jest bezpieczny. Paweł nie chce nikogo wtajemniczać, nawet Bubo nie może wiedzieć, przez czyje ręce przejdzie ten skarb. Tak, zapyta Pawła, on się zastanowi, lepiej zna sytuację na zewnątrz.

Zza walca wyłania się Władek, skrywa w dłoni palącego się papierosa.

– Dopal – daje Karolowi.

Ten zaciąga się dwa razy, po czym gasi i wkłada niedopałek do kieszeni.

– Mogłeś dopalić. Ja mam jeszcze całego – zauważa Bubo.

On zawsze ma papierosa, bo nie pali.

Nagle obaj patrzą w lewo, do sąsiedniej klatki, do obozu kobiecego. Esesmanki jeszcze przed chwilą cicho i na pozór spokojnie kręciły się wokół baraków, a teraz stoją w otwartych drzwiach i drą się na całe gardło, *Alles raus*, szybko, świnię parchate, kopią i popychają więźniarki wybiegające z baraków. Po chwili przestrzeń między barakami zapełnia się pasiastymi kurtkami, koszulami i spódnicami.

Karol marszczy czoło. W głowie przelatuje mu myśl: selekcja. Ale dziś? Przecież doktor Thilo dzieli i wybiera regularnie w poniedziałki albo czwartki, czy w poniedziałki i czwartki. Dziś jest sobota, w sobotę nikt jeszcze nie trudził się selekcją.

– To chyba na cześć Himmlera chcą wyczyścić wszystko do cna – komentuje wzburzony Bubo. – Ach, kiedy my będziemy ich tak wybierać...

Przed nimi zatrzymuje się wysoki Holender z grupki kręcącej się przy rowie za drogą. Wysoki jak tyczka, niezgrabnie trzyma łopatę. Doskonałą mieszanką holenderskiego, flamandzkiego i niemieckiego zaczyna drążyć, co tam się dzieje z tymi kobietami, a kiedy nie dostaje odpowiedzi, pyta, gdzie mógłby kupić papierosy. Władek się złości, ale chce mu się też śmiać. Ten Holender jest jeszcze zbyt naiwny, dopiero wczoraj przyszedł tu z kwarantanny.

– A guldeny masz? – lekko drwi Władek, nie odrywając wzroku od kobiecej klatki. – Jeśli tak, to w porządku. Myślę, że dla was, Holendrów, przywiezie papierosy osobiście pan Reichsführer. Wie, jakie lubisz?

Holender wyczuwa ironię, mimo to wyjaśnia, że w domu zabrano mu książeczkę oszczędnościową i wydano potwierdzenie, za które ma dostać w tym obozie guldeny albo złotówki, żeby mógł sobie poprawić warunki życiowe.

Naiwność Holendra wzbudza w Karolu żal i rozczarowanie; ci ludzie przyjeżdżają tu rok po nich i przez cały ten czas nie słyszeli o tym, co dzieje się gdzieś w okupowanej Polsce. Bubo wyciąga papierosa, wkłada go Holendrowi do kieszeni, teraz nie pali, dopiero wieczorem, i gestem wygania go z powrotem na drogę.

– Czort wie, czy są naiwni, czy głupi – złości się Władek. – Inni po przyjeździe wypytują o to i tamto, ale ci... Ten jest widać taki dumny, że zapaliłby sobie nawet przed Kadukiem.

Na drodze prowadzącej z głównego obozu warczą dwa auta. Kilku oficerów w towarzystwie szeregowych esesmanów rusza w kierunku walca parowego.

– Ruszcie się! – krzyczy Władek do Holendrów. – Ruszcie się – krzyczy na wszystkie strony, najgłośniej w kierunku nadchodzących ludzi. – *Los*, to nie jest sanatorium!

Holender od papierosów znów podbiega do Władka.

– Czy będę mógł porozmawiać z którymś z niemieckich dowódców? W domu mi obiecali – wyjaśnia z powagą – że tu też będę pracował jako farmakolog, więc chciałem im o tym przypomnieć.

Władkowi już puściły nerwy, twarz mu czerwienieje.

– Wynoś się! – krzyczy po polsku. – Wynoś się, wariacie! To doktor Thilo, rozumiesz? On ma w dupie, czy zabierze z tego świata farmakologa czy kościelnego.

Gwałtownie odpycha Holendra. Ten, zaskoczony, mamrocze:

– Przepraszam, ja... ja...

– Czasami jest mi ich żal, a czasami najchętniej bym ich stłukł – mówi Władek. – Idioci! Uwierzyli Niemcom i jeszcze tu im wierzą, ale ciebie będą wyzywać od kłamców.

Szybko przechodzi do przodu, gdzie krzyczy na ludzi, róbcie, cholery, to nie promenada, a kiedy wraca do walca, cicho powtarza:

– Uwaga, uwaga, świnie idą...

Karol, Bubo i inni starsi więźniowie zaczynają się zwawiej ruszać. Nowicjusze rozumieją przynajmniej tyle, że trzeba przyspieszyć. Po krótkiej chwili ich pracę zatrzymuje rozkaz:

– *Mützen ab!*

Więźniowie zrywają czapki z głów i w pozycji na baczność patrzą na przechodzącą grupę esesmanów.

Z przodu kroczy SS-Obersturmführer Thilo, doktor medycyny, cienki i giętki jak drut. Idzie lekko i sprężysto, pozornie nie interesuje się więźniami, chłodnymi oczami patrzy prosto przed siebie. Wśród starszych więźniów mówi się, że jest synem dyrektora policji w Berlinie, docenturę uzyskał ponoć głównie dzięki wpływowemu stryjowi. Wygląda na bardzo wyczerpanego, słabego na ciele, ale tu jest niepokonanym siłaczem, jednym ruchem oczu albo palca może zabić tylu ludzi, ilu zechce. Czapkę ma zazwyczaj zsuniętą aż na brwi, jest zawsze czysty jak łąza i wyprasowany, rękawiczek z jeleniej skóry nie pokalała najmniejsza plamka, jego buty lśnią jak czarne szkło.

Doktor Thilo przystaje, wbija laseczkę w zwalcowaną ziemię.

– Wystarczająco twarda – oświadcza. – Już jest dobrze.

Dwóch oficerów potakuje, tak, wreszcie jest dobrze, przecież tu w ogóle nie dało się chodzić. I ruszają za Thilo do obozu kobiecego.

– Ach, doprawdy – syknął nienawistnie Władek. – Pan docent naprawdę idzie wybierać. Żeby ich tak zdechło tylu w Berlinie, ile ich tu znowu wybierze.

W klatce za ogrodzeniem z drutu kolczastego wydziera się Raportführerin Drechsler, kostucha policajsza, jak ją nazwały Ukrainki. Może kiedyś miała łagodną twarz, miękkie kobiece spojrzenie, cichy głos i czułe serce. Nic z tego nie pozostało. Wygląda, jakby dziesięć lat spędziła w popularnym domu uciech i teraz chciała się zemścić na wszystkich kobietach, które lepiej się prowadziły. Wokół niej biegają i krzyczą szeregowie esesmanki, są tam też Unterscharführerzy Stiewitz i Palitzsch, a ona czasami patrzy na nich z ukosa, bo za każdym razem bardzo ją irytuje, kiedy ci dwaj przychodzą asystować do jej rejonu.

– Szpaler! Ustawcie szpaler! – krzyczy na esesmanki. – Ruszcie się, cholerne przekupki, pan doktor już czeka!

Z miejsca przy walcu parowym doskonale widać więźniarki przed barakami, szpaler po obu stronach drogi i doktora Thilo z asystą. Szpaler jest gęsty, podwójny, w pierwszym rzędzie stoją najsilniejsze więźniarki, za nimi esesmanki i esesmani, w rozkroku, w odstępach na wyciągnięcie ręki.

Z chorobliwym blaskiem w oczach patrzą na ten okrutny teatr. Doktor Thilo przed każdym barakiem zatrzymuje się na chwilę, by kościstym palcem wyciągnąć z pasiastego szeregu kilka kobiet. Te są potem popychane na środek szpaleru i pędzone do trzech baraków uprzątniętych dla adeptek śmierci. Skazane krzyczą, w akcie desperackiego oporu rzucają się na ziemię, wbijają palce w twardey grunt, podnoszą się i rzucają na pasiasty i umundurowany mur po bokach drogi, kopią, gryzą i plują, twarze mają wykrzywione grymasami nagłego szaleństwa. Przed szóstym barakiem szpaler zostaje przerwany, Stiewitz i kilku esesmanów z wysiłkiem zatykają dziurę i popychają między skazane również te więźniarki ze szpaleru, które stały w miejscu, gdzie ten żywy mur się zawalił.

Doktor Thilo pracuje niezwykle szybko, bez zaniepokojenia.

– Ja jeszcze mam siły, panie doktorze! Ja...

– *Los, Judenschwein! Los, w prawo!* – drze się Drechsler.

– Ja chcę jeszcze pracować!

– Będę dobrze pracować...

– Jestem zdrowa, proszę spojrzeć...

– Fuj, zakryj to świństwo!

– Jesteśmy zdrowe, pani Rapportführerin...

– Dobrze, dobrze, przecież bierzemy was do pracy.

To się nazywa wizyta. Albo fachowo, naukowo – selekcja. Dwie, trzy godziny bezgranicznego szaleństwa. Wystarczy kiwnięcie palcem i już cię nie ma. Doktor Thilo rzuci okiem, uzna, że jesteś słaby, podniesie palec, a ktoś obok niego krzyknie: „W prawo, *los*”... Bezbronne robactwo – na ciebie wystarczy palec.

Doktor Thilo spokojnie kontynuuje pracę. Obok niego stoi kostucha Drechsler, teraz dołączyli też Palitzsch i Stiewitz. Dwie protokolantki u boku Drechsler podwijają rękawy, dyktują numery wyeliminowanych, kolejne dwie zapisują. Numery zapisuje też główna protokolantka Katka, młoda, wysoka dziewczyna z bardzo bladą twarzą i głęboko zapadniętymi oczami. Katka się chwieje, często przymyka oczy, zaciska zęby i odwraca twarz, żeby nie widzieć tej, którą właśnie zapisała, i żeby Drechsler nie zauważyła jej słabości. Píše numer za numerem, ręka jej się trzęsie, a klatka piersiowa pod pasiastą kurtką gwałtownie faluje, mój Boże, za kilka godzin te numery definitywnie skreślimy. Od czasu do czasu czuje na karku ciepły oddech Drechsler. Wtedy zbiera wszystkie siły, zmusza się do

spokoju i pisze numery pewną ręką, wyraziste, duże. Kiedy jednak Drechsler robi krok, żeby krzyknąć albo pogonić biczykiem skazaną, ołówek w ręce Katki nie dotyka papieru. Nie zapisała już chyba dwunastu numerów. Dwanaście kobiet trzeba będzie wydobyć z trzech baraków śmierci.

Przez cały ten czas doktor Thilo tylko raz podnosi głowę.

– Myślałem, że macie tu większy porządek – mówi chłodno do Drechsler.

Doktorowi nie podoba się, że szpaler przerwał się w dwóch miejscach. Za jego plecami grzmia karabiny i pistolety maszynowe, szczekają psy. Około pięćdziesięciu kobiet prześlizgnęło się przez wyrwy, biegną w stronę bramy i drutu kolczastego, w którym podczas selekcji płynie śmierć. Kilka z nich pada na drodze i obok niej, inne zawisają w dziwnie skrzyżowanej pozycji na drutach, pozostałe uciekają przed gradem kul z powrotem do szpaleru.

– Jeszcze dwa baraki, prawda? – pyta doktor Thilo. – Cholera, straszne dzisiaj zamieszanie!

Zapala papierosa i rusza do przedostatniego baraku.

– Panie doktorze, jestem zupełnie zdrowa...

– *Frau Lagerführerin...*

– *Pán doktor...*

– *Je ne suis pas...*

Nareszcie droga jest pusta. Ci w pasiakach i ci w mundurach wyszli ze szpaleru, Drechsler oraz dwaj oficerowie Stiewitz i Palitzsch odprowadzają Thilo do bramy. Tam rozmawiają, doktor Thilo obserwuje przy tym grupy pracujących mężczyzn, rozrzucone w środku klatek i poza nimi.

Wzdłuż drogi i wszędzie wokół brzmi ten sam rozkaz:

– *Los, Alles antreten...!*

Kapo i ich zastępcy ustawiają swoje grupy, a esesmani bez większego krzyku, ale z podejrzanym pośpiechem odprowadzają wszystkich do klatki męskiej. Przy bramie przeliczają, zgadza się, stanąć przed barakami, w porządku, znów się zgadza.

Stoją przed barakami i cierpną. W obozie kobiecym przeprowadzono generalną selekcję, z pracy zabrano ich zupełnie nieoczekiwanie, przed czasem, na wieże strażnicze za ogrodzeniem z drutu kolczastego weszli żołnierze z pistoletami

maszynowymi, jutro ma przyjechać Himmler, doktor Thilo jeszcze nie odjechał, dlaczego tak nagle zagnali ich do klatki?

– Żeby go Pan Bóg pokarał. Mam nadzieję, że ten wymoczek nie idzie do nas! – warknął zaniepokojony Władek.

Karol, Bubo, Paweł i inni stojący z przodu widzą orszak doktora Thilo.

Więźniowie ustawieni w piątkach przed barakami falują przerażeni jak zboże przy podmuchu wiatru. Podnosi się zaniepokojony szept, tu i ówdzie rozlega się pokaszływanie, ale doktor nie zatrzymuje się przed żadnym z baraków. Na końcu klatki ogląda rury, odpływy, latryny, umywalnię. Zadowolony kiwa głową.

– W porządku – mówi. – Myślę, że pan Reichsführer będzie zadowolony. I ma rację, panowie, higiena jest bardzo ważna w takim... gdzie tylu ludzi umiera na choroby zakaźne. Z łatwością mogłoby to się przenieść też na kogoś z nas.

Więźniowie z ulgą patrzą za odchodzącym do następnych sektorów Thilo. Tam przed nowymi, jeszcze niezamieszkanymi barakami rozkłada ręce, a grupa esesmanów grzecznie mu potakuje. SS-Obersturmführer docent doktor Thilo to przecież szarża, lekarz, specjalista, a w Berlinie stoi za nim człowiek, który ma otwarte drzwi do Himmlera. Tacy ludzie mogą mieć tylko genialne pomysły. Członkowie świty rozkładają ręce, zgadzają się i co rusz przystają, aż dochodzą do głównej drogi, do samochodów. Doktor Thilo unosi palec do czapki i bez słowa wsiada do pierwszego mercedesa.

Z trzech baraków w obozie kobiecym rozlegają się łoskot, krzyki, płacz, jęki, kopanie w drzwi i śmiech, jaki wyrywa się z ust tylko szaleńcom. Nieopodal baraków kręcą się patrole żołnierzy z pistoletami maszynowymi.

– Blokowa! – krzyczy przed dwudziestkąpiątką Drechsler.

Już nie ma tu ani Palitzscha, ani Stiewitza, ostatni rozkaz SS-Obersturmführera doktora Thilo wykona sama. W dwudziestcepiątce urządzono „lazaret”, skład półmartwych, przedostatnią stację życia. Tam Thilo nie wchodzi, o „lazarecie” kostucha ma zdecydować sama.

– Blokowa!

Z dwudziestkąpiątki wybiega Cilka. Jest blada, ma sine, popękane usta, a nad lewym kącikiem ust bliznę po smagnięciu batem. W obozie już od roku, przyjechała pierwszym transportem. Nie skończyła nawet osiemnastu lat.



– Gdzie się szlajasz, przekupko? – krzyczy na nią Drechsler i dziwnie się trzęsie.  
– Jaki masz stan na bloku?!

Za Drechsler cichutko zakradła się Katka i mruga do Cilki.

– Razem... sześćset dwadzieścia pięć – zająknęła się Cilka.

– Na pewno? – Drechsler przeciąga słowa.

– Sześćset dwadzieścia pięć – powtarza Cilka zdecydowanie.

– To przygotuj sześćset! W ciągu godziny przynieś mi ich karty. Sześćset, słyszałaś?

Drechsler bierze zamach i uderza Katkę.

– Co tu robisz, krowo? – syczy na nią, ale nie czeka na odpowiedź. Krótkim, twardym krokiem odchodzi w kierunku bramy.

Katka pytająco spogląda na Cilkę. Obie są zdenerwowane. Przed obiema stoi zadanie, za które czekałaby je śmierć, gdyby Drechsler się dowiedziała. Jak je stąd zabiorą, zastanawia się Katka, pieszo czy samochodami? Tak czy siak, jeszcze raz będą je wywoływać na podstawie kart i listy. Tych dwanaście czy piętnaście mogło się w tym chaosie dostać przez pomyłkę na środek szpaleru i pójść ze strachu w przeciwnym kierunku.

– Ile ich jest w baraku? – pyta Katka.

– Sześćset czterdzieści pięć.

– A was, z tobą?

– Siedem, to znaczy trzydzieści osiem trzeba wybrać...

– Proszę, pospiesz się. Jedna nie może wiedzieć o drugiej, przenieś je w ten sam kąt, powyciągaj karty, a tych... sześćset przynieś za godzinę. Bądź ostrożna.

W obozie kobiecym jest ponad jedenaście tysięcy więźniarek. Z nich tysiąc sto rozlokowano w trzech barakach, a sześćset trafiło na dwudziestkępiątkę. Dla wszystkich oprócz tych czterech baraków wizyta się skończyła i zapadł kolejny zwykły wieczór. Chyba tylko trzy więźniarki podczas tej szaleńczej burzy poczuły odrobinę radości. Trzem kobietom z pomocą innych niemal od roku udaje się ukrywać własne matki. Dziś też uratowały je przed bezwzględnym palcem doktora Thilo.

Wieczór po wizycie jest smutny, kobiety w barakach czują głęboką frustrację bardziej niż każdego innego dnia. Na tej pryczy spała Luiza, tam Marianka, Esta,

Charlotta, Magda i Jeanette, Nina i Elena, Irena i... Razem traciły nadzieję i razem ją po kawałku odzyskiwały. Już ich nie ma, odeszły, już są tam, mój Boże, możliwe, możliwe, że to była ostatnia...

Tydzień, trzy tygodnie czy miesiąc temu stały tak samo oszołomione nad pryczami, z których palec doktora Thilo wypędził Judytę i Annę, Rút i Hedwigę, Lucię i Anastazję... Dziesiątkom, setkom, tysiącom odebrano imiona, a w końcu też życie.

W trzech barakach w obozie kobiecym panuje cisza, tylko czasami rozlegają się potworny krzyk i łomot. Gołymi pięściami zamknięte kobiety tłuką w ściany i drzwi, o żelazne kraty w oknach, ręce mają sine, spuchnięte i połamane, z rozerwaną skórą, zakrwawione. Gryzą palce i usta, drapią do krwi i biją się w ogolone głowy, zrywają z siebie pasiaste szmaty i z histerycznym śmiechem patrzą na swoje wychudzone ciała. Jedna, druga, trzecia wrzeszczą, jakby zobaczyły pożar, biegną do drzwi, za nimi podążają inne, lecą z uniesionymi rękami niczym uciekinierki z płonącego domu, wszystkie zaczynają się tłoczyć przy drzwiach w jakimś szalonym, wściekłym naporze, jakby barak stanął otworem i teraz chodziło tylko o to, by podczas tej króciutkiej chwili udało im się uciec na wolność. Te z przodu krzyczą z bólu, kilka upada, ale nacisk z tyłu się nie zmniejsza. Siły je opuszczają, bo to już nie jest napieranie, tylko jakieś konwulsyjne popychanie i drapanie, żelazny pręt za drzwiami nawet nie drgnął. Skonane upadają na ziemię, jedna na drugą, część zasypia, zaczynają majaczyć, krzyczą przez sen, a te na pryczach z obłędem w oczach patrzą przed siebie, chwala Bogu, wkrótce skończy się cierpienie. Niektóre czyszczą sobie ubranie, naprawiają siennik, trzeba odpocząć, przecież pojedą transportem do innego obozu.

W dwudziestcepanie panuje względny spokój. Sześćset kart zostało wybranych. Więźniarki nie mogą doczekać się poniedziałku. Przecież są jeszcze zdrowe, w poniedziałek będzie wizyta, w poniedziałek z pewnością puszcza je do pracy... Na pewno je puszcza, w przeciwnym razie po co by robili wielkie porządki!

Wieczór po wizycie jest zawsze bardzo smutny, rozpaczliwy i apatyczny, a pochłaniającego wszystkie siły poczucia beznadziei nie przegną nawet zupa, chleb i krwawy wurst, obiad ani kolacja, dziś podawane równocześnie.

Godzinę po północy bez wielkiego łomotu przyjechało do obozu kobiecego piętnaście ciężarówek z zasłoniętymi pakami. Zatrzymały się przed trzema barakami. Przygotujcie się do transportu, dostaniecie chleb i margarynę, możecie

też zabrać koce, pojedziecie do Bochni, tam będzie dużo lepiej – spokojnie wyjaśnia młody esesman.

W szesnastym aucie siedzą uzbrojeni Niemcy, oświetlają mocnymi reflektorami drogę i tylną część ostatniej, załadowanej po brzegi ciężarówki.

## Jeszcze ważniejsza wizyta

Długie metaliczne dzwonienie wyrywa obóz ze snu. Ale prawdziwy poranek zaczął się godzinę wcześniej, wraz ze wschodem słońca.

Przy małym zakratowanym okienku siódmego baraku Bubo woła Karola.

– Już, zaraz przyjdę – mówi do okienka Karol.

Słynna siódemka jest otoczona dwumetrowym murem, na wielkie podwórze można wejść tylko przez jedną ciężką bramę. Obcy nie mają tu prawa wstępu, wszyscy obchodzą siódemkę szerokim łukiem, nawet esesmani. W baraku leży sześciuset, a na podwórzu między murami, w kałużach błota i moczu, kolejnych sześciuset niezdolnych do pracy, relegowanych z innych baraków, muzułmanów. Na rozkaz głównego lekarza SS siódemka jest opróżniana czasem nawet dwa razy w tygodniu. Mimo to barak nigdy nie stoi długo pusty, od razu trafiają do niego kolejne kościotrupy, ogołoczone przez głód, wszy, zęby wilczurów, bicze, pałki i najróżniejsze choroby, których nazw nie zna nawet najnowocześniejsza medycyna. Kto trafi za bramę siódemki, tego dni są już policzone, może wydostać się na zewnątrz tylko poprzez nielegalną wymianę za rzeczywiście martwego więźnia. Zdarza się to wprawdzie rzadko, ale się zdarza, pod warunkiem że uda się podmienić karty w kancelarii głównej.

– Cicho dziś jak na cmentarzu – wychrypiął Bubo do Karola, gdy zamknięto bramę siódemki. Bubo jest zaspany, oczy ma przymrużone, zapuchnięte, policzki blade jak воск. – Chyba nie wypuszczą żadnego komanda. Po takiej ciszy Rzesza pokaże nam zębki. Zobaczysz, że znów wymyślili jakieś świństwo.

– Już nam nieźle pokazali, niech ich diabli wezmą! – Karol sposepniał. – Pasowałoby, żebyśmy też im coś wykręcili. Może nadejdzie czas, że rzucimy się im wszyscy do gardeł.

Karol wie, że użył mocnych słów. Mimowolnie patrzy w górę. Odnosi wrażenie, że w powietrzu wisi coś bardzo złego, dusznego i ciężkiego, co w każdej chwili może ich przygnieść. Od rana dręczy go złe przecucie. Właściwie ma głowę pełną

niewesołych myśli, od kiedy w obozie zaczęło się wielkie sprzątanie. Krematoria już stoją, dwa z nich są nawet wyposażone, dziś czy jutro można by w nich spokojnie zlikwidować cały obóz. Może właśnie z takiej okazji przyjedzie tu osobiście Reichsführer SS Himmler. Naiwnością byłoby przecież oczekiwać, że celem wizyty jest zamknięcie obozu lub chociaż ułatwienie w nim życia „pasożytom”, „bandytom”, „plutokratom”, „bolszewikom”, „najniebezpieczniejszym wrogom Rzeszy”, a Rzesza to „czysta krew”, ona ma zawładnąć światem.

– A co ty możesz im wykręcić? – pyta po chwili Bubo. – Nie ma takiego Boga, co by ci pomógł. Liczy się tylko ucieczka. Pomożesz sobie, jeśli walniesz któregoś z nich, nawet Himmlera, po łysinie? Zanim mrugniesz, już będziesz wachał kwiatki od spodu. To prawda, lepiej zdechnąć z wrazeniem, że przynajmniej człowiek spróbował coś zrobić, że nie był tylko posłusznym barankiem. Tylko że każdy chce żyć! A mnie się strasznie chce żyć, przecież ja jeszcze nie pożyłem, na ich niemieckiego Boga!

Przy ukończonych dwa dni temu krematoriach harował ponad pół roku. Tak samo jak Karol boi się dzisiejszego dnia, ponieważ łatwo przewidzieć, że po szefie esesmańskiej maszyny nie można się spodziewać niczego dobrego.

Na budowie krematorium pracował bardzo ciężko, kuł żelazo; szli do pracy jako pierwsi i wracali ostatni, niedawno robili też po zmroku, przy oświetleniu elektrycznym, budowa musiała być skończona w terminie, ale wytrzymał, bo było z nimi kilku cywili, fachowców wynajętych przez Niemców w sąsiednich wioskach. Bubo często wspomina szczególnie tego z Porąbki, który przynosił mu chleb, margarynę, papierosy, zapalki, ziemniaki, różne rzeczy. Przynosił wszystko, co dostawał z przydziału jako obywatel Generalnego Gubernatorstwa pracujący na ważnym odcinku gospodarczym i co dodatkowo udało mu się zdobyć za kosztowności z pomocą więźniów wynoszone z obozu. Naprawdę, nieraz sam w pracy nie jadł, żeby Bubo i inni mieli dodatkowy kawałek chleba. Kawałek chleba znaczył tu nieskończenie wiele, ponieważ trzymał człowieka na nogach nawet w najbardziej nieznośnych warunkach. Ten z Porąbki i jego koledzy pracują teraz na Buna-Werke, niedaleko stąd kładą fundamenty zakładu o długości kilku kilometrów, hitlerowcy chcą w nim produkować paliwo syntetyczne i kauczuk. Czy jeszcze się spotkają? Czy rozpoznałby go wśród tysięcy, tego serdecznego

i ofiarnego Polaka ze szczególnym, łagodnym, współczującym spojrzeniem i ludzkimi, przyjaznymi oczami? Na pewno by go poznał.

Po drodze dołącza do nich Marek, kruchy, cichy, ze smagłą, twardą rolniczą twarzą. Pochodzi z oddalonej osady na Rusi Podkarpackiej, jest tu już osiem miesięcy, czwarty miesiąc pracuje z Karolem w trupiarni. Bez słowa rozglądają się wokół.

Baraki, drogi i puste tereny są aż zaskakująco uporządkowane i czyste, moczary zasypano, a brud zniknął pod zwalcowaną ziemią. Po wczorajszych wydarzeniach nie ma śladu. Wiosenne słońce świeci jasnym blaskiem, w tym ciepłym świetle wszystko wygląda jakoś bardziej miękko, delikatnie. Co było wczoraj, przedwczoraj, miesiąc temu, co tu się wydarzyło od jesieni 1941 roku, już w ogóle nie jest prawdą, tego niewyobrażalnego, wstrząsającego pasa transmisyjnego zbrodni już nie widać ani nie czuć.

Wchodzą do trupiarni. Bubo się wzdrygnął. Karol na moment jakoś się skurczył, a Marek złożył suche palce żylastych rąk jak do modlitwy. W trupiarni, po niemiecku *Leichenhalle*, zawsze wyjątkowo boleśnie czują swoją bezsilność i marność. Do tej drewnianej budy, większej szopy, codziennie trafiają trupy z baraków. Przez ostatnie dwa miesiące wozili je też na wózkach i wozach z komand, które pracowały przy krematoriach. Z czterystu wychodzących tam rano do pracy co najmniej osiemdziesięciu leżało już w południe w *Leichenhalle*. Praca musiała być skończona w terminie. Tutaj układają ich według dokładnego przepisu, głowa obok nóg, nogi obok głowy. W barakach się odlicza, tu się dolicza. Liczba musi się zgadzać, trup może leżeć zarówno w baraku, jak i w trupiarni, ale *summa summarum* wszystko musi się zgadzać, nigdzie nie może brakować choćby jednej pary nóg, jednej głowy.

– Zobaczyłem was, to se mówię, że wpadnę zamienić parę słów – zaskakuje ich za plecami głos Valéra, młodego mężczyzny z wysokim czołem, szerokim nosem i szeroką szczęką. – Nie będzie to niedzielna herbatka, ale zapalić możemy – dodaje i wyciąga z podszewki papierosy.

Karol się denerwuje. Nie podoba mu się, że Valér znów ryzykuje tylko po to, żeby go uszczęśliwić odrobiną mocnego francuskiego tytoniu. Kolega już od siedmiu miesięcy pracuje przy rampie, gdzie zatrzymują się transporty. Pochodzą z tego samego miasta i chcieliby pracować w jednej grupie, ale tu nie można wybierać. Na razie muszą się zadowolić spotkaniami co drugi dzień.

– Chodzisz cicho jak duch. – Karol nie ma siły robić mu wyrzutów.

– I tak samo jak duch najchętniej bym się stąd ulotnił.

Wspólnie wypalają jednego papierosa i Valér się żegna.

– Zobaczyłem was... wystarczy. Jeszcze wpadną na pomysł, żeby liczyć, szkoda by było dostać po gębie. A jak nie wyjdziemy na zewnątrz, to zajrzę wieczorem. Tylko się nie zesrajcie!

Valér ma osiemnaście i pół roku. Już wielokrotnie próbował dostarczyć przyjaciom coś z rampy, żeby ułatwić im życie, dwa razy skończyło się to bardzo źle. Za pierwszym razem dostał dwadzieścia pięć razy pałką, za drugim – dwadzieścia pięć biczem. Po pałowaniu i biczowaniu tak wzbogacił mu się zasób słownictwa, że teraz sprawia wrażenie człowieka, który w poszukiwaniu najbardziej soczystych przekleństw przemierzył kontynenty.

Dziś nie ma tu wielu trupów, przez dwa dni w obozie panował spokój. Przedwczoraj, zanim nastąpiła północ, wywieźli stąd trzysta sześćdziesiąt. Do budy mieści się tylko dwieście, resztę muszą układać za trupiarnią. Karol z Markiem i dwaj na nocnej zmianie tworzą Leichenkommando. To ciężka, brudna robota, bo muszą porównywać niewyraźne numery na zniekształconych rękach ofiar z numerami na kartach. Trupy kładą na stosy miękko, ostrożnie, czasem na wysokość nawet dwóch metrów. Odwracają przy tym twarze, a Marek podczas tej pracy ani jednego dnia nie zapomina powiedzieć czegoś z Biblii albo chociaż: „Chryste, czy na krzyżu cierpiełeś też za Niemców?”. Dziś mieli tylko czterdzieści trupów, w większości skonali na pryczach. Marek przykrywa ich workami po cemencie. W kącie trzymają duży garnek z chlorem i mniejszy z wodą.

Bubo stoi przy uchylonych drzwiach i obserwuje trzech esesmanów przy bramie. Jeden z nich, z blaszaną tabliczką na piersi, znakiem rozpoznawczym lagerpolicji, właśnie zaczął wymachiwać rękoma i krzyczeć. Jego głos dobiega aż do nich.

– *Blocksperrre! Wszyscy do baraków! Blocksperrre! Los!*

– Już się zaczyna – mówi Karol z lekkim niepokojem.

– Zmienili program – mamrocze Bubo podenerwowany. – Ciekawe, co z tego wyniknie...

Zza budy wynurza się Valér, pluje i klnie, wyciąga spod kurtki dwa papierosy, podaje Markowi i mówi:

– Pan Himmler nie chce widzieć biedy, którą stworzył. Albo znowu wymyślą coś takiego, czego tu jeszcze nie było. Pięćdziesięciu z nas ma wyjść na zewnątrz, na pewno będę wśród nich. Bierzcie.

Wyciąga jeszcze dwa papierosy, klepie Karola po plecach i biegnie do baraku.

– Ty też idź – mówi Karol do Buba. – Idź, my tu zostaniemy.

Patrzy na Marka, ten kiwa głową, tak, my możemy zostać na siódemce, zgodnie z przydziałem, nie będzie nas brakować.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. – Bubo kiwa głową i spieszy do czternastego baraku.

Marek zahacza drutem drzwi w ten sposób, że przez wąską szparę dobrze widzą drogę. Bierze ze skraju budy sześć cegłówek i kładzie je obok siebie niedaleko drzwi. Karol zapala papierosa, zaciąga się dwa, trzy razy, po czym podaje go Markowi. Nawet na chwilę się nie zatrzyma, myśli o Marku, zawsze musi coś robić. Przywieźli go tu z żoną i trójką dzieci, całą rodzinę od razu po przyjeździe mu zabito, ale się nie złamał i nie zmienił. Żyje jakoś obok bólu i obok smutku. Nie klnie, nie złorzeczy, nie snuje planów zemsty ani odpłaty. Zazwyczaj tylko się modli, nie tylko za siebie i swoich, ale też za to, żeby całe zło czym prędzej zniknęło ze świata. To dziwny człowiek, nigdy o nic nie pyta i w miarę możliwości z ochotą pomaga słabszym.

Teraz stoi przy szparze w drzwiach. Odzywa się równocześnie z cichym warkotem samochodów na głównej drodze.

– Już jadą... już jadą, bydlaki!

Promienie słońca błyszczą na karoseriach najnowszych typów luksusowych aut. Trzy... pięć... siedem... dwanaście samochodów. Wszystkie skręcają odrobinę w prawo, bliżej krematoriów.

W klatce przy bramie na gości czeka szesnastoosobowa orkiestra z dyrygentem. Właśnie zaczęła grać *Wejście gladiatorów*. Na drodze przed krematorium stoi pięćdziesięciu ludzi w pasiakach z komanda, które chodzi na rampę. Wśród nich jest Valér.

Z samochodu wysiadają wysocy rangą funkcjonariusze SS; tutejsi i nieznajomi, kilku cywili. Valér na jednym oddechu syczy:



– Sukinsyny, skurwysyny! Gadzie gównu, gnój! Żebyście dostali świerzbę, malarii, tyfusu, raka, a na wszelki wypadek niech was jeszcze trafi szlag!

Esesmani i cywile ustawiają się przez chwilę na drodze, równają szereg i z uwagą spoglądają na piąte auto. Wsiada z niego Reichsführer Heinrich Himmler, niespiesznie, wręcz leniwie, a ludzie z Krzyżami Rycerskimi pod szyją i medalami na piersiach z szacunkiem tworzą na drodze półokrąg. Himmler powolutku przeciera okulary, dłonią osłania sobie oczy, żeby nie oślepiało go słońce, zdążyło wejść wysoko, i jak generał na froncie rozgląda się wokół. Już trzeci raz jest na tym placu boju – tu się wyłącznie zwycięża, umierają tylko wrogowie. Dziś ma możliwość sprawdzić, czy jego rozkazy są wykonywane, czy obóz rozrósł się dokładnie według jego dyrektyw, wydanych, by umieranie było w nim szybsze i bardziej masowe. Uśmiecha się i pobłaźliwie macha wszystkim, którzy na baczność czekają niecierpliwie, by ich zauważył, by się do nich uśmiechnął, by zapisał w pamięci ich twarze. Dystyngowanym ruchem wyciąga chusteczkę i ociera spocone czoło. Potem kiwa głową, to wyraz uznania, największego uznania od wszechmocnego szefa SS, a ludzie w mundurach i cywile stojący przed nim też tak to odbierają, ponieważ jeszcze bardziej się wyprostowali i pochylając głowy, dziękują za uhonorowanie.

– Wspaniałe i sprytne – mówi z uznaniem Himmler, patrząc na podwójny płot, wieże strażnicze z obrotowymi podstawami na broń, głębokie okopy. – *Jawohl*, wszędzie spokój, czystość, porządek. To takie prawdziwie niemieckie.

SS-Obersturmbannführer Rudolf Franz Höss, komendant główny tego olbrzymiego kompleksu obozowego, zaczyna coś rysować laską na drodze i wyjaśniać. Himmler wpatruje się w ziemię i kiwa głową. Nagle przestaje, podwija rękaw i spogląda na zegarek.

– Obersturmbannführer – mówi z wyrzutem do Hössa – są dwie minuty po dziesiątej.

Höss sztywnieje na baczność i z niepokojem patrzy na drogę. Potem jednak uśmiecha się zwycięsko. Tak, dziesiąta minęła dwie minuty temu, ale wszystko jest w największym porządku. Z przodu na drodze już łoskocze długi sznur ciężarówek, zostawiają za sobą szary ogon kurzu. Jadą szybko, w regularnych odstępach.

Nawet z drewnianej trupiarni wyraźnie widać ludzi na pakach.

– Jezu, przecież to transport! – ciska wściekle Karol. – To niemieckie bydlę dziś się zabawi! Po to tu przyjechał! Patrz na tych biedaków...

Sznur aut się zatrzymuje. Himmler z zainteresowaniem obserwuje, jak z pierwszych ciężarówek esesmani opuszczają boczne burty i przykładają do nich długie, szerokie belki z przybitymi w poprzek listwami, żeby ludziom łatwiej było zejść. Szeregowi i podoficerowie troskliwie podtrzymują wysiadających, łapią ich za ręce, pomagają przedostać się po belce na ziemię. Gładko i spokojnie, bez szarpania, krzyku i przekleństw, z zachęcającym słowem i uśmiechem, który wzbudza w ludziach zaufanie, wyładowują jedno auto za drugim. Żydzi ostrożnie trzymają swoje bagaże, a przybyli wraz z nimi tłumacz i kierownik transportu wyjaśniają im i sugerują, gdzie mają je odłożyć. Staruszki, starcy, wnuki i dorośli odnoszą zatem walizki, plecaki, plecaczki, pakunki, wózki, maszynę do szycia, a nawet zegar ścienny do rowu wzdłuż drogi, a w drodze powrotnej jeszcze się oglądają, żeby dobrze zapamiętać miejsce.

– Dlaczego ich pan nie uspokoi, komendancie? – napomina Himmler SS-Obersturmbannführera Hössa. – Przecież pan widzi, że boją się o swoje rzeczy!

Höss kłaśnieciem skupia na sobie uwagę i przyjacielskim tonem krzyczy:

– Szanowni państwo, proszę się nie bać o bagaże. Nikt oprócz was nie może ich dotknąć. Tak jak je położyliście, tak za chwilę weźmiecie je do baraków.

Na drodze ustawiają się piątkami, kobiety z mężczyznami, starcy i staruszki z wnukami. Z przodu zaczyna płakać trzyletni chłopczyk. Matka go ucisza, mówi do niego, głaszcze, ale chłopiec płacze dalej, łzy jak groch ciekną mu po policzkach.

– Czy ten maluszek nie jest aby chory? – pyta Himmler. – Może trzeba go pokazać lekarzowi?

– Nie, w ogóle nie jest chory, panie... oficerze – odpowiada matka z wdzięcznym uśmiechem.

– No to w porządku – uśmiecha się Himmler.

Również tym, co stoją blisko, wydaje się, że może naprawdę wszystko jest w porządku, choć wielu z nich patrzy z obawą na drut kolczasty i wieże strażnicze. Ale ostatecznie pozbywają się niepewności. Psów nie widać, automaty i karabiny maszynowe nie terkoczą, rozmowni esesmani wyglądają całkiem pokojowo. Tam,

skąd przybyli, Niemcy byli inni. Bili, wieszali i strzelali. Może ten chłopczyk płacze dlatego, że mundury wszystko to mu przypomniały. No i gra tu muzyka, wszędzie jest czysto, widzą bardzo, bardzo dużo baraków i nawet ci, co stoją przy drodze, nie wyglądaliby źle, gdyby tylko nie mieli na sobie tych dziwnych ubrań.

– Tylko powoli i ostrożnie – ostrzega Himmler niezgrabnego esesmana, który tak niezręcznie przytrzymał staruszkę, że prawie spadła z belki. – Tylko powoli, żeby nikt nie zrobił sobie krzywdy. Mamy przecież dużo czasu.

– Niech ich diabli wezmą! A także ich matki! – znów grzmi Karol przy szparze. – W biały dzień, a jak im dobrze idzie! Spójrz tylko na tych biedaków! Spokojni jak owce w zagrodzie. Niech kara boska spotka wszystkich Niemców po kolei, te staruszki muszą być strasznie niebezpieczne dla Rzeszy! To już chyba trzydziesta ciężarówka...

– Usiądź, Karol, zapal sobie. – Marek odciąga go od szpary.

Tłumacz cierpliwie wyjaśnia również ludziom z ostatnich ciężarówek, że bagaże należy zostawić na skraju drogi, ułożone jeden za drugim; najpierw przecież trzeba się wykapać i przebrać, potem zabiorą walizki, jak będą szli do swoich baraków.

– Czy ktoś ma jakieś pytanie?

Gdzie jesteśmy? – pytają wszystkie oczy. Patrzą tylko na więźniów w pasiakach koło rowu, ale ci milczą, spoglądają na bok, w ziemię lub na esesmanów. Jedno słowo oznacza śmierć. Milczą.

Wszyscy są bardzo ciekawi, każdego z transportu coś martwi, ale nikt o nic nie pyta, nie dowiaduje się, nikt nie chce opóźnić, bo wszyscy chcą jak najprędzej mieć za sobą kąpiel i zmianę odzieży, żeby wreszcie móc zadomowić się w jednym z baraków. Tym sposobem dwieście czterdzieści szeregów po pięć osób w każdym wyrusza na rozkaz Hössa do łaźni, nad którą górują kwadratowe kominy. Za tym długim i nierównomiernie krocącym pochodem sunie powoli wojskowe auto ze znakiem Czerwonego Krzyża. Skręca między niewysoki żywopłot, wysiadają z niego dwaj esesmani z czarnymi wyłogami. Sanitariusze.

– *Alles in Ordnung? Das ist alles?* – pyta Himmler komendanta, który towarzyszył kolumnie samochodów.

– Nie, panie Reichsführer, nie wszystko, to dopiero połowa – odpowiada na baczność komendant krematorium SS-Oberscharführer Moll, facet z dziwnie poczerwieniałą twarzą. – Wieczorem przywiozą pozostałych.

– *Also, los*, możemy zaczynać – woła sucho Himmler i wyciąga krótkie grube cygaro.

Höss służalczo podaje mu ogień.

– Możemy zaczynać – powtarza Himmler i gwałtownie rusza w stronę murowanych budynków.

Wszyscy z jego świty idą w taktownym odstępnie za nim. Niektórzy rozpinają kołnierzyki, bo słońce ostro grzeje.

– Macie tu wspaniałą wiosnę – mówi z przodu Himmler do Hössa. I z wyraźną niecierpliwością pyta: – Długo to potrwa, zanim się rozbiorą?

Jeszcze przez chwilę rozmawiają przed budynkiem, potem na sygnał Molla wchodzi do środka. Przy szybce w górnej części stalowych drzwi stopniowo wymieniają się wszyscy: Himmler, profesorowie medycyny z Berlina, Hamburga i Münster, przedstawiciele różnych firm, Höss, oficerowie z dowództwa SS i sztabu komendy obozu.

– Dlaczego kobiety są w bieliźnie? – Himmler ze śmiechem pyta Molla.

– Wie pan, panie Reichsführer, to ortodoksyjne Żydówki... – Moll także pozwala sobie na uśmiech.

– Ach tak...

Ludzie w komorach stoją obok siebie, są przerażeni.

Dwóch sanitariuszy wyciąga z samochodu zielone puszki. Na trawiastym pagórku maskującym dach komór zakładają maski gazowe. Potem otwierają klapy wiatraków, przebijają wieka puszek i wsypują do otworów zielonofioletowe kryształki.

Himmler patrzy na zegarek i od tego momentu przez całych dziesięć minut nie odrywa wzroku od szybki w drzwiach.

Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą martwili się o swoje bagaże, którzy zaledwie kilka minut wcześniej zdziwieniem reagowali na drobne przejawy łaskawości ze strony esesmanów, momentalnie zastygają i patrzą w górę, na sypiące się z pryszniców drobne kryształki. Z kryształków szybko wydziela się gaz, teraz go wdychają, mocny, trujący gaz. Himmler z nosem przyklepionym do szybki patrzy

rozgorączkowany, jak ludzi za stalowymi drzwiami stopniowo ogarniają skurcze, jak w strasznym ataku szaleństwa zwijają się, składają ręce, wrywają sobie włosy, i jak wszyscy nagle słabną i nieruchomieją. Gaz się unosi, więc dzieci dłużej zwijają się w przedśmiertnych skurczach. Oficerowie SS, inżynierowie, technicy i naukowcy z zaciekawieniem obserwują Himmlera, z wyrazu jego okrągłej i poczerwieniałej z podniecenia twarzy próbują zgadnąć, czy jest zadowolony. Tam, w środku, nikt już się nie rusza. Himmler się odwraca i niemal krzyczy:

– *Famos, famos! Niesamowite! Grossartig, genial!*

Wszyscy z pewną zazdrością zerkają na inżyniera Prüfera, głównego inżyniera erfurckiej firmy Topf und Söhne, bo to on zaprojektował i wyposażył tę „łaźnię”. Inżynier Prüfer odwraca się do Himmlera, jakby uznanie należało się przywódcy, lekko się kłania i mówi:

– Firma Topf und Söhne jest niezmiernie szczęśliwa, panie Reichsführer, że mogła chociaż w ten skromny sposób pomóc w realizacji pańskich genialnych planów.

Himmler odpowiada płomiennie:

– Niech pan nie będzie skromny, mój drogi. Zrobiliście więcej niż dobra dywizja na placu boju. Przecież to jest totalny punkt zwrotny w strategii. Kompletny przewrót, panowie! Ten... – wskazuje ręką pustą zieloną puszkę, przyniesioną w międzyczasie przez gorliwego Molla – ten...

– Cyklon B, panie Reichsführer – taktownie pomaga mu inżynier Faust z firmy Degesch, która produkuje te cudowne kryształki.

– Tak, ten cyklon B, panowie, stanie się słynnym kamieniem milowym w historycznej walce członków SS przeciwko mniej wartościowym rasom. Pięć puszek na sześć, siedem tysięcy osobników. Myślę, że Führer będzie bardzo zadowolony.

Jeszcze raz spogląda przez okienko do komory gazowej, a wychodząc z budynku, mówi do Hössa:

– Wkrótce wyślemy do was dużo materiału. Rosjanie, Polacy, Czesi, Jugosłowianie, Włosi i dużo Greków, trochę też Skandynawów... Myślę, że z tym cyklonem uda się panu szybko ich pozbyć.

– Bardzo szybko, panie Reichsführer – potakuje Höss z uśmiechem. – Sam raczył się pan przekonać... Tysiąc dwieście w niecałe dziesięć minut. Co prawda,

trzeba się liczyć z tym, że palenie również wymaga czasu.

Kawałek od budynku, z którego wyszli, Himmler nagle się zatrzymuje, rozgląda i śmieje.

– Należą się panu pochwały – zwraca się do Hössa. – Wszystko jest doskonale ukryte. Przecież ci ludzie mieszkali zaledwie trzydzieści kilometrów stąd, a nic nie podejrzewali. To aż śmieszne, jak wierzyli... że naprawdę idą się wykąpać. Wspaniale, Höss, wspaniale!

– Czy raczy pan zajrzeć do drugiego pomieszczenia, panie Reichsführer? – pyta Höss. – Ma większą pojemność i jeszcze suterенę.

– Na chwilę, skoro już tu jesteśmy – wielkodusznie zgadza się Himmler.

Idą pieszo po dobrze zwalcowanej drodze. Kierowcy w pustych limuzynach bezgłośnie suną za nimi. Przed wszystkimi otwiera się wizja rozkwitającej Tysiącletniej Rzeszy. Farmy we wschodniej Europie, na których posłusznie pracują niewolnicy, wille i pałace, ogrody, sady, lasy, drogi prowadzące przez rozległe podbite obce krainy, złoto i konta bankowe w każdej stolicy prowincji.

– Ten pomysł z napisami... że niby łaźnia... jest bardzo dobry – oznajmia Himmler na obie strony orszaku. Główny inżynier firmy Degesch Max Faust podbiega do niego i Himmler kontynuuje: – Napis jest w czterech językach, prawda? Zróbcie go jeszcze w czterech, żeby każdy go zrozumiał. I nie zapomnijcie o uchwytach na mydło... więcej mydła i ręczników. Takie drobiazgi, drogi inżynierze, są bardzo ważne, ponieważ wzbudzają zaufanie i ułatwiają pracę. Przy następnym projekcie proszę o tym nie zapomnieć i, naturalnie, należy powiększyć te pomieszczenia.

– To prawda, wspaniała propozycja, panie Reichsführer – zgadza się Max Faust.

– Zatem ją zrealizujcie.

Na chwilę zapada cisza. W końcu Franz Rudolf Höss zdobywa się na odwagę i proszącym tonem zwraca się do Himmlera:

– Panie Reichsführer, byłby to wielki zaszczyt dla mnie i mojej małżonki, gdyby przyjął pan zaproszenie na drobny poczęstunek w naszym... tymczasowym domu. Moja małżonka bardzo prosi...

– Dobrze wychowani i uprzejmi mężczyźni nie odmówią damie, prawda, drogi panie Höss? W porządku, odrobina odpoczynku nam nie zaszkodzi.

Kiedy samochody skręcają do willi Hössa, z męskiego obozu wymaszerowuje stu pięćdziesięciu mężczyzn. Sonderkommando. Wentylacja w komorach gazowych jest włączona, gaz się ulatnia, do środka wpada czyste powietrze, zeszywniałe ciała trzeba zanieść do pieców, komory gazowe muszą być puste, za pięć godzin wszystko musi wyglądać tak jak półtorej godziny temu.

Pięćdziesięciu więźniów ładuje na ciężarówki ostatnie bagaże. Pojadą z nimi do magazynów Auschwitz, tam zostaną posegregowane.

– Po co siedzieliśmy w tej strasznej budzie? – złości się Karol. – Za nami martwi, przed nami martwi, po jakiego czorta to oglądaliśmy! Fuj, jesteśmy bardziej ciekawscy i głupszy niż ci Holendrzy. Powinniśmy dostać po pysku.

– Po razie jeszcze byśmy znieśli – mówi Marek. – Poczekamy tu do zmroku, a może wcześniej odwołają *Blocksperrę*. Potem pójdziemy.

Marek skręca twardego papierosa z niedopałków schowanych w metalowym pudełku po kremie. Trochę się uspokajają. Marcowe słońce wisi już zupełnie nisko, ostatnie ukośne promienie dotykają równej ziemi.

Godzinę później stu pięćdziesięciu więźniów z Sonderkommanda wychodzi z krematorium, ustawia się na drodze i zmęczonym krokiem niemrawo wmaszerowuje do klatki. Wszystkie ślady są doskonale usunięte.

Pięćdziesięciu mężczyzn znów stoi w dwuszeregu koło rowu przy drodze. Nieopodal krematorium błyszczą w równym rzędzie zaparkowane limuzyny. Reichsführer Himmler, komendant obozu Auschwitz Höss, inżynierowie, technicy i naukowcy z Berlina, Hamburga i Münster znów obserwują, jak esesmani z miłym uśmiechem, uprzejmym słowem i pomocnymi rękami sprowadzają ludzi po długiej i szerokiej belce z dwudziestu ośmiu ciężarówek.

W końcu Himmler pyta podoficera, który towarzyszył temu drugiemu transportowi:

– *Alles in Ordnung?*

Młody cherlawy mężczyzna w mundurze polowym mruga ciemnymi oczami i z wyraźnymi obawami wyjaśnia, że dwie ciężarówki miały awarię, przyjadą później, pan Reichsführer będzie tak łaskaw i wybaczy to niedopatrzenie. Młody

podoficer pierwszy raz w życiu stoi oko w oko z najpotężniejszym dowódcą SS, przeklęty pech, nie może zameldować bezbłędnego wykonania rozkazu.

– Zaraz tu będą – przeprasza ze szczerym żalem na twarzy. – To się zdarzyło dziesięć kilometrów stąd. Bardzo mi przykro, panie generale, panie Reichsführer, że...

– Wystarczy, chłopcze, wystarczy. – Himmler uśmiecha się pobłaźliwie i patrzy na Hössa. – Przecież nie będziemy czekać na dwie ciężarówki. Toż się nie zgubią.

I zaczyna głośno się śmiać. Höss posłusznie mu wtóruje.

Po drodze do krematorium Himmler zwraca się do inżyniera Prüfera:

– Panie inżynierze, przygotowujemy naradę w węższym gronie. Za kilka dni w moim biurze. Proszę policzyć, ilu ludzi mogą przerobić komory gazowe, właściwie krematoria, powiedzmy, w ciągu pięciu godzin, w ciągu dwudziestu czterech, w ciągu roku. Proszę zrobić dwa obliczenia. Jedno na podstawie istniejących krematoriów, drugie na podstawie... no, z większą łaźnią. Myślę, że taka wiążąca dyrektywa, takie obliczenia, ułatwią nam pracę. Rozumie pan, zobaczylibyśmy, jak szybko możemy zlikwidować mniejsze obozy i ilu naszych ludzi z SS będziemy mogli wykorzystać z pożytkiem gdzie indziej. No i w końcu taki bilans znacznie ułatwiłby pracę Głównego Urzędu Osadnictwa.

Höss mówi przymilnie:

– Jeśli pozwoli pan na małą uwagę, panie Reichsführer... Już o tym myślałem. Liczby będą zaskakujące. Nie spędzimy tu wielu lat...

– Dobrze, proszę się przygotować, porozmawiamy o tym szczegółowo w Berlinie – kończy rozmowę Himmler.

Chociaż *Blocksperr*e jeszcze nie zostało odwołane, więźniowie wychodzą z baraków. Za chwilę z kuchni przyjadą zupa, chleb i kwargiel, po jednym krążku. Zupę trzeba zjeść przed barakiem, szybko, bo za moment zabrzmi gong.

Karol i Marek dostali zupę w baraku; wychodzą na zewnątrz i stają niedaleko kuchni. Podchodzi do nich Bubo. Wrócił też Valér, bo dopiero jutro będą sortować bagaże.

Z oddali słychać warkot samochodów, chyba nie wiozą znów... Nie, to dwa brakujące auta z drugiego transportu. Ciężarówki skręcają do obozu i zatrzymują się przed kuchnią. Wyskakują z nich młodzi chłopcy. Jest ich stu dwudziestu, przed



cyklonem B uratowała ich niewytłumaczalna awaria nieopodal obozu. Są płochliwi, wystraszeni, obdarci i głodni. Zapadł zmrok, a w świetle lamp w żaden sposób nie zdołają obie wyobrazić, dokąd trafili.

Nie zostali jeszcze wciągnięci na listę więźniów, ale naczelnik kuchni wielkodusznie przysłała im sto litrów zupy i sto dwadzieścia porcji chleba.

Do Karola, Marka, Buby i ciągle przeklinającego Valéra podchodzi Władek i smutnymi oczami patrzy, jak młodzi polscy Żydzi łakomie jedzą rzadką zupę z chlebem.

Władek odwraca twarz. Ukrywa łzy, słone łzy bezgranicznego nieszczęścia. Karol uspokajająco kładzie mu rękę na ramieniu. Wie, że Władek wcześniej mieszkał w Krakowie. Do getta, z którego dziś przywieziono oba transporty, właściwie jeden transport na dwa razy, często chodził. Getto było otoczone, pilnowane, ale Władek z chlebem, papierosami, mydłem i przeróżnymi ubraniami dostawał się do wyrzutek społeczeństwa przez ścieki i kanały. Dziś to oni przyjechali do niego, wbrew własnej woli, są tu i nie wiedzą, że tylko o włos uniknęli pewnej śmierci.

– To wszystko? – pyta mniej więcej szesnastoletni krakowianin po skończeniu zupy.

– Jeszcze przyniosą... pieczonego indyka – papie jeden ze starszych. Kręci się tu i próbuje coś ukraść albo załatwić.

Władek podbiega do niego.

– Zamknij swoją szkaradną gębę! – krzyczy i potrząsa nim brutalnie. – Zamknij gębę, jeśli chcesz nią jutro jeść!

Karol go odciąga, chce zakończyć spór spokojnym słowem, ale już nie musi, kłótnię przerywa mocne metaliczne dudnienie. Według przepisów obozowych nastał wieczór, nareszcie wieczór, i przy dźwiękach tego dudnienia więźniowie zaczynają się rozchodzić do baraków. Dudnieniem zaczyna się *Lagerruhe*, obozowa cisza nocna, wyniszczająca cisza nocna.

W ogrodzeniu z drutu znów płynie prąd, nad nim i przed barakami palą się światła, a nad bramami silne reflektory.

Jest *Lagerruhe*, ale z kominów buchają płomienie, nasycone ciałami ponad dwóch tysięcy krakowian.

Jest wilgotna, cicha noc.

Paweł grzebie w papierach w pokoiku blokowego czwartego baraku, Polaka Jupa, który wyróżnia się przede wszystkim tym, że w sytuacji kryzysowej zawsze ma pod ręką potrzebny lek albo bandaż dla więźniów. Są to krótkie wiadomości i wiadomostki, zapisy i zapiski od zaufanych ludzi z przeróżnych części obozu, w telegraficznym skrócie uchwycone wydarzenia dnia lub ostatnich dni. W dziewiątym baraku nie może uzupełniać tych dokumentów o transportach, selekcjach, morderstwach i budowie obozu, bo są tam Stephan i kilka par bardzo ciekawskich, podejrzliwych oczu, z blokowym na czele. Jup natomiast, lubiany wśród więźniów, poważny i milczący człowiek, nigdy nie przejawia ciekawości; teraz wałęsa się przed drzwiami do swojego pokoiku i pilnuje, by nikt nie przeszkodził nieoczekiwanie Pawłowi.

W okolicach piętnastego wersu Paweł dopisuje datę i numer – dwa tysiące, getto Kraków. Do sumy dolicza jeszcze siedemdziesiąt liczb, w ciągu siedemdziesięciu dni wywieźli z trupiarni dwadzieścia tysięcy siedemset siedemdziesięciu dziewięciu martwych. Potem dopisuje jeszcze wers zaszyfrowanego tekstu: dwa krematoria skończyli, kolejne dwa chcą zbudować w ciągu trzech miesięcy. Patrzy na papierek, który dostał poprzez łącznika od tłumaczki Mali, żydowskiej dziewczyny z Belgii. Mała pracuje w sztabie SS i tam usłyszała, że z Aten wyjechał transport z dwoma tysiącami ośmiuset Żydów. Poza tym zaznaczyła na karteczce drobnym pismem, że po południu dotarło z Berlina pełnomocnictwo dla SS-Brigadeführera. Od teraz profesor doktor Carl Clauberg ma do dyspozycji w macierzystym obozie Auschwitz barak numer dziesięć – na eksperymenty w sterylizacji kobiet.

Zwija wszystkie kartki w cieniutki rulon i wkłada do woreczka pod podszewką. Na dziewiątkę przyszedł w samą porę, by zastać Karola z Markiem, właśnie zbierają się do trupiarni. Przed pokoikiem blokowego częstuje ich dwoma papierosami.

– Dziś, chwała Bogu, się nie napracujemy – mówi Karol. – Jest tam wyjątkowo mało trupów.

– Tak, dzisiaj będziecie mieć spokojną nockę – potwierdza Paweł. – O ile nie będzie wam przeszkadzało, że tych trupów nie będą już palić w „małym” krematorium w Auschwitz, tylko tuż za rogiem, w nowym i dużym.

Odwraca się, bo czuje, że za plecami stoi ktoś obcy.

W kącikach ust Stephana dostrzega ironiczny uśmiech. Oczy Stephana też się złowieszczo śmieją, jakby przyłapał tych trzech na czymś zakazanym. Nagle traci pewność siebie, nie wie, czy przejść obok nich i opuścić barak, zostać na miejscu czy wrócić na prycze. Paweł wyraźnie czuje to wahanie i uśmiecha się z pogardą. W Stephanie budzi się opór, ośmielony gniewem.

– Wy trzej, czy ilu was tam jest, tak często nad czymś się głowicie, że możecie bardzo łatwo stracić te głowy.

Paweł wciąż uśmiecha się z pogardą.

– Wy... wy podżegacze – wylatuje znów z ust Stephana.

Paweł przybliżył się do niego, uśmiech znika mu z twarzy. Łapie natręta za kurtkę pod szyją i gwałtownie nim szarpie.

– Jeśli kiedyś wpadniesz na pomysł, żeby powiedzieć hitlerowcom coś o naszych głowach – mówi bardzo cicho, ale ostro – to pamiętaj, że my też mamy usta.

– Ja nic nie robię, nic o mnie nie wiecie.

– To coś wymyślimy. A wiesz, że oni są łatwowierni. Won do baraku!

Stephan dusi się ze złości, ale kiedy Paweł go puszcza, idzie z pochyloną głową w stronę prycz. Po drodze kopie jakiś blaszany kubek i klnie.

O drugiej w nocy łoskot pieców nagle cichnie, a płomienie buchające z kominów gasną. Karol z Markiem akurat wracają do dziewiątki. Ale na głównej drodze obozowej odzywa się inny hałas, to piętnaście ciężarówek plus jedna wracają z Bochni. Nie było tam miejsca.

Jest wilgotna noc, ale już nie cicha.

Z wież strażniczych i szesnastej ciężarówki pełnej esesmanów terkoczą pistolety i karabiny maszynowe. Terkoczą dopóty, dopóki tysiąc sto na wpół obłąkanych, na wpół bezwładnych więźniarek nie zostanie zapędzonych do komory gazowej.

Sześć tygodni później Paweł znów siedzi w pokoiku w czwartym baraku. Ze skrawka papieru od Mali przepisuje: Rudolf Franz Höss dostał od Führera Krzyż Zasługi Wojennej z Mieczami I klasy. Takie samo odznaczenie otrzymał też SS-Hauptscharführer Otto Moll, szef krematorium w Birkenau.

Jest pochmurny, wilgotny wieczór – i jest po pracy.

We wszystkich klatkach oddzielonych od siebie ogrodzeniem pod wysokim napięciem już od ponad trzech godzin więźniowie stoją wzdłuż baraków. W jednej klatce stoją inaczej – przed pierwszymi barakami, przed kuchnią i wokół niej, aż do żelaznej bramy. Stoi ich w ten sposób ponad dziesięć tysięcy. Przeszują z nogi na nogę, podskakują, zacierają ręce.

– *Los, los, ihr Schweinehunde, los!*

Ci z przodu stają piątkami.

– *Mützen ab! Parademarsch! Parade, kein Invalidenmarsch!*

Obok pięciu krzeseł – pierwszego i piątego – przechodzą po prawej i lewej stronie pierwsze szeregi: wojskowym krokiem, ręce wzdłuż ciała.

– W lewo patrz!

– W prawo patrz!

Ogolone głowy odwracają się w lewo i prawo, w kierunku pięciu krzeseł, ale oczy większości patrzą gdzieś poza nimi, wyżej, w pustkę. Za ich plecami formują się kolejne piątki. Pozostali przeszedli z nogi na nogę, podskakują, trzęsą się. Jest bardzo zimno, z nieba pada białawy kłujący śnieg.

Na skrajach zaśnieżonej drogi rozstawili się esesmani, podoficerowie i żołnierze z psami. Stoją jeden przy drugim aż do dwudziestego baraku.

Ponad sto piątek przeszło już po obu stronach tych pięciu krzeseł. Teraz zbliżają się do szarego szpaleru. Z początku przyspieszonym krokiem, potem kłusem, wreszcie biegną; biegną i krzyczą. To bieg o życie. Bicze, pałki, żerdzie i kolby karabinów jak szalony wir spadają z obu stron na plecy i ramiona więźniów.

– *Los, los, dalli, dalli, wy wszawi zasrańcy!*

– *Los, los, wy pijawki, los...!*

Biegną desperacko i nieobliczalnie jak spłoszone stado uciekające przed ogniem. Byle szybciej uciec od uderzeń! Ci na skraju zasłaniają rękoma głowy. Od czasu do czasu rozlega się przeraźliwy przedśmiertny okrzyk. Słysząc go nawet w tym wariackim ryku i tumultach, nie zagłusza go nawet nieustające szczekanie szczutych psów.

Droga ma zaledwie sześć metrów szerokości. Gnają zbici w jedną całość, przeciskają się do środka, kluczą, robią uniki. Kilku udaje się prześlizgnąć przez szpaler, przeskakują rów koło drogi i uciekają za baraki. Trzech esesmanów chce pobiec za nimi, ale nie ma takiej potrzeby, bo na wieżach strażniczych już zaterkotały pistolety maszynowe, a ich zasięg umożliwia precyzyjne strzały w żywe tarcze, które podeszły na niedozwoloną odległość do drutu kolczastego. *Auf der Flucht erschossen* – w ten sposób zostanie to zapisane w prawym górnym rogu dokumentu zwanego Totenmeldung oraz w kancelarii do księgi zwanej Hauptbuch. Taki jest porządek rzeczy.

– *Los, los, dalli, dalli...* bolszewickie psy!

Tłum kłębi się na odcinku ponad stu metrów. Śnieg na drodze jest w tym miejscu udeptany, twardy, śliski. Biegną bezsensownie, ciało przy ciele, nie ma gdzie wyprzedzić, nie ma dokąd uciec. Przed dwunastym barakiem harmider i tupanie przecina potworny charczący okrzyk. Mężczyzna pada jak ścięty, z otwartej czaszki wycieka mózg. Około piętnastu kolejnych upada na niego i tarasuje drogę. Próbuje wstać, żeby nawałnica ich nie zdeptała, jednak wrzeszczący i wyjący tłum pędzi jednostajnie, mężczyźni skaczą i depczą po leżących, potykają się i upadają, rośnie stos skamlących i jęczących ciał.

– Wstawać, wy leniwe świnie, *los!*

Wielu udaje się przebiec. Kilku zrzuca drewniaki, inni je zgubili, ale na bosaka łatwiej biec. Śnieg nie chłodzi, tylko pali jak rozbuchany ogień.

Już ponad pięć tysięcy przedarło się przez niszczycielski szpaler esesmanów i teraz znów stoją koło baraków jako widzowie, tylko że piątkami, w drewniakach lub boso. Około dwóch tysięcy znajduje się jeszcze rozproszonych na drodze, pozostali wciąż stoją przy bramie, przestępują z nogi na nogę, podskakują, przygotowują się na *Parademarsch*. Chuchają na końcówki palców i dłonie, po czym trą odmrożone uszy. Ci, którzy jeszcze nie stoją w piątkach, gwałtownie machają rękoma, przyspieszają podskoki, rozcierają dłonie od środka i z wierzchu, łokciami pocierają korpus. Stoją od ponad czterech godzin i marzą wyłącznie

o tym, by znaleźć się już gdzieś przy końcu szpaleru, z dala od uderzeń, esesmanów i nieustająco szczekających psów.

– Człowieku, ugryź psa!

Człowiek stał się psem, ale pies nie stał się człowiekiem.

Wilczur zrozumiał rozkaz, sierść mu się zjeżyła, szczeknął. Jest dobrze wyćwiczony, reaguje niesamowicie szybko. Wściekle szarpie za smycz. Ten i pozostałe psy zostają puszczane, rzucają się na nogi, skaczą po więźniach, drapią i gryzą, zwłaszcza tych w pasiakach. Ci drażnią je najbardziej, przeciwko nim odbyły tresurę. Więźniowie w pasiastych łachmanach odskakują ze strachem.

– Ha, ha, ha, wspaniale, człowieku, jeszcze! – zachęcają psy rechoczący esesmani.

Więzień, który ledwo zdążył wyrwać rękę z łapczywego pyska, wpada na sąsiada, ten na następnego. Upadają z przodu i z boku, a lecąc w dół, ciągną za sobą następnych.

– Ha, ha, ha! Jeden, dwa, trzy, sześć, dziewięć. *Volltreffer!* Ha, ha, ha...

Dwa lata temu zadowalali się skromniejszą rozrywką. Do zabawy wystarczał im nawet jeden. Zabawa była do niczego, jeśli ofiara skołała z dumą. Nabierała rumieńców, jeśli więzień błagał o życie. Dziś już nie ma czasu na jednostki. Przed Rzeszą stoją tylko wielkie zadania, a Reichsführer SS wyznaczył im tylko wielkie cele. Jak daleko by zaszli, gdyby brali bękartów pojedynczo? Przymiotnik *Gross*, który przyklejono do *Deutschland*, wyraża wielkość, ogrom, masowość. Wszystko, co Reichsführer, Reichssicherheitshauptamt, Geheime-Staatsspolizei i Reichsanwaltschaft czynią dla ocalenia czystej germańskiej rasy, jest wielkie, ogromne, masowe. Zyski, kradzież, aresztowania, mordowanie i palenie.

– *Los, los*, wy przerośnięte psy!

Taka zabawa nie zdarza się co dzień. Nie zawsze dadzą im na nią tylu więźniów. Führer i Reichsführer zabawiają się w Berchtesgaden, nad Jeziorem Bodeńskim czy w Garmisch-Partenkirchen i na olbrzymiej mapie wykreślają całe narody. Tych tutaj Rzesza wysłała do Auschwitz, gdzie dowództwo koncentruje te narody po kawałku. Nawet im, szeregowym funkcjonariuszom SS, należy się przecież zabawa, wykreślanie, masowość.

Ostatnimi czasy chodzą wściekli, bo mają częstsze służby. Od osiemnastu do dwudziestu czterech godzin na nogach, trochę odpoczynku i znów służba.

Masowość zaczyna wyczerpywać. Wyżywienie się pogarsza, przydział papierosów został obniżony. Wszystko dla frontu, taka jest kolej rzeczy. Ale i tak jest tu lepiej niż na froncie. Na froncie zdychają też przedstawiciele czystej rasy, tutaj rasa się trzyma, nie umiera.

– *Dalli, dalli*, Bóg was opuścił, zgubiliście się mu! Ha, ha, ha...

Kiedy pierwszy raz założyli mundur z oznaczeniem elitarnych jednostek, byli już wystarczająco wyćwiczeni i doskonale znieczuleni. Tacy tu przyjechali. Z czasem znieczulili się też ci, którzy nie założyli esesmańskiego munduru dobrowolnie. Fanatyzm, dryl i śmierdzący spirytus degenerują. Teraz dostają go w większej ilości. Spirytus może wszystko – zalewa robaka w sumieniu, przegania empatię, żywi potężną siłę, odwagę i ślepe posłuszeństwo zbrodni.

– *Dalli, dalli, los!* Nie jesteście na szwancparadzie!

– *Los, los*, tam z przodu czeka na was Jehowa, *los!*

Bez żelaznej dyscypliny nie ma zwycięstwa, mawiają Führer i Reichsführer SS tym goliatom. Goliatami są też dziś, ponieważ jest ich wielu, w rękach trzymają bicze i pałki, pistolety i karabiny, a na smyczach rozwścieczone wilczury.

– No, *los*, hopla, hop, hop, hop! Ha, ha, ha...

Jeden esesman z jednej, a drugi z drugiej strony wyciągają poziomo pałki i na wysokości czterdziestu centymetrów zagradzają nimi drogę. Nikomu nie uda się przeskoczyć. Chcą przejść pod spodem, upadają, a ciosy sypią się dalej. Nawet wśród tego potwornego wrzasku wyraźnie słyhać pękanie żeber, łopatek, rąk, nóg, kręgosłupów i kości czaszki.

Niesamowite, jak nieugięte jest życie ludzkie. Jak szybko działa człowiek, nawet z połamaną ręką, zwichniętą nogą, rozbitą głową i pogryziony przez wilczury, kiedy wisi nad nim pałka, którą wymachuje dobra wola Rzeszy.

– Heeej, Hans, patrz na tego wyrośniętego! – drze się zdyszany esesman do swojego kolegi z naprzeciwka. – Ten siłacz mnie drażni, muszę go dorwać!

Kolba karabinu gwałtownie leci w stronę czaszki wysokiego Holendra, o głowę wyższego od pozostałych. Chce ją zatrzymać obiema rękoma, odepchnąć na bok i uciec, ale Hans zamachnął się karabinem z nasadzonym bagnetem. Holender zgina się wpół i upada u stóp oprawcy. Wilczur na smyczy się szarpie, Hans go puszcza, ale po chwili mówi:

– Człowieku, nie męcz się. Ten kundel i tak jest już całkiem *kaputt*.

Jękliwie i długo gwizdże lokomotywa. Chwilę później odzywa się ostry pisk przy bramie.

– SS... naprzód! – szybko roznosi się rozkaz komendanta.

Wrzawa nagle cichnie, słychać tylko jęki, lament i charczenie. Więźniowie, którzy właśnie biegli po drodze, teraz idą. Ci przy bramie przestali podskakiwać.

Esesmani poprawiają sobie kołnierzyki, czapki, zaciskają pasy, poprawiają poły płaszczy, strzepują śnieg i krew z butów.

– Wystarczy, kolego, na dziś wystarczy – uspokajają wilczury. Ten i ów jeszcze kopie więźniów. – *Auf Wiedersehen, du Scheissker!*

Więźniowie się nie ruszają, nie odskakują; kopnij sobie, kopnij, kurwi synu. Kroczą powoli, a oddychają szybko. Trzymają się za głowę, krzyż i kuleją. Niektórzy plują krwią.

Podoficerowie i esesmani z psami dziarsko przechodzą przez bramę. Niektórzy skręcają do czterech murowanych budynków, inni do esesmańskich koszar, pozostali spieszą w stronę rampy, gdzie przed chwilą kwiliła lokomotywa.

Drogę i jej okolicę ogarnia cisza.

Między dwudziestoma sześcioma barakami stoją więźniowie w równych piątkach. To, co tu jest dumnie nazywane ceremoniałem, dobiegło końca.

– Sto sześćdziesiąt cztery tysiące dwieście dwa!

– Tu!

– Czterdzieści osiem tysięcy sześćset trzynaście!

– Tu!

– Sto trzy tysiące czterysta jeden!

– Tu!

Przed każdym barakiem jeszcze raz kontrolują stan osobowy. Wywołują numer za numerem, jeden po drugim. Dokładnie według kart ewidencyjnych. Jeśli ktoś się nie zgłosi, odkładają kartę na bok. Numer leży gdzieś na drodze, w rowie albo za którymś barakiem, sztywny, nieżywy. Ale żadnego nie może brakować. Trzeba go przynieść, liczba musi się zgadzać. Obozowe masy żyją i upadają z żelaznym porządkiem.



Dziewięcioosobowe grupy zostają wybrane z tłumu przed barakami, martwych trzeba przynieść, położyć tam, gdzie stali rano, doliczyć do stanu. Nikogo nie może brakować. Jeśli kogoś brakuje, to znaczy, że postanowił uciec. Takiego trzeba dostarczyć z powrotem, prawda, nieruchomego, i rzucić w miejsce, gdzie stał. Nikt nie może zgubić się Rzeszy. Masowość wymaga matematycznej precyzji, bez niej nie można budować fundamentów tysiącletniej egzystencji absolutnie czystej rasy.

Więzień z kartami ewidencyjnymi brakujących oraz jego ośmiu kolegów przewracają leżące tu i tam dziwnie poskręcane ciała, skrupulatnie sprawdzają numery. Od nich z baraku – nie od nich z baraku. Tak, ten jest nasz. Dwóch łapie ciało za ręce, dwóch za nogi, biorą je na ramiona – tak jest lepiej, przynajmniej go nie widzą – i spieszą do baraku. Nie zgubił się, mamy go, kolejny do rejestru.

– Martwy już nic nie czuje – pouczali ich esesmani, kiedy za pierwszym razem nowi wzdrali się złapać trupa.

Znów idą w miejsce, gdzie szalała brunatna wichura. Schylają się, sprawdzają numery na łachmanach, łachmany są zakrwawione i poszarpane, sprawdzają numery na przedramieniu, obracają zimne ciała, upuszczają je na ziemię jak polana, dźwigają, odnoszą. Robią to zręcznie, szybko, ponieważ ludzie stoją przed barakami i umierają na stojąco. Im później uzupełni się ewidencję, tym dłużej wszyscy będą stać, tym więcej ich ubędzie.

Minęło siedem godzin, od kiedy zapędzono ich z pracy do klatek.

Na udeptanej drodze nie ma już nikogo, wszystkie numery zostały przyniesione. Wirujący śnieg osiada na drewniakach, czapkach, przeróżnych łachmanach, kubkach, blaszanych miskach, manierkach, drewnianych i blaszanych łyżkach, na zębach i protezach zębowych, przykrywa skrzeplą krew. Ale widmo wciąż jeszcze wisi nad tą klatką, bo paru Blockführerom nie zgadza się ewidencja. Tłum stoi zatem na baczność i czeka. Około dwunastu tysięcy piątek na terenie, który zaorany i obsiany mógłby spokojnie wyżywić małe miasteczko.

– Zgadza się? – pyta przed dziewiątym barakiem Blockführer Lausmann. Jest chudy jak chart, ma długie silne ręce, spod górnej wargi wystają mu trzy żółtawe zęby.

– Tak. – Karol, pisarz w baraku, podaje mu zeszyt.

Lausmann rzuca okiem na listy i z odrazą zgniata papier.

Zachowanie Lausmanna zdumiało Karola. Stojący obok blokowy Kozłowski ze zdziwieniem podnosi brwi. Takiego Lausmanna nie znają. Zawsze liczył z góry i z dołu, dodawał żywych i martwych, następnie odejmował martwych od żywych, cztery razy, pięć razy, ostrożnie i dokładnie, i niemal nigdy nie zapominał zaznaczyć, że w podległym mu baraku jest i zawsze będzie bogiem dokładności, a kto ją naruszy, tego niech diabli biorą. Lausmann zabrał już wielu. Nie tak dawno kazał zakopać po piersi trzydziestu więźniów i potem z kilkoma esesmanami jeździł po nich konno, dopóki z ich głów nie została bezkształtna masa.

Teraz milczy, a Karolowi i Kozłowskiemu cierpie skóra, bo Lausmann jest kapryśny, nieobliczalny i bardzo złośliwy, a w tej chwili wygląda, jakby coś go bardzo trapiło.

– *Scheisse, das Ganze!* – wybucha nagle. – Wszystko do dupy, wszystko zasrane! – Usta wykrzywiają mu się w cierpkim szkaradnym uśmiechu. – *Scheisse!* Że niby za ojczyznę. *Verfluchte Ostfront!* – Znów spluwa.

Zaskoczony Karol wybałusza oczy, Kozłowski nie wie, jak się zachować. Lausmann wyciąga z kieszeni saszetkę, a z niej fotografię i wciska ją Kozłowskiemu. Na froncie zginął mu syn. Jedyne dziecko! Miał dwadzieścia jeden lat. Niewinne dziecko.

Lausmann jest jeszcze bledszy niż zazwyczaj i bardzo przybity. W tym momencie wszystko zmieniło się w nieskończoną kupę gnoju, wszystko mu zbrzydło, straciło sens.

– Wszystko to jedna wielka kloaka – mówi sucho. – *Heldentod* też. Patrzcie, jaki był przystojny!

Kozłowski i Karol patrzą na zdjęcie. Jasne włosy, podłużna twarz, ostry nos i złe, surowe oczy, cyniczny uśmiezek na ustach. W mundurze.

– Taki chart jak jego ojciec. Esencja czystej krwi – mamrocze po polsku Władek, podszedł do nich po cichu. Kozłowski patrzy na niego gniewnie i ze strachem, więc Władek od razu dodaje po niemiecku: – Tak, tak. Bardzo przystojny. Ideał kobiet. Za takim panny szaleją.

– Mama patrzyła w niego jak w obrazek – mówi Lausmann. – Boże, jak Ilse się dowie, straci zmysły. Przeklęty front wschodni...

Przy bramie stoi komendant obozu Birkenau SS-Obersturmführer Johann Schwarzhuber z dwoma oficerami sztabu. Schwarzhuber jest wysokim, szczupłym mężczyzną z ostrymi rysami wychudzonej twarzy. Jego ruchy są szybkie, energiczne, chodzi lekko i sprężysto, podczas marszu delikatnie nachyla do przodu górną część ciała. Twierdzi, że należy do bawarskiego rodu szlacheckiego, ale w dokumentach brakuje mu „von”. Birkenau przejął dwa lata temu. Od tego czasu obóz zyskał przydomek „wzorowy”, a Schwarzhuber miał liczne okazje do nauczania esesmańskich wycieczek z Buchenwaldu, Dachau, Bergen-Belsen, Mauthausen, Ravensbrück, Flossenbürga, Natzweiler, a nawet z Sachsenhausen, gdzie rozpoczął karierę jako Blockführer.

Schwarzhuber patrzy na pięć zaśnieżonych krzeseł ustawionych w rzędzie około dwudziestu metrów od bramy, niedaleko pulpitu dyrygenta. Po chwili rusza w ich stronę. Przy każdym się zatrzymuje, każde uderza trzcinką.

– Już są poskromieni, całkiem poskromieni. – Słysząc jego gardłowe „r”, twarz ma zagadkowo chłodną. Szybko wraca do bramy i znów spogląda na krzesła.

Na krzesłach nieruchomo siedzi pięciu mężczyzn ze spuszczonej głowami, dwóch w pasiastych łachmanach i trzech w cywilnych ubraniach. Chcieli uciec. Zatrzymał ich grad strzałów w plecy.

Dla ostrzeżenia i zastraszenia ponad dziesięć tysięcy więźniów musiało obejść i pozdrowić tych pięciu. Dla ostrzeżenia i zastraszenia kolejnych pięćdziesiąt tysięcy musiało stać w klatkach naokoło.

Siedem godzin i kilka minut upłynęło od chwili, w której jęk syreny alarmowej oznajmił ucieczkę pięciu więźniów.

Komendant obozu Johann Schwarzhuber odwraca się na pięcie i odchodzi. Korpulentny oficer sztabu spieszy za nim, do stolika podchodzi SS-Oberscharführer Palitzsch.

Ale odliczanie trwa.

Ponad dwanaście tysięcy piątek wciąż jeszcze stoi w olbrzymim kompleksie obozów zajmujących czterdzieści kilometrów kwadratowych, oddzielonych drogami i polami, poprzecinanych głębokimi rowami, płataniną mniejszych fos i kanałów. Sześćdziesiąt tysięcy panoptikum w kilkudziesięciu klatkach wśród setek ponurych murowanych i drewnianych baraków oraz gęstego ogrodzenia, wysokiego na trzy do czterech metrów. Któryś więzień to kiedyś policzył

w niedzielę: trzynaście kilometrów fos i kanałów, szesnaście kilometrów płotu z drutu kolczastego, trzy tysiące betonowych słupów i sześćset dwadzieścia baraków otoczonych dwustu pięćdziesięcioma wieżami strażniczymi; czyhają na nich strzelcy wyborowi z pistoletami i karabinami maszynowymi. Ale spokojnie mogło być tego więcej.

Ponad dwanaście tysięcy piątek stoi, gdyż przed pięcioma barakami wciąż jeszcze liczą. Meldunki o stanie z dwudziestu jeden baraków esesmani już przekazali przy stoliku komendanta, którego w tej chwili zastępuje SS-Oberscharführer Palitzsch, słodka nordycka twarz z dowolnego nazistowskiego filmu.

Tłum charczy i lamentuje, zdrowi podpierają okaleczonych, wszyscy trzęsą się z zimna, nie mogą doczekać się końca liczenia.

Na dzisiejszym apelu nie mogli stanąć dowolnie, gdzie kto chciał. Stawali według numerów wywoływanych z kart ewidencyjnych. Mało kto wie, obok kogo stoi. Poza tymi, którzy przyjechali tu dwa, trzy dni temu, prawie się od siebie nie różnią. Naturalne ludzkie znaki szczególne zostały starte przez głód i choroby, brak snu i przerażenie tysiąckrotną śmiercią. Wszyscy są skurczeni, wysuszeni i wychudli, fioletowi na twarzy. Gałki oczne wybałuszone, oczy bez żywego blasku, szkliste. Oddech mają świszczący, charczą, kaszlą, plują krwią, we wszystkich życie ledwo drga. Z drewniaków lub butów wystają strzępy szmat, ale z wielu nie wystaje nic prócz cienkich, kanciastych, zbielałych kości obciążniętych zsiniałą skórą. Nogi starają się za wszelką cenę utrzymać nad ziemią chwiejące się życie. Na kościstych członkach wiszą połatane, zakrwawione spodnie i marynarki, na nich przeróżne trójkąty i, oczywiście, numery. Dziesiątki rodzajów łachmanów, cywilnych, pasiastych, wojskowych. Na plecach wojskowych mundurów niedostatecznie zeskrobane wielkie białe KG, *Kriegsgefangene*. Wojskowe łachy mają teraz na sobie także rosyjscy więźniowie cywile, bo są cieplejsze i porządniejsze. Rosyjskich jeńców ostało się tylko kilku. Z tych pierwszych dwunastu tysięcy.

Pozostali leżą na ziemi. Pasiaste łachmany, numer i twarz nie do rozpoznania. Pada śnieg. Leżą dziesiątkami, głowa obok nóg, nogi obok głowy. W jednym rzędzie pięć głów i pięć par nóg. Porządek wymaga precyzji, w ten sposób łatwiej przeliczyć numery, prawdopodobieństwo błędu spada niemal do zera. Leżą

z otwartymi ustami, woskowi, sztywni, bosi, widać mieli lepsze buty niż wielu z tych, którzy przeżyli ceremoniał i dzisiejszą pracę. Kieszenie mają powywracane, podszewkę wyrwaną, martwi już jej nie potrzebują, szkoda każdego skrawka materiału, bo przecież można nim ogrzać półżywe ciało. Usta otwarte lub sztywno zamknięte, twarze wykrzywione, zniekształcone śmiertelnym skurczem, większość bezzębna, wokół ust czarny osad po spalonym chlebie albo węgla, wargi zsiniałe lub fioletowe. Niektórym jeszcze w słabiuteńkich falach nieregularnie nadymają się żołądki.

Gdziegdzie rzędy stoją już tylko czwórkami. Co rusz pod kimś załamują się nogi i upada. Uderzenie jest mocne, dźwięczne, to uderzenie kości o twardą, zamarznąłą ziemię. Pomagają mu wstać, podpierają go, czasem czują, że zamarza im w rękach. Jeśli nie może już stać nawet z pomocą innych i o ile życie w nim jeszcze choć odrobinę pulsuje, zanoszą go pod barak i opierają o ścianę. Jeśli „nie oddycha”, kładą z tyłu do leżących, głowę obok nóg albo nogi obok głowy. A ci, którzy go zanieśli, mówią:

– Chyba już nie oddycha.

Nikt nie sprawdza dokładnie, czy śmierć była definitywna, biologiczna.

– Kanada wraca...!

Wiadomość o nadchodzącej Kanadzie błyskawicznie rozchodzi się po całej klatce. To jak delikatny prąd elektryczny, każdym potrząśnięciem skupi uwagę każdego. Głowy obracają się w kierunku drogi i bramy.

– Może skończy się to mordercze stanie – mówi Paweł, raczej po to, by pocieszyć innych, bo sam w to nie wierzy.

Główną drogą za drutem kolczastym idzie grupa więźniów. Przy bramie zostają zatrzymani i przeliczeni z obu stron. Oberscharführer Palitzsch obserwuje liczenie, kiwa słodką twarzą, dokładnie, trzydzieści szeregów po pięciu to sto pięćdziesiąt, tyłu ich wyszło i tyłu wróciło. Jeszcze przeszukać.

Przeszukują zatem i po chwili meldują Palitzschowi:

– W porządku. Nic nie mają.

Od obiadu pracowali na rampie. Chodzą tam codziennie, oni i jeszcze stu pięćdziesięciu innych. Opróżniają wagony towarowe, niemal za każdym razem tyle samo, co najmniej trzydzieści. Jak tylko SS odmaszeruje z żywym ładunkiem do

komór, zaczynają wynosić bagaże. Ludzie, którzy wysiedli z wagonów, nie będą ich już nigdy potrzebować.

Kanada jest dziś bardziej zmęczona niż zwykle. Tych stu pięćdziesięciu spędziło całą noc na rampie i w magazynach, a dziś od obiadu opróżnili dwa pociągi. Idą chybotliwym krokiem, z uczuciem wstydu i nieokreślonej winy wbijają wzrok w ziemię. Mają na sobie czyste pasiaki, skórzane buty. Ich sylwetki są stosunkowo obłe, jedzą więcej, niż dostają z przydziału. W pracy mają kontakt z bagażami, z bogactwem, dlatego pozostali więźniowie nazywają ich Kanadą. Kanadą nazywają też dwudziesty barak, w którym śpi to szczególnie sytuowane komando. Nazwa tak się przyjęła, że używają jej również esesmani.

– Wycofać strażę! – odzywa się ostry, szarpany głos Oberscharführera Palitzscha i dziesięć tysięcy głów w klatkach lekko faluje. Słychać długie charczące westchnienie ulgi.

Wycofać strażę... To znaczy, że wszędzie się doliczyli. Zazdrosne spojrzenia odwracają się od dobrze odżywionej Kanady, niech szlag trafi idiotów, którzy podczas liczenia zapomnieli o tych pięciu na krzesłach, grunt, że już po wszystkim. Za chwilę pewnie dostaną chleb. Najedzą się, a potem będą mogli dreptać, wymachiwać rękami, nogami, ogrzewać zeszywniałe z zimna ciała, wreszcie wejść pod koc.

Dookoła słychać tupot, szum i wrzawę, sąsiednie klatki pustoszeją, numery wchodzą do baraków.

Tak kończy się to, co tutaj nazywa się *nochmals Appell*, tym razem z dodatkiem ceremoniału.

Nie dotyczy to jednak klatki, w której dziś odbył się ceremoniał. Więźniowie niemal zamierają z przerażenia.

– *Zulage!* – słyszą Palitzscha. – Jeszcze godzina! Cała sekcja! Wszyscy! Możecie to potraktować jak mszę za tych pięciu. Ale będzie lepiej, jeśli potraktujecie to jak ostrzeżenie.

Jeszcze godzina...! Nieprzyjemny, rwany głos spada na tłum jak gigantyczny młot. W powietrzu niesie się niskie pomrukiwanie, jęki, szloch. Jeszcze sześćdziesiąt minut. Po podwórzu gwizdże zimny wiatr, unosi śnieżny pył, chłód przenika do kości.

– Świnie tyfusowe! Pierdoleni mordercy! – klnie Władek przed dziewiątym barakiem. – Niech ich już wszystkich cholera weźmie!

– Amen – dodaje Karol.

Wycofano zewnętrzne strażę, zostali tylko ci za drutem kolczastym, tuż za zamieszkanymi klatkami.

Jedna minuta, dwie, trzy... Zdaje się, że sześćdziesiąt minut upłynie w stopniowo narastającym cierpieniu, ale bez szczególnych niepokojów, zupełnie normalnie. Że przed każdym barakiem jeszcze kilku więźniów zamarznie, wykrwawi się; że kilku odniosą pod baraki i oprą o ściany, a kilku dołożą do leżących, głowa obok nóg, nogi obok głowy; że Śmierć już się zmęczyła i nie zdobędzie się na nic więcej niż przerzedzenie szeregów w klatce, którą tresują „najlepsi mężczyźni germańskiego rodu, czołowa, silna i żywotna warstwa niemieckiego ludu, najlepszy, wybrany materiał ludzki absolutnie czystej rasy”. Ale tak nie jest. Do bramy podchodzą esesmani, jest ich trzydziestu, na smyczach ciągną wilczury. Prowadzi ich SS-Unterscharführer Hänecke, niski mężczyzna z szeroką pierśią, spuchniętą twarzą i dziwnie niskim czołem. Już od bramy krzyczy:

– Sonderkommando! Sonderkommando...!

Sonderkommando, komando specjalne. Wszystkie są specjalne, ale to najbardziej. Więźniowie z tego komanda kładą się spać w ubraniu, ściągają tylko buty. Muszą być zawsze przygotowani.

Niemal wybiegają z trzynastego baraku, ustawiają się szybko i bez słowa, po czym w trzydziestu szeregach wymaszerowują przez bramę. Krok mają ciężki, twardy. Są wyrośnięci, potężni, silni. Takich wybrali Niemcy i takimi chcą ich przynajmniej chwilowo utrzymać. Dają im więcej zupy, więcej chleba i więcej marmolady niż innym. I wolno im palić. Ich miejsce pracy znajduje się niedaleko, około dwustu kroków za bramą. Pracują pod dachem, w ciepłe. W środku wynoszą z łaźni sztywne, opuchnięte, fioletowe ciała i wrzucają je do pieców. Właśnie teraz pod prysznicami leży tysiąc pięciuset sztywnych Holendrów. Przyjechali po południu, dziadkowie i babcie, synowie, córki, wnuki i wnuczki, siostry i szwagrowie. Nie oszczędzono nawet cennych specjalistów. Zagnano wszystkich pod prysznic, upchnięto jak sardynki na dwustu dwudziestu metrach kwadratowych i spuszczone na nich deszcz kryształków cyjanowodoru. Tysiąc pięciuset, co najmniej tylu przyjeżdża jednym pociągiem, teraz nawet dwa, trzy razy dziennie. „Chemicy” i „matematycy” w sztabie Himmlera wyliczyli, że kilkumilionowy

naród można w stosunkowo krótkim czasie przemieścić na kilka metrów kwadratowych pod prysznicami w Auschwitz, a stamtąd do pięciu krematoriów z pięćdziesięcioma dwiema retortami. W każdej z nich szczątki trzech osób znikną w ciągu dwudziestu minut. Dwa miliony czterysta tysięcy rocznie.

Z komandem specjalnym chodzi wzmocniona straż. Trzydziestu mężczyzn czystej krwi z trzydziestoma wilczurami czystej krwi. Tych trzydziestu z psami tworzy łańcuch wokół krematorium, gdzie „pracuje” najszczególniejsze komando. Dziś zostaną tam aż do rana, a po ich odejściu komora gazowa znów będzie godną zaufania łaźnią opatrzoną obcojęzycznymi napisami.

Dziesięć tysięcy ludzi w klatce dopada coraz cięższa depresja, brak wiary wykrada z ciała i duszy wszystko, dzięki czemu jeszcze nie postradali całkowicie zmysłów, zachowali resztki nadziei i zdolność do snucia najskromniejszych wizji. W czym utkwic wzrok? Dokąd patrzeć, by zarazem nie dostrzegać niewymownego nieszczęścia, grozy i śmierci? Na którąkolwiek twarz spojrzysz, widzisz siebie. Siebie i rzeczy wyliczone z naukową precyzją i stworzone po to, żeby ciebie nie było, żeby wieczorem mogli cię doliczyć do ewidencji, a potem z niej definitywnie skreślić. Na co patrzeć?

Na betonowe słupy, kołyszące się na boki białe zjawy, gdy przybliżają się do ciebie i znów oddalają? Na ich końce, wygięte do środka klatki w ten sposób, że wyglądają jak szubienice? Na gęste pasma podwójnych drutów, którymi płynie śmierć? Czy ponad druty, na wysokie drewniane słupy z wieżami strażniczymi? Na lśniącą stal pistoletów i karabinów maszynowych przygotowanych do wystrzału w rynnach obrotowych podstaw? Na ludzi stojących wokół?

Niedaleko ciebie pod kimś załamały się nogi, słyszysz twardy upadek, dwóch mężczyzn wnosi trupa, odwracasz wzrok. Naprawdę, na co tu patrzeć? Na olbrzymią kulę, która oświetla całą drogę między barakami? Czy na reflektor pod wysoką główną wieżą, który w regularnych interwałach zalewa światłem wszystkie klatki i drogi? A może na tysiące świateł i światełek, które jaśnieją i błyszczą gęsto obok siebie na ogrodzeniu? Prawda, wszystkie te światła i światełka znikają, jeśli spojrzysz się na północny wschód.

Z czterech kominów na zmianę i równocześnie z potwornym sykiem i hukiem buchają oślepiające płomienie. Błękitnawego i zielonkawego początku i końca ognistych języków nie widać, wylatują i unoszą się do góry, jakby ktoś je wciągał



i wyciągał. Wybuchają gwałtownie, chwilami bardzo wysoko, może swoimi językami chcą spalić też kogoś na górze. Wybuchają i potwornie jęczą, krzyczą i syczą; ich dźwięk połyka wszystko, dociera wszędzie, nawet do wnętrz ludzi w klatce, w których jeszcze leciutko drży i wysila się słabiutkie życie. Płomienie oślepiają, kwilą i łomoczą, piszczą i wywołują potworne obrazy. Mrużysz oczy, ale błyski są demonicznie silne i gwałtowne. Przenikają przez opuchnięte powieki i czasami odnosisz wrażenie, że czujesz ich niszczycielski żar. Możesz się odwrócić, patrzeć zupełnie gdzie indziej, odejść kilka kroków, ale zawsze pozostaniesz w zasięgu czterech ognistych masowych morderców.

Czy to możliwe? Czy to prawda? Nie, to nie może być prawda, to tylko straszny sen. Nie jestem tutaj, jestem w innym miejscu, gdzieś daleko, a tam nie widzę nic, zupełnie nic, tam nie ma ani słupów, ani baraków, ani drutu kolczastego, tam jest tylko przestrzeń, nie ma w niej w ogóle nic, nawet ludzi, tylko opuszczona, pusta przestrzeń.

Od pierwszej minuty „Zulage” Karol zmusza się, by myśleć o czymś innym. Nawet w towarzystwie Pawła, w niczym towarzystwie, nie udaje mu się uniknąć przytłaczających i desperackich myśli.

– *Qu'est ce que ça?* – słyszy za sobą głos Saula.

Greki przyjechał tu przed czterdziestoma ośmioma godzinami. Przywiózł ze sobą grecką chałwę, figi i grube długie papierosy. Aż na rampę. Do obozu wniósł tylko żyłaste ręce, odciski, dwa złote zęby i malarię. W swoim kraju był robotnikiem portowym; kiedy czternaście dni temu w Salonikach zebrano ich w getcie, niemieckie władze zapewniały, że wszystkich tysiąc ośmiuset pojedzie do Anglii w ramach wymiany za internowanych jeńców niemieckich. Dlatego Saul i inni z grupy osiemdziesięciu ludzi, których Niemcy zostawili do pracy, wypytywał kogo popadnie, czy daleko stąd do kanału La Manche. Odesłali go do holenderskiego profesora geografii.

Kiedy nie odpowiadają, Saul myśli, że nie zrozumieli pytania. Pyta ponownie, wskazując głową słupy ognia.

– *Omnes eodem cogimur* <sup>[3]</sup> – spokojnie mówi Stanisław, jedyny ocalały z przedostatniego transportu polskich baptystów. Zawsze stoi jak posąg, Polacy nazywają go Charonem.

Saul powtarza pytanie, w końcu ktoś odpowiada:

– To są... sauny.

– Sauny?

Władek ze złością ruga ludzi stojących za nim:

– Jak nie przestaniecie, to komuś przyłożę. Przestańcie z tym gadaniem. Nie mieszajcie biedakowi w głowie, za parę dni będzie wszystko wiedział. Wy też nie byliście mądrzejsi.

Stanisław nie zna innego posłuszeństwa, innej dyscypliny ani prawa oprócz baptystycznych; wyciąga pół papierosa, zapala, bierze kilka machów i podaje Saulowi. Ten głęboko wciąga dym, chce oddać papierosa, ale Stanisław odmownie macha ręką.

– *Merci, merci* – dziękuje sympatyczny Grek i z radością dopala. Potem zwraca się do Władka, powoli duka słowa po niemiecku: – Dokąd poszli ci ludzie przed chwilą?

Chodzi mu o Sonderkommando, najszczególniejsze komando.

Władek chwilę się zastanawia, po czym odpowiada z namysłem:

– To są... Ach, unikaj ich, nie rozmawiaj z nimi, oni pracują w tajnych magazynach... są pilnowani.

Za barakiem, gdzieś przy latrynach, słycać strzał. Komuś znowu puściły nerwy, znów kulka zatrzymała kogoś w drodze do drutów.

Płomienie syczą, dudnią i gwizdzą, a wszystkie te dźwięki, z którymi buchają w górę, Karol odbiera jak wyzywający, straszliwy rechot. Tu jesteśmy my, tu rządząmy my! Nie kule, szubienice, psy, głód, dyzenteria, ropowice, wszczepiony tyfus, malaria, rak, wstrzyknięty fenol, rentgen i „Clauberg b3”, nie odurzająca „meskalina” w kawie i niezliczone narkotyki, tu rządząmy my, nienasycone kominy.

Tak, dzisiaj jeszcze rządzącie – w Karolu odezwał się mocny głos wewnętrzny. Z pewnością będziecie rządzić też jutro, pojutrze. Ale kiedyś was ktoś pozadusza, kiedyś ktoś rozbije was w pył. Może nas już nie będzie. Ale was też nie będzie, ani brunatnych z wilczurami i monoklami, nie będzie mężczyzn czystej krwi, najlepszej krwi rasy nordyckiej.

Czy tak się stanie? Na pewno tak się stanie. Och, dożyć tej chwili! Choćby wyniszczony, bez rąk, bez nóg, wszystko jedno jak, byle dożyć tej chwili z widzącymi oczami!

Minuty rozbiły się na tysiące momentów, a każdy moment trwa nieskończenie długo. Płomienie buchają, oświetlają niskie chmury i rzucają na tłum w klatce krwawe ogniste błyski.

Są wykończeni, to niewyobrażalny cud, że jeszcze stoją, ale stoją, opierają się o siebie, część przysypia. Wiedzą, że usiąść znaczy zamarznąć, mimo to wewnątrz szeregów niektórzy kucają i siedzą. Gdzieś buntuje się w nich życie, wstają i zaczynają prostować skostniałe ręce. Odrobinę się rozgrzewają, po czym znów siadają zrezygnowani. Stojący co rusz przymykają oczy albo przyciskają palce do uszu. Ale nie da się uciec od wycia i syku ognistych hien. Wdzierają się w ciało, przenikają całego człowieka, huczą i gwizdzą w nim nawet wtedy, kiedy kominy na chwilę cichną i wciągają płomienie do środka, aby z potwornym skowytom ponownie wyrzucić je ku ołowianym chmurom.

W takiej króciutkiej pauzie do uszu Karola dociera nowy dźwięk, długi i ostry gwizd lokomotywy.

– Boże!

– Znów, na Boga!

– Chryste Panie, czy ci skurwiele nigdy nie przestaną?

– Cicho! Cicho – mówi półświadomie Władek i z dziwnym wyrazem twarzy opiera się o Saula. – Mówię wam, bądźcie cicho! Na Boga, ani słowa!

Lokomotywa gwizdże całkiem blisko, trzydzieści wagonów z pewnością już stoi na ślepy torze, w pobliżu głównej arterii kolejowej.

Władek bierze się w garść, nie opiera się o Saula, w oczach iskrzy mu gorączka.

– Czy nie ma Boga albo diabłów, które wreszcie by ich zatrzymały? Powiedzcie, kto to zatrzyma? I kiedy? – Odwraca głowę i gorączkowym wzrokiem wpatruje się w górę, w niskie krwawe chmury. – Jeśli tam jesteś, Boże, zatrzymaj ich! Udowodnij, że tam jesteś! Boże, stworzyłeś świat, trochę dobra i kupę świństwa, a tych nie potrafisz zatrzymać! Zatrzymaj ich! Teraz, zaraz!

– Przestań – ucisza go Paweł. Łapie kolegę za rękę i trochę nim potrząsa.

– Władek, przestań. Źle z nimi, skoro tak się spieszą. Bardzo źle.

– *Qu'est ce que ça?* – pyta Saul.

– Katharsis, prawdziwe katharsis – mamrocze Władek.

– *Omnes eodem cogimur* – powtarza chłodno Stanisław.

– No idź, idź tam, skoro tak ci się chce, ty, ty... – syczy Władek na Stanisława. – Ty głupku, nic innego nie wiesz, tylko *cogimur, cogimur...*

Przed bramą czekają esesmani, stu pięćdziesięciu chłopców z dwudziestki maszeruje w ich stronę w równych piątkach. Razem pójda na rampę. Za godzinę, półtorej, opróżnią kolejnych trzydzieści wagonów i może skierują cały transport do komór pod prysznice. Zostaną tylko bagaże. Jedzenie, buty, ubrania, koce, zabawki, sprzęty i duże walizki w wagonach, przed komorami gazowymi pierścienie, obrączki, medaliony, brylanty, spinki, naszyjniki, kolczyki, szpile, broszki, platynowe, złote i srebrne zegarki, puderniczki, pióra, bransoletki, papierośnice, złote monety i obce waluty. Buty, ubrania, koce, zabawki, sprzęty i bielizna trafią najpierw do magazynów, a stamtąd, posegregowane – do Rzeszy. Cegielka dla Winterhilfe. Więźniowie powyrywają metki, to będą dary od serdecznych, wpływowych i bezinteresownych działaczy partii nazistowskiej. Klejnoty – ale już nie wszystkie – pojedą pod eskortą prawdziwych germańskich mężczyzn do SS-WVHA, Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS w Berlinie.

– Chciałbym być na chwilę wszechmocny, wszechwładny. – Władek przymyka oczy, bruzdy wokół ust jeszcze bardziej mu się pogłębiają. – Wiecie, co bym zrobił? Gówno wiecie – wścieka się. – Nic was nie obchodzi, tylko ciepło, kałduny i kiedy skończy się to stanie. To ja wam powiem. Poćwiartowałbym ich, pokroiłbym ich na kawałki i wrzucił do posolonego mocznika. To byłaby moja zemsta. No, już wiecie. Tak bym zrobił.

Ci, którzy blisko przysypiają i opierają się o kolegów, podnoszą głowy i trochę się ożywiają. Paweł chrypi:

– Szkoda soli i kwasu. Szkoda nawet moczu, nie? Przyda się ludziom na pola. Ja bym ich zostawił, żeby zdechli w tym, co wymyślili dla nas. Niepotrzebnie wymyślasz, nie ma nic gorszego...

– Sonderkommando! Sonderkommando! – rozbrzmiewa od strony bramy.

Mija króciutkich dwadzieścia sekund i kolejnych stu pięćdziesięciu z najbardziej szczególnego komanda już stoi na drodze przed trzynastym barakiem. Niemal równocześnie rozbrzmiewa kolejny rozkaz, ten najbardziej wyczekiwany:

– Wszyscy do baraków!

Minęło sześćdziesiąt pięć minut agonalnego transu, agonalnych skurczy.

W dwudziestu sześciu barakach równocześnie otwierają się drzwi. Śnieg przestał padać, robi się coraz zimniej. W otwartych drzwiach chłód zderza się z zatęchłym ciepłem, postaci wtaczające się do środka gubią się w gęstej siwej parze. Nareszcie nawet więźniowie z klatki, w której dziś szalał ceremoniał, znajdują się w barakach.

Tylko w trzynastce brakuje trzystu, a w dwudziestce stu pięćdziesięciu mężczyzn.

Na dworze została piątka na krzesłach, a przed barakami setki ułożonych w „szeregach” po dziesięciu, z głowami obok nóg i nogami obok głów. Tego marcowego wieczoru 1944 roku zbyt wielu zamarzło w szeregach i pod ścianami baraków. Mróz nie był ostry. Może meteorolodzy stwierdzili, że jest tylko minus piętnaście, może jeszcze cieplej. Ale w Auschwitz, miejscu niezaznaczonym na mapie, ludzie zamarzali nawet przy dziesięciu. Rtęć nie jest wymierna, kiedy brakuje krwi.

W dwudziestu sześciu barakach w klatce B-II D nastął zupełnie powszedni wieczór.

Koniec tego, co tu nazywa się *Zulage*.

## Wieczór niemal powszedni

Wszędzie wokół nastala północ, ale w klatce B-II D właśnie zaczyna się wieczór.

Również w dziewiątce wszyscy są już na swoich miejscach; opierają się o dwupiętrowe prycze, o dwa rzędy wzdłuż ścian baraku. Przestrzeń między rzędami rozdziela na dwie ciasne alejki wąski, długi na mniej więcej dwadzieścia metrów piec. Dwaj więźniowie ze służby dziennej w baraku, tak zwani sztubowi, rozdają w alejkach przydział chleba. Kiedy dawany jest chleb, wszyscy muszą być na swoich pryczach, nikomu nie wolno przejść z miejsca na miejsce ani wyciągnąć ręki dwa razy.

– Trochę zwawiej! – woła do sztubowych blokowy i gwałtownie trzaska za sobą drzwiami. Śpi oddzielnie.

Lewą alejką chwiejnie wlecze się Karol. Zmęczony, podpierając się, siada na ostatnim dolnym legowisku. Śpi tam Kaczmarek, nocna służba w baraku. Kaczmarek śpi w dzień, w nocy dba o porządek, pilnuje też, by w zakazanym czasie nikt nie przekroczył progu mocno oświetlonych z zewnątrz drzwi. To słabiutki mężczyzna, ewidentnie nie wytrzymałby już długo pracy pod gołym niebem.

Karol wbija łokcie w ścianę i opiera głowę na dłoniach. Przyciska palce do skroni, zamyka oczy, ale obrazy uporczywie wracają. Więźniom pękają kości; upadają połamani i martwi; stoją i się osuwają; siedzą i marzną; wilczury szczekają, a esesmani nikczemnie rechoczą. Wszystko to jasno widzi, słyszy, czuje, przeżywa, ponieważ jeszcze tli się w nim życie, ponieważ jeszcze żyje.

Widziałeś gorsze rzeczy, musisz wytrzymać, nie dręcz się, to już długo nie potrwa, co się stało, tego nie zmienisz. Ach, słowa są słabym opatrunkiem, ten opatrunek trzyma się tylko, dopóki nie zostaną wypowiedziane. Wiem, chcesz dobrze, Paweł.

Pięciu siedzących przy bramie już nie żyje. Pięciu starych, z zaskakująco niskimi numerami. Hansa przywieźli tu z Holandii, dokąd wyemigrował z Niemiec z całą

rodziną. Heini został zabrany z fabryki chemicznej Hermann Göring Werke koło Berlina, bo oskarżono go, że opowiedział jakimś prowokatorom o produkcji silnej trucizny. Mietka dorwali podczas łapanki w Poznaniu, ponieważ niedaleko miasta wyleciał w powietrze most razem z transportem wojskowym, który jechał na front wschodni. Zatrzymano wówczas tysiąc studentów. Daniel wcześniej był internowany w obozie Pithiviers, ponieważ podejrzewano go o kolportaż antynazistowskich ulotek w ważnym zakładzie lotniczym. A Fero, praktykant u handlarza drewnem z Dobšinej, trafił tu skądś z południowych Niemiec. Złapali go jesienią 1942 roku w wypełnionym tarcicą wagonie z awizem „Schweiz”.

Pięciu starych – i już ich nie ma. Razem mieli niespełna sto czterdzieści lat.

Jeszcze dziś rano rozmawiał z Ferem. Chłopak był spokojny, wesoły, ale męczyły go obawy. Dobrze to rozgryzłeś, Ferko? Zadbalesz o każdy szczegół? Ten facet mi się nie podoba. Boję się, że prowokuje. Zrozum: odejdzie z piątką, z piątką będzie musiał wrócić.

Nie kuś, nie zniechęcaj. Wszystko jest umówione, przemyślane. Pójdę... jak śmierć mnie nie zatrzyma.

I poszedł, poszła cała piątka: Fero, Heini, Mietek, Hans i Daniel. Prowadził ich esesman, słowacki Niemiec czy niemiecki Słowak z Dobšinej, kolega Fera z klasy. Jeszcze z bramy pomachał do Karola; był pewien, całkowicie pewien. Wierzył, że kolega nie zawiedzie.

„Bądź silna, moja droga, jedyna” – napisał Fero do kuzynki na świstku, a potem przekazał go Karolowi. „Jeszcze się zobaczymy, tylko z niczym się nie zdradź. Będę ci pomagał. Tysiąc razy cię obejmuję i całuję. Twój jedyny. Trzymaj się!!!”

Ponad siedemnaście godzin upłynęło od ich pożegnania. I około ośmiu od chwili, w której syrena alarmowa ogłosiła ucieczkę tej piątki.

Karol gryzie górną wargę, przyciska palce do skroni, ale jego umysł nieustannie odtwarza dwa obrazy, nie gasną ani na chwilę. Fero na zakręcie za bramą, machający Fero. Syrena alarmowa, krzyk esesmanów i szczekanie psów. Ceremoniał i pięć krzesel. Na jednym z nich Fero.

Fero?! Ciebie już nie ma? Boże, już nie ma! Nie ma też Heiniego, Mietka, Hansa i Daniela. Został tylko kurewski esesman z Dobšinej; za każdego z was otrzymał cztery dni i dwieście osiemdziesiąt osiem minut wolnego; trzy tygodnie wolnego plus wniosek o awans. Dlaczego nie uwierzyłeś, że to prowokacja? Że zdradzi. Że

wszystko robi po to, by wspiąć się na drabinie morderców o szczebel wyżej. Dlaczego?

Karol się wzdryga. A czy ci, którzy przyjechali tu z nim, Róbert, Laco, nauczyciel i Bubo (pół roku temu wywieźli go wraz z wieloma innymi do Warszawy, ponoć do porządkowania ruin), czy ci, którzy przyjechali tu miesiąc, tydzień temu, przedwczoraj, wczoraj, i ci, którzy teraz leżą przed barakami, nie byli ludźmi? To były kilometrowe zastępy, setki pociągów i tysiące ciężarówek. Ich też już nie ma. A tam przy bramie jest tylko pięciu. Tak, tylko pięciu, ale żył blisko nich, razem odganiał od siebie śmierć pod każdą postacią, razem zwijali się z głodu i kulili pod ciosami; byli tu od roku i dłużej, a takich nie zostało wielu.

Dziś do tych trzydziestu razy sto tysięcy doszło pięciu. Prawda, w trakcie ceremoniału padły też setki innych, ale śmierć tych pięciu jest szczególnie ciężka, bo zgasła nadzieja, że świat dowie się absolutnie wszystkiego o tym potwornym cierpieniu. Świat... Czy to możliwe, że jeszcze nie wie? Przecież ludzie dowiadują się nawet o małej fabryce położonej gdzieś w odległej krainie. Czy to możliwe, żeby świat nie wiedział o tym gigantycznym kompleksie zakładów, gdzie brunatni z matematyczną precyzją, naukową wiedzą i w całkiem zmechanizowany sposób mordują codziennie tysiące ludzi? Czy da się to ukryć?

Na darmo się zastanawiasz, na marne się zadrećzasz. Teraz nic nie wymyślisz i w żaden sposób nie sprawisz, by z tej klatki, otoczonej śmiercionośnym płotem i śmiercionośnymi wieżami, pilnowanej przez dwu- i czteronożne psy, przedostał się w świat chociaż jeden krzyk albo jęk przebudzenia. Ale czy na pewno się nie przedostał? Czemu zatem...

Karol wstaje, znów ma dreszcze, rozciera sobie czoło i powieki. Otwiera oczy i mruga. Na środku baraku pod dwoma słabiutkimi żarówkami stoi jakiś kościotrup. Głowę wzniosł ku lampom, ręce złożył na zapadniętej piersi, a palce splótł. Modli się. Trzy razy się kłania i znów unosi głowę do góry, szepcze prośby, a może też klątwy.

Chleb już rozdano. Nic więcej, tylko chleb. Trzysta gramów w taki dzień! Nie dali nawet dwóch–trzech deka margaryny. Jako nauczkę.

Karol patrzy na ludzi na pryczach. Odłamują kawałki chleba i przeżuwiają powoli. Chleb pęka, kruszy się, nie skleiłbyś go nawet końskim łajnem. Mężczyzna obok niego powstrzymuje łzy, dostał porcję bez dolnej skórki. Ten przed nim chowa chleb pod siennik i w tym miejscu trzyma dłoń; do rana niedaleko, następny



dzień nie będzie taki długi, a jemu zostanie cała porcja. Kolejny z wahaniem patrzy na pół porcji w rękach, zjeść czy nie zjeść. Tamten już zjadł, teraz przełyka ślinę i z zazdrością patrzy na tych, co jeszcze przeżuwiają. Saul jeszcze nie potrafi ocenić wartości chleba; na migi pokazuje komuś stojącemu między pryzkami, że odda mu chleb za papierosy. Obowiązująca cena wymiany to trzy sztuki za porcję. Ale lepiej niech tego nie robi w baraku, ten więzień z papierosami prawdopodobnie... Saul ostatecznie straciłby też papierosy.

Chleb...

Co wieczór odbierasz go trzęsącymi się dłońmi. Łapiesz pożądlawie i z wybałuszonymi oczami patrzysz, czy nie brakuje kawałka skórki. Chleb jest wszechmocny; chleb podtrzymuje w tobie dogorywający płomyk, życie. Zjadasz dziesięć–dwadzieścia gramów chleba, płomyk w tobie mocniej zabłyśnie, oczy odrobinę ci pojaśnieją i w żyłach przynajmniej przez chwilę popłynie trochę więcej ciepła. Okruchy chleba podniesiesz z kałuży i łajna, bez wahania wyciągniesz je z kieszeni martwego. Wyciągniesz śmiało i bez wyrzutów, bo dobrze wiesz, że tamten z pewnością postąpiłby tak samo; on też znał wartość chleba i ten czyn już dawno ze zrozumieniem ci przebaczył.

Obok Karola zatrzymuje się Herszek, sztubowy.

– Zostało czterdzieści jeden porcji – szepcze, a oczy dziwnie mu błyszczą. – Czterdzieści jeden porcji chlebusia. Czterdzieści jeden!

– Na dworze leży przecież tylko trzydziestu trzech...

– Borys z magazynu dał dwa bochenki więcej.

Przez chwilę patrzą na siebie.

– Idź spać, Herszek! Rano to załatwimy. Teraz daj mi spokój, idź spać!

Herszek coś mamrocze i wzrusza ramionami.

– Mówię ci, idź spać! Idź, chcę być sam!

Herszek odchodzi, ale wciąż mamrocze. Od szesnastego roku życia pracował w Warszawie jako dorożkarz. Teraz ma dwadzieścia pięć lat. Dorastał bez ojca i matki, skończył dwie czy trzy klasy, żadnego zawodu się nie nauczył, nie miał za co, a potem nie miał kiedy. Od czterech lat siedzi za nazistowskimi drutami.

Wielu już się położyło, ale liczni jeszcze się kręcą wokół długawego pieca. Piec jest zupełnie zimny, ale tak czy siak nie przestał być piecem, a oni kładą i wieszają na nim różne łachmany i szmaty: onuce, szale, chusteczki, nauszniki, ręczniki,

rękawice i bandaże, wszystkie podobne do siebie. Te łachy i szmaty mają wielką wartość: chronią przed zimnem, łagodzą bóle otarć i często okrywają poważniejsze rany. Mieszkańcy baraku stoją więc przy nich, nie spuszczaają swoich skarbów z oka. Przewracają je, pilnują na zimnym piecu w iluzji ciepła, a po chwili zabierają, zimne i wilgotne, i chowają pod siennikami. Sienniki obciążają swoimi czterdziestoma pięcioma, może pięćdziesięcioma kilogramami. Nikt nie waży więcej.

Karol opiera się o róg pryczy i patrzy na trzech więźniów pod wielką lampą z przodu. Grzeją się, wietrzą, ściągają koszule, przy świetle szukają i zabijają tyfusowe wszy. Obrzydlistwa, ile ich mam tylko pod pachą!

– Chcesz? – znów słyszy głos Herszka.

Współlokator proponuje mu papierosa. Karol powoli obraca go i zmiękcza. Grecki. Językiem zwilża wargi, ale w końcu odkłada prezent.

– Dziękuję, Herszek – mówi z wdzięcznością. – Dziękuję, idź, nic mi nie jest... Zapalę, gdy zasną.

Herszek po drodze do swojej pryczy mówi na obie strony:

– Kładźcie się, chłopcy! Idźcie spać! Kto was rano będzie budził?

Większość już leży, głęboko oddychają, chrapią, niespokojnie przewracają się z boku na bok i krzyczą przez sen. Dyzenterycy nie mogą spać. Jakimś cudem ktoś wygrzebał z pieca węgielek i teraz ogrzewa nim skórkę chleba; ponoć niczemu tak nie wierzą jak plotce, że przypalona skórka może zatrzymać biegunkę.

– Idźcie spać! – Kaczmarek pogania także chorych. – Biegunki nie oszukacie, snu też nie.

Dobrze jednak wie, że pójda spać dopiero, gdy węgielek całkiem wystygnie.

– Pan też niech się już położy – znów strofuje Karola, który ponownie siedzi na jego pryczy. – Za cztery godziny pobudka. Niech pan pójdzie po rozum do głowy i śpi!

Kaczmarek przed wojną pracował w urzędzie stanu cywilnego, został nawet radnym w swoim mieście i bardzo go tam szanowano. Żonę pochował w lasach blisko Sosnowca, gdzie przez rok ukrywali się razem z córką. Teraz też jest tu z nią, córka dwa razy dziennie przechodzi obok z komandem tkaczek. Esterka ma siedemnaście lat, jest piękna nawet bez włosów i w łachmanach, a on co wieczór

nie może doczekać się poranka, kiedy zobaczy ją przez drut kolczasty, w ciągu dnia zaś wieczoru, bo wtedy znów ujrzy, jak wraca z komandem do obozu kobiecego.

Kaczmarek obszedł obie alejki, Karol wciąż siedzi na jego legowisku.

– Dlaczego usiadł pan właśnie tutaj? Przecież... Och, mój Boże, znów tu śmierdzi jak w szambie!

Z kąta tylnej części baraku dolatuje odór zmieszany z zapachem chloru. Stoi tam wielki gar, wokół niego tłoczą się więźniowie, boso, niektórzy nawet bez majtek. Dyzenterycy, kościotrupy, prześwitujące kościotrupy. Kręcą się w miejscu, jęczą i przeklinają swoje nieszczęście. Trzęsą się od malarycznej i tyfusowej gorączki; niektórzy zostają przy garze, żeby nie musieli wracać. Do gara podchodzą z chlebem w ręce, z chlebem w ręce siedzą na garze, bo chyba by nie przeżyli, gdyby pod ich nieobecność ktoś wyjął im porcję spod siennika. Siedzą na garze i smutno patrzą na chleb. Po co mi on? I kto wyrwie mi go z ręki, gdy skonam? Ale trzymają go mocno, bo to jest chleb, a nasłuchali się już o przeróżnych cudach na świecie. Może rano wstaną i będzie lepiej. Może. Tymczasem idą usiąść na garze po raz dziesiąty, włoką się jak trędowaci, kołyszają, bełkoczą, wybuchają histerycznym płaczem i śmiechem, majaczą, a z ich mętnych oczu spogląda zimna śmierć. Przy garze się kłóca, odganiają, kilku zdobywa się na krzyk: „Pomóżcie, ratujcie!”. Kryje się w nim bezdenne desperacja i odważny bunt, wszyscy w baraku go rozumieją, niezależnie od języka, w jakim rozbrzmiewa.

Godziny tych ludzi są policzone, myśli Karol i kostkami dłoni przeciera oczy. Rano, kiedy rozstąpi się mgła, znów kilku będzie wisieć na drutach, poskręcanych i spalonych. Jeśli zdołają tam dojść. Och, po co patrzeć na to nieskończone nieszczęście? Po co, skoro nikomu nie możesz pomóc? Możesz go odprowadzić do gara, pomóc mu znów usiąść, przegnać innego, to wszystko na nic, dyzenteria jest silna, zostawia tylko skórę na kościach.

Choć jest zimno, obrzydliwe tłuste muchy gryzą i gryzie też smród. Karol siedzi w strefie najintensywniejszego odoru.

Wstaje i chwiejąc się, dociera do swojego pośłania.

– Mordercy! – słyszy francuski okrzyk z kąta baraku. – Morder...

Podbiega do zwijającego się na ziemi ciała. Przybiega też Kaczmarek. Francuza, profesora matematyki, kładą na pryczy. Biedak się trzęsie i chrapliwie szepcze:

– *Pourquoi, pourquoi, pour...*

– Następny – mówi sucho Kaczmarek. – Ach, padamy jak muchy! Pojedynczo i tysiącami! – Przykrywa Francuza kocem i znów mówi do pisarza: – Niech pan idzie, nie ma nic lepszego od snu. Jemu już nie pomożemy. Proszę iść.

Karol ściąga buty, zapala papierosa i wdrapuje się na środkową pryczę. Na dole śpi Paweł, na górze Władek. Leży w ubraniu, prawą rękę trzyma na sercu. Coś go strasznie gniecie, dławi, ma wrażenie, że serce za chwilę pęknie. Wreszcie imadło puszcza, a on głośno oddycha z ulgą.

*Der einzige Weg von hier ist durch den Kamin, durch den Kamin* – szepcze słowa morderców.

Czy naprawdę nie ma innej drogi – tylko przez komin? Naprawdę musi tu zginąć, skoro nawet jeszcze nie żył? Naprawdę nie ma innej drogi?

*Durch Himalaja* – mawiają jeszcze bardziej ironicznie.

Ze złością zgniata niedopałek między palcami i kładzie się na brzuchu z rękoma skrzyżowanymi pod brodą. Leży aż do rana z tępyim bólem głowy.

## Dwa tysiące metrów torów

Chłodne, brzęczące metalowe dudnienie odzywa się we wszystkich klatkach naraz i w ten sposób zwielokrotnione przenika w półśnie do mózgow. Znow jest dzień, kolejny dzień bezsensownej pracy i jeszcze bardziej bezsensownego umierania. Właściwie początek dnia, chłodny i wilgotny poranek.

Poranek – bez względu na to, kiedy skończył się wieczór, kiedy zaczęła się noc.

Trzeba założyć spodnie, kurtki, obwiązać się szmatami, włożyć buty, czapki, poprawić pustawe sienniki, rzucić na nie koce, wyrównać z jednej i drugiej strony – nie zdążysz policzyć do trzydziestu i wszystko jest gotowe. O wpół do piątej, czasem nawet wcześniej, więźniowie biegają już przed barakami, rozgrzewają skostniałe ciała, potem stoją i czekają, czekają i stoją.

– O Boże, znow poranek! – klnie Karol.

Tyle że dzisiejszy poranek jest trochę inny. Wczorajszy dzień też był inny. W każdym baraku wielu nie zareagowało na dzwonek. W dziewiątce panuje nadzwyczajna cisza. Leżą powykręcani pod kocami, rzucają się niespokojnie, niektórzy mamrocą w półśnie niezrozumiałe słowa.

– Hej, wstawać! Jesteście głusi? Wstawać...

Józek, sztubowy, chodzi między pryczami, uderza w nie drewniakiem, wyrzuca z siebie ciche słowa, wstawajcie, nic dobrego z tego nie wyniknie, ktoś może tu wejść, wstawajcie, ach, to straszne, znow jest poranek!

Karol siada na pryczy. Oczy ma przekrwione, szczypią go i pieką, rozgląda się tępo. Dlaczego ludzie jeszcze leżą? Ach, tak, wczoraj był ceremoniał, wczoraj brunatni rzeźnicy mieli swój wielki dzień. Przeciera oczy wierzchem dłoni, zakłada buty i chwiejnie podchodzi do sztubowych.

– Niech jeden z was stanie w drzwiach i zostawcie ich jeszcze na chwilę – prosi.

Józek przez chwilę patrzy na niego z wahaniem. Chciałby mu przypomnieć poranek rok temu, kiedy jako nowy nie wstał po gongu i kosztowało go to trzy zęby. Wzrusza jednak ramionami.

– Mam to gdzieś. Ale jak ktoś tu wejdzie, na pewno to popamiętamy. Łącznie z tymi, co jeszcze śpią.

– Niech jeden z was stanie w drzwiach i pilnuje – powtarza Karol. – Każdy moment snu jest ważny. Dziś i tak połowa zemdleje w komandach. Herszek, idź!

Karol wie, że obserwowanie przy drzwiach nic im nie da, jeśli naprawdę przyjdzie tu esesman. Na dworze zalega gęsta mgła, nie widać nawet na odległość trzech kroków. Ale może nikt tu nie przyjdzie, a nawet chwila dodatkowego snu bardzo ludziom pomoże. Nagle uśmiecha się chłodno, a Józkowi się wydaje, że pisarz śmieje się z własnych myśli. Naprawdę pomoże im sen? – zastanawia się Karol. A komu do tej pory pomogła ukradziona minutka snu? Ach, wszystko do dupy, tu już są wyłącznie kaleki, nikt już im nie pomoże, na tym etapie nam wszystkim nikt i nic nie pomoże, chyba że jakiś cud stworzyłby tu góry żarcia, mydła, ciepłych ubrań, leków i zepchnął wszystkich esesmanów w otchłanie piekielne.

– Ale jeśli wam to przeszkadza – dodaje zamyślony – to ich wygońcie. Nie chcę na was ściągać nieszczęścia.

Wciska ręcznik pod kurtkę i szybko wychodzi z baraku. We mgle nie widać bardziej oddalonych świateł. Idzie do latryny, potem do umywalni, a stamtąd do ślusarskiej budy tuż naprzeciwko. Tam się pochyla, tak, wszystko w porządku, klucz leży na miejscu. Spokojnie otwiera drzwi do budy, opiera się o framugę i patrzy w chłodną mgłę w kierunku, z którego w każdej chwili ma się wyłonić Paweł.

Minęło dwadzieścia minut od uderzenia w szynę, a Józek na dziewiątce jest już całkiem zdesperowany, bo jeszcze nie wszystkie prycze są puste.

– Antek, pomóż mi – prosi Józek. – Dzisiaj to idzie, jakbyśmy ciągnęli diabła za ogon.

Obaj zrzucają z więźniów koce, szczypią ich, ciągną za nogi i ręce, proszą, rozkazują, klną, potrząsają głowami, idioci, kto chce dożyć wieczoru, wstawać, coś się stało na drodze, Schwarzhuber krzyczy.

To kłamstwo podniosło kilka osób, mężczyźni klną i zeskakują z pryczy.

– Hej, wy dwaj! – woła po chwili piskliwie Marcel do młodych, którzy stoją już ubrani i czekają na jakieś okruszki. – Chodźcie tu! Pomóżcie!

Marcel, Herszek i ci dwaj z trudem odganiają dyzenteryków od gara. Potem Marcel i Herszek ostrożnie łapią gar za uchwyty i tylnym wyjściem wynoszą go na dwór. Józek od razu zatrzaskuje drzwi, co rano trzeba ich pilnować, ponieważ kawałek za nimi jest zakazany teren. Te z przodu są otwarte na oścież, bo poruszona zawartość gara wypełniła cały barak ciężkim, szczypiącym smrodem. Józek trzyma bladziutką rękę na ryglu, opiera się plecami o tylne drzwi i patrzy na wystraszonych dyzenteryków biegnących w kółko.

– O Boże, nie ma gara! – krzyczy mężczyzna o pociągłej twarzy, jedną ręką przytrzymuje spodnie, a drugą opiera się o piec.

– Pomóżcie, kiszki ze mnie wyleżą! – woła starszy więzień z krostami na czole. Obiema rękoma trzyma spodnie na wysokości kolan, przyciska nogi do siebie i skacze za pozostałymi wybiegającymi z baraku, do latryny.

– Wstawać, wstawać! – powtarza do znudzenia Antek nad kilkoma, którzy dotychczas nie wstali z posłań.

Jakimś polanem uderza w żerdzie na pryczach. To na pewno jacyś nowi, myśli, wczorajszy dzień porządnie dał im w kość.

Józek wreszcie słyszy walenie w drzwi. Odryglowuje, do baraku wchodzi Marcel, Herszek i ci dwaj z opróżnionym garem. Na zewnątrz nasypali do niego łopatę chloru. Józek znów opiera się o drzwi, a Marcel podchodzi do Antka, żeby mu pomóc w ściąganiu ostatnich śpiochów.

– Wstawajcie, chyba wam się w głowach pomieszało – krzyczy piskliwie Marcel i szarpie śpiących za nogi. – Wstawajcie albo cały barak będzie przez was w opałach! Patrz, cholera, ani drgną!

Marcel jest wysoki i szczupły, ma trzydzieści trzy lata. Pod twardymi rysami twarzy i pomiędzy głębokimi zmarszczkami można jeszcze dziś rozpoznać, że kiedyś był bardzo przystojny. Przywieziono go tu z Paryża z żoną, w domu udało się jej w ostatniej chwili wysłać trzyletnią córeczkę do krewnych na południe, do wolnej Francji. Marcel, z zawodu ślusarz mechanik, pracował przed aresztowaniem w robotniczym ruchu młodzieżowym i bardzo lubił śpiewać. Teraz głos ma piskliwy, cieniutki, a zarazem chrypi. Pół roku temu był królikiem doświadczalnym głównego lekarza obozowego. Częściowa kastracja wpłynęła nie tylko na struny głosowe, ale też na zęby i cały układ nerwowy. Marcel dosłownie na oczach swoich

kolegów zmienia się w coś, czym nigdy nie był i czym w normalnych okolicznościach nigdy by się nie stał.

Mężczyzna, którego Marcel ciągnie za nogę, wciąż się nie rusza. Antek nachyla się nad ciemną siną twarzą i gwiżdże, po czym zrzuca koc na ziemię, łapie więźnia za ramiona i sadza go na pryczy. Sina głowa opada, Antek z żalem i wstydem patrzy na Marcela.

– Już po nim – stwierdza Antek, a Marcel smutno kiwa głową.

Idą od łóżka do łóżka, szarpia ludzi za ręce i nogi, za głowy i ramiona, zagląдают im w oczy, zamknięte albo wybałuszone, w stężale twarze, i widzą, że ci, którzy nie wstali, podczas krótkiej nocy albo nad ranem poumierali w ciszy lub bolesnych skurczach. Marcel znów woła dwóch młodych, następnie z Herszkiem, Antkiem i Józkiem wynoszą martwych przed barak, kładą ich razem z pozostałymi, głowa obok nóg, nogi obok głowy, i wracają do baraku.

– A teraz wszyscy na zewnątrz, ale już! – zapiszczał Marcel i więźniowie posłusznie wysypali się w mgłę przed barakiem.

Antek i Herszek z jednej, a Marcel z drugiej strony poprawiają posłania, zagląдают w kąty, pod sienniki i prycze, na koniec zamiatają cały brud z podłogi. Kaczmarek może teraz spokojnie otworzyć także tylne drzwi, by przeciąg wygonił szczypiący smród i duszący zapach pleśni.

– Jak to się kiedyś skończy... – zaczyna nagle Józek.

Marcel na piecu sortuje „zupełnie niepotrzebne” skarby znalezione pod siennikami martwych. Podnosi głowę i mówi:

– Przestań z tymi głupotami. Jak to się skończy, dawno będziemy piękną kalarepką. Słyszałeś, że z popiołu jest niezły nawóz?

– Co będzie... jak to się skończy? – nie odpuszcza zaciekawiony Antek, a Marcel zatyka palcami uszy. Zna już wszystkie plany i zemsty Józka; ktoś tu nazwał go Mścicielem, bo w każdej trzeźwej chwili wymyśla metody najokrutniejszej odpłaty.

– Co zrobisz, jak to się skończy? – znów pyta Antek.

Marcel odrywa palce od skroni i wybucha ze złością:

– Zrobi wielkie gówno! O ile to się w ogóle kiedyś skończy i on będzie żyć. Te świny puciekają, pochowają się, zmieniają nazwiska, zapuszczą wąsy, brody, a Józek znajdzie sobie porządną babę i ona już się postara, żeby o wszystkim zapomniał.



– Ty jesteś Francuz, to gównu rozumiesz – mówi Józek spokojnie. – Ale ja jestem Polak, tyle powinno ci wystarczyć. Mnie spalili i wytrzebili kraj. Może nie znam się dobrze na winach, koniakach, ślimakach, babach i sam Chrystus wie, co tam jeszcze mieliście, zanim wam to zabrali razem z Linią Maginota, ale ja jestem Polak i wiem, co będę robić, kiedy to wszystko się skończy. Będę ich ciął, bił, obdzierał i ogłuszał, a jak mi powiedzą, żebym ich wieszał, to będę ich wieszał głową w dół tak równo, jakbym to robił od stu lat. Chryste Panie, przecież świat jeszcze całkiem się nie zepsuł i znajdą się tacy, co postawią te świny przed sądem! Jak ma im się upiec, to wolę od razu rzucić się na druty.

Twarz Józka odrobinę ciemnieje, migdałowe oczy pod jasnymi brwiami nabierają twardego, zaciętego wyrazu. Herszek z zaciekawieniem patrzy na Marcela, a Antek ze zrozumieniem kiwa głową. Nawet jego blada twarz ożyła trochę wyraźniejszym kolorem, a w gruźliczej piersi mocniej zabiło serce.

– Może masz rację – mówi po chwili ciszy Marcel do Józka. – Ale ja... czasem mi się wydaje, że to się nigdy nie skończy.

– Skończy się, na pewno się skończy – odpowiada Józek. – A ci z nas, którzy zostaną, będą musieli być strasznie surowi.

– Skąd weźmiesz wystarczająco dużo surowości? – pyta Marcel. – Weź na przykład naszego Blockführera, swinię jedną. Zabił już co najmniej dwieście osób. I powiedzmy, że pewnego dnia to zabijanie się skończy i powiedzą ci: masz, Józek, weź swojego Blockführera i załatw to z nim. A ty powiesz go gdzieś na gałęzi albo napchasz trutką na szczury i on zdechnie, ale nie będziesz zadowolony, bo ta swinia miała tylko jedno życie, a nie dwieście. Zdechł, a sto dziewięćdziesiąt dziewięć ludzkich istnień, które sam zniszczył, został ci dłużny. No, jak będziesz mógł być dla niego wystarczająco surowy? Jak? Możesz go powiesić na gałęzi dwieście razy, możesz go napchać dwieście razy trutką, ale on zdechnie tylko raz, bo ma tylko jedno życie. Lepiej o tym nie myśleć.

W Józku obudziły się wątpliwości. Coś w nim rośnie i przymusza go, żeby krzyknąć „Chrzanię takie teorie!”, ale nie krzyczy, bo nagle ku swojemu zaskoczeniu uświadamia sobie, że Marcel powiedział kawał prawdy. Antek wyczuwa niepokój Józka. Do tej pory zawsze się z nim zgadzał, ale przekłete słowa Marcela w nim też wzbudziły wątpliwości; ma wrażenie, że Francuz z wysokim czołem i śmiesznym, piskliwym głosem go zaskoczył i bezwzględnie odebrał mu

coś, z czego czerpał siłę i nadzieję. Herszek przestaje myć kamienną podłogę, wstaje i mówi:

– Od takiego gadania robi mi się niedobrze. W każdej chwili możemy zdechnąć, a wy tu wymyślacie bzdury. O surowości. I o sprawiedliwości. Ja przynajmniej nie wiem, co to jest ta sprawiedliwość i jak wygląda. Nikt mi jej nigdy nie pokazał. Tylko w domu ciągle o tym słyszałem, ach, sprawiedliwy Boże! To też było do dupy. Dajcie już spokój. Od waszego gadania druty się nie zerwą. Co wy sobie myślicie, że oni nie zdychają? Front to nie obóz. Na przykład Blockführerowi gdzieś zarznął syna. A jak front będzie się zbliżał, to nie zostanie ich tu na nas za wielu...

– Jak front będzie się zbliżał, to nas tu już nie będzie. – Antek w żaden sposób nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby tu dożyć wolności.

Herszek z Antkiem się schylają, żeby domyć podłogę, a Marcel z Józkiem wychodzą przed barak. Jak to będzie, kiedy front się zbliży?

Na drodze i między barakami jest gwarno jak na bulwarze. Tysiące ludzi we mgle zderzają się ze sobą, poruszają we wszystkie strony. Marcel z Józkiem idą do przedostatniego baraku, znajduje się w nim betonowa latryna. Dwa podwójne rzędy dziur, razem dwieście czterdzieści, i wszystkie zajęte. Z jednego końca na drugi nieustannie biegają ludzie i niecierpliwie czekają, aż zwolni się miejsce. Dyzenterycy siedzą bardzo długo, boją się wstać, bo za chwilę znowu będą musieli. Reszta ich przeklina, ciągnie za ręce, wstawajcie, srajmajty, nic z was nie leci, a drzecie się, jakby ktoś was obdzierał ze skóry. Ale dyzenterycy nie wstają, jójczą i dalej stękają z wybałuszonymi oczami; reszta przeklina jeszcze bardziej. Każdego ranka z latryn korzysta co najmniej dziesięć tysięcy ludzi.

Wreszcie Marcel z Józkiem precyzyjnie się do umywalni. Przy każdym kranie ze skąpo ciurkającą wodą stoi czterech–pięciu i szybko szorują przede wszystkim szyję, bo ponoć brudna aż się prosi o cios. Wielu w ogóle nie dostanie się do kranu. Ponieważ jest już późno i boją się, że stracą łyk słabej, śmierdzącej, ale ciepłej herbaty, wkładają ręce do blaszanego koryta i nabierają w nie trochę brudnej i pełnej plwocin wody, żeby przynajmniej zwilżyć szyję i zetrzeć śpiochy z oczu. Rury są ułożone tylko kilka centymetrów pod ziemią, dlatego woda jest zimna jak lód, to zła woda, niebezpieczna, tyfusowa.

Do wiosny 1943 roku nie było tu żadnej umywalni, dostęp do wody mieli tylko w rowach i w Wiśle – a niektórzy też w kuchni. Teraz zbudowano umywalnię, doktor Thilo mówi: „Rzesza dba o wasze brudne karki”, a zastrzykami z fenolu uśmierca dziesiątki tych czystych i zdrowych.

– Chodźmy, pewnie jest już herbata – odzywa się Józek.

Przestrzeń między barakami i na drodze tuż przed przydziałem herbaty i porannym apelem przypomina olbrzymie bezsensowne targowisko. Wszyscy niedorzecznie biegają, jeden drugiego zatrzymuje, proszą i oferują, szukają czegoś, co pomogłoby im znieść albo oszukać ten nowy i długi dzień umierania. Na targowisku są łachmany i szmatki, kawałki podszewki, gaza i plaster, bandaże, łyżki, miski, blaszane noże, drewniane łyżki, kawałki mydła, spalone węgle, kamienie do zapalniczek umieszczone na drewniakach, manierki, pasy i paski. Niektórzy wymieniają buty. Labirynt targowiska – nic za nic, coś za coś. Prawdziwą wartość mają tylko chleb i papierosy.

W rowach i za rowami wzdłuż baraków utworzyło się też mnóstwo grup i grupiek, pomiędzy nimi nieustannie przedzierają się strumienie ludzi. Języki niemiecki, holenderski, francuski, czeski, słowacki, serbski i polski łączą się w zupełnie niezrozumiałą harmider, narastający huk w tym miejscu w ogóle nie przypomina ludzkich dźwięków. Tylko jednostki stoją przy ścianach baraków, milczą i apatycznie spoglądają na ziemię albo w górę na mgłę, nad którą może znajdują się chmury, a może chłodne, bezchmurne niebo.

Józek z Marcelem wracają do dziewiątki w chwili, kiedy z kuchni rozlega się przeciągłe „herbataaa!”. Zdaje się, że ten okrzyk jeszcze nasilił chaotyczną kotłowaną. Więźniowie ruszają we wszystkie strony, zderzają się ze sobą i popychają, wracają tam, gdzie już się kręcili albo stali, znów zmieniają kierunek i gdzieś po coś idą, kopią zamrażającą ziemię, chyba żeby znaleźć coś użytecznego. Rozkładają przy tym ręce i wyrzucają z siebie niezrozumiałe słowa, są rozczarowani, dziś też nie będą mieć więcej niż wczoraj.

– Z drogi! – słychać przed dziewiątką głęboki głos. – Z drogi albo rozlejemy śmietanę!

Z mgły wyłaniają się Herszek z Antkiem i dwoma młodymi. Ostrożnie niosą olbrzymie kadzie, boją się wylać choćby kroplę. Z kadzi paruje, we mgle i parze niemal ich nie widać. Kiedy stawiają kadź na ziemi, otacza ich już krąg pożądlivych i wygłodzonych twarzy. Setki więźniów z wybałuszonymi oczami

patrzają na parę unoszącą się z naczyń, pchają się do nich, bo ciepła para grzeje, oblizują suche usta i przełykają ślinę.

Herbata, słabiutka i drażniąco śmierdząca herbata, nic więcej, tylko herbata.

Dostają herbatę do puszek, szklanych i blaszanych butelek, piją ją i myją się nią, płuczają usta, moczą w niej małe szmatki i ścierają sobie brud spomiędzy palców, ponieważ świerzb to zła choroba, nad świerzbem również unosi się tu nieubłagalny palec doktorów Mengelego, Thilo, Wirthsa i Schumanna.

W pobliżu łomocze długa seria z pistoletu maszynowego. Te dźwięki przypomniały wszystkim bezlitośnie, że oczy na wieżach strażniczych widzą też we mgle i że tu grozi śmierć za każde naruszenie zakazu. Więźniowie chowają butelki i puszki pod cienkimi kurtkami i ustawiają się w piątkach między barakami i na drodze. Rozpoczyna się drugi etap poranka, stanie i czekanie na esesmanów z psami.

Marcel i Józek podchodzą do grupy, w której w milczeniu stoi Kolka. Smutnymi kawowymi oczami ostrożnie spogląda na twarze wokół siebie, tak, to oni, rozpoznaje ich, choć są niemal identyczni i różnią się tylko wzrostem i liczbą otarć, opuchlizn i krost na rękach i twarzach. Zna ich, a mimo to trochę trzęsie nim strach. Ostatnimi dniami czuje to każdego poranka, dręczą go obawy, że w jakiś sposób zostanie wepchnięty do innej grupy, gdzie może być gorzej niż źle, gdzie mogłyby mu się pourywać wszystkie nitki, wszystkie potrzebne połączenia. Ulgę czuje dopiero wtedy, gdy pada ostatni rozkaz i skostniałe nogi zaczynają tupać po zamarzniętej ziemi.

– *Los, los, do szeregów!* – odzywa się wreszcie głos przy bramie, a rozkaz esesmanów powtarzają blokowi, kapo, ich zastępcy, pisarze.

– To są piątki, matoly? – drze się Blockführer Lausmann i spluwa z niesmakiem.

– Już mu przeszła żałoba – zauważa Marcel.

– Śmierdzi samogonem – stwierdza Władek. – Pewnie topił smutki.

– Mógłby je utopić razem z sobą... w Wiśle – dodaje Józek.

Mgła trochę ustąpiła, widać wyraźnie co najmniej na dwadzieścia kroków. Karol wrócił z budy, opiera się o róg dziewiątki i badawczo spogląda w górę. Mleczna pokrywa zauważalnie się uniosła, zdaje się, że wkrótce się rozejdzie. Zza drugiego rogu wychodzi Paweł, staje obok Karola i mówi:

– Ociepla się. Pewnie będzie padał śnieg.

– Tak, chyba będzie padało. – Karol patrzy na Pawła. – Rozmawiałeś już z Władkiem? – pyta natarczywie.

– Jeszcze nie. Potrzebujesz jeszcze...

– Wszystko już podzielone. Idę na pusto.

Paweł podchodzi do Władka, ten jeszcze nie skończył zbierać Planierungskommanda. Potrzebuje stu pięćdziesięciu więźniów, ale jak zwykle również dziś nieustępliwie zgłasza się do niego co najmniej o stu za dużo. Wszyscy chcą pracować w komandzie, w którym Paweł jest kapo, a unterkapo Władek. Planierungskommando nie pracuje daleko, tam dla każdego starczy zupy, tam od czasu do czasu będzie można oprzeć się o deski albo schować do budy czy między stosami drewna, a dowódcy komanda tylko krzyczą, ale nie biją.

Naturalnie najbliżej Władka przedarli się ci silniejsi i bezwzględni, tu jesteśmy, spójrz na nas, z nami nie będziesz miał kłopotów i nieprzyjemności, będziemy dobrze pracować dla ciebie. Ale Władek co rano widzi tylko tych najsłabszych, chorowitych i starszych, i oczywiście tych, co są tu najdłużej. Stu więźniów ma już ustawionych piątkami, w dobieraniu reszty pomagają mu Marcel z Herszkiem.

– Jedno miejsce zostaw... – szepnął Paweł Władkowi.

Karol wszedł do baraku. Jest zadowolony, dziś spadnie śnieg, będzie mógł się swobodniej poruszać. Brunatni będą dziś bardziej pewni siebie, a co za tym idzie wolniejsi, mniej brutalni, przedwczoraj i wczoraj upuścili obozowi krwi, jeszcze długo będą się upajać swoimi potwornościami. Spod siennika wyciąga swoją porcję chleba, odrywa połowę i zaczyna przeżuwać. Nie słyszy kroków, tylko czuje na plecach czyjąś rękę. Kolka.

– *Wsio budiet choroszo, wsio budiet choroszo* – mówi Kolka głucho. – Idziesz?

– Idę. – Karol wstaje. – Dlaczego miałbym nie iść...

Kolka przez chwilę patrzy mu w oczy, po czym lekko się uśmiecha i ciągnie:

– Nie ma się czego bać. Strach to straszny wróg. Strach mąci rozum, łamie wolę, siły. Jesteś porządny chłop...

Karol widzi przed sobą wysokie, trochę kanciaste czoło Kolki, szeroko rozstawione kawowe oczy, równy nos, podłużną twarz z zapadniętymi policzkami. Ciekawe, jak wyglądał, zanim poznał to piekło? – zastanawia się Karol. Był bardzo silny, bardzo ruchliwy i na pewno też bardzo rozważny. Niechętnie gadał po

próżnicy, niechętnie się kłócił i może lubił samotność. Zawsze jest poważny, jakoś boleśnie zamyślony, niekiedy upłyną całe godziny, zanim powie jedno zdanie.

– Nie możesz się bać – odzywa się w końcu Kolka. – Wszystko się uda, wszystko dobrze się skończy. Niemcy stracili pod Kijowem dziesięć dywizji, a nasi idą... Besarabia, Lwów... Polacy z zewnątrz też przysłali dobre wieści. *Wsio budiet chorocho*, Karol.

Kolka już bił się z nazistami. Wzięli go jako jeńca jesienią 1941 roku pod Witebskiem. Jest przekonany, że znowu będzie się z nimi bił i że pomoże mu w tym wielu przyjaciół, którzy teraz tłoczą się razem z nim wśród drutów kolczastych. Karol się uśmiecha, jest wdzięczny za pocieszające słowa. Uśmiecha się jeszcze raz, przecież uśmiech wdzięczności to wszystko, co może w tej chwili dać przyjacielowi. No nie. Karol wyciąga rękę z chlebem.

– Zjedz, Kolka. Przed chwilą najadłem się koło kuchni. Wiesz, mam...

– Znajomego – dopowiada Kolka. – To ciekawe, też tam byłem, jadłem dobrą godzinę, a ciebie nie widziałem.

Obaj śmieją się z tego wspólnego kłamstwa. Kolka ułamuje kawałek chleba i wychodzi z baraku.

Karola dziś wręcz boleśnie męczy samotność. Idzie w stronę tylnych drzwi baraku, gdzie Kaczmarek wilgotną ścierką myje przestrzeń przed progiem i chyba trzeci raz miejsce po garze. Drzwi są otwarte, mgła zdążyła opaść, wyraźnie widać ogrodzenie z drutu kolczastego, drogę i kolejne ogrodzenie. Kaczmarek czasem patrzy w prawo i nasłuchuje, niekiedy już o tej porze idzie do pracy komando tkaczek, w którym pracuje jego córka Esterka.

– Dopóki mgła całkiem nie zniknie, nie pójdą – mówi Karol i Kaczmarek się podnosi.

W drzwiach pojawia się Adamek. Jest zdyszany, spieszy się.

– Dzisiaj uda mi się podejść do tkaczek – mówi szybko. – Ma pan coś dla niej?

Kaczmarek kiwa głową, z radością biegnie do posłania i wraca stamtąd z chlebem. Niemal cała porcja zapakowana w szmatkę, obwiązana grubym sznurkiem.

– To będzie piękny dzień. – Adamek wkłada chleb do torby. Nie ma jeszcze dziewiętnastu lat, a już prawie od pięciu żyje przeganiany, pilnowany, skazany na śmierć. Od czternastego roku życia wsadzali go do więzień i gett, miesiącami

sypiał w magazynach, piwnicach i kanałach, jest blady, cherlawy, ale zadziwiająco zwawy; nie ma dnia, żeby komuś czegoś nie załatwił albo przynajmniej czegoś nie przekazał.

– Dzisiaj będzie piękny dzień – powtarza i patrzy na Karola. – Chyba spadnie śnieg. No... wieczorem chcę was widzieć zdrowych.

Adamek odchodzi, niemal ucieka, nigdy nie idzie, zawsze się spieszy. Karol żegna się z Kaczmarkiem i podchodzi do przednich drzwi, do Antka i Józka, właśnie weszli do baraku z wiadrami wody.

– Antek – odzywa się szybko Karol – idę dziś na zewnątrz. Zeszyt jest przygotowany, zgłoś stan do kancelarii i kuchni. Martwi są już odjęci, trzeba ich tylko pozanosić. Poza tym wszystko w porządku. I... niech Herszek da porcję chleba Kaczmarkowi.

Przy ustawionym Planierungskommandzie wziął na bok Kozłowskiego i oznajmił mu, że idzie z grupą na zewnątrz, bo trzeba coś załatwić, oczywiście jak będzie miał szczęście, nie zapomni też o nim. Kozłowski z niechęcią wydyła dolną wargę.

Czuję w kościach, że przez te twoje wycieczki zdechnę w karnym komandzie.

Karol widzi strach i niechęć na twarzy Kozłowskiego i czuje, że Kozłowskiego złoścza te wycieczki, a nie może mu ich zabronić. Karol jest tu o wiele dłużej, myśli Kozłowski, nie mogę za bardzo się go czepiać, napuściłbym na siebie wszystkich starszych, no a z barakiem nie mam wielu problemów.

– Idź, ale uważaj – dodaje rozsierdzony. – Szkoda byłoby zdechnąć przez głupotę.

Za bramą stoją już esesmani z psami i inni funkcjonariusze, a przy bramie podoficerowie i oficerowie przydzielający komanda. Muzycy stroją instrumenty, za chwilę zaczną grać oklepane marsze.

Władek skinął ręką na Karola i pokazał mu miejsce w pierwszej piątce trzeciej pięćdziesiątki.

– Wkrótce my też pójdziemy, tkaczki już idą – krzyczy ktoś z tyłu.

Wszyscy się odwracają. Na drodze z obozu kobiecego widać około tysiąca dziwnych postaci, zupełnie niepodobnych do kobiet. Zazwyczaj są starsze, chore i bezwładne, chude i blade, z zapadniętymi policzkami i obwisłymi piersiami, skrajnie wyczerpane robotą, bo jeszcze niedawno pracowały jak mężczyźni:

budowały drogi, baraki, nosiły ciężkie skrzynie w magazynach, ciągnęły wozy, nosiły ciała z komand do trupiarni i na ciężarówki. Te młodsze, które przy dźwiękach szybkiego marsza idą za nimi, to brygadziarki, szwaczki, może też jakieś inne wykwalifikowane robotnice, ale cały pochód w pasiakach, lnianych workach i wojskowych mundurach wygląda jak ciżba postaci ze straszego misterium. Na odcinku Meksyk pracują w trzech barakach na siedząco, patrzą na siebie trochę ze zdziwieniem i wstydem, i tkają bez cienia zainteresowania, najprościej, jak w manufakturze. Może za kilka dni zabraknie im sił nawet na to, by siedzieć.

– Baukommando jeden – krzyczy esesman przy bramie. – Dwa razy po pięćdziesięciu więźniów, czterech esesmanów i cztery psy do każdej pięćdziesiątki.

– Baukommando dwa. Dwa razy po pięćdziesięciu...!

– Dachdeckerkommando...!

– Strassenbaukommando...!

– Holzhof...!

– Königsgraben...!

– Fischteiche...!

– Kanalisierung...!

– Strafkommando...!

Cztery razy po pięćdziesięciu, do każdej pięćdziesiątki po sześciu esesmanów i sześć psów.

– Ruszcie się, gnoje! Ruszcie się albo pomożemy wam kłami!

Strafkommando składa się z więźniów karnych; przemycali listy miłosne, palili papierosy, ociągali się w pracy, sikali za barakiem, podżegali do buntu, nie byli zadowoleni z wyżywienia, kradli w magazynie. Skazani na karne komando na trzy miesiące, sześć, i na rok. A nawet na czas nieokreślony. Nie wolno im wychodzić z baraku, obcy nie mają do nich prawa wstępu. Więzienie w więzieniu.

– Effektenkammer!

– Bekleidungskammer!

– DAW!

Cztery razy po pięćdziesięciu, do każdej pięćdziesiątki czterech esesmanów, dwa psy, razem dwustu więźniów, szesnastu esesmanów, osiem psów. Bardzo ciężka



praca w wielkich halach, przy demontażu maszyn przeznaczonych na złom. Mimo to zazwyczaj chętnie tam idą. Pracują wśród roztrzaskanych samochodów, samolotów, motocykli, karetek, traktorów, łodzi, i jest im stosunkowo dobrze. W tej pracy znajdują szczególny rodzaj satysfakcji; zakamuflowane wagony i przyczepy pełne niesprawnych niemieckich mechanizmów co noc przyjeżdżają z frontu wschodniego, a im więcej ich przybywa, tym więźniowie są bardziej zadowoleni. Tu i ówdzie znajdują też zeschnięty chleb.

– Wirtschaftslagerkommando...!

Przy bramie czterech esesmanów skreśla z listy, sześciu kontroluje szeregi. Około czterdziestu komand wychodzi co dzień z tej klatki do trójkąta między Wisłą a Sołą.

Planierungskommando jest już zupełnie z przodu, blisko bramy. Gruby oficer ze sztabu Schwarzhubera zagląda do rozdzielnika grup roboczych, który trzyma w ręce Tadek, wysoki, dobrze zbudowany młody mężczyzna z niskim, czterocyfrowym numerem, więzień pracujący w kancelarii głównej. Zdaje się, że coś się nie zgadza.

– Co znowu? Żeby ich Bozia pokarała – klnie Władek.

– Nic, spokojnie – szepcze Paweł. – Zaraz się dowiemy.

Oficer wreszcie podnosi głowę i krzyczy:

– Los, kapo, dziś weźmiesz trzystu!

– Wszyscy są już na zewnątrz – odpowiada spokojnie Paweł, patrząc na Tadeka. – Skąd mam ich wziąć?

– Koło kuchni masz mnóstwo Holendrów – zauważa esesman. – Na co czekasz?

Paweł z Władkiem idą w kierunku kuchni, gdzie stoją Holendrzy w cywilnych ubraniach. Tadek i dwóch esesmanów podchodzą do nich. Tadek odrobinę przyspiesza kroku i kiedy znajduje się na wysokości Pawła, szepcze:

– Przyjechali w nocy. Tysiąc pięciuset. Zostało stu sześćdziesięciu.

Paweł rozumie, tysiąc trzystu czterdziestu zdążyli spalić. Ale tych stu sześćdziesięciu, chociaż już ich okradli, to jeszcze nie przyjęli, nie zarejestrowali, nie ponumerowali, nie ogolili, nie zdezynfekowali i nie przebrali. Normalne porządne cywilne ubrania, normalny cywilny wygląd. Są przemarznięci, przybici, przestraszeni i widać po nich zmęczenie długą podróżą.

Paweł bez słowa ustawia ich piątkami, a Władek, krzyżąc, krąży wokół. Ponieważ od razu uciekają z szeregów, wpycha ich z powrotem na miejsca, a oni poirytowani i gniewni protestują, nie przyjechali tu po to, żeby ktoś ich traktował jak bydło.

– Zachowujcie się jak ludzie, to się dowiecie, czego od was chcemy – krzyczy już i Paweł.

– To są *Schweinehunde*, a nie ludzie – drze się oficer SS, a Paweł widzi, że Niemiec traci cierpliwość. – Nie potrafisz dać po mordzie?

Wreszcie stoją w szeregach, pochmurni i rozdrażnieni. Ostatnie dwie piątki oddzielili, dziesięciu Holendrów jest zbędnych, zostaną w obozie. Władek podchodzi do pierwszej piątki, łapie stojącego z brzegu Holendra za rękę, ciągnie go do przodu i krzyczy do reszty, żeby wymaszerowali. Ten jednak, z okrągłą twarzą i szpakowatymi włosami na skroniach, wyrywa mu się, staje bokiem do szeregów i na poły wyzywająco, na poły błagalnie patrzy na oficera SS, niech mi pan pomoże, szanowny panie, niech pan nie pozwoli, żeby byle jaki obszarpaniec tak brutalnie mnie traktował. Władka ogarnia złość, nieszczęsny Holender nie ma pojęcia, gdzie się znalazł, może od razu pierwszego dnia wyciągnąć tu kopyta i całe komando będzie miało przez niego kłopoty. Łapie go gwałtownie i popycha w stronę czterech więźniów w pierwszym rzędzie.

– Co pan sobie myśli! – podnosi raban urażony Holender. – Na co pan sobie pozwala? Jestem lekarzem i...

– Lekarz! – ryknął gruby esesman. – A to ci niespodzianka! Więc pan jest lekarzem. Rusz się, zasrany łbie, bo zostaniesz takim pacjentem, jakiego jeszcze nie widziałeś!

Przy bramie gra kapela, dyrygent z batutą w ręce lekko się kołysze w rytm marsza. Planierungskommando, trzystu ludzi otoczonych przez wzmocnione straże, wychodzi piątkami za bramę. Między orkiestrą a bramą siedzi na pięciu krzesłach pięciu więźniów z dziwacznie odchylonymi głowami. Jako straszak, małe przypomnienie, że tak skończą wszyscy, którzy spróbują uciec ze świata otoczonego drutem kolczastym, tylko ten skrawek dla mniej wartościowych osobników wyznaczyła Rzesza. Totalna psychoza. Karol trzęsie się z gniewu, potem nagle ogarniają go beznadzieja i desperacja. Szybko odwraca głowę.

– *Los, los*, zaraz będzie wieczór – słyszy blisko siebie krzyk kurdupłowatego funkcjonariusza z psem.

Z trzystu więźniów Planierungskommanda pierwszych stu wysłano na odcinek Meksyk, dwustu zaprowadzono na rampę.

Koło rampy esesman kiwa na Pawła, ten podbiega. Tak, rozumiem, wszystko jasne – potwierdza. Obok na ziemi leżą tory, pięćdziesięciu więźniów w pasiakach i stu pięćdziesięciu ubranych po cywilnemu Holendrów będzie rozrzucać żwir i przybijać podkłady.

– Kapo – woła twardo podoficer SS – macie pracować, a nie gapić się w niebo. Jakby ci Holendrzy chcieli filozofować, dasz im po łbie. *Los*, do roboty!

Paweł rozmawia przez chwilę z Władkiem, esesmanowi się wydaje, że przekazuje instrukcje swojemu zastępcy.

– Tory poprowadzą od rampy aż do krematoriów – mówi Paweł. – Mają być gotowe w ciągu miesiąca. Skurwysyny, chcą zabijać jeszcze szybciej!

Paweł patrzy na Holendrów i swoich starych przyjaciół w pasiastych łachmanach, chodźmy, krzyczy tak, żeby esesman dobrze go słyszał, będziecie pracować albo skopię wam tyłki. Starsi od razu łapią za narzędzia, zaczynają przerzucać i rozsypywać żwir, ale Holendrzy stoją zakłopotani. Trzonki łopat są grube i szorstkie, a żwir zbyt ciężki, źle się nabiera, przecież nie przyjechali tu do takiej pracy, w domu robili coś zupełnie innego, to zwykle oszustwo, z pewnością się poskarżą.

– Poskarżą?! – Podoficer SS doskakuje do wysokiego, postawnego Holendra w okularach. – Proszę, powiedzcie, co wam leży na waszym szlachetnym sercu.

Podoficer SS, młodziak z wąskimi ramionami i oczami pełnymi dziecięcej ciekawości, zaczął wprawdzie podniesionym głosem, ale skończył całkiem opanowany, cicho, z poważną twarzą. Do wysokiego mężczyzny w okularach od razu podeszło kilku Holendrów i zaczęli się przekrzykiwać ze swoimi skargami. Esesman przerywa im gwałtownym ruchem ręki.

– Nie wszyscy naraz! Dajcie powiedzieć temu atlecie.

Paweł stoi jakieś pół kroku za esesmanem, pokazuje Holendrowi, żeby milczał i szybko wziął się do pracy, ale Holender już na jednym wydechu paple o wszystkim, co spotkało ich po drodze z Holandii aż tutaj.

– Doszło do jakiejś pomyłki, panie... panie oficerze. A jeśli to nie pomyłka, to po prostu nas oszukano. W domu mi obiecano, że zatrudnicie mnie tu w jakimś sklepie albo magazynie. Niech pan zrozumie, jestem szlifierzem diamentów, nigdy nie pracowałem łopata. Proszę zatem, żeby mnie zatrudniono w odpowiednim miejscu...

Esesman słucha z powagą, kiwa głową, po czym się schyla, a kiedy się prostuje, trzyma w rękach łopatę.

– Już pan skończył się skarżyć? – pyta cicho.

– Na razie wystarczy – przytakuje Holender. – Resztę powiem bezpośrednio pańskiemu przełożonemu.

Ręka esesmana szybko zatacza krąg w powietrzu i łopata płaską stroną głucho uderza w czaszkę Holendra. Wysoki, postawny mężczyzna bez najśłabszego jęku upada na ziemię, a pozostali odступują zaskoczeni.

– *Los, Schweinehunde*, brać łopaty! – drze się esesman. – W domu mogliście się wygadać! Tu będziecie pracować!

Podbiegają zaciekawieni esesmani z psami i z karabinami na plecach. Holendrzy momentalnie się kulą, łapią taczki, łopaty, a ponieważ narzędzi jest mało, zaczynają je sobie wyrywać z rąk.

Paweł przez chwilę ich obserwuje, po czym pyta esesmana, czy ma kogoś wysłać do B-III Meksyk po grabie, łopaty i kilofy.

– Wyślij dziesięciu ludzi – rozkazuje esesman. I dodaje: – Powiedz im, że jeśli to długo potrwa, też dostaną po gębie.

Paweł wybiera dziesięciu, wśród nich Karola. Na moment bierze go na bok.

– Musisz być bardzo ostrożny – mówi cicho. – Możliwe, że nie od razu ci się uda... I chyba będzie lepiej, jak tam zostaniesz. Tak, zostań tam, Adamek niech wyśle za ciebie kogoś innego.

Zaczął padać śnieg, gęsty i drobny. Tworzy białawą, migotliwą zasłonę i szybko ukrywa ślady. Na odcinku Meksyk wszędzie słycać łomotaninę i warkot ciężarówek. Więźniowie ściągają z samochodów i przyczep deski oraz inne materiały i zanoszą je na stosy części, z których wkrótce zmontują nowe baraki. Inni pogłębiają rowy i fosy, odwijają drut kolczasty z bębnow i naciągają go na wysokie betonowe słupy.

– Valéra jeszcze nie było? – pyta Karol Adamka.

– Nie. Zostajesz tutaj?

– Tak, ale ktoś musi pójść za mnie. Budują tory... od rampy aż do krematoriów.

Adamek, żywy i blady młodzieniec, gubi się w śnieżnej zasłonie, zgłasza esesmanowi, że przyszli z rampy po narzędzia na budowę jakichś torów, wydaje mężczyznom żelazne grabie, kilofy i łopaty, łapie jednego Greka, chodź, pomożesz im je zanieść, a potem szybko ich odprawia. Nagle na skraju widzialności pojawia się Bolek, z jeszcze jednym taszczy z samochodu deski i opiera je pionowo o poukładane stosy elementów do budowy baraków.

Adamek i Karol podchodzą do przodu. Esesmani siedzą w ustronnym miejscu za budą na narzędzia, jeden pali papierosa, drugi szeleści paczką sucharów. Tuż za trzema barakami, w których pracuje komando tkaczek, znajduje się olbrzymia powierzchnia schludnie poukładanych wzwyż materiałów budowlanych i desek. Przechodzą wzdłuż zwartego stosu drewna z równo przyciętymi bokami aż do miejsca, gdzie na dolnym elemencie zauważają duże brązowe wybrzuszenie. Jesteśmy na miejscu, myśli Karol, byleby tylko teraz nie przypałał się tu jakiś esesman.

Obaj wspinają się na górę i przekładają sześć elementów ściany bocznej, rozmiarami i grubością nie różnią się one od elementów tylnych i przednich ścian baraków. Wszystkie mają taką samą grubość, ale ten stos jest szczególny. Wszędzie indziej są poskładane na sobie identyczne części ścian, identyczne prefabrykаты, identyczne framugi identycznych drzwi; ten stos jest przemieszany. Pod sześcioma elementami ścian, które odsunęli, zostały tylko framugi, a między nimi pusta przestrzeń sięgająca aż do zmarzniętej ziemi. Wykopany w niej korytarz prowadzi do jamy pod najbliższym stosem elementów do budowy baraków.

– Czekaj na Valéra, a ja zejdę – dysponuje cicho Adamek.

Szybko wsuwa się do środka, a Karol patrzy na migotliwy śnieg. Po chwili słyszy gwizdanie znajomej przyśpiewki. Ostrożnie odpowiada. Zza śnieżnej zasłony wyłania się Valér. Leżący na stosie drewna Karol wystawia głowę, żeby pomóc mu się wspiąć. Po chwili Valér jest już na dole obok Adamka, wygrzebują z korytarza ziemię, sypią ją pod boki dolnych framug, dziś nie mogą jej wynosić, bo leży śnieg. W końcu Valér szepcze: „Stop, wystarczy, korytarz ma już ponad półtora metra długości i osiemdziesiąt centymetrów szerokości”, i z pomocą Karola gramolą się po kolei ze środka. Adamek od razu schodzi ze stosu i idzie poszukać Bolka, żeby sprawdzić, jak są rozmieszczeni esesmani. Po chwili wraca

z chlebakiem. Ci dwaj tkwią jeszcze za budą, dwaj inni są z przodu, jakieś sto metrów stąd, na samym końcu olbrzymiego składu drewna do montowania baraków. Esesmanki siedzą w barakach tkackich, opróżnione ciężarówki z przyczepami znowu pojechały po deski i elementy.

– Przyniosłem jakieś wapno i pigułki. Włożymy je do środka, ale trzeba to zapakować – mówi Valér.

Karol wyciąga spod kurtki kawałek podszewki, wkłada do niej leki i mocno zawiązuje pakunek. Tymczasem na stosie desek są już Adamek z Bolkiem.

– Adamek przyniósł latarkę i bieliznę – mówi Karol do Valéra.

– Jesteśmy strasznie bogaci. – Valér cichutko chichocze.

Adamek wyciąga z kieszeni dwie metalowe rurki i coś przypominającego zapalniczkę. Wszystko wrzuca do dziury.

– Fortuna się powiększa – mówi.

– Byleby pomogła – odpowiada Karol trochę niepewnie.

Zdecydowali się na tę kryjówkę po długim zastanowieniu, ponieważ ze wszystkich możliwych wariantów wydała im się najbardziej odpowiednia, najbardziej dyskretna i najbezpieczniejsza. Już cztery razy wykorzystali padający śnieg lub mgłę i pracowali w tym prymitywnym schronieniu. Adamek, Bolek i Valér znoszą po trochu z klatek najpotrzebniejsze rzeczy, niemal zapełnili nimi wojskowy plecak w płytkiej jamie pod najbliższym stosem drewna. Trafiły do niego holenderskie skarpetki i majtki, koszule, szwajcarska glukoza, zapalniczka *made in Auschwitz*, niemiecka brzytwa w skórzanym futerale, witaminy, latarka, dwie kostki margaryny, dobrze zapakowane francuskie papierosy i metalowe rurki.

Tak, niesamowicie ważne metalowe rurki!

Karol wzdrygnął się tak gwałtownie, że Valér łapie go za rękę i pyta z troską:

– Cholera, mam nadzieję, że nie złapałeś jakiejś zarazy? Pokaż oczy!

– Nic mi nie jest – odpowiada Karol z udumą. – Tylko sobie przypomniałem, że wciąż nie mamy tego pergaminu czy kalki.

Po cichu i z przerwami, podczas których wsłuchują się i rozglądają, czy nikt nie idzie, układają drewniane elementy na poprzednich miejscach. Trzy z jednej strony, sąsiadującej z drugim rzędem, i trzy z zewnętrznej. Jeszcze raz wszyscy kontrolują, czy boki dokładnie przylegają do siebie, po czym schodzą ze stosu. Karol trochę gorączkowo mówi do Valéra:

– Gdyby się coś stało albo jakby coś było potrzeba, to przekażę. A gdybyśmy nie mogli się zobaczyć albo gdybym nie mógł ci przekazać, to w piątek... Idź już i uważaj na siebie.

– Ty też. – Valér uśmiecha się zachęcająco. – Trzymajcie się... Idę do *Krankenbau*, mam przynieść jakieś umschlagi i meldunki.

Valér odszedł wzdłuż składu drewna, a Karol z Adamkiem zakradli się po cichu za budę. Odgarniają śnieg do rowu, dopóki nie zabrmi gong. Wszędzie naokoło tumult ucisza się jak nożem uciął. Mężczyźni spieszą do budy, gdzie przyniesiono dwie beczki zupy. Łącznie siedemdziesiąt litrów, sześćdziesiąt pięć litrów wody i pięć kilogramów jakiejś masy konserwowej na zagęszczenie. Buraki, brukiew, mlecz i w każdej beczce może z dziesięć ziemniaków. Z beczek unosi się niska para, widocznie zupa wystygła po drodze z kuchni.

Bolek szybko macha chochlą. Rozdaje porcje sprawiedliwie, ale dla Karola nabiera z dołu, żeby dostał trochę gęstego. Wokół stoją więźniowie i łapczywie siorbią mętny płyn. Spieszą się, ponieważ nie ma wystarczająco dużo misek i ci, którzy jeszcze nie jedli, nerwowo ich poganiają. Karol podaje miskę z drewnianą łyżką Adamkowi, opiera się o deski i zaczyna przeżuwać skórkę chleba, całą skórkę z góry chleba, wziął ją rano ze sobą.

Adamek je powoli, czasem dłużej przytrzymuje zupę w ustach, żeby się rozgrzać. Karol obserwuje go z ciekawością. Jakim wspaniałym człowiekiem jest ten młodzieńcy Adamek! Ile już zrobił dla swoich przyjaciół! A ile już opowiedział polskim robotnikom, z którymi czasem ma kontakt. Nie skończył jeszcze dziewiętnastu lat, byłoby go szkoda, powinien na chwilę przestać, ale prawie każdego dnia cholernie ryzykuje. Organizacja powierzyła mu trudne zadania.

Gong kończy przerwę obiadową, nikt nie narzeka, zupy wystarczyło dla wszystkich, dwóch Greków doskakuje do beczki, na ścianach zawsze zostanie coś z gęstego. Adamek szoruje śniegiem miskę i drewnianą łyżkę i znów zaczyna go odgarniać razem z Karolem. Trochę pociemniało, drobny śnieg zmienił się w zamieć, zerwał się wiatr, na krawędziach desek dziwnie piszczy, szeleści i brzęczy.

– Nie zostawią nas tu w takiej ciemnicy – mówi Karol. – Na pewno zagonią nas do środka.

Po dziesięciu minutach wszyscy wokół nich zatrzymują się w jakiejś odrętwiałej pozie i wsłuchują się z rozchyłonymi ustami w ostry jęk syreny alarmowej. Wielu nie rozumie, co się dzieje, ale Karol i Adamek patrzą na siebie, oczy błyszczą im gorączkowo.

– Jeśli ktoś uciekł, to dobrze wybrał czas. – Adamek kiwa głową. – Zamieć, ciemność, diabeł by go nie wyniuchał.

– *Alles antreten!* – rozkazuje esesman ze złością.

Stoją piątkami, wokół nich ludzie z psami, jeden esesman ich liczy, zgadza się, dwa razy po pięćdziesiąt, jest ich setka, z naszych nikt nie uciekł.

Po godzinie wszyscy siedzą w klatce, stan się zgadza.

– *In Baraken! Los!* – wydziera się dowodzący esesman.

Karol szybko podskoczył do baraku Kanady. Na dziewiątkę wrócił z kawałkiem mydła i pięcioma papierosami. Kozłowski wprawdzie nie pali, ale może je sobie na coś wymienić, wystraszony bęcwał.



## Umrzeć czy zginąć?

Jest kwiecień po Wielkanocy 1944 roku.

Umrzeć czy zginąć? Bezsensowne pytanie, ale Karol wie, że bezsensowny świat rodzi tylko bezsensowne życie, bezsensowne pytania i bezsensowne odpowiedzi, żeby znieczulić nimi ludzi, łamać im wolę i rozkładać ich po kawałku.

Do zwyczajowego budzika, mocnego uderzania metalem w kawał żelaznej zardzewiałej szyny przed kuchnią, brakuje dokładnie dziesięciu minut. Z zachodu dmie zimny wiatr, między barakami zwija się w wiry, w spiralnych słupach unosi śnieżny pył i nieustająco przenosi go z miejsca na miejsce. Dziś obóz koncentracyjny, o dziwo, nie jest spowity mgłą, na bezchmurnym zimnym, jasnym niebie migoczą tysiące gwiazd. W ostrym świetle reflektorów i lamp na betonowych słupach wirujący śnieg mieni się i skrzy, a przy mocniejszym podmuchu wiatru przypomina dziwacznie żółtawe ogony olbrzymich fantastycznych stworów unoszące się w górę i niknące w ciemności.

Karol w jednej, a Valér w drugiej klatce od północy nawet nie zmrużyli oka.

Karol przeważnie tylko drzemał, ale była to drzemka nieprzynosząca jakiegokolwiek ukojenia, z półprzymkniętymi oczami i niemal zupełnie jasną świadomością. Przez dobre dwie godziny szarpał nim strach mający źródło w rzeczach, zdarzeniach i przeżyciach, które towarzyszyły jego podróży z domu do tego świata niewyobrażalnych okrucieństw. Czasem się zrywał i w ostatniej chwili zatrzymywał w ustach okrzyk zaskoczenia i przerażenia. Przed jego półprzymkniętymi oczami pojawiały się postaci, z którymi tu przyjechał i których już nie ma. Jedne zostawały na dłużej, mówiły do niego, inne tylko przemknęły. Potworne sceny wywoływały w nim bezgraniczny strach i totalną apatię, histeryczny śmiech, płacz, przekleństwa i prośby w tym nieskończonym masowym szaleństwie. Wszystkim tym przeraźliwym obrazom towarzyszyła wyraźna ścieżka dźwiękowa, słyszał trzask łamanych kości, wrzaski esesmanów, szczenie rozwścieczonych psów, świst bicz, krzyki torturowanych, salwy z karabinów i pistoletów maszynowych, a przede wszystkim potworny jęk, z jakim buchały

z kominów oślepiające błyski. Przed tymi wizjami nie było ucieczki. Widział je wyraźnie też wtedy, kiedy przymykał oczy, ponownie przymuszając się do snu. Choć był skrajnie wyczerpany nerwowo i fizycznie, nie mógł zasnąć, bo śmierć defilowała przed nim w nieskończonym korowodzie. Mordercy budzili go po niemiecku, a ofiary morderstw po słowacku, czesku, polsku, rosyjsku, serbsku, francusku, holendersku i w jidysz. Okrzyki spadały na niego z siódemki, z dołów i rowów, z kolejowych wagonów i ramp, z drogi prowadzącej do komór gazowych, z odcinków budowlanych, spod szubienic, z zadymionego nieba, a nawet spod nóg, gdzie pod cienką warstwą ziemi tliły się resztki nieuprzątniętych ciał. Te straszne obrazy i dźwięki skrajnie go wyczerpały, chwilami wpadał w szaloną rozpacz z obawy, że nie uda mu się umknąć z ramion śmierci zaciskających się wokół czterdziestu kilometrów kwadratowych na oświęcimskich bagnach.

Valér rysował wieczorem różne bazgroły na papierze, zupełnie bez celu i automatycznie, aż przyłapał się na tym, że szkicuje, przerywa i poprawia zakładaną trasę ucieczki.

W końcu zapadł w niespokojny sen. Po krótkim czasie jednak się obudził i znów wziął do ręki kartkę, żeby coś na niej poprawić i uściślić. Tak byłoby lepiej, pomyślał, muszę to powiedzieć Karolowi. Nie zasnął już do rana. Zastanawiał się nad zmianami w trasie, lecz nie mógł jednoznacznie rozstrzygnąć, która z nich będzie wadą, a która zaletą.

Wśród szeptów i przekleństw, tej zwyczajnej wrzawy po pobudce, Karol trochę się uspokoił. Wszedł na zewnątrz, odetchnął głęboko świeżym powietrzem, po czym ruszył do na wpół pustej umywalni.

– To nie woda, tylko płynny lód – prycha Wasyl. Włożył szyję pod kran i szoruje ją obiema rękami. – Chyba dzisiaj nie będzie tak zimno.

Karol płucze usta, a Wasyl pyta cicho:

– Wszyscy na miejscu?

– Wszyscy, towarzyszu majorze, oprócz dwóch.

Karol się uśmiecha, ale Wasyl widzi, że jest to trochę wymuszony grymas.

– Nerwy, co? – mówi cicho. – Jak je stracisz, chłopcze, wszystko pójdzie na marne. – Na chwilę milknie, po czym dodaje: – W nocy się zastanawiałem, czy jeszcze kiedyś się zobaczymy. Jak myślisz?

– Zobaczymy się, Wasyl, na pewno się zobaczymy... Jeśli będziesz na siebie uważał i nie opuści cię szczęście. – Karol składa ręcznik.

Wasyl ojcowskim gestem klepie go po ramieniu.

– Prawidłowo. Jak będziesz przekonany, że jeszcze się spotkamy, że musimy się jeszcze spotkać, na pewno wszystko będzie w porządku. No, idź już... i nie zadawaj się dzisiaj z nikim za długo bez potrzeby. Z nikim, nawet ze sobą. Rozumiesz? Staraj się myśleć o przyszłości. Bądź zdrow i... do widzenia...

Długo spaceruje w ostrym porannym powietrzu. Po godzinie wiatr cichnie, jest błądy poranek, przed barakami na drodze zaczął się ożywiony ruch. Z nocnej zmiany na rampach i w krematorium wracają skurczone piątki, w wytrzeszczonych oczach zmęczenie i tępy ból, tej nocy sprzątnęli dwa tysiące Belgów i Holendrów. Od razu po przejściu Sonderkommanda i Kanady przy bramie zaczyna grać holenderska orkiestra. Piątki z przodu już się ruszają, trwa liczenie, wszystko się zgadza, trzy razy po pięćdziesięciu i ośmiu ludzi z psami, kolejni, ruszyć się, wyrównać szyki i razem, szybciej... Planierungskommando, tak, trzystu więźniów, marsz...!

Władek idzie z przodu, w pierwszej piątce, Paweł maszeruje obok ostatniej. Jeszcze się odwraca i zamyślony spogląda na Karola stojącego przed dziewiątką. Karol smutno kiwa głową, trzymaj się, drogi Pawle, trzymajcie się wszyscy, już się nie zobaczymy, nie, zobaczymy się, na pewno jeszcze się spotkamy, ale nie tu, gdzie indziej, daleko od niszczycielskiego gorącego pieca, daleko od śmierci. Komando Pawła przechodzi przez bramę i w chwili, kiedy Paweł znika z pola widzenia, Karola ogarnia irytujący ból po stracie czegoś większego i ważniejszego niż to, co może uosabiać przyjaciel. Podobną pustkę czuł dwa lata temu w domu, kiedy po kolei znikali z jego życia bracia, i potem, kiedy siłą oderwano go od matki, tylko że wtedy pustkę zastąpił żal, i w tym piekącym żalu mocno żyli w nim wszyscy, których mu odebrano. Teraz gryzie go coś innego. Paweł zniknął za bramą, a on odnosi wrażenie, że wraz z Pawłem jakaś niezbędna, integralna część opuściła jego wnętrze, że nagle stał się słabszy i bardziej podatny na zranienia, jakby Paweł zabrał pancerz ochronny słabo bijącego jądra życia.

Wszedł do baraku i opadł na posłanie. Tak długo czekał na chwilę, którą – o ile szczęście nie opuści go nawet na moment – przyniesie mu ten dzień! Nieskończenie długo ocierał się tu o śmierć i śmierć ocierała się o niego, a przecież nie zniszczyła go swoją pustoszącą siłą, bo życie, które w nim się buntowało,

często uratowały tysiące najbardziej nieoczekiwanych i zaskakujących przypadków. Pomogli też oczywiście Paweł i Wasyl, tak samo jak inni, którzy ryzykowali wszystko, żeby uratować choć odrobinę. Trzy miesiące temu dostał trzydzieści razów biczem. Gdyby potem Paweł nie ukrywał go przez dwa–trzy tygodnie w Planierungskommandzie, drużyna Lausmanna z pewnością sprzątnęłaby go z tego świata. Paweł i Wasyl, Kolka i Adamek kilka razy stanęli obok niego murem w chwilach, kiedy z czołem zroszonym lodowatym potem bez jakichkolwiek emocji ocenił, że to już koniec, opuści to miejsce nie jako uciekinier, lecz jako niewolnik, znikoma resztką popiołu, przez jeden z ogromnych kominów krematorium.

Całe dwa lata czekał na ten moment; jego bliskość teraz pociąga go i cieszy, podnieca i pozbawia rozwagi, z którą się do niego przygotowywał. Paweł, Wasyl, Adamek, Filip i Bolek wiedzieli, że szykuje się do uciezki. Kiedy w wielu rozmowach z nim przekonali się, że chce uciec nie po to, żeby ratować własną skórę, lecz jako posłaniec wszystkich tych kruchych istot tułających się pod dymiącymi kominami, skupili wszystkie siły na przygotowaniach do tego dnia. Ten dzień wreszcie nastał. Jak to właściwie możliwe, że Karol dożył go wśród destrukcyjnego zabijania? Że jest jednym z garstki, która ostała się z niemal dwustu tysięcy mężczyzn zmuszonych do pracy w tych klatkach? No tak, najpierw był nieskończony łańcuch przypadków, najbardziej niespodziewanych przypadków, ziarnka szczęścia w tym olbrzymim nieszczęściu. Potem to oczywiście też były przypadki i zrządzenia losu, ale byli też Paweł, Wasyl, Kolka, Adamek, Bolek, Honza, Pepan i Filip. Podjęli się licznych ryzykownych czynności na rozkaz organizacji, której wielu członków nie znał i do której bezpośrednio nie przeniknął, ale jej rozum i ręce czuł niemal zawsze, kiedy było mu najgorzej. Tak bardzo chciałby teraz wszystkich poznać! Chciałby ich zapewnić, uwierzcie, moi drodzy, o niczym nie zapomnimy, zrobimy wszystko, by świat się dowiedział, że za tymi drutami naziści systematycznie likwidują całe narody.

Jest 7 kwietnia i również dzisiejsza doba ma dwadzieścia cztery razy sześćdziesiąt minut. W której minucie wślizgną się do kryjówki? Czy uda im się zrobić to dzisiaj? Jak przechrzą wyrafinowany i niemal naukowo wypracowany system łapania uciekinierów? Valér... co teraz robisz, Valér? Zżerają cię nerwy i też nie możesz sobie znaleźć miejsca? A może jesteś spokojny i pewny każdego szczegółu? Na dole pod drewnem mamy chleb i papierosy, leki, brzytwę, latarkę,

koszule i oczywiście dwie metalowe rurki, musimy ich pilnować jak oka w głowie. Jeśli nam się uda, Valér, już dziś, tak, już dziś rozwrzeszczy się syrena i będą nas szukać. Będą nas szukać i... Karola ogarnia zdenerwowanie. W zorganizowaniu licznych niezbędnych rzeczy, bez których nawet nie odważyliby się pomyśleć o ucieczce, pomogli im przyjaciele. W jaki sposób pomogą im wieczorem, jutro i pojutrze, kiedy będą przykuci do swoich piątek, a kilkuset esesmanów z wilczurami zacznie przeszukiwać centymetr po centymetrze całą okolicę?

Ociera spocone czoło i rozedrgany najdziwniejszymi myślami wychodzi z baraku. Niebo jest jasne, tylko gdzieś tam płyną po nim czyste, białe chmurki. Czy tam, w górze, też jest życie? Ach, co to za myśli? W górze nie ma przecież nic oprócz dymu, od miesięcy wydobywającego się z przeklętych kominów. W górze rozciąga się pustka, niebieska, czarna albo szara, ale po ziemi chodzą ludzie z sumieniem, którzy z pewnością nie słyszeli o świecie wyrzutków, i ludzie, którzy może słyszeli, ale nie uwierzyli, i jest ich wielu, znacznie więcej niż morderców. Trzeba jak najszybciej przebudzić sumienia tych odważnych ludzi.

Po niebie suną białe chmury. Lekko i szybko odlatują gdzieś na południe, do granic rodzinnego kraju, może nad trasą, wzdłuż której będą stąd uciekać. Jak łatwo mu teraz w myślach wzbić się na wysokość białych nadmuchanych kłębków i bezpiecznie odpląnąć na nich do domu! Jak łatwo mu się teraz patrzy z bezpiecznej wysokości na zburzone kominy i piece, betonowe słupy i wieże strażnicze, powiewające białe flagi i olbrzymią masę ludzi odprawiających sąd nad krwiożerczymi mordercami! Z jaką łatwością krzyczy z góry na całe gardło, cieszcie się, to koniec faszyzmu! Cieszcie się, ale nie wybaczajcie i nigdy nie zapomnijcie!

Oszołomiony tymi wyobrażeniami znów wraca do baraku. Spojrzenie na drzwi pokoiku Kozłowskiego wybudza go z półomdlenia. Ach tak, tam jest kartoteka, zabiorę tę przeklętą kartę ewidencyjną, moją kartę, muszę ją zniszczyć, odrobina ognia – i będzie po niej. W pokoiku Kozłowskiego wyciąga swoją kartę i idzie na posłanie. Kaczmarek śpi, a sztubowi wnoszą martwych z baraku. Z cierpkim uśmiechem obraca kartę w dłoniach, po czym zaczyna czytać. Imię i nazwisko, tak, tak się nazywałem, *eingeliefert am 13. April 1942*, zgadza się, narodowość słowacka, tak, zawód, tak, zna języki, tak, trzeba by dopisać jeszcze polski i trochę rosyjski, zęby, ach, złote, platynowe – brak, kilku własnych zębów też już nie mam, bydlaki, oczy, kto wie, jakie ma teraz, wzrost, to się nie zmieniło, znaki szczególne,

kto je miał, gdy tu przyjechał? – ale teraz mam ten najbardziej szczególny, znak żywego trupa, mam go pod obojczykiem i na przedramieniu. Znaki szczególne... adres krewnych, świnię, tego też potrzebowali... Zgniatą papier, błyska mały płomień i karta ewidencyjna S-29162 przestaje istnieć.

Znów minęła chwila, tylko myśli pognały do przodu. Zdmuchnął popiół, po czym wziął Meldebuch, zapisał stan po odliczeniu martwych i poszedł do kancelarii głównej, tam potwierdzono mu te liczby. Po powrocie do baraku przysiadł się na parę słów do sztabowych, którzy już powynosili ciała do Leichenhali.

– Uwaga, idzie jakaś świnią – nagle piszczy Marcel, właśnie zmienia się przy drzwiach.

Karol tam podbiega. Staje oko w oko z grubym esesmanem z rudymi włosami i blaszaną tabliczką na piersi, prostuje się na baczność. Lagerpolicjant ze znudzeniem wysłuchuje meldunku:

– ...czność! Blok dziewiąty, stan trzysta dziewięćdziesiąt, obecnych sześć, wszystko w porządku, melduje więzień numer...

– Przestań hałasować, gnoju – drze się esesman i rzuca okiem na sztabowych stojących z czapkami przy nogach w alejce między piecem a pryzmami. – Pilnujcie drzwi, świnię, trochę się zdrzemną. Jak będą mnie wołać, to mnie obudźcie. Jeśli ktoś mnie tu przyłapie, będziecie się modlić do świętej Tereski.

Wchodzi do pokoiku Kozłowskiego, ściąga z szyi blaszaną tabliczkę i zwała się na łóżko.

– Chyba się zesram – piskliwie szepcze Marcel. – Przyszedł się zdrzemnąć do śmierdzących bandytów i bolszewików!

– Sen ich bierze. Niechby posnęli na co najmniej tysiąc lat – mówi Karol.

– Wielu zaczyna mięknąć – zauważa Antek. – To dlatego, że na froncie dostali porządnie po tyłkach.

– A tajna broń, która ma o wszystkim zdecydować, jest ciągle tylko w brudnej gębie Goebbelsa – dodaje Marcel.

– Łotry! Macie mnie obudzić o dwunastej! – dochodzi z pokoiku Kozłowskiego.

Uradowany Karol przechadza się po barakach, możecie organizować, załatwiać, dziś nie będą wywracać sienników, dziś nie będą szukać schowanych kościotrupów, lagerpolicjant śpi na dziewiątce, o dwunastej mamy go obudzić.

– Nieźle – oceniają na Kanadzie czyn lagerpolicjanta. – Jak się obudzi, przyślij go do nas, dostanie kilka papierosów. Życzymy mu pięknych snów.

– To życzenie z pewnością sprawi mu przyjemność – mówi Karol już w drzwiach.

Na drodze Wasyl powolutku zamiata i wrzuca łopatą śmieci do rowu. Karol zapatrzył się na wielkie IL w czerwonym kółku na łopatce Wasyla, dokładnie na wysokości serca, tarcza i herb, z którymi ludzie nie mogą opuścić klatki. Przechodzi obok niego bez słowa, obojętnie, co zresztą Wasyl mu umożliwił, gdyż specjalnie się odwrócił i zaczął naprostowywać kamieniem wyszczerbioną łopatę. Myśląc o Wasylu, idzie aż za ostatni barak. Jego oczom ukazuje się obraz, jakiego nie widział od całych dwóch lat.

Tuż za drogą jest kobieca klatka, trwa tam selekcja. W poprzek drogi stoi szpaler, kobiety biegną w krótkich odstępach, żeby przeskoczyć rów – płytką, szeroką na mniej więcej osiemdziesiąt centymetrów fosę. Zawsze, kiedy biegnąca zbliża się do punktu odbicia, stojące w szpalerze więźniarki w pasiastych i wojskowych łachmanach z przestachem zamykają oczy. Policajsza Drechsler wymyśliła okrutną zabawę i nazwała ją kontrolą stanu zdrowia. Ta, która przeskoczy, jest uznawana za zdolną do pracy, zdrową, jeszcze się przyda; nie przeskoczysz, to znaczy, że jesteś słaba, nieproduktywna, trafisz na leczenie do „lazaretu”. Kobiety wiedzą, że od pokonania tej przeszkody na skraju drogi zależy, czy jeszcze pożyją, czy już w najbliższym czasie umrą, i chyba dlatego w potwornym stresie niemal wszystkie potykają się i upadają, tylko nieliczne pokonują niewielką przeszkodę. Niektóre są bez drewniaków, inne podciągają wąskie spódnice.

– Ty krowo nieruchawa! – krzyczy Drechsler i dwie esesmanki, rechocząc, popychają kobietę, która upadła tuż przed rowem i w histerycznym lamencie zaczęła na kolanach składać ręce jak do modlitwy. – Wynocha ze szpaleru! Złaż z drogi! Idziesz do lazaretu! Następna!

Te, które sił pozbawił desperacki strach o życie i upadły na ziemię jeszcze przed rowem, oraz te, które nie doskoczyły na drugą stronę fosy, muszą zejść na bok, do grupki esesmanek. Co chwilę jakaś im się wyrывa i podbiega do Drechsler. Pani Raportfuhrerin, jestem zupełnie zdrowa, jeszcze mogę pracować, niech do lazaretu idą chore, proszę mi pozwolić jeszcze raz spróbować, przeskoczę ten rów. Drechsler opęda się rękoma, kopie, krzyczy, wynocha, kozy, nie dotykać mnie,

idziemy, następna, fuj, świnie zaryczane, nie jęczcie tyle, trochę tam sobie odpoczniecie i znów pójdziecie do pracy.

Karol wraca na dziewiątkę za baraki. Strasznie go mdli. Przez tę scenę w kobiecej klatce znów ogarnęło go zwątpienie. Zniszczyłem kartę ewidencyjną, myśli, ale wciąż jestem w tym morderczym kotle i będę w nim też wtedy, kiedy znajdę się w kryjówce na odcinku Meksyk, i później, kiedy będę z niego uciekać. Jak szerokie są właściwie lodowate, kościste ramiona śmierci? Jak daleko śmierć sięga? Jaką przestrzeń ogarnia? Mój Boże, na jakim terytorium rządzi teraz, skoro przywożą tu ludzi z niemal wszystkich krańców Europy?

W drzwiach dziewiątki staje Kaczmarek, choć zazwyczaj zwleka się z pryczy tuż przed południem. Podaje Karolowi kilka kart korespondencyjnych.

– Jeszcze śpi? – Karol wskazuje głową na pokoik Kozłowskiego.

– Jak zabity. Obudzimy go dopiero przy gongu.

Karol w zamyśleniu przekłada karty. Piszą je więźniowie z poszczególnych transportów, muszą to robić, na bezpośredni rozkaz wydziału politycznego w obozie, na potrzeby Oranienburga, jako przykrywkę i propagandę oraz dementi. Zazwyczaj pisane są schludnie, zrozumiale – wszystko drukowanymi literami.

„Jestem zdrowy” – czyta Karol jedną z nich. „Przyjechaliśmy wczoraj rano. Manon i Miriam dołączyły do kobiet. W niedzielę mamy się zobaczyć. Może wkrótce przydzielą mnie do pracy w szpitalu. Podróż była długa i ciężka. Dużo o Was myślałem. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Serdeczne pozdrowienia dla szanownej rodziny. Wasz serdecznie oddany przyjaciel”.

Po drugiej stronie karty nadawca i odbiorca.

Szanowny Pan Heinrich Harsten  
lekarz Sanatorium Kocha  
Amsterdam, Van Dyck Strasse

dr n. med. Ludwig van Cohen  
Birkenau bei Neuberun  
Oberschlesien

Manon i Miriam już nie ma. Za chwilę nie będzie też Ludwiga, może zdolnego doktora medycyny z racjonalnymi marzeniami o wielkiej przyszłości naukowej. Z czasem na pewno ulecą przez kominy wszyscy autorzy tych zwięzłych listów, a gdzieś w Holandii i innych krajach nawet pół roku od śmierci nadawców będą



doręczane te kartki pisane drukowanymi literami... Niczego mi nie brakuje, nie martwcie się o mnie, jeszcze się zobaczymy... Przekażcie rodzicom...

Karol chowa kartki do kieszeni, sam je zaniosę. Tę ostatnią sobie zostawię, postanawia, to też będzie jeden mały dowód. Ale w końcu odrzuca tę myśl, w metalowych rurkach mamy przecież ważniejsze dowody, kartki to błahostka bez znaczenia, nikogo nie przekonają – i oddaje wszystkie Kaczmarkowi, by po południu zaniósł je do kancelarii.

Wreszcie odzywa się gong i Antek budzi esesmana. Rudzielec wychodzi z pokoiku, Karol krzyknął „...czność!”, ale lagerpolicjant macha ręką, ziewa i mówi:

– Mam nadzieję, że nikt mnie nie szukał. Szukał czy nie szukał, obsrańcy?!

– Wszystko w idealnym porządku – odpowiada Karol.

– Hm... Spocznij. I tak stoicie jak obsrańcy. – Szybko trzasnął za sobą drzwiami.

Na zewnątrz podają zupę.

– Strasznie się spieszą z tymi torami – zauważył Józek. Wszedł z przydziałem także dla Kozłowskiego. – Od dziś będą tam chodzić też blokowi... pilnować i popędzać.

Karol siedzi na pryczy, nie słyszy Józka ani Marcela, przed oczy wciska mu się Drechsler z obrzydliwym uśmiechem, rozrehotane esesmanki i kobiety w pasiastych i wojskowych łachmanach, potykają się, płaczą i błagają, i Kaczmarek z kartkami, Ludwig van Cohen z Amsterdamu, Manon i Miriam dołączyły do kobiet... Cholera, dlaczego nie zostawiłem sobie tej kartki? Dlaczego nie zostawiłem sobie wszystkich? Dlaczego oddałem je Kaczmarkowi?

Herszek przyniósł mu zupę, ale Karol kręci głową, zjedz za mnie, cholera wie, co się ze mną dzieje, w ogóle nie jestem głodny. Która właściwie jest godzina?

Zamiast Herszka odpowiada mu szyna. Dzwoni jak co dzień, ale dla Karola brzmi zupełnie inaczej. Wydaje mu się, że wyzywająco i ostrzegawczo, prześmiewczo i poważnie, to dzwonienie zlewa się w niezwykle wysoki dźwięk przypominający jęk syreny alarmowej. Trochę zirytowany wstaje z posłania i ku ogólnemu zdziwieniu mówi:

– Idę na dwór, chłopaki, tu można oszaleć.

– To... dopiero dzisiaj na to wpadłeś? – odzywa się Antek.

Wszystko w porządku, muszę już iść, myśli, tę kartkę od van Cohena powinienem był sobie zostawić, muszę już zniknąć, ale... Przecież są tu Józek i Herszek, Marcel, Kaczmarek i Antek, niewyobrażalnie dobrzy ludzie wśród tego potwornego cierpienia, i nie zdają sobie sprawy, że dziś wieczorem podczas liczenia będą stać przeze mnie nieskończenie długie godziny, cierpieć i stać, a może nawet umierać. Jak się z nimi pożegnać?

– Muszę załatwić jakieś leki. – Jego głos nabrał dziwnego zabarwienia. – Wrócę za dwie godziny. Do... do widzenia, chłopcy. – Zatrzymuje się przed drzwiami, choć wcale nie chciał tego zrobić. Zachowuję się idiotycznie, myśli, patrzą na mnie, jakby mi odbiło, jakoś muszę przecieżyć się z nimi pożegnać. – Zapalcie sobie – wydusza z siebie ochryple i rzuca im dwa papierosy. – Za dwie godziny wracam.

W chwili, kiedy wyprężony na baczność Valér wyjaśnia esesmanowi przy bramie klatki B-II A, że musi dostarczyć do B-II D karty przeniesionych więźniów, Karol recytuje przy bramie w klatce B-II D:

– Więzień numer 29162 melduje wyjście do lazaretu.

W budzie jest dwóch esesmanów, właśnie trwa zmiana warty, jeden wiesz płaszcz na wieszaku, a drugi zbiera się do wyjścia. Pochyla się nad zeszytem i mówi:

– Jeszcze go zapiszę. Idź już, tylko żebyś nie pomylił lazaretu z kobiecym.

Śmieje się, wskakuje na rower i odjeżdża do esesmańskich koszar.

Karol skręca w lewo, ale po kilku krokach puka się w czoło, jakby przypomniał sobie, że zapomniał czegoś załatwić, kręci głową i wraca. Obok budy stara się przejść spokojnie, niezbyt szybko ani powoli, musi jednak odwrócić twarz od bramy, ponieważ całe jego ciało ogarnia gorąca fala podniecenia. Za skrzyżowanie dotarł już Valér i od strony, gdzie nikt nie pracuje, zmierza w kierunku odcinka Meksyk, do stosu elementów przyszlých baraków. Karol zbliża się do niego na kilka kroków, ale się nie odzywa, musimy przejść jeszcze co najmniej sto metrów, myśli, powinienem był wziąć tę przeklętą kartę, kopnę w ten kamyk, a jeśli trafię w skałę na skraju drogi, to nas nie znajdą i wszystko dobrze się skończy. Ale nie kopie w kamyk, bo łapie go strach, nie ma co prowokować pecha, a gdyby nie trafił, skała jest za daleko, kryjówka pod drewnem też, zanim do niej dojdę, wszystko może się wydarzyć.

Valér jest już obok stosu części, jeszcze kilka kroków, tak, teraz się zatrzymał, obejrzał i wspina na górę. Karol idzie w jego ślady. Na górze leżą Adamek z Bolkiem, w milczeniu kiwają głową na powitanie i od razu zaczynają odsuwać jeden element za drugim, szybko, ale ostrożnie. Valér i Karol podpełzają do otworu między odsuniętymi częściami i schodzą do kryjówki. Są bladzi, ale ich oczy, wbite w tych dwóch, błyszczą gorączkowo. W tym króciutkim spojrzeniu Adamek i Bolek zobaczyli wszystko: wdzięczność za pomoc, słowa pożegnania, trzymajcie się, chłopcy, i wiercie w nas, świat dowie się o wszystkim, tylko uważajcie na siebie i wytrzymajcie, aż sprawiedliwi ludzie przyjdą tu zburzyć komory i piece, ukarać morderców. Dwie blade twarze błyskawicznie znikają na dole w ciemności kryjówki, Adamek z Bolkiem natychmiast przeciągają elementy z powrotem, trzy z jednej, trzy z drugiej strony. Sześć drewnianych części klinuje się na sobie dzięki nacięciom, wszystko jest w porządku, na górze znów powstał jednolity stos drewna, kryjówka, posypana na dnie tytoniem i polana naftą, jest dobrze zamaskowana.

– Szczęśliwej podróży! – Adamek nachyla się nad drewnianą pokrywę, a Karol i Valér słyszą, jak załamuje mu się głos. – Jeszcze was z zewnątrz trochę obsypimy, Paweł kazał, żeby te bestie was nie wyniuchały. Wieczorem polejcie dodatkowo w środku.

Bolek i Adamek zeskoczyli, jest czysto, po tej stronie magazynu części do budowy baraków nie ma żywej duszy. Adamek posypał ziemię obok kryjówki tytoniem, ale zmartwił się, bo potrzebują więcej, do wieczora musi jeszcze jakiś załatwić.

W budzie jest trochę nafty, wieczorem jeszcze raz oblejemy. Chodźmy.

Karol z Valérem słyszą ich powolne, oddalające się kroki, potem też gwizd, smutny, przeciągły i niezbyt przekonujący, *Mamma, son tanto felice*. Karol przez chwilę ściska dłoń Valéra i patrzy w błyskające oczy przyjaciela. Wreszcie jesteśmy w kryjówce, wreszcie zeszliśmy z pola widzenia wież strażniczych i badawczego spojrzenia esesmanów, ale wszędzie wokół nas wciąż króluje śmierć i wcale nie jest pewne, czy wymkniemy się z jej kościstych rąk. Pewien etap jednak mamy już za sobą.

Powoli zaczynają ściągać buty. Nogi owijają szmatami, po czym zakładają wielkie skarpety. Wokół bioder obwiązują pasy wydarte z prześcieradeł, podkładają pod siebie szmaty, opierają się o drewnianą ścianę, przywierają do siebie i patrzą na

drewnianą pokrywę nad głową. Podniesiemy ją my czy brunatni? Wyjdziemy przez nią na wolność czy na krzesła przy bramie?

## „W imieniu Reichsführera SS”

Próbują się zdrzemnąć i w ten sposób oderwać od wszystkich myśli, które wywołują w nich strach. Ostatnich trzydzieści dni przeżyli w skrajnym napięciu. Ich mózgi nieustannie czuwały, przeciążone, wykończone. Świadomość, że nie mogą o niczym zapomnieć, że nic, co robią, nie może być przypadkowe, doprowadzała ich do szaleństwa. Jak wykluczyć przypadek? Gdy byli na zewnątrz i przygotowywali się do ucieczki, mieli okazje, by wykorzystywać zbiegi okoliczności i na wszelkie sposoby dostosowywać do nich albo podporządkowywać im swoje zamiary. Ale teraz są już w kryjówce i mogą tylko wyczekiwać. Jak uniknąć przypadkowego odnalezienia? Co zrobić, by zapach tytoniu, benzyny i ropy się nie ulotnił? By komuś nie przyszło do głowy rozpoczęcie rozbiórki tego olbrzymiego składu elementów do budowy baraków? Tysiące przypadków, a każdy może naprowadzić esesmanów na ich ślad.

Starają się o niczym nie myśleć. Niestety, w półmroku wilgotnej, zimnej i ciasnej kryjówki nie da się ani spać, ani nie myśleć. Za kilka godzin zawyje syrena alarmowa. Podjudzone trupie czaszki przetrząsną cały obóz. Jeśli nie znajdą ich w środku, rozleżą się po okolicy. Śmierć będzie miała tysiące oczu i tysiące morderczych rąk, które już wielu uciekinierów zmiotły z powrotem do bunkrów, pod szubienice i na krzesła pod bramą. Czy oni dwaj unikną losu tamtych?

Schwarzhuber prawdopodobnie postawi na nogi wszystkie załogi esesmanów między obozem a granicą, może wyśle za zbiegami setki ludzi z wyszkolonymi psami także poza teren obozu. Już tylu zawrócono z ucieczki po życie! Może ich też wyśledzą. Ach, nie, ich nie wyśledzą. Bo oni będą się skradać przez góry, nocami, dotrą do domu i... Co właściwie robią, gdy znajdą się w domu? Do kogo pójdą, komu się zwierzą, kogo będą zachęcać, by zrobił coś z niebezpieczeństwem, które zniszczyło już miliony, a na kolejne miliony jeszcze czeka? Jasne, naturalnie, pójdą do ludzi z sumieniem. Jakoś to zorganizują, by ta straszna wiadomość rozeszła się po całym świecie, by ten wstrząsający nazistowski podstęp nie pozostał tajemnicą. Potem może Niemcy zlikwidują obozy koncentracyjne. Jeśli nie, nadlecą

samoloty, zbombardują wieże strażnicze, koszary esesmanów i krematoria. Człowieczeństwo przecież jeszcze nie zginęło, naziści go nie wytępilli, nie mogli przecież zniszczyć czegoś, czego nie znają, co istnieje poza nimi. Tak, jakoś w ten sposób to się potoczy. Uratują życie kilkudziesięciu tysiącom ludzi w klatkach i kolejnym kilkuset tysiącom, które lada moment mają tu przybyć. A może wręcz milionom, dla których Niemcy chcą budować kolejne komory gazowe i kolejne piece.

Czy tak się stanie? Czy może będzie inaczej?

Myśli w ciasnej, małej kryjówce pędzą jak szalone, ale sekundy mijają powoli. A jeśli jednak ich znajdą? Jeśli psy ich wywęszą? W imieniu Reichsführera SS... szubienica... dwa krzesła... ceremonia...

Karol ostrożnie wyjął brzytwę spod deski. Może nas wyśledzą, ale nie będą nas przesłuchiwać. Może nas dorwą, ale my nie zobaczymy ich radości. Dwóch z pewnością załatwimy.

*Durch Himalaja! Durch den Kamin...* Jedyna droga stąd prowadzi przez komin...

Czy naprawdę nie ma innej drogi? To przecież nie może być prawda. Jest taka droga i oni w nią wyruszają. Prowadzi nocą, przez góry, potrwa siedem dni i siedem nocy, może nawet dłużej, a na jej końcu spotkają ludzi z sumieniem.

Uspokajają się dotykiem i wzrokiem. Karol spojrzał na zegarek Valéra i się poderwał, jakby zauważył coś niespodziewanego. Po co załatwili sobie fosforyzujący zegarek? Po kiego diabła wzięli właśnie taki? Wskazówki i cyfry świecą zimno, przypominają z udręką, że czas wlecze się bez końca. Jak stuoki drapieźnik szykujący się w ciemności do morderczego skoku, pomyślał Karol. Dlaczego wzięli ze sobą taki szalony zegarek?

Karol odwrócił cyferblat i złapał Valéra za rękę. Tak, obaj jesteście już w kryjówce. Jeszcze żyjemy i będziemy żyć, jeśli nie znajdą nas dziś wieczorem. I spędzimy tu jeszcze dużo czasu, osiemdziesiąt, niemal osiemdziesiąt godzin. Cztery tysiące osiemset minut. Dwieście osiemdziesiąt osiem tysięcy sekund. A potem długie godziny ucieczki, jakieś siedem, osiem dni. Ale na końcu drogi najemy się do syta, wykapiemy i pozbędziemy się wszy. A potem się ubierzemy i... nie, nie! Najpierw opowiemy o wszystkim, co tu przeżyliśmy i zobaczyliśmy, od pierwszej chwili aż do ucieczki. Dopiero potem się najemy, wykapiemy i ubierzemy – w cywilne ubrania.

Minuty wloką się bez końca, w każdej mieszczą się tysiące wizji strasznych niebezpieczeństw, które będą na nich czyhać na każdym kroku. W wyobrażeniach zwiększają tempo, uciekają, zatrzymują się, znów uciekają pochyleni, a wokół nich wybuchają granaty, świszczą kule, krzyczą esesmani i szczekają psy. Przechodzą przez granicę... Znajome wsie i miasta, ojczysty język... Komuś – i tego kogoś Karol nie umie sobie wyraziście wyobrazić – pokazują szkic i opowiadają... Trzeba szybko coś zrobić... Nie rozumie pan, co mówimy? Trzeba szybko działać. Każdego dnia przywożą ich tysiącami. Tysiącami, rozumie pan?

Ach, mój Boże, jak to możliwe, że pan nie pojmuje? Cztery, rozumie pan? Cztery pociągi towarowe dziennie. Od sześciu do ośmiu tysięcy ludzi dzień w dzień. Te pomieszczenia wyglądają jak łaźnie... łaźnie z prysznicami. A zamiast wody lecą na nich kryształki trującej substancji. Te sublimują, oni się duszą, a potem zostają spaleni. Spaleni na popiół. Potem czyści się piece, wietrzy komory i zapędza tam kolejnych... Nie rozumie pan?

Minuty wloką się powoli, ale myśli pędzą jak szalone.

W drewnianej kryjówce panuje grobowa cisza. W umysłach obu mężczyzn kotłuje się plątanina strasznych scen sprzed dwóch lat, sprzed roku i tych całkiem niedawnych, a wszystkie są równie świeże, równie potworne i niezrozumiałe.

Dwadzieścia cztery miesiące. Za sześć dni miną dwa lata. Każdy dzień miał dwadzieścia cztery godziny i w każdej godzinie, wręcz w każdej chwili, śmierć zbierała tu swoje żniwo. Jakie to dziwne miejsce, rozrasta się, choć ludzie się w nim nie rodzili, tu się tylko umierało. Ilu już zginęło przez te dwa lata? Można zmierzyć objętość gazu, którym zabijali. Można zważyć złoto i kamienie szlachetne, odzież i żywność, które ukradli, a nawet popiół, kości i włosy, które zostały po ofiarach. Ale jak zmierzyć lub zważyć zadane tu już cierpienia i te, które jeszcze czekają na ludzi? Ilu udęczono, zastrzelono, powieszono, otruto, zabito fenolem, wszczepionym rakiem, tyfusem, malarią, prądem elektrycznym, a ilu uduszono? Łącznie trzy miliony, może nawet więcej...

*Wsio budiet chorocho, wsio budiet chorocho...* Tak, *wsio budiet chorocho*, Kolka, ale ludzie wciąż tu umierają, codziennie ginie ich coraz więcej i nie ma nikogo, kto powstrzymałby śmierć.

Kilkadziesiąt prób ucieczki skończyło się na szubienicy, w betonowych bunkrach i na krzesłach pod bramą. Ile ceremoniałów odprawiono już wokół żywych i martwych? Ilu tak skończyło?

W imieniu Reichsführera SS zostają skazani na karę śmierci...

Pod jedną pętlą stał były major Wojska Polskiego, pod drugą pomocnik krawiecki. Obaj z Krakowa. Do ostatniej chwili stali bez ruchu, ich duma i nieugiętość wręcz zaskoczyły Schwarzhubera. Lagerführerowi wówczas bardzo zależało na tym, żeby złamać ich strachem, ale oni stali z pogardliwymi uśmiezkami tak spokojnie, jakby nie wisiła nad nimi żadna pętla, a wokół nich nie działał się ten potworny teatr. Ani śladu strachu, oznaki słabości czy rozpacz. Stali nieustępliwie, zaskakującą pogardą i palącą nienawiścią wzbudzali zdumienie i podziw wśród więźniów, których miała zastraszyć ich śmierć. Ten chłodny i straszny spokój wynikał zapewne z poczucia, że dali z siebie wszystko, spróbowali uciec. A kiedy podeszli do nich kaci, obaj splunęli ze wstrętem i w milczeniu spojrzeli na siebie. Zanim nogi skazańców zapadły się pięć centymetrów poniżej sceny amfiteatru wypełnionego ponad dziesięcioma tysiącami więźniów, pełną napięcia, mroźną ciszę przeciął krzyk:

– Niech żyje Polska!

Za próbę ucieczki po życie – śmierć! W imieniu Reichsführera SS.

Trzęsą się z zimna. Rzeczy, na których siedzą, i ubrania, które mają na sobie, już zwilgotniały. Ukrywają się zaledwie od czterech godzin. Kiedy ryknie syrena? Za godzinę? Za dwie?

– Pomścijcie nas...!

Przed miesiącem, dokładnie przed miesiącem – 8 marca – zaczęto wypędzać z baraków po zmroku transport, który przybył pół roku wcześniej z Terezína. Przywiezieni nim ludzie spędzili tu dokładnie pół roku.

*SB – Sonderbehandlung! Sechs Monate!* Specjalne traktowanie! Sześć miesięcy! – tak było napisane na dokumentach tego transportu.

Mieszkali oddzielnie, całymi rodzinami, mieli własne cywilne ubrania, nie ogolono ich, nie zapędzano do pracy, przez sześć miesięcy kręcili się po klatce B-II B. Pisali kartki, otrzymywali życzenia i paczki – suchary, keksy, czarny i biały chleb, marmoladę i powidła, papierosy, zabawki. Wielu z tych paczek nawet nie zobaczyli. Zżarli je esesmani i świnie.

Dziwnie ich traktowano. Nie prześladowano i nie bito. Aż od któregoś wieczora niemal do rana pędzono ich pod prysznic z cyklonem. Tych, co próbowali uciec,



skosiły serie z karabinów maszynowych, a wielu oszalało na tej krótkiej, czterystumetrowej drodze. Potem przez cały dzień, aż do późnego wieczora, z kominów buchały syczące błyski.

Wśród rozzwierających okrzyków było jasno słyhać: „Pomścijcie nas!”.

Tak, pomścimy was. Niczego innego tak nie pragniemy jak zemsty. Ale czy te niekończące się marsze do gazu można pomścić? Skąd wziąć sprawiedliwą miarę zemsty? Teoretycznie taka miara już istnieje – śmierć za śmierć. Ale śmierć to tylko moment, w wielu przypadkach może nawet najmniej bolesny i najbardziej wyczekiwany. Koniec cierpienia. Jak i czym pomścić natomiast dręczący żal i niewyobrażalne cierpienie? Jak? Uratujesz się i też będziesz torturować? Będziesz żyć, żeby nieustająco i potwornie dręczyć oraz nieustająco i potwornie zabijać? Nie, nie mógłbyś tak żyć, ale tak samo nie mógłbyś żyć na tej ziemi razem ze zbrodniarzami. Co zatem z nimi zrobisz? To jasne, zemścisz się. Jakoś się zemścisz. Będziesz musiał się zemścić. Ludzie, którzy nie znaleźli się w tym olbrzymim grobie żywych i martwych, będą musieli ci na to pozwolić, jeśli choć trochę będzie im zależało na tym, byś szedł przez dalsze życie z wiarą w sprawiedliwość. Nie wskrzesisz jednak trzech milionów ludzi i kolejnych kilkudziesięciu tysięcy, którzy jeszcze tu przybędą, zanim rozniesie się ta straszna wieść. Nie wymażesz i niczym nie wynagrodzisz bólu, jakiego tu doznali. Został przeżyty i był straszny, lecz świat stanie się piękniejszy, gdy ludzie z sumieniem będą uważać go także za swój ból. Trzy miliony ludzi w jednym miejscu! Czy zrozumieją? Uwierzą?

Nagle się zrywają, wsłuchują, potworne zwidy znikają. Do kryjówki przenika słumiony, niezrozumiały zgiełk. Niedaleko nich ustawiają się komanda – tkackie, budowlane, robót ziemnych, kopania dołów. Karol złapał Valéra za rękę. Jest zimna jak lód. Jeszcze przez chwilę mogą tak siedzieć, jeszcze nie muszą chować się w dziurze. Ale lada chwila zacznie grać orkiestra, a potem... Co będzie potem?

Przy dźwiękach skocznych marszów komanda wchodzi do klatek. Raz, dwa... raz, dwa... lewa, prawa... równać szereg...!

*Los, dalli, dalli, szybciej! Los, wy zasrańcy! Wyrównać...! Czapki z głów! W prawo patrz...!*

Orkiestra grała ponad godzinę i właśnie tyle czasu grupy maszerowały do klatek. Tam zostały policzone, wszystko się zgadza.

Przy bramie zmienili się dyżurni. W budynku strażniczym przy bramie odcinka B-II D w zeszytce kontrolnym nie została zaznaczona jedna osoba.

– Brakuje ci jednego – mówi esesman przejmujący służbę. Przymyka oczy w wąskie szpary. – Masz jeszcze jednego na zewnątrz.

– Bzdura. Zapomniałem go zapisać.

Drugi spokojnie dopisuje w kolumnie przyście – godz. 14.00 – i skreśla cały wiersz.

We wszystkich klatkach rozpoczyna się apel.

Dowódca Birkenau SS-Obersturmführer Johann Schwarzhuber przyjmuje meldunki esesmanów przy stoliku w pobliżu bramy, porównuje stany poszczególnych baraków i skreśla na wykazie z kancelarii głównej. Główny pisarz, więzień Kazek, zawsze czysty i ogolony, były urzędnik bankowy, obyty z liczbami i bardzo precyzyjny, stoi nieopodal, gdyby coś było niejasne.

Zgadza się, zgadza się, zgadza się – barak za barakiem.

– A co z dziewiątym barakiem? – krzyczy niecierpliwie Schwarzhuber. – Mam ich sobie sam policzyć?

Na dziewiątce coś się nie zgadza. Antek skonsternowany biega obok szeregu z zeszytem w ręce, nie może znaleźć Karola. W końcu podaje zeszyt Kozłowskiemu. Obaj liczą kilka razy, ale jednego ciągle brakuje. Blokowego ogarnął strach, w tym zdenerwowaniu nie zauważył, że brakuje Karola. Lausmann, który odpowiada za porządek na dziewiątce, już dostrzegł, że pisarza nie ma na miejscu. Klunie ze złością i na wszystkie strony wrzeszczy rozkazy.

– Pisarz z dziewiątki! – krzyczą na całym odcinku.

Cisza. Nikt się nie odzywa. Lausmann jeszcze chwilę czeka, potem z pobladałą twarzą podbiega do Schwarzhubera, stuka obcasami i bąka zadyszany:

– Panie Lagerführer, melduję, że w baraku numer dziewięć brakuje jednego więźnia.

– Idiota! Jak to brakuje? Nie umiesz liczyć?

– Pisarz... więzień numer... – zacina się Lausmann.

SS-Unterscharführer Oswald Kaduk biegnie w stronę budki i po chwili wraca. Wszystko jest zaznaczone, musi tutaj być.

– Idź go poszukać, durniu – warczy Schwarzhuber na Lausmanna.

Ledwie Lausmann znika z duszą na ramieniu, z prawej strony podbiega kolejny esesman, staje w przepisowej odległości przed Schwarzhuberem, stuka obcasami i melduje:

– Panie Lagerführer, melduję, że na odcinku B-II A, na kwarantannie... brakuje więźnia...

Schwarzhuber poczerwieniał na twarzy.

– Co... na kwarantannie też? Przekłęci idioci! – Gwałtownie łapie esesmana za ramię, obraca go i popycha. – Chcę usłyszeć, że nikogo nie brakuje! Wyślę was wszystkich do bunkra, wy głupcy! Jeśli nie umiecie liczyć, ubiorę was w te łachmany, zrobię z was numery i zaraz nie będzie nikogo brakować.

Z gniewu wręcz się dusi. Lada moment miał jechać na urlop. Wojska na froncie się wykrwawiają i ustępują, w tych ciężkich chwilach każdy stara się dotrzeć do domu, by zabezpieczyć się na wypadek, o którym głośno nie wolno mówić. Jest mało prawdopodobne, że w Oranienburgu zatwierdzą urlop dowódcy, któremu uciekli więźniowie. Ba, niemal na pewno mu odmówią i zamiast w Bawarii może się znaleźć na jednej z tych beznadziejnie przerwanych linii frontu.

Do Schwarzhubera podchodzi jego adiutant, SS-Unterscharführer Heinrich Bischoff.

– Już wiemy, 29162 oraz 44070, Słowacy – podaje Schwarzhuberowi dwie karty z kancelarii głównej. – Słowaccy Żydzi.

– Karty!... Odkrycie Ameryki! – studzi go Schwarzhuber. – Niebioso, jak mam pracować z takimi idiotami? Karty...! – Pobiegł w stronę budki przy bramie, tam złapał rewolwer z długą grubą lufą, włożył nabój alarmowy i wystrzelił.

Długi zielonkawy ogon rakiety. W punkcie kulminacyjnym rakietę się rozerwała i rozprysła w gwałtowne światło.

Syrena!

Nic innego nie wydaje tak zawodzącego, okropnego dźwięku. Brzmi, jakby wycie tysiąca sfor wilków nagle zlało się w jeden, stale nasilający się skowyt wprowadzający powietrze w drganie i mrozący krew w żyłach. Syrena buczy tak przenikliwie, że nawet esesmani zatykają sobie uszy palcami. Jej straszne wycie słyhać w promieniu dwudziestu kilometrów. Huczy przez całych dziesięć minut, trzy razy z pełną mocą. W ciągu tych dziesięciu minut wiadomość dotarła z jednego baraku do drugiego, z klatki do klatki: znowu uciekło dwóch więźniów.

Jak już wielokrotnie wcześniej, także teraz kilkadziesiąt tysięcy ludzi stoi, drętwieje i czeka. Na głównej drodze tupoczą buty z cholewami i szczekają psy; tysiąc dwustu esesmanów wybiegło z koszar na polowanie, by przeczesywać metr po metrze całą okolicę i stworzyć wokół obozu szeroki łańcuch straży. W klatce B-II D, gdzie mieszkał Karol, i w klatce B-II A, gdzie mieszkał Valér, więźniowie spoglądają w napięciu w stronę bramy. Czy ich złapią? Przywloką żywych czy martwych? I kiedy ich przyprowadzą? Dziś? Jutro? Jak długo będziemy musieli stać? Ilu z nas znów ubędzie, zanim przyprowadzą tych dwóch, a ilu potem, podczas ceremoniału?

Podczas gdy huk syreny wprowadził w ruch cały pułk bezwzględnych morderców, Schwarzhuber, Bischoff i Kaduk pobiegli do klatki B-II A. Teraz wracają na B-II D. Zapewne niczego tam nie ustalili, bo są zachmurzeni, a Schwarzhuber gestykułuje ze złością. Twarz mu posiniała, jeszcze mocniej pochylił się do przodu, jest bardzo zdenerwowany i nawet nie próbuje tego ukryć przed towarzyszącymi mu ludźmi ze sztabu. Zatrzymuje się przed dziewiątym barakiem i rzuca ze złością:

– Kto dziś widział tę świnię? Kto wie, gdzie dzisiaj był i dokąd poszedł?

Mechanizm działa w każdej sytuacji niezawodnie i szybko. Zanim wybrzmiały słowa Schwarzhubera, przed barakiem stał już kozioł do chłosty.

Więźniowie milczą i wydaje się, że całkiem nieobecni spoglądają gdzieś ponad głowę Schwarzhubera. Ten rzuca krótkie spojrzenie na kozioł, potem na więźniów, i mówi tak szybko, że ledwo można go zrozumieć:

– Jasne, nikt go nie widział! Nawet go nie znaleźcie, tak? – Na jego twarzy pojawia się okrutny uśmiezek. – Zapłacicie... za swoje ślepe oczy. I będziecie mówić, idioci, aż wam się języki zagotują! Dawać tu blokowego!

Kozłowski dostaje dwadzieścia pięć razów. Po każdym uderzeniu jego ciało nienaturalnie napina się i wygina. Po każdym uderzeniu na pasiastych łachmanach wykwitają coraz większe plamy krwi. Krzyczy ze strasznego bólu, ale w tym krzyku ani razu nie pada imię pisarza czy ludzi, z którymi widział go dziś lub wczoraj. Nic nie wie o Karolu.

– Dalej nie pamiętacie? – pyta Schwarzhuber. Kozłowski jęczy skulony na skraju szeregu, esesman ucisza go pełnym złości spojrzeniem. – Nie pamiętacie, no jasne. – Milczy, zagryza górną wargę, po czym dodaje chrapliwie: – Nie zapominajcie, bolszewickie śwynie, że dotychczas był tu raj, tuczarnia, każdy się objął i myślał

tylko o żarciu. Od tej pory zapanuje tu inny porządek. – Patrzy na Kozłowskiego, który znów jęknął, po czym lekko odwraca głowę i cedzi przez ramię: – Dajcie tej świni jeszcze dziesięć, niech chociaż pokwiczy, skoro nie umie mówić! A reszta... do przysiadów!

Obraca się i rusza szybko w stronę bramy. Bischoff i Kaduk podążają za nim w milczeniu. Przed dziewiątką, gdzie trzystu osiemdziesięciu pięciu więźniów robi przysiady, zostaje tylko Lausmann.

Zapadł zmrok.

Szaleństwo rozniosło się jak zaraza. Rozeszli się po całej okolicy i sprawdzają każdy kąt. Szukają we wszystkich barakach, magazynach, umywalniach, latrynach, budach, przewracają do góry nogami wszystkie klatki. Robią to skrupulatnie, metodą zwężających się kręgów z psami w środku. Sprawdzany jest każdy metr, nic nie umknie uwadze, wszystko zostanie obwąchane przez dyszące psy. Schwarzhuber co chwilę wbiega do jednego z kręgów z przekleństwami i groźbami na ustach, macie dwie godziny, żeby przyprowadzić mi tych dwóch, krzyczy, albo wszyscy pójdziecie na front!

– Hej, Bischoff...!

SS-Unterscharführer Bischoff podbiega do Schwarzhubera i na baczność słucha rozkazu:

– Masz dopilnować, że będziecie szukać i znajdziecie tych matolów!

– *Jawohl*, panie Lagerführer!

Schwarzhuber energicznie ruszył do swojego biura. Tam z ciemnej szafy wyjął butelkę wódki, napił się i podszedł do okna. Obserwuje nerwową krzątanie funkcjonariuszy SS. Od czasu do czasu dociera do niego przekleństwo lub rozdrażnione szczekanie. Dwaj starzy, myśli zaniepokojony i zapala papierosa. Dwaj, co wiele widzieli i sporo wiedzą. Na myśl o tym, że pościg zakończyłby się niepowodzeniem i ucieczka musiałaby zostać zgłoszona przełożonym, dreszcze przebiegają mu po plecach. Wraca do stołu, znów pije, po tym łyku nagle nabiera pewności. Na zewnątrz jest tysiąc dwustu ludzi i kilkadziesiąt psów. Cały pułk zdolnych ludzi na dwie wygłodniałe nedorajdy. Zewnętrznych granic obozu pilnuje teraz gęsty łańcuch straży, a wewnątrz olbrzymiego kotła sprawdzany jest każdy metr kwadratowy. Nie uciekną, nie powinni i nie mogą uciec. On przecież

nie pozwoli zepsuć sobie urlopu z powodu takich zasańców. A to i tak byłby ten lepszy wariant. Gorszy skończyłyby się degradacją i frontem wschodnim.

Ta przytłaczająca wizja dosłownie popchnęła go ku drzwiom. Stał tam przez chwilę niezdecydowany, po czym zdjął pistolet maszynowy z gwoźdźnia obok szafy, zarzucił go na ramię i wyszedł do poszukujących.

– Róbcie, co chcecie, tylko ich złapcie! – słycać jego ostry głos. – Kto ich złapie, dostanie dwa tygodnie urlopu.

Zesztywniali więźniowie stoją pośrodku tego szalonego harmidru, ich twarze wyrażają trwogę, strach i nieśmiałą nadzieję. W inne dni wielu z nich już wyniesiono by pod ściany baraków, ale dziś, przynajmniej teraz, pod wieczór, trzymają się nadzwyczaj dobrze. Teraz są z Karolem i Valérem. Wspólne napięcie i strach o losy uciekinierów trzymają mur ludzi w pasiakach razem, a przemarznięty Lausmann, który przechadza się po drodze, ma chwilami wrażenie, jakby także był jeńcem tej ciemnej masy ciał.

– Tylko żebyśmy nie stali tu nadaremnie jak te kołki. Jeszcze się przez nich zeszczam i przeziębę – mówi z uśmieszkiem Bolek przed czternastką.

– Postoimy sobie, a potem będziemy się kręcić obok ławek albo szubienicy – rzuca Adamek. – Jak myślicie, jak to się skończy? – Głos Adamka jest jasny, wszyscy w pobliżu czują, że nie wierzy w tragiczny finał poszukiwań. Zaczynają rozmawiać i Adamek jest zadowolony, przynajmniej nie myślą o chlebie i mrozie.

– Już ich nie złapią – rzucił ktoś. – Skoro do tej pory ich nie złapali, to...

– Może już ich przesłuchują. Ilu już próbowało, a niemal wszystkich dorwali.

– Tobo ich nie szukali – zauważa z przekonaniem Adamek. – Nie wierzę, że ich znajdą. Do diabła, kogo tu niesie?

Z klatki B-II A nadjeżdża z hukiem zündapp, pięćsetka. Prowadzi go zastępca dowódcy wydziału politycznego SS-Oberscharführer Wilhelm Boger we własnej osobie, a w koszu siedzi SS-Rottenführer Bruno Schlage, świeżo upieczony szef jedenastki w Auschwitz, bloku egzekucyjnego. Boger i Schlage – specjaliści od prowadzenia śledztw. Pierwszy ma słabość do „przesłuchań bez pałki”, udaje, że wie o każdym wykroczeniu, o wszystkim, co dzieje się w obozie, wśród więźniów i esesmanów. Boger nie jest zapalczywy ani niecierpliwy, prowadzi śledztwo ostrożnie i powoli – żywy zawsze może zacząć mówić. Schlage pracuje szybciej, nie dysponuje bogatym zasobem słownictwa, ma za to twardą rękę i całe jego

śledztwo kończy się zazwyczaj strzałem w potylicę pod ścianą baraku jedenastego.  
Docierają z hukiem

do dziewiątki, a Schlage jeszcze z wózka krzyczy do kucających ludzi:

– *Los*, wstać!

– Wszyscy Słowacy wystąp! – dodaje po chwili chłodno.

Nikt nie ruszył się z szeregu.

– Co... Nie ma tu Słowaków? Wystąp!

Kozłowski trzęsie się z bólu i zimna, szcękając zębami, tłumaczy Lausmannowi, że w dziewiątce są tylko Polacy, Francuzi, Holendrzy i paru Greków.

– Wszyscy Słowacy wystąp! – krzyczy Schlage w stronę obozu.

Od strony baraków przybiegają Słowacy. Lausmann i Schlage ustawiają ich na drodze między dziewiątką a jedenastką.

– Pięćdziesięciu siedmiu... To wszyscy? – pyta Boger głównego pisarza, który przyniósł tabelę wieczornego stanu więźniów z podziałem na narodowości.

Łącznie jest ich dwustu dziewięciu. Stu czterdziestu pracuje teraz na rampie. Dwaj przy piecach, ośmiu w sąsiednich klatkach. Dwustu dziewięciu z trzydziestu siedmiu tysięcy! Pozostał tylko jeden na stu siedemdziesięciu pięciu. I tych dwóch.

Boger spokojnie spaceruje obok pięćdziesięciu siedmiu Słowaków. Badawczo patrzy na pobladłe twarze i uderza trzcina po nosie stojących na skraju. Chciałby wychwycić coś, co by ich zdradziło – radość, napięcie, strach, drwinę albo podniecenie, ale wyglądają, jakby składali się wyłącznie z tępej obojętności. Ponieważ w tym momencie nic nie przychodzi mu do głowy, zatrzymuje się i mówi:

– Czyli nikt nic nie wie? Dobrze, bardzo dobrze. Jeszcze się zdziwicie i będziecie żalowali. Odmaszerować!

Gdy odchodzą, wsiada ze Schlagem na motocykl i szybko odjeżdżają w stronę kwarantanny. Gdzieś stamtąd dobiegły dwa wystrzały, dwa naboje dum-dum.

– Stare triki – zauważa Antek. – Pan Schlage chce nas zbałamucić.

Wkrótce na drodze pod bramą pojawiają się Schwarzhuber z Bischoffem i Kadukiem. Schwarzhuber idzie trochę niepewnie i już z daleka wrzeszczy na ludzi przy dziewiątce:

– Kto wam pozwolił wstać, wy łotry!

– Pijany, kompletnie pijany – mówi po cichu Władek.

– Kto wam pozwolił wstać? – powtarza Schwarzhuber przed dziewiątką.

– Pan Oberscharführer Boger – wyjaśnia z przestraczem Kozłowski.

– Kto...? Przysiad...! W tył zwrot, to znaczy wstać! Biegiem marsz! W tył zwrot! Biegiem marsz! Przysiad... Wstać, przysiad, wstać, przysiad, wstać, wy bandyci – krzyczy ze wszystkich sił na dyszących ludzi. Poczzerwieniał na twarzy, a z ust pryska mu ślina. Nagle zdejmuje z ramion pistolet maszynowy i zatacza nim koło.

– Daję wam jeszcze dziesięć minut. Jeśli nikt się nie zgłosi... jeśli nie... – Trochę się zatacza, po czym znów wymachuje bronią. – Jeśli nie... na mój honor oficera, wy świnię, nikomu nic się nie stanie, jeśli...

Stracił wątek, znów się zakołysał i tylko dzięki pomocy Bischoffa utrzymał równowagę. Bischoff delikatnie go odciągnął, żeby niepotrzebnie się nie ośmieszył. Schwarzhuber mu się wyrywa i jakby dopiero teraz go zauważył, w nagłym przypływie trzeźwości ryczy ze złością:

– A ty co tu, do diabła, robisz, Bischoff? Zabieraj się do ludzi i szukajcie! Aż za Wisłę...!

Po kilku krokach się zatrzymuje i nienawistnie gasi Kaduka:

– Stój na baczność, Kaduk, gdy patrzę na ciebie!

Kaduk prostuje się trochę zdenerwowany, bo Schwarzhuber w gniewie jest nieobliczalny.

– Biegnij do koszar i wypędź na dwór jeszcze trzystu ludzi! – rozkazuje. – I nie pokazuj mi się na oczy, póki nie złapią tych dwóch.

Poza obwodem klatek biegają esesmani, błyskają światła latarek. Od czasu do czasu trzeszczy ostry głos Bischoffa, po czym funkcjonariusze z psami bardziej energicznie pociągają za smycze i teren rozbrzmiewa wściekłym szczekaniem.

Niemal sześćdziesiąt tysięcy numerów ciągle stoi. Mży zamarzający deszcz, a od północy zaczyna wiać.

Przed dziewiątką Lausmann tępo odmierza kroki. Za każdym razem, gdy na zewnątrz psy zaczynają wścieklej ujadać, a esesmani krzyczeć, Lausmann z trwogą w duszy spogląda na stojących więźniów. W innej sytuacji wielu by już upadło, ale teraz zdaje się, jakby mieli więcej sił niż w inne dni. To dziwne, przecież mają za



sobą pracę i godziny stania, a jeszcze nie jedli, bo Schwarzhuber zakazał rozdać kolację. Lausmannowi się wydaje, że za każdym razem, gdy z zewnątrz dobiega nerwowe szczebanie i krzyk, ich oczy dziko błyszczą i cały oświetlony mur pasiastych ciał kamienieje w jakimś niezrozumiałym buncie. Jakby żywiła ich nasza nerwowość, przelatuje mu przez głowę, po czym znów wędruje myślami do żony, próbując wyobrazić sobie jej ból i lament, z jakim przyjmie wiadomość o śmierci syna. Zapewne na długi czas ją to złamie. *Verfluchte Ostfront!*

Im dłużej stoją, tym zgiełk staje się bardziej chaotyczny. To dobry znak. Wlewa w dusze nieśmiałą obietnicę, a nawet najdrobniejsza myśl o zakończonej powroździe ucieszy resztki wątpliwych sił. Paweł i Władek, a przy innych barakach Kolka z Wasylem oraz Adamek z Bolkiem od czasu do czasu kręcą się między piątkami i rzucają słowa, które rozniecają tłąc się nadzieję. Całkiem z tyłu Paweł uniósł jednego z więźniów – kuczał na piętach i ogrzewał sobie ręce pod pachami.

– Pomóżcie mu, podpierajcie go – prosi Paweł stojących obok. – Wytrzymajcie, tych dwóch nie złapią, nie będzie żadnego ceremoniału.

Więźniowie biorą zmarzniętego mężczyznę między siebie, opierają się o niego, przytrzymują go też rękami, a mężczyzna chrypi, ledwo poruszając opuchniętymi ustami:

– Nie mam siły, nie mam siły. Jak długo jeszcze będziemy stać?

– Już niedługo – odpowiada Paweł, a mężczyzna spogląda na niego ze zrozumieniem, choć niewierzącymi oczami. – Myślę, że do północy. O, Sonderkommando już wraca.

Na drodze tupocze powolny, ciężki krok stu pięćdziesięciu więźniów wracających z popołudniowej zmiany w krematorium. Filip, szczupły ciemny chłopak o przenikliwym spojrzeniu i ze ściągniętymi jakby do płaczu kącikami ust, odskakuje od maszerującej grupy i za plecami Lausmanna skręca do dziewiątki. Często tu zagląda, by porozmawiać chwilę z Pawłem, Władkiem i Karolem.

– Gdzie jest Karol? – pyta.

– Od obiadu podobno go nie ma – wyjaśnia Stanisław tak spokojnie, jakby mówił o pogodzie.

Oczy Filipa się uśmiechają. Gwiżdże zaskoczony.

– Słyszeliśmy, jak wyje ta paskuda, i za Boga żywego nie potrafiliśmy zrozumieć, że komuś może się tu nie podobać. No proszę... Karol!

Paweł też się uśmiecha, a Stephan spogląda na niego podejrzliwie. Kozłowski fuknął na Filipa:

– Durak, niby nie wiedziałeś, że coś szykuje?

– Wiedziałem, ty stary ofermo – odpowiada porywczo Filip. – Każdy się szykuje, oprócz ciebie. Tylko ze mną nie zaczynaj, ładniejszych wrzucałem do pieca. – I już spokojniej mówi dalej: – Prawda, że wiedziałem, ty świński ryju, *du Arschloch*. Myślał o tym od pierwszego dnia, jak tu razem przyjechaliśmy. W tej klatce zostałem już tylko ja. Ale jak chcesz, mogę ci w imieniu tego transportu raz wałnąć.

Filip się odwraca i wychodzi poza szereg. Podczas tej rozmowy Paweł rzucał pochmurne spojrzenia na Stephana. Wyraz twarzy, z jakim Stephan obserwował Filipa, widział tu już nie raz. W szczelinach zimnych oczu zapłonęły zachłanne ogniki i Paweł z łatwością odgadł, że Stephanowi kołacze w głowie myśl o donosie. Filip za dużo by nie powiedział, ale cień podejrzenia wystarczyłby, żeby Schwarzhuber, który desperacko szuka choćby najmniejszego śladu, wybił z niego życie. Po chwili Paweł przyłapuje Stephana na upartym wpatrywaniu się w Lausmanna, który idzie drogą z pochyloną głową. Stephan się odwraca, chcąc przejść na lewe skrzydło szeregu, a wtedy Paweł łapie go za rękę i przyciąga do siebie tak gwałtownie, że niemal zderzają się nosami.

– Zostajesz tutaj, Stephan! – szepcze Paweł twardo, a oczy Stephana zdradzają zaskoczenie złodzieja przyłapanego na gorącym uczynku. – Dopóki będziemy tu stać, nie ruszysz się od nas nawet na krok! Słyszysz, jak tam Bischoff krzyczy na zewnątrz? Dobrze to sobie zapamiętaj: jeśli tylko zasugerujesz coś wzrokiem, Bischoff się dowie, że jesteś jedynym, który wie coś o Karolu.

Stephan chce się wyśliznąć, ale ręka Pawła trzyma go jak imadło. W końcu zmieszany pochyla głowę. Wkrótce potem unosi ją krnąbrnie i szybko mówi:

– Ale to przecież nieprawda. Nigdy nie miałem z nim nic wspólnego.

– Bischoff nie będzie cię o to pytał. Rzuci cię na jedenastkę do Schlagego i tam powiesz nawet to, czego nie wiesz.

Paweł spogląda na Władka i dodaje:

– Nie spuszczaaj go nawet na chwilę z oczu. Pan chce się przysłużyć Niemcom.

Po tej scenie długo milczą. Przyciskają kurtki do ciała, bo zerwał się ostry wiatr. Z zewnątrz wciąż słycać hałas i szczekanie. Milczenie przerywa Herszek. Stoi całkiem z przodu, blisko drogi, z jego miejsca sporo widać.

– Biegają jak szaleni... Naprawdę, chłopaki zrobili ich w konia. Czuję w kościach, że są już gdzieś za górami.

– Mądrzejszych już złapali. – Stephan nie może się powstrzymać.

– Ich nie złapią – mówi Herszek. – No, chyba że pan ich będzie szukał, panie kapo.

– Stephan ma rację. – Paweł przerywa kłótnię i na twarzy Stephana pojawia się zdziwienie. – Staliśmy już dłużej, a mimo to potem był ceremoniał.

– Ich już nie przyprowadzą z powrotem – powtarza uparcie Herszek. – Mnie kości nigdy nie kłamią! A czuję w nich, że...

– Dziesięć papierosów, że ich złapią – przerywa mu Antek. – Zgoda?

Herszek wyciąga zziębniętą rękę w stronę Antka. Zorganizowanie dziesięciu papierosów jest bardzo trudne, ale jeszcze bardziej nierealna jest ucieczka z tego przeklętego grobu. Jeśli uda się to, co najbardziej niemożliwe, czemu miałyby nie zorganizować dziesięciu papierosów?

Dopiero po północy, gdy bieganina esesmanów trochę ustała, zapędzono więźniów we wszystkich klatkach do baraków.

– Blok dziewięć stoi dalej! – dobiega spod bramy głos Kaduka.

A Lausmann mówi zmęczony:

– *Scheisse, das Ganze...*

Zęby szczękają im z zimna. Są głodni, wyczerpani. Jeśli nie zjedzą, martwi się Paweł, niewielu wytrzyma do rana. Przeciska się między piątkami. Ośmiu, którzy już padli, zaniecono pod ścianę baraku. Między ludźmi widnieją kałuże moczu i dyzenterycznego kału. Ten i ów, opierając się o silniejszych kolegów, chrapie z przerwami. Podszedł do Herszka i Antka, rozmawia z nimi przez chwilę. Za bardzo na nich nie naciska, jest to ryzykowne, ale Herszek w końcu kiwa głową i po cichu wchodzi z Antkiem tylnymi drzwiami do baraku. W ciągu godziny wynoszą stamtąd niemal połowę zapasu chleba. Za każdym razem, gdy Lausmann odejdzie trochę dalej, chodzą między ludźmi i rozdają po pół porcji.

O chłodnym świetle kolejni leżą albo siedzą w odchodach. Niektórych odciągnięto i oparto o barak. Pod bramą znów zaczynają kręcić się esesmani

i szczekają psy. Nowi esesmani i nowe psy. Po chwili rozchodzą się po całej okolicy, będą przeklinać i szukać.

Trzy dni i trzy noce. Taki jest ich regulamin poszukiwania.

Dwieście metrów na prawo od drogi, która prowadzi do krematorium, w Meksyku, gdzie w jak najkrótszym czasie ma powstać wielki obóz dla kilkudziesięciu tysięcy sowieckich jeńców wojennych (podobno już ich gdzieś trzymają), dwaj uciekinierzy chowają się z powrotem w dole. Kryją się powoli, jeden za drugim, dokuczają im bolesny ziąb w rękach i nogach.

Pierwszą straszną noc mają za sobą.

Jeszcze godzinę po północy cały obóz trząsał się od niespotykanego tumultu, a przekleństwa, szczekanie psów i pełen złości głos Bischoffa po wielokroć zabrzmiały w bezpośrednim sąsiedztwie kryjówki. Kilka razy wyraźnie usłyszeli dyszenie psów tuż za dwudziestocentymetrową ścianą z drewna. Wręcz zamarli w napięciu. Raz Karol, raz Valér brał do ręki brzytwę, rozkładał ją i trzymał, dopóki szczekające psy się nie oddaliły. Tytoń, benzyna i nafta, myślał za każdym razem Karol, uratowały nas tytoń, benzyna i nafta.

Siedemnaście godzin, zaledwie siedemnaście z osiemdziesięciu godzin minęło od chwili, gdy wleźli do dołu pod stosem drewna. Niecały dzień z dwóch lat w piekle, gdzie każda godzina ciągnie się w nieskończoność.

Przed chwilą trochę się porozciągali, rozgrzali ręce i nogi. Ale teraz znów odezwał się ból. Po każdym najmniejszym ruchu całą kończynę ogarnia gwałtowny, bolesny skurcz.

Karol spogląda pytająco na Valéra. Oczy ma mętne i przekrwione, widać w nich wyczerpanie. Czy dziś też rozpęta się takie szaleństwo? Pewnie znowu przyjdą z psami, a oni znów będą umierać ze strachu pośród strasznego ujadania, skrzypienia i krzyków. Tylko żeby tytoń nie wywietrzał, a benzyna nie wyparowała. Benzyna i nafta pewnie już się ulotniły, a tytoń – kto wie, czy tytoń ochroni ich przed nozdrzami przeklętych bestii.

Usta mają przewiązane pasami z flaneli. Zawijają je mocniej zawsze, gdy zbiera im się na kaszel.

– Ośmiuset ludziom pozwoliłeś odpoczywać? Po kiego diabła, Kaduk? – Schwarzhuber karci w swoim biurze najbardziej zdolnego Unterscharführera.

Kaduk stoi pod ścianą naprzeciw, z jego lewej strony na wysokości głowy wisi wielkie zdjęcie, Heinrich Himmler w otoczeniu panów z Berlina, Hamburga i Münster podczas wizyty w Auschwitz. Gdy Schwarzhuber spogląda na Kaduka, jego wzrok odruchowo zatrzymuje się na fotografii. I za każdym razem, gdy zauważa najwyższego dowódcę, na jego sercu zaciska się lodowata ręka strachu, bo coraz mocniej dręczy go myśl, że tych dwóch jeszcze nie złapano.

– Nie stój pod tą fotografią jak cielę! – warczy Obersturmführer i Kaduk grzecznie przesuwa się w stronę okna. – I w ogóle... nie stój! Rób coś! Biegnij do koszar! Sześciuset niech odsypia, a resztę wypędź na dwór! *Heil Hitler!*

Unterscharführer Kaduk stuka obcasami, robi w tył zwrot i kładzie rękę na kłamce.

– Czekaj, Kaduk! – zatrzymuje go głos Schwarzhubera. Mówi trochę bardziej przyjaznym tonem. – Zastanawiałeś się już nad tym, że... że w pewnych okolicznościach można by tam na górze wspomnieć o tobie? Daj mi do tego powód, Kaduk. Przypilnuj ludzi, żeby porządnie szukali. Przyprowadź mi do wieczora tych dwóch łotrów. Chryste, przecież nie mogli wyparować! Idź i przyprowadź ich. Dziś wieczorem zorganizujemy *Parademarsch*.

Zanim uniosła się mgła, czterdzieści kilometrów kwadratowych między Wisłą a Sołą zapełniło się gniewnym krzykiem i wściekłym szczekaniem. Tysiąc siedmiuset esesmanów bez psów i z psami tropi w każdym zagłębieniu i na każdym wzniesieniu, przeczesują krzaki, szukają w rowach i kanałach, między stosami drewna i cegłami, a Kaduk jak ciężka burzowa chmura chodzi i biega od jednej grupy do drugiej i warczy na wszystkie strony. Kaduk nie bardzo wierzy, że złapią tych dwóch. Przecież już wczoraj wieczorem wszystko przetrząsnęli, a w nocy sprawdzili nawet te najmniej przypuszczalne kierunki możliwej i niemożliwej ucieczki. Teraz chodzą po swoich wieczornych i nocnych śladach i świadomość, że nie tylko on, ale też inni powątpiewają w sukces tego najbardziej fantastycznego polowania, doprowadza go wręcz do szału. W uszach ciągle brzmi mu obietnica Schwarzhubera. To byłoby naprawdę coś, gdyby wstawił się za nim u kogoś wpływowego. Do jego uszu docierają jednak też słowa ludzi wysłanych na poszukiwania, zrzędzą i przeklinają zniechęceni. A gdy podchodzi do nich niezauważenie, wręcz zaskakuje go, z jaką beczelną otwartością przeklinają swoje

przeciążenie na służbie, obniżone przydziały papierosów i żywności, wstrzymane urlopy, armie na froncie, które już zbyt długo „wycofują się taktycznie”, oraz pocztę Rzeszy, bo dostarcza zaledwie co trzeci list z domu. Kaduk stoi przez chwilę za plecami takiej gderającej piątki, migającej się za stosem odrapanych cegieł, i ze zgrozą dociera do niego, że ci wspaniale wyszkoleni funkcjonariusze SS, służący w ostatnim czasie za dnia i w nocy, są wprawdzie na pozór jeszcze twardzi, w kontaktach z przełożonymi zdyscyplinowani, wobec więźniów tak samo nieubłagani albo nawet jeszcze bardziej nieprzejednani niż wcześniej, ale w głębi duszy się chwieją.

– Zero entuzjazmu – słyszy Kaduk ten sam stłumiony głos, który przed chwilą oskarżał wycofujące się wojska. – Duszenie, koledzy, to było coś dla mnie. Strzelania nigdy nie uznawałem. Zastrzelisz faceta, a on zdechnie z grymasem, jakby śmiał się z ciebie. Gdy złapiesz go za grdykę, a on wywali gały i język, to na jego twarzy zawsze pozostanie przeraźliwy strach. Tak, koledzy, zero entuzjazmu. Teraz to już tylko rzemiosło. I mówię wam, najwyższy czas, żeby człowiek olał taki interes.

Niesłychane, pomyślał Kaduk i mocniej zagryzł wargi, żeby nie wydostało się z nich choćby tylko westchnienie gniewnego oburzenia.

– Żarcie, wóda i papierosy to mój trójjedyny bóg. – Ten głos wcześniej krytykował okrojone przydziały żywności i papierosów. – Mnie nie interesuje, czy złapiemy tych dwóch czy nie. Przecież to śmieszne, tyle rabanu przez dwóch, każdego dnia przyjeżdża ich tu parę tysięcy.

– Gderacie jak tyłek starej Klary. – Ten narzekał na pocztę Rzeszy. – Był rozkaz szukać, to będziemy szukać. Jeśli gówno znajdziemy, będzie je wachał Lagerführer, bo to on dostanie po pagonach. Dajcie z tym spokój i chodźmy, bo jeszcze nas tu złapie jakiś Bischoff.

– Myślę, że Kaduk też wystarczy – warknął Unterscharführer i wręcz wyskoczył zza stosu cegieł.

Gdyby przed tą piątką, która teraz się zerwała i stanęła na baczność, zjawili się Karol z Valérem i gorąco poprosili, by zaprowadzić ich do Schwarzhubera, nie byłiby bardziej zaskoczeni niż w tej chwili. Wyprężyli się w odrętwieniu, a ich na wpół nieprzytomne twarze oszpecił skurcz bezgranicznego strachu. Unterscharführer Kaduk, czerwony na gębie niczym rak, patrzy na nich z okrutnym uśmiechem, a w drżącej ze zdenerwowania ręce trzyma wojskowy pistolet.

– Broń na ziemię! – syknął i pięciu esesmanów szybko odłożyło karabiny.

– Mógłbym was rozstrzelać, parszywe psy, ale pan Lagerführer na pewno wymyśli coś lepszego – dodał chłodno i kiwnięciem ręki wezwał dwóch funkcjonariuszy z psami przechodzących właśnie w pobliżu.

– Zabierzcie tę broń – rozkazał zaskoczonym esesmanom – i zaprowadźcie tych pięciu do Unterscharführera Schlagego. Powiedzcie mu, że SS-Unterscharführer Kaduk życzy sobie, by ich zakwaterował... w bunkrze. Odmaszerować!

Dziwny konwój zniknął za kwarantanną. W tym samym czasie Schwarzhuber wyszedł ze swojego biura. Składane co godzinę przez esesmanów meldunki są bezwartościowe, nie ma najmniejszego śladu. Gdzie szukać uciekinierów? Jakim ruszyć tropem? Numer 44070 poszedł na odcinek B-II D, a 29162 opuścił tę klatkę o trzynastej. Tego jednak nie dowiedzieli się od więźniów, tak wynika z zeszytu kontrolnego przy bramie. Ulotny i prowadzący donikąd ślad, zwykle potwierdzenie rzeczywistości. Gdzie szukać tych dwóch? Czy naprawdę będzie musiał wysłać meldunek przełożonym?

Pod bramą splunął z obrzydzeniem. Zatrzymał się na chwilę, po czym wściekły, że tysiąc siedmiuset elitarnie przeszkolonych ludzi nawet z wilczurami nie umie wytropić dwóch głodnych i półżywych łotrów, poszedł w stronę, z której dobiegał największy krzyk.

– *Scheisse das Ganze* – zniechęcony Lausmann próbuje sobie ulżyć na drodze.

Patrzy w ziemię, ramiona ma opuszczone, jakby przez całą noc nosił jakiś ciężar. Rapportführer pewnie o nim zapomniał, bo do tej pory go nie zmieniono. Wieczorem wprawdzie się najadł i przed chwilą był na śniadaniu w kuchni więziennej, ale podczas tego przekłętego chodzenia po nocy nogi tak mu zaciężyły ze zmęczenia, że teraz ledwo je czuje.

– *Ganze Welt ist ein Arschloch* – zrzędzi bojaźliwie i w jednej chwili ogarnia go złość, że ci przekłęci więźniowie z dziewiątki nadal stoją, choć już dawno wszyscy powinni poupadać i pozdychać. Kazałby ich sprzątnąć do Leichenhali, a sam usadziłby gdzieś tyłek i napisał parę pocieszających słów do żony.

Ten budzący obawy esesman, który niedawno zmasakrował końskimi kopytami głowy żywych więźniów zakopanych w ziemi, wydawał się ludziom z dziewiątki nienaturalny i nierzeczywisty w swoim frasunku i zamroczeniu. Zawsze był

ożywiony, szybki i tak pomysłowy w sadystycznych karach, że wzbudzał zazdrość nawet Schlagego. A teraz, gdy zmienił się w kulejącą górę nieszczęścia, przygarbioną w pozapinanym szarym mundurze, tryskającą jadem złości i niezadowolenia, które to emocje wyraża niezwykle ograniczonym zasobem słów, czują jeszcze większe zadośćuczynienie niż pod wieczór, gdy przygnębiony pokazywał fotografię syna.

– To jest dziwna sobota – rzuca Władek – niemal angielska...

– Bez angielskiego śniadania – dodaje sucho Stanisław.

Stali blisko drogi i Lausmann dosłyszał ich słowa. Zatrzymał się i uniósł głowę. Ciężkie powieki ciągle mu opadają i razem z wydętą górną wargą nadają jego twarzy całkowicie tępy wyraz.

– Jako świnia się urodziłeś i jako świnia zdechniesz – wycedził przez zęby do Stephana, który sikał z boku szeregu. Potem powieki zawisły mu nad źrenicami i złe, zimne oczy wbiły się w twarz Pawła.

Lausmann patrzył na Pawła długo i w milczeniu, jakby chciał dowiercić się wzrokiem aż do dna jego duszy, a Pawła ogarnęła nieprzyjemna myśl, że ten przygarbiony chart coś podejrzewa. Lausmann jednak wyciągnął długą rękę, wskazał nią na przeredzony szereg i skomentował prześmiewczo:

– Zdychacie we własnym smrodzie, co? – I nadal patrząc na Pawła przymkniętymi, złymi, bladymi oczami, ciągnął: – Całą noc naprzykrzałeś się ludziom, podnosiłeś ich ze szczyń i... gówno to było warte, co? Czemu to robisz, gnojku? Dziesięć razy chciałem cię zastrzelić.

Niespodziewanie się odwrócił i ruszył w stronę lewego skrzydła. Paweł i Władek przerażeni odprowadzili go wzrokiem.

– Coś podejrzewa... albo czegoś chce – szepnął Władek do Pawła.

Lausmann wrócił po chwili i znów zatrzymał się przed Pawłem. Twarz ma pochmurną, a oczy pełne ognia. Takim samym płonęły, gdy spoglądał na kaszę z ludzkich głów zmieszaną z ziemią, gdy wrzeszczał w szale: „To były parchy, które chciały oszukać Lausmanna!”. Tylko że teraz te blade, błyskające złym ogniem oczy spoglądają na Pawła, jakby chciały go pochłonąć i przemienić w coś, czego nie można zobaczyć ani poczuć. Paweł nagle przypomniał sobie o Stephanie, o tym przeklętym, złośliwym lizusie, i w obawie, która go ogarnęła, powoli



pochylił głowę. Słyszy krótki i cichy chichot Lausmanna, a potem jego zachrypły głos, zdradzający wewnętrzne zadowolenie:

– Ty też jesteś tylko zwyczajnym tchórzem, kapo. Zjeżdżaj do baraku... przyjdę do ciebie!

W tym momencie Paweł czuje w ręce zwitek. Papierosy. Lausmann nie mógł ich zauważyć, bo Władek stał tuż obok Pawła. Po czym Paweł rusza do baraku i słyszy za sobą ciężkie kroki Lausmanna. Między łopatkami przechodzą mu ciarki, teraz mógłby łatwo strzelić mi w plecy, myśli, a w drzwiach baraku nachodzi go refleksja, że z jakichś niewytłumaczalnych przyczyn Lausmann chce to zrobić bez świadków. Ale w baraku, w pokoiku Kozłowskiego, gdzie wepchnął go Lausmann, zaskoczyło go niezrozumiale delikatne wezwanie:

– Siadaj, kapo! I dawaj papier, który ten łotr wcisnął ci w garść!

W papierek jest zawiniętych pięć papierosów. Trzy Lausmann wpycha sobie do kieszeni, jednego do tabakierki, a piątego zapala ze spokojem.

– Siadaj – powtarza rozkaz.

Siadają obok siebie na łóżku. Lausmann z rozkoszą zaciąga się dymem, a Paweł z walącym sercem szuka odpowiedzi na mnóstwo dręczących go pytań.

– Dziesięć razy chciałem cię w nocy zabić – mówi Lausmann spokojnie. – Dokładnie dziesięć, liczyłem to... zawsze, gdy widziałem, jak podnosisz tych parszywców. Jesteś trochę silniejszy niż pozostali... drażnisz... Rozumiesz coś z tego, o czym mówię? Strasznie mnie drażnisz. Zawsze, gdy przypominałem sobie o synu, chciałem cię załatwić. Mój Boże, takie gówno za mojego syna! Tfu!

Milknie, chowa twarz w dłoniach, wstrząsa nim lekki dreszcz. Po czym patrzy na Pawła jak doświadczony śledczy i mówi:

– Teraz się nie boisz, parszywcu. Ale tam na dworze się bałeś. – I zaskakuje go pytaniem: – W nocy żarliście chleb, prawda? Żarliście czy nie?

Zaskoczony Paweł mruga oczami. Niezmierna nienawiść niemal całkowicie stłumiła w nim strach. Łagodnie, by niczym nie sprowokować morderczych emocji Lausmanna, odpowiada:

– Jedliśmy...

– Świnie żrą – poprawia go Lausmann. Zapala następnego papierosa i mówi dalej: – Gdy widziałem, że napychacie te swoje śmierdzące bolszewickie bandziochy dobrym niemieckim chlebem, znów przypomniałem sobie mojego

dobrego chłopaka. Przyszło mi do głowy, że powinienem wepchnąć w ciebie ze dwa chleby, napchać cię po grdykę... a potem puścić ci trzy kulki w bandzioch. Nie wiem, czemu tego nie zrobiłem. Co na to powiesz?

Przez moment Paweł zastanawia się w napięciu, a potem patrzy zdecydowanie w te blade i brutalne oczy.

– Może pan to zrobić w każdej chwili... nawet teraz – mówi cicho. – Nie zabił mnie pan... chyba dlatego, że nie mogę stąd uciec i pan o tym dobrze wie.

– Ach! *Scheisse das Ganze...* – zaklął podniesionym głosem Lausmann i wstał. Nagle pyta: – A ci dwaj... ci dwaj uciekną?

Paweł zaciska usta i kręci głową.

– Nie jesteś szczery, łotrze! – krzyczy Lausmann ze złością. – Jesteś przekonany, że się przecisną. Ale się mylisz. Do wieczora będziemy ich mieli. Przed wieczorem zasiądą na krzesłach. Może na *Parademarsch* zamiast mnie załatwi cię ktoś inny. Są takie czasy, że kto ucieka, ten dogoni śmierć.

Westchnął, jakby wymagające filozoficzne spojrzenie na świat go zmęczyło, i pospiesznie wyszedł z baraku. Potem aż do wieczornej szarówki, kiedy to przywieziono pod kuchnię dwie żelazne szubienice z małą sceną, siedział naprzeciw w drzwiach dziesiątki albo mierzył kroki na drodze, bez słowa, obojętny na więźniów, zatopiony w ponurych myślach.

Szubienice w wieczornym świetle widać było od strony dziesiątki całkiem wyraźnie, a Lausmann z uśmiechem obserwował, jak cały stojący i bliski omdlenia szereg ogarniają strach i przerażenie. Wyszukał wzrokiem Pawła i stłumionym głosem, jakby przypominał mu swoje przedpołudniowe słowa, mówi:

– Dwaj dostaną stryczek, kapo. I będzie się maszerować.

Pawłowi na chwilę zrobiło się słabo, wszystko przed nim się kręci, kołysze, także idący w stronę szubienicy Lausmann, widzi go jak przez mętne szkło. Słyszy narzekania Kozłowskiego:

– Już po wszystkim, znów będzie ceremonia! Na darmo dostałem trzydzieści pięć batów.

Te słowa wywołują gwałtowny sprzeciw Pawła, giną pod nim wszystkie wątpliwości. Mówi mrocznie:

– Może będą szaleć jak podczas ceremoniału, ale nie zobaczymy pisarza na żadnej z tych dwóch szubienic. Może rozmłóca cię na strzępy, ale pisarz odszedł

już daleko stąd, i to jest ważniejsze od twojego tyłka.

Kozłowski odruchowo łapie się za tyłek, a z jego gardła wydobywa się charczący jęk. Wszyscy w pobliżu spoglądają z ożywieniem na Pawła.

– Znowu jesteście sobą – uspokaja ich Antek. – Powiem wam, co zrobi Schwarzhuber. Na tych szubienicach powiesi wysoko esesmanów, którzy wypuścili tych dwóch za bramę.

– Takich spierdolonych głów jak żyję, nie widziałem – złości się Władek. – Fuj, taka bzdura! Jasne, Schwarzhuber łamie sobie łeb, zastanawiając się, których esesmanów powiesić, żeby wam zrobiło się weselej. – Splunął, po czym dodaje: – Wiecie, co zrobi? W nocy każe tam powiesić dwóch z Leichenhali. Przykryją albo zmasakrują im głowy, a my będziemy robić wokół nich *Parademarsch*. Zobaczycie, że to tak...

Władek milknie, bo w tej chwili słyszy spod bramy ostry, szczekliwy głos Schwarzhubera. Wszyscy zwiększają czujność. Lausmann nieudolnie biegnie w stronę bramy, po chwili wraca i z wielką ulgą wrzeszczy:

– Do baraku! *Los!* Ruszać się, świnie!

Przed kuchnią od nieregularnych uderzeń wiatru zakołysały się dwie puste pętle i w końcu też na dziewiątce, po dwudziestu pięciu godzinach męczącego, morderczego stania, nastał mdły, niewesoły sobotni wieczór.

Na chwilę wyszli z dziury pod dach z desek, gdzie mocniej przenika mroźne powietrze okrytego mgłą niedzielnego poranka. W miarę możliwości rozciągają w kryjówce zdrętwiałe ciała i próbują je ułożyć w innej pozycji. Karol nie może ruszyć prawą ręką, nie może jej zgiąć w łokciu, palce ma całkiem pozbawione czucia, znieruchomiałe. Valér pochyla się do przodu i dopóki sam się nie zmęczy, rozciera przyjacielowi ramieniem rękę, żeby chociaż trochę pobudzić w niej krążenie.

Jest niedziela i obaj potrafią sobie dokładnie wyobrazić, co się dzieje w obozie. Stu pięćdziesięciu mężczyzn uwija się przy rampie, a trzystu przy piecach. Czterystu pięćdziesięciu jest na zewnątrz. Prawda, jeszcze nie odjęto ich dwóch, ale już się ich nie liczy.

Przed dziewiątką w jednej i przed dziesiątką w drugiej klatce może jeszcze ciągle albo znowu stoją. Jeśli stoją do tej pory, pewnie wielu z nich już odniesiono

do tyłu, pod ścianę baraków. Możliwe jednak, że to straszne umieranie na nogach już się skończyło. Tak czy inaczej w klatkach nastąpiła rozpaczliwa, ponura niedziela. Każda niedziela w barakach tak wygląda, ponieważ Śmierć jest tu na porządku dziennym, kosi bez ustanku i nawet w niedzielę nie pozwala zapomnieć, że to ona rządzi, a nie jakieś nierealne życzenia i pragnienia.

W barakach trwa zapewne czyszczenie ciał i rzeczy. Więźniowie niez mordowanie wyłapują i zabijają tyfusowe wszy, wyskrobują brud z paznokci, obgryzają je, skubią ze szmat onuce, chustki, szale, chusteczki i nauszniki, łatają połatane spodnie i kurtki, gniołają w palcach błoto i krew zdrapane z ubrań, ostrożnie zeskrobują ślady kału z ciała i spodni, przyszywają sobie jedyną igłą-skarbem nowe, czystsze prostokąty i starannie wpisują numery. Ważne numery. Fryzjerzy zardzewiałymi zabytkowymi maszynkami golą głowy na łyso, bez namydlenia, czterdziestu więźniów na godzinę. Ogoleni myją brudne karki i ręce herbatą, której nie dopili. Na obiad dostaną zupę. Niedzielny obiad.

Karol przełyka z trudem, a Valér uśmiecha się gorzko. Od jak dawna nie jedli? I jak długo jeszcze nie będą jeść? Karol zerka na fosforyzujący zegarek; dopiero dwa tysiące trzysta czterdzieści minut minęło od chwili, gdy się tu schowali. Niecała połowa z czasu, po którym zgodnie z dotychczasowymi zwyczajami esesmani mieli ściągnąć łańcuch straży. A co, jeśli Schwarzhuber wycofa straże o dzień lub dwa dni później? Co wtedy? Możliwe, że głód ich nie pokona, ale czy całkowicie wyczerpani i zamorzeni zdołają pokonać trudy ucieczki?

Wydaje się, że Valéra dręczą podobne myśli albo nawet takie same. Wziął brzytwę i trzyma ją przed twarzą Karola. Jego oczy mówią zawzięcie: „Póki mamy brzytwę, żywych nas nie dorwą. A być może nie złapią nas nawet martwych”.

Ostrożnie, w ciszy, szukają pozycji, w której mogliby jak najbardziej bezboleśnie oprzeć się o ściany drewnianych elementów. Gdy wreszcie znieruchomieli, Karol jedną ręką zasłonił sobie oczy, a drugą wskazał ku górze. Wieczór, noc, ciemność – próbuje w ten sposób powiedzieć towarzyszowi.

Valér rozumie ten minimalistyczny przekaz i przytakuje. Tak, oby jak najszybciej zapadł zmrok. Oby w końcu minął szczęśliwie również ten dzień. Harmider poszukiwań znowu zaczął wzmacniać się dookoła, lecz wieczorem zapewne ucichnie i pozostaną tylko patrole na zewnątrz i poza granicami obozu. Także w sytuacji uciekinierów wieczór jest bardziej miłosierny od dnia.

Johanna von Schwarzhubera przez całe przedpołudnie zżerał ból. Złość w nim wezbrała jak burzliwy przypyływ. Opanowywała wszystkie jego czyny i myśli za każdym razem, gdy ulegał beznadziei i z łokciami na stole zaczynał rozmyślać nad sytuacją. Co zrobi, jeśli będzie zmuszony zgłosić na górze ucieczkę tych dwóch? Kazał wezwać Bischoffa i niezwykle ostro wyrzucał mu brak wystarczającej dbałości o porządek i szybki przebieg pracy między rampami i krematoriami.

– Ilu było tych Greków wczoraj wieczorem? – spytał rozdrażniony.

– Chyba tysiąc dwustu, panie Lagerführer.

– Chyba... Tak podejrzewałem, że nie wiesz dokładnie. Tysiąc stu, Bischoff, a robili taki raban, jakby było ich trzy razy więcej. A ilu wysłaliśmy na Olimp?

– Osiemdziesięciu zostawiliśmy, panie Lagerführer.

– Zapamiętaj sobie, Bischoff, to nie jest porządna praca. To jest fuszerka. Trwa wieczność, zanim powpychają tych łotrów do komór, a jest przy tym straszny hałas.

Pochylił się trochę nad Bischoffem i bardziej poufnym tonem kontynuuje:

– Czasami, Bischoff... czasami wydaje mi się, że ogarnia mnie zmęczenie. Spójrz, my się tu naharujemy, a taki Moll z tego korzysta zamiast nas. Co on takiego robi? Prowadzi ewidencję i chleje. My mamy robotę, a on ma zasługi i medale. A złoto... czort wie, ile złota już sobie stąd wysłał. Powiedz, Bischoff, czy to jest sprawiedliwe?

– Nie, panie Lagerführer, to wcale nie jest sprawiedliwe. Robota, i to bez uznania. Nie byłem w domu na Boże Narodzenie i teraz, na Wielkanoc, też musiałem zostać w tym świństwie.

– No widzisz! Czy ktoś to zrozumie? Dobrze, Bischoff, przyślij mi tu Kaduka.

Rozdrażniony Schwarzhuber rozmawiał z Kadukiem, a tymczasem na rampach przenikliwie zagwizdała lokomotywa. Znów ogarnął go zły humor.

– Żydzi z getta – mówi ponuro. – Na wieczór są zgłoszone jeszcze dwa transporty... z rodzinami. Ale Bóg mi świadkiem, Kaduk, oddałbym pięć transportów za tych dwóch. Dziś nasi ludzie mieli jeszcze świętować, prawda?

– Tak, panie Lagerführer.

– To nie będą – warknął. – Odbieramy im dzisiaj wolne. Nie będzie żadnego koncertu, żadnego tralala. Oprócz dyżurnych nie chcę nikogo widzieć w koszarach.

– Zacisnął usta i wysyczał: – Szukać, Kaduk, wszyscy szukać! Jak znajdą, będą mieli co pić. Podsuń im pod nos urlopy. Przejmij dowództwo, przywlec z tych

dwóch przeklętych więźniów, a ja... ja wysłę przełożonym taką bajkę o tobie, że dostaniesz Krzyż Rycerski.

Przez całe popołudnie niepokoiły go okropne wizje. Podczas obiadu odwiedził go Boger i z charakterystyczną dla niego odrażającą delikatnością przypomniał, że nieudane poszukiwania spowodują burzę z Berlina, a jej pioruny zapewne w kogoś tu trafią. Wielkie mi odkrycie! Tyle wiedział i bez niego! Ten pewny siebie fircyk nie musiał mu o tym przypominać. Przede wszystkim jednak Schwarzhuber nie mógł ścierpieć, że Boger zabezpieczył się przed tymi piorunami, podczas gdy on nie miał żadnej możliwości stłumienia lub chociaż przyhamowania inicjatywy wydziału politycznego. Boger wysłał ze swojego biura do wszystkich jednostek policji państwowej, kryminalnej i politycznej, do wszystkich komendantur SS w Generalnym Gubernatorstwie, telegramy z opisem uciekinierów, co na długie godziny wcisnęło Schwarzhubera w fotel za stołem.

Przez kilka godzin pisał w duchu tekst meldunku, czasami podchodził do okna z pobożnym życzeniem, że gdzieś na drodze przed obozem zobaczy tych dwóch nikczemników otoczonych przez tłum funkcjonariuszy z psami. Wraz z nadchodzącym zmierzchem pragnął tego coraz mocniej, ale gdzieś w podświadomości nadzieja bladła, znikwała i w duszę zaczęło się wkradać poczucie krzywdy zmieszane z narastającymi obawami.

– Przeklęty Lausmann! – warknął całkiem nielogicznie. – Że też nie posłał do piekła akurat tego, który uciekł!

Późnym wieczorem, mniej więcej godzinę po przyjeździe rodzinnych transportów z Westerborka i Malines, gdy już stracił jakąkolwiek nadzieję, że jeszcze dziś przyprowadzą tych dwóch, usiadł zdruzgotany przy maszynie do pisania i wydarł sobie z trzewi meldunki o ucieczce do Reichsführera SS Himmlera, Urzędu do spraw Osadnictwa, Dowództwa SS i centrali w Oranienburgu. Zniszczył sporo papieru i zużył wiele wódki, nieustannie przeklinając Bogera, Bischoffa, Kaduka i Lausmanna. Potem znów ogarnęła go złość. Wezwał telefonicznie oficera dyżurnego i rozkazał:

– Przekaż natychmiast wiadomość dla doktora Wirthsa, że nie musi się fatygować na rampę. Nie potrzebuję ani jednego, bo zlikwidujemy wiele komand, jasne?

Po tej decyzji ulżyło mu na tyle, że bez przekleństw zakleił koperty z meldunkami i przygotował je do wysłania. Następnie postawił obok telefonu

butelkę wódki, dużą szklankę i czekał na dzwonek, nieustannie paląc i popijając.

Minęło kilka godzin, wybiła północ, przy telefonie stała kolejna butelka, ale nikt nie zadzwonił, nikt nie zameldował, że eskortują uciekinierów z powrotem do obozu. Gdyby tak się stało, natychmiast zniszczyłby meldunki i poinformował wszędzie, że wcześniejsze telegramy są całkowicie bezprzedmiotowe. Telefon jednak milczał, przeklęty telefon, a Boger, ta świnia, mógł jeszcze poczekać.

Z wódką też coś było nie w porządku. Chlał ją jak wodę, mimo to nie uderzała mu do głowy i podły humor nie mijał. Im więcej pił, tym bardziej się bał, że odpowie za ucieczkę dwóch starych więźniów, którzy sporo widzieli i słyszeli, i trafi gdzieś na najgorszy odcinek frontu wschodniego. Meldunki podpisywał z mrozącym krew w żyłach przeczuciem, że podpisuje wyrok na siebie. Ledwie zakleił koperty, oczyma wyobraźni zobaczył się w najróżniejszych i najbardziej niebezpiecznych sytuacjach: w okopach pod salwami katuszy, na ziemi niczyjej podczas obustronnej wymiany ognia, na zaminowanych polach, pod taśmami czołgów, w otoczeniu partyzantów. Wprawdzie przesiąkł wódką, ale nie miał w sobie ani odrobiny wódczanej brawury. W żadnej z tych niebezpiecznych sytuacji nie widział się w roli bohatera, nikt nie udekorował go krzyżem, nikt nie awansował za heroiczny czyn.

– Do diabła z frontem i wszystkimi bohaterami – mamrocze.

Pociąga z butelki i znów naburmuszony zerka na telefon. Podchodzi do fotela przy małym stoliku, siada i tępo wpatruje się w sufit. Głowę ma rozpaloną i jak przez mgłę zauważa nad sobą olbrzymią twarz Heinricha Himmlera o zimnych, bezlitosnych oczach. Sufit groźnie się zakołysał, Schwarzhuber szybko zamknął oczy, by nie widzieć tego straszego obrazu, po czym zasnął z zapalonym papierosem między palcami.

Rano nie obudził go zwyczajny dzwonek. Zrobił to Boger. Wkradł się w ciężkie sny komendanta z cynicznym meldunkiem, że szeregowy funkcjonariusz SS Johann Schwarzhuber ma na rozkaz Reichsführera Himmlera wykazać swoją lojalność wobec Rzeszy na froncie wschodnim. Schwarzhuber gwałtownie się otrząsnął, rozejrzał zdezorientowany po biurze, aż jego spojrzenie ponownie spoczęło na telefonie. W sparaliżowanym mózgu pojawił się na moment promyk światła. Już miał wezwać Bogera, by sprawdzić, czy są jakieś nowe wieści, rozmyślił się jednak i podszedł do kranu, by się umyć i uczesać. Kilka minut później pędził otwartym autem na B-II D.

Przed bramą gwałtownie hamuje, esesmani go witają, ale on nie odpowiada, wręcz dusi się ze złości. Przy barakach stoją więźniowie, którzy już dawno mieli pracować, i to mu przypomniało, że dziś nie obudziło go żadne dzwonięcie.

– Tępaki, świnie, szubrawcy, idioci! – krzyczy na esesmanów. – Musieliście czekać na mnie?

Z kolejnymi przekleństwami rozkazuje uderzyć w kawałek zardzewiałej szyny.

– Przekłęci idioci...!

Pogrążony w ponurych myślach stoi pod bramą, dopóki nie wymaszerują ostatnie piątki. Na końcu idą komanda z Meksyku. Trzeba tam naciągnąć ostatnie metry drutu kolczastego, pogłębić rowy i fosy oraz zmontować baraki dla kolejnych podludzi z okupowanych krajów Europy.

W końcu wszyscy znaleźli się na zewnątrz. Prawda, oprócz tysięcy tkaczek w sąsiedniej klatce, skąd od czasu do czasu przenika krzyk Drechsler.

W obozie kobiecym znów będzie selekcja.

W kryjówce już od rana słyhać stłumione trzaskanie drewna, brzęk metalu, krzyki kapo, esesmanów i ujadanie psów. W duchu próbują oszacować odległość dzielącą ich od esesmanów, zlokalizować pracujących więźniów, i za każdym razem, kiedy krzyk lub szczekanie się zbliżają, z przerażenia niemal przestają oddychać. Trzymają brzytwę. Choć jest mało prawdopodobne, by za dnia szukano ich właśnie na stanowisku pracy, trzęsą się ze strachu przed psami, a ich obawy znacznie nasila nerwowość narastająca wraz z mijającymi godzinami. Ale aż do drugiego dzwonka, który ogłosił koniec przerwy obiadowej, nikt nie zbliżył się do bezpośredniego otoczenia kryjówki.

Krótko po drugim dzwonku Valér zerwał się tak gwałtownie, że z trudem powstrzymał okrzyk bólu. Posuwiste kroki w pobliżu całkiem ich zaskoczyły. Jakby ktoś przeniósł się w powietrzu i zatrzymał niedaleko kryjówki. Znów parę kroków, tym razem się oddalają, potem długo nic. Wreszcie – sikanie. I gwizdanie. *Mamma son tanto felice...* Błądą twarz Karola rozpromienił uśmiech. Valér niecierpliwie przesunął się trochę do przodu, znów usłyszeli gwizdanie. Mocno złapał Karola za rękę. Adamek, to jest Adamek! Wszystko im powiedział. Są bezpieczni, esesmani nic o nich nie wiedzą. Adamek przyszedł, by ich uspokoić, wzmocnić nadzieję i uzbroić w odwagę. Drogi, dobry Adamek.



A potem nieprzytomne, zapadnięte oczy pałają im przez całe popołudnie z nerwowego podniecenia. Życie znów wzbiera w nich silniejszymi falami. Są wygłodniali, ale wraz z upływem czasu, gdy zbliża się siedemnasta, męki głodu znikają i narasta wrażenie powracającej siły. Obaj wierzą, że zdrętwiałe ręce i nogi będą im posłuszne, że uda im się szybko uciec z niebezpiecznego kręgu obozu koncentracyjnego i że także potem nie popełnią żadnego błędu. Nadzieja to wspinała siłą. Kto wie, ile jedzenia i snu może zastąpić kropla nadziei?

Jeszcze raz zmienili pozycje i w końcu Karol mocniej zacisnął chustkę na ustach, by nie krzyczeć z radości. Właśnie minęła siedemnasta, przy bramie B-II D zaczęła grać orkiestra, na drogach równomiernie tupią nogi. Także hałas na odcinku Meksyk osłabł, a wkrótce całkiem ucichł. Karol musiał wcisnąć sobie palce w policzki, szczypać się i zagryzać usta, by opanować dziką radość, którą chciałby wyrazić tysiącami słów. Mój Boże, kończy się trzeci dzień! Czy to możliwe, że dożyliśmy tej chwili?

Minęła siedemnasta, za godzinę zacznie się liczenie.

Myśl o liczeniu nagle go przytłoczyła. Co stałoby się z nimi, gdyby także dziś stan liczbowy się nie zgadzał? Gdyby z którejś z klatek właśnie dziś ktoś uciekł? Och, przekłeta syreno, dziś nie wyj, nie rozsyp ponownie kilkuset esesmanów i psów po okolicy, zawyj jutro, pojutrze, każdego innego dnia, tylko nie dziś. Poskręcani i całkowicie zdrętwiali przeleżeli tu już siedemdziesiąt siedem godzin. Kolejnych trzech dni i trzech nocy z pewnością by nie przetrwali.

Czy dzisiejszy stan będzie się zgadzał?

Stan liczbowy się zgadza. Zapewne zgadza się w każdej klatce, nigdzie nie brakuje ani żywego, ani martwego, żadnego numeru, bo syrena nie wyje.

Wszędzie dookoła palą się już światła, a za ich kręgiem gęstnieje wietrzna szarówka. Sześćdziesiąt tysięcy więźniów niecierpliwie przestępuje w piątkach i czeka na rozkaz „do baraków”! I jeszcze na coś. Minął trzeci dzień od ucieczki tamtej dwójki. Według dotychczasowych zwyczajów dziś powinna się skończyć nagonka w poszukiwaniu uciekinierów. Czemu jeszcze nie ściągnięto zewnętrznych straży? Czemu ich nie ściągnięto, jeśli tam z przodu wszystko jest w porządku? Do tej pory zawsze, gdy stan się zgadzał i nie było żadnych uchybień w liczbach, od jednej wieży strażniczej do drugiej niósł się szum, koniec liczenia, wszystko w porządku.

Z przodu obok bramy panuje jakieś zamieszanie. Słysząc krzyk kilku esesmanów. Po chwili ustał i dobiega tylko wściekły głos Bischoffa. Lausmann zatrzymał się na drodze przed dziewiątką i spogląda z ciekawością w tamtą stronę.

– *Scheisse!* – mówi chrypliwym, dziwnie cienkim głosem. – Co tam się dzieje?

Od rana jest w złym, zaczepnym nastroju. Przeziębził się podczas niekończącego się stania, gardło boleśnie go drapie, jego głos stał się cieńszy i niemal nie do rozpoznania, nos ma całkiem czerwony, otarty od częstego posługiwania się chusteczką.

– Nic się nie dzieje – odzywa się piskliwie Marcel, nawiązując do słów Lausmanna. – Nic dobrego dla nas.

Zmieniający się piskliwy głos Marcela wiatr doniósł aż do uszu Lausmanna. Ten się odwrócił i ze złym uśmieszkiem, który odsłonił trzy duże żółte zęby, krzyczy:

– Chodź tu, tchórze!

Marcel podbiega, a Lausmann każe mu powtórzyć jego słowa.

– Powiedziałem, panie Rottenführer – zaczyna ostrożnie Marcel – że teraz... że teraz wydarzy się dla nas coś dobrego. To znaczy koniec stania, panie Rottenführer.

– Powiedz to jeszcze raz! – krzyczy Lausmann falsetem, a Paweł ze zdumieniem zauważa, że oba nieprzyjemnie chrypliwe i cieniutkie głosy są do siebie podobne jak dwie krople wody, więc Lausmann prawdopodobnie myśli, że Marcel go przedrzeźnia.

– Powiedziałem, panie Rottenführer – piszczy Marcel – że chyba już pójdziemy do baraków.

Miotany gniewem Lausmann pochylił się trochę do przodu. Wszyscy spodziewają się mocnego uderzenia, ale nic takiego nie nastąpiło. Rottenführer nagle się opanował.

– Dobrze, Francuzie. Jesteś Francuzem, prawda? Stań w pierwszej piątce. *Hau ab!*

Powoli ruszył drogą w dół.

– Unikaj go – radzi później Paweł Marcelowi. – Przynajmniej z tydzień unikaj go jak diabła.

Z przodu znów podniósł się gwar. Antek stanął na palcach, ale jego wzrok nie sięga aż do bramy, bo gęste kłęby mgły chwilami całkiem przesłaniają światła.

– Mają ich, zobaczycie, że ich mają – odezwał się Stephan z tyłu, po czym jęknął boleśnie.

– Jeśli jeszcze raz otworzysz gębę – syknął Władek – to tak cię tu spierzemy, że nie będziesz się nadawał nawet do Leichenhali!

W narastającym napięciu do drogi zbliża się Herszek i spogląda w stronę bramy. Po czym robi minę, jakby zauważył coś, na co od dawna czekał z upragnieniem. Odciągnął Antka kawałek do tyłu, szturchnął go w bok i z uśmiechem podał mu papierosa.

– Weź, potem mi oddasz... jedenaście.

Antek zrozumiał. Oczy radośnie mu błysnęły. Spod jego rękawa przewiązanego w środku gumką wychyliła się paczka z dziesięcioma papierosami.

Herszek wybałuszył oczy.

– No! Hm... – Wyciągnął rękę, ale nagle się powstrzymał. – Nie chcę ich jeszcze. Jeszcze stoją straże. Dopiero gdy będzie po wszystkim.

– Dobrze, Hersziczku. – Antek uśmiechnął się ze zrozumieniem. Jeszcze nigdy nie był tak zadowolony z żadnej przegranej jak dziś. – Dobrze, Hersziczku, ale... teraz daj mi na chwilę spokój. Od obiadu zachodzę w głowę i się zastanawiam, gdzie ci dwaj mogą już być.

Herszek wrócił do przodu do Pawła i Marcela. Przez kłęby mgły zauważają dwa pochylone cienie biegnące w stronę szubienic. Cienie ściągają pętle i zabierają małą scenę, z której miał zabrzmieć wyrok śmierci. A gdy zniknęły za drogą, spod bramy dobiegł rozkaz: „Ściągnąć łańcuch straży!”, i ciemny szum zaczął się nieść od jednej budki wartowniczej do drugiej.

– Wszyscy do baraku! – chrypi cieniutko Lausmann. – Francuz, ty zostaniesz przy mnie! – Podnosi głos: – Wszyscy do baraku! *Los!*

Plac się opróżnia. Marcel badawczo spogląda na Lausmanna. Ich wzrok na chwilę się spotkał i Marcel się zachwiał. Zmłóci mnie, pomyślał, mocno mnie zmłóci. Możliwe, że wyśle mnie na jedenastkę. Ale czemu? Ach tak, Paweł mi powiedział, mam wytłumaczyć, że mój piskliwy głos to skutek kastracji. Mój Boże, on myśli, że ja się z niego śmiałem!

– Panie Rottenführer...

– Zamknij się! – syczy Lausmann. I nagle na pozór całkiem łagodnie dodaje: – Chodźmy, Francuz. Idź przede mną!

Na czole Marcela pojawił się zimny pot.

– Szybciej, Francuz!

Przeszli kawałek wzdłuż baraku. Zza rogu wychylił się Paweł. Jakies dwadzieścia kroków od siebie ujrzał tę parę w żółtawym świetle osłabionym przez kłębiącą się mgłę. Lausmann trzymał w ręce rewolwer i mówił szybko:

– Raz na wozie, raz pod wozem, Francuz. Tam przy drodze ty strzelałeś sobie z Lausmanna, a teraz będzie strzelać Lausmann. W tył zwrot!

Marcel się odwrócił. Teraz stał naprzeciw Lausmanna. Parę kroków za plecami Marcela znajdują się druty kolczaste, płynie nimi śmierć. Jest blady, ze strachu ma niemal sparaliżowany mózg, a ciało sztywnieje mu z zimna, jakim już tyle razy owiała go tu śmierć.

– Panie Rottenführer, ja... ja... – jąka się, lecz brakuje mu sił, by dokończyć, ponieważ kołacze się w nim wyłącznie myśl, że obojętnie, co powie lub zrobi, i tak musi umrzeć.

Lausmanna na chwilę ogarnęło zdumienie. To reakcja na cienki głos Marcela. Paweł podszedł kilka kroków do przodu wzdłuż tylnej ściany baraku i teraz całkiem jasno słyszy zmieniający się cienki, mozolny głos Blockführera.

– Jaki z ciebie straszny człowiek, Francuz! – Lausmann z trudem cedzi słowa. – Wiesz, że zdechniesz... widzę po tobie, że to wiesz... a nadal strzelasz sobie z Lausmanna. Strzelasz sobie z Lausmanna, Francuz! – I dodał ostro: – Cofnij się... dziesięć kroków!

Marcel krótkimi krokami idzie do tyłu.

– Dłuższy krok! – krzyczy Lausmann.

Po dziesięciu krokach Marcel się zatrzymał. Spogląda na Lausmanna z twarzą ściągniętą napięciem. Lausmann patrzy gdzieś ponad jego ramionami, jakby szacował odległość między więźniem a jakimś punktem za nim. Marcel szybko się obejrzał. Jego spojrzenie spoczęło na rowie, mocno oświetlonej zakazanej strefie, nieustannie pilnowanej przez karabiny maszynowe z wież strażniczych oraz drut kolczasty. W tej chwili otępienie mózgu ustąpiło i Marcel z dziwnie jasną głową zrozumiał, w jaki sposób Lausmann chce go zabić.

– Cofnij się jeszcze... osiem kroków, Francuz – rozkazał mu Lausmann i trochę bardziej wyprostował rękę z rewolwerem.

Marcel cofnął się o cztery kroki i stanął.

– Dalej! – syczy Lausmann i podchodzi do Marcela, spoglądając na niego nieruchomymi bladymi oczami. Usta ma lekko otwarte. – Słyszysz, Francuz? Dalej!

A potem zdarzyło się coś, czego nie spodziewali się ani Lausmann, ani Paweł. Usta Marcela rozszerzyły się w brzydkim zwierzęcym uśmiešku i w oczy Lausmanna trafiła gwałtownie ciężka, gorąca ślina. Lausmann szarpnął głową w tył i odruchowo zasłonił twarz rękami; w tej chwili Marcel kopnął go mocno w żołądek. Lausmann natychmiast się opamiętał, ale zanim zdążył wyprostować rękę z bronią i wystrzelić, ba, zanim jeszcze z najbliższej wieży strażniczej odezwała się seria z karabinu, Marcel z piskliwym okrzykiem zawisnął na drutach.

Lausmann gapi się na spalone i dziwacznie powykręcane ciało Francuza, gapi się tępo w zdumieniu, a Paweł z zaciśniętymi pięściami i pochyloną głową wchodzi do rozgadanego baraku.

Krótko po dźwięku serii z karabinu Karol z Valérem na chwilę wygramolili się z dołu.

– Fuj, w końcu! – ulżył sobie Karol i są to pierwsze słowa, jakie wypowiedzieli w kryjówce.

Valér jeszcze się męczył, zanim powoli wyciągnął górną część ciała. Podczas każdego nieostrożnego albo bardziej gwałtownego ruchu ostry ból przenika ręce, nogi, tułów i szyję. Po chwili jednak obaj przyjmują takie pozycje, że mogą się objąć i wyczuwać.

Siedemdziesiąt dwie godziny kucali, pół siedzieli i pół leżeli w tej zimnej dziurze pośrodku kotła kipiącego pianą szaleństwa. W końcu z przerwami rozciągają zziębnięte ciała, czynią pierwsze sztywne, nierówne, niepewne, słabe i wyczerpujące ruchy. Krew powoli zaczyna krążyć w żyłach, obaj mają wrażenie, że biegają im tam insekty, jakby ich ciała zmieniły się w wielkie, powoli ogrzewające się mrowiska. Zaledwie stanęli na nogach, a do ich oczu wkradła się mdła ciemność, w głowach rozbrzmiały tysiące tonów. Od nowa uczą się utrzymywać równowagę, panować nad rękami i nogami, wykonywać najmniejszy ruch każdej części ciała. Fala osłabienia jest tak gwałtowna, że muszą oprzeć się o wewnętrzne krawędzie prefabrykatów. Minęły długie minuty, zanim atak omdlenia ustąpił. Dopiero teraz zdają sobie sprawę, jacy są wygłodniali, osłabieni i spragnieni.

Karol kiwnął głową do góry i spogląda pytająco na Valéra.

– Jeszcze nie – decyduje Valér. – Teraz... teraz musimy być bardzo ostrożni. Poczekamy co najmniej do dziewiątej.

– Tak, będzie lepiej, jak poczekamy.

Przez chwilę się przeciągają, zginają ręce w łokciach, a nogi w kolanach, kręcą stopami. Wydobyli z dziury plecak i wyciągnęli z niego wszystko, co będzie im potrzebne podczas ucieczki na terenie obozu, gdyby na dworze leżał śnieg. Dwie długie białe koszule, wielkie spodnie i duże skarpety pozszywane z białych prześcieradeł. Plecak zapięli paskami i wazą go przez chwilę. Cięży im znacznie bardziej niż osiemdziesiąt godzin temu. W końcu powiązali buty w pary i znów zaczęli rozgrzewać zesztywniałe ciała.

Do dziewiątki wszedł Adamek. Spogląda w lewo, w prawo, jakoś z góry, wyniośle, z lekkim, pobłażliwym uśmiechem. Patrzy na Kozłowskiego, który właśnie drze się na Stephana, że każdego obowiązuje porządek podczas wydawania chleba.

– Taki blokowy mi się podoba – komentuje Adamek z uśmiechem i zerka na Pawła i Władka. – Z takim da się wytrzymać aż do jego śmierci.

Kozłowski w jednej chwili zapomniał o Stephanie i ryknął na Adamka:

– A ty czemu nie zjeżdżasz do swojego chlewa? Czego tu szukasz?

– Może i szukam – odparł kokieteryjnie Adamek. – Na przykład szrajbera. Powiem mu, jaka z ciebie fujara i zaraz znikam. Gdzie on jest? Dobrzy ludzie, gdzie jest Karol?

Kozłowski pobladł. W ostatnich dniach padło pod jego adresem wiele uszczypliwych uwag. Bez pięści i kopniaków nie utrzymam autorytetu, przyszło mu do głowy. Zacisnął pięść, ale po chwili się wycofał, bo czuje na sobie twarde spojrzenia ludzi stojących za jego plecami. Dlatego tylko rzucił ze złością:

– Ty bałwanie! Gdzie ty żyjesz, skoro nie wiesz, że już go nie ma? Zjeżdżaj stąd, natychmiast stąd zjeżdżaj, bo nie wytrzymam!

– Ach tak, faktycznie, już go nie ma, całkiem zapomniałem. – Adamek zbiera się do wyjścia. Przy drzwiach się odwrócił i dodał ze śmiechem: – Faktycznie, teraz sobie przypominam, że to przez szrajbera okładali cię po tyłku. No... przynajmniej nie na darmo.

Stephan zarechotał, tym rechotem odpłaca za pretensje, które przed chwilą Kozłowski miał do niego. A Kozłowski od razu dobrze ocenił sytuację. Nie uderzył Adamka, bo zrobiłby sobie wrogów ze wszystkich starszych więźniów. Natomiast Stephana nikt tu nie lubi. Szybko się pochylił, wyprostował, i zanim Stephan zdążył zauważyć, że na jego nosie głucho piasnął obcas drewniaka, pociemniało mu w oczach i z ciężkim westchnieniem padł na ziemię.

Kozłowski przygląda się otaczającym go twarzom, analizuje efekt swojego postępu. Są zachmurzone, nieruchome, nie wyrażają akceptacji ani sprzeciwu, coś w nich jednak budzi w Kozłowskim dziwne przygnębienie. Obojętnie patrzą, jak zdeorientowany i osłupiały Stephan gramoli się z barakowego klepiska. Ale gdy spoglądają na Kozłowskiego, który kopniakami i pięściami postanowił podnieść autorytet swojej funkcji, bije z nich chłodna, gromadzona przez długi czas i cierpliwie żywiona wrogość. Tę wrogość właśnie teraz Kozłowski bardzo mocno odczuł.

– Pan pokazał rogi – odezwał się Władek. Zbliżył się od tyłu, popatrzył na krwawiącego Stephana, delikatnie go odsunął i wbił spojrzenie w Kozłowskiego. – Precyzyjne trafienie – ocenia z udawanym zachwytem. – Będziesz... częściej trafiać tak precyzyjnie, blokowy?

– Może raz trafię też ciebie.

– A potem już nikogo – zdecydowanie zapowiada Władek. – Nikogo – powtarza twardo. – Rozumiesz? Możemy dalej żyć pod tym dachem w jakiej takiej zgodzie, pod warunkiem że... że nie zapomnisz moich słów. Prawda, że pan ich nie zapomni, panie blokowy?

W Kozłowskim jeszcze raz wezbrała złość. Gwałtownie rozłożył ręce, ale zanim zdążył zasypać ludzi przekleństwami, Władek zatrzymał się tuż przed nim i z przyjaznym uśmiechem oznajmił:

– Gdy złość jest we łbie, rozum zazwyczaj chowa się w dupie, Kozłowski. Spójrz na nich, są głodni.

– Głodni, głodni – powtarza Kozłowski i cieszy się, że wyszedł z tej słownej potyczki bez większego szwanku. – Co oni tam, u licha, robią z tym chlebem!? Herszek, rusz tyłek! Antek, Józek, Kaczmarek, idziemy z plackami! Wszyscy na miejsca, na prycze...!

Paweł stoi przy pryczy, na jej środkowej części sypiał Karol. Droga Marcela skończyła się na drutach, rozmyśla, a gdzie skończy się droga Karola i Valéra? Czy dojdą do domu? Czy przedostaną się przez granicę? Złapał się na tym, że słowo do słowa wkłada w usta Karola i Valéra całe zdania. Powiedzcie o tym. I o tym. Mówcie o wszystkim, składnie, po kolei. I nie zapomnijcie, że chcą budować następne komory gazowe i krematoria.

Chleb już rozdany. Antek, Józek i Herszek oddalają się na bok i uroczyście zapalają po pół papierosa. Od czasu do czasu pada imię Karola. Są z niego dumni i wcale tego nie kryją. Byli jego przyjaciółmi. Tak długo żyli, a właściwie wegetowali razem! Od czasu do czasu wspominają też Marcela. Kto by pomyślał, że on tak skończy?

Tylko Kaczmarek jest przygnębiony, nic nie słyszy i niczego nie zauważa. Czy jeszcze zobaczy Esterkę? Żyje jeszcze? Czy ją także już... Ach, może więcej jej nie zobaczy, dziś była tam selekcja, w nocy znów będą buchać z kominów płomienie z więźniów i cywili. Jeśli już jej nie zobaczy, jeśli córeczki już nie ma... Co właściwie robi, jeśli jej już nie ma? To prawda, zna niezawodną drogę do końca. Przez tylne drzwi baraku. Mimo to schował do węzełka niemal całą porcję chleba.

Bolek siedzi zadowolony na swojej pryczy w siedemnastce. Tych dwóch dokądś ucieka, po dotarciu do celu pięknie o wszystkim opowiedzą. A potem z pewnością coś się wydarzy. Przecież wobec tak okrutnych zbrodni świat nie może pozostać ślepy i nieczuły.

Kolka w szesnastce rysuje paznokciem na desce pryczy front, całą długość frontu według swoich wyobrażeń, i ze wszystkich sił przyciska palec w miejscu, z którego powinno ruszyć definitywne natarcie przeciwko faszystowskim wojskom.

W jedenastce, gdzie mieszkają więźniowie z komanda karnego, Wasyl jak zwykle siedzi zamyślony, klepie się palcami po kolanie i powoli przeżuwa kawałki chleba. Od czasu do czasu na jego ustach pojawia się słaby uśmiech. Dwóch przełamało morderczą obręcz i uzbrojona po zęby wataha esesmanów szarpie się ze złości. To naprawdę dobry znak.

Andrej, lekarz, kierownik dziesiątego baraku na kwarantannie, ma nadzieję, że Karol i Valér nie będą potrzebowali leków. Oby nic im się nie stało! Oby jak najszybciej dotarli do ludzi, oby czym prędzej zdarzyło się coś, co zmusiłoby Niemców do zlikwidowania obozów koncentracyjnych.



Także Fero z kancelarii głównej ma wrażenie, że jego praca nie była daremna. Że i on dołożył swoją cegiełkę. Co więcej mógł zrobić? Księga główna, którą mu powierzono i której nikt nieupoważniony nie może widzieć, wydała swoje świadectwo, swoje straszne dowody.

Filipek leży ubrany w trzynastym baraku, nogi zwisają mu z łóżka, ręce trzyma pod głową. Myśli o dwóch latach, które tu przeżył. Już dawno wykreślił się z listy żywych, bo cały czas spędzał przy zmarłych. W tej chwili rozważa, czy on, „martwy”, zrobił wystarczająco wiele w tym otoczeniu za życia; wydaje mu się, że tak. Spisał wszystkich esesmanów, którzy pracowali wokół krematoriów, spisał transporty, przy których on „pracował”, kiedy i skąd przyjechały. Pomogli mu w tym inni. Więcej nie mógł. A jednak... Oderwał naklejkę z jednej puszki cyklonu B. Pierwsze dwie części odkleił, dwie pozostałe przepisał: zawartość puszki, miejsce produkcji i nazwisko czy nazwę producenta. Te dane w wystarczającym stopniu obciążą współzbrodniarzy. Zapewne lada chwila zaczną tam spadać bomby i nieprędko da się wznowić produkcję cyklonu. Żeby tylko nie zgubili listy i naklejki i żeby jak najszybciej dotarli z tym wszystkim w bezpieczne miejsce, do ludzi.

Edek w czternastce siedzi na piecu i obserwuje w duchu ucieczkę tych dwóch w ubraniach, które wyniósł dla nich z magazynu, gdzie segreguje odzież. Szyte, amsterdamski producent. Będą mogli się w nich pokazać między ludźmi. Odłożył dwa ubrania, nie dla Berlina, ale przeciwko Berlinowi, i wyniósł je na zewnątrz bez czerwonego pasa na spodniach i kurtce. Ale... co takiego właściwie zrobił? Jutro znów pójdzie z kolegami do magazynu i znów będzie segregować ubrania dla morderców. Co więcej może zrobić pośród rzeczy, których właściciele nie żyją?

Na osiemnastce Otta spogląda na ślusarską drewnianą skrzynkę na narzędzia i części. Skrzynka ma wąskie fałszywe dno, już od ponad roku nosi w niej grypsy i wiadomości z jednej klatki do drugiej, niektóre trafiły też na zewnątrz. Ślusarz bez kwalifikacji wykonał wiele nieślusarskiej pracy... Otta wyciąga ze skrzynki klucz od budki i podziwia go niczym klejnot. Taki klucz też ma wartość. Jego wierną kopię dostał Karol. W budce między rupieciami dało się pisać, rozmawiać, przygotowywać szkic obozu i pomalować na białą acetonową farbą spodnie i kurtki, taką farbą łatwo jest pokruszyć i usunąć. I zarazem bardzo, bardzo się zadreślał, czy nie dało się zrobić więcej...

W pobliskiej klatce przed barakami stoją dziewczyny. Spośród tych, które przyjechały tu w 1942 roku, zostało ich tylko kilkadziesiąt. Opierają się o drzwi i ściany i jakoś nie chce im się wchodzić do środka. Spoglądają ku górze, w gwiaździste zimne niebo, i snują swoje marzenia. Przed dwoma laty, gdy przyjechały ze Słowacji, wierzyły, że wyjdą stąd za trzy miesiące, może za pół roku. Potem straciły nadzieję i trwały bez jej cienia, w bezkresnym cierpieniu i rozpacz. Teraz znów zaczynają w nich kiełkować marzenia. Tych dwóch ucieknie, opowiedzą, a potem na pewno zainterweniuje Międzynarodowy Czerwony Krzyż lub ktoś inny. Może przylecą samoloty i... Oni na pewno dostaną się w bezpieczne miejsce i spotkają ludzi, którym wszystko opowiedzą. Może powrócą tutaj podczas jednej z najbliższych nocy wraz z tymi, którzy przyjdą wyzwolić obozy koncentracyjne. Na pewno przyjdą wraz z nimi, a one powrócą w rodzinne strony.

Wreszcie w milczeniu rozchodzą się po barakach.

W całym obozie koncentracyjnym panuje głęboka cisza. System funkcjonuje jednak dalej, nieustająco i precyzyjnie. Klatki są ostro oświetlone, na wieżach tuż za płotem z drutu kolczastego czuwają przy karabinach strażnicy, a nad drzwiami każdego baraku świeci silna lampa. W koszarach esesmani relaksują się grą w karty, część już śpi, inni chociaż śpiewem zdobywają Sowjetunion i England. Brakuje tylko dwóch, którzy cztery dni temu pełnili służbę w budce przy bramie.

– Dwadzieścia jeden dni... do bunkra!

Tak brzmiał wyrok Lagerführera Schwarzhubera. Przed wieczornym dzwonkiem dodał jeszcze:

– Wrzucicie tam jeszcze blokowego z dziewiątki i tego Żyda z kwarantanny.

## Tu się strzela ostrą amunicją

Pierwsze oparcie zdrtwiałych rąk o drewno, pierwsza próba rozsunięcia elementów baraku. Brakuje jednak miejsca i sił, by podeprzeć je w skupieniu. Po każdej bardziej gwałtownej i dłuższej próbie w ich ciała wbijają się tysiące rozpalonych igieł. Po trzecim daremnym wysiłku są całkiem wyczerpani, nogi im się trzęsą i uginają, zbyt słabe, by pomóc rękom.

Przez chwilę odpoczywają, dyszą z wyczerpania. Podczas tej denerwującej przerwy stwierdzają ze strachem, że noc w obozie jest zbyt krótka. Minuty, które teraz im uciekają, mogą okazać się decydujące, to wymuszone marnotrawienie czasu wręcz prowokuje niepowodzenie i przywołuje ranek. Z jego nadejściem pozostanie im w skrajnym napięciu czekać na kolejny wieczór. Biorą głęboki oddech, opierają się o siebie plecami i ze wszystkich sił prostują ręce. Dzięki temu nacisk jest o wiele silniejszy. Pchają, ale po chwili znów zalewa ich pot, mocniej już nie mogą, następnym stadium po takim wysiłku jest chyba tylko absolutne wyczerpanie. Mój Boże, myśli Karol, jeśli nie ruszymy tych elementów, ta kryjówka stanie się naszym grobem. Ponownie się zapierają. Podczas słabnącego nacisku jednego kręgosłupa o drugi czują, że zużyli cały zapas energii, że jeśli nie rozepchną tych desek teraz, to minie godzina, a może i więcej, zanim zdobędą się na kolejną desperacką próbę.

– Wytrzymaj... jeszcze chwilę – charcze Karol.

Valér nagle ustąpił, ręce opadły mu na kolana.

– Już nie mam siły – szepnął i przymknął oczy, bo gorzej się poczuł.

Obaj są mokrzy od potu. Gwałtownym i szybkim oddechem towarzyszą chrapliwe jęki. Karol sprawdza palcami deski nad głową.

– Puściły?

– Puściły – szepcze Karol podniecony. – Naprawdę, trochę puściły!

Świadomość, że u góry nad ostatnimi deskami znajduje się nocne niebo, pod którego osłoną mogą uciec za granicę obozu, do szerokiej, wolnej krainy, wzmagą

ich determinację. Wyciągają się na palcach, naprężają jak struny. Odpoczywają coraz częściej i coraz to od nowa próbują podważyć prefabrykaty. Przy każdym nacisku zbierają wszystkie siły i wszelką wolę, ale desperacki wysiłek trwa tylko chwilę, po czym znów słabną i mają wrażenie, że nie zdobędą się na kolejną próbę. Kucają na piętach i z drzeniem nasłuchują, czy w pobliżu nie rozlegnie się podejrzany dźwięk. Dookoła nich panuje jednak cisza, słyszą wyłącznie własne charczące oddechy. Ach nie, coś jeszcze. Syk płomieni. Na ten dźwięk ich przepocone, wyczerpane ciała ogarnia febryczny chłód i mimowolnie przytulają się do siebie.

– Nie myśl teraz o tym – prosi Valér. – Nie myśl o tym i chodź, niech to diabli, wykiwaliśmy Schwarzhubera, więc z drewnem też chyba sobie poradzimy.

Krawędzie desek wbijają im się wręcz do kości, ale obaj naciskają dalej, odpoczywają, charczą i zawzięcie napierają, bo słyszą suche, chropawe tarcie drewna o drewno. Przy każdym kolejnym zawziętym wysiłku dwa elementy nad nimi odsuwają się od siebie co najmniej o trzy milimetry, aż w końcu całkiem zmorzeni i wyczerpani widzą nad sobą kawałek ciemnego nieba i dalekie, zimne gwiazdy. Na twarzy czują świeże, mroźne powietrze. Otacza ich ciemność całkiem inna niż ta w drewnianej kryjówce. Jest żywa i przyjazna, ponieważ ukrywa ich przed badawczymi oczami.

– Wreszcie! – szepnął Valér i energicznie objął Karola. – Daj tu rękę... czujesz tę dziurę? – I popędza go: – Chodźmy, nie możemy już stracić ani sekundy.

Wyciągają się na palcach, by jeszcze trochę poszerzyć dziurę nad głową. Valér spleta dłonie, Karol wkłada nogi do tego koszyczka, opiera się łokciami o górne deski i powoli zaczyna się podciągać. Drewno jest zlodowaciałe i śliskie, nie ma się czego złapać, minęła długa chwila, zanim znalazł się na zewnątrz i położył na szczycie sterty. Ostrożnie rozgląda się na wszystkie strony. W uszy uderza go wiele dźwięków przenikających z krematorium i od strony rampy; wyraźnie słychać walenie towarzyszące rozbijaniu szczątków, sapanie lokomotywy ciągnącej puste wagony towarowe, dźwięk kolejarskiego gwizdka. Ręce trzyma pod klatką piersiową, wręcz przykleiły się do skorupy lodu, serce bije mocno z wielkiego podniecenia. Przed nim migają w ciemności światła najciemniejszego miejsca na ziemi, światła Auschwitz. Przez chwilę jest wręcz zafascynowany tym widokiem, po czym z westchnieniem odwraca się na bok i szepcze w stronę otworu:

– Nie ma śniegu. Wrzuć koszule i spodnie do plecaka. Podawaj!

Odbiera buty związane w pary, chlebak i plecak, na sznurku po trochu spuszcza ich bagaż. Valér zgarnął ziemię na środku kryjówki, by mógł wyżej postawić nogi i łatwiej wdrapać się na górę. Dopiero za trzecim razem chwycił palcami śliskie nacięcie na skraju deski i z pomocą Karola wspiał się na stos drewna. Położył się i cały się trzęsąc, spogląda bystro w ciemność, nasłuchuje uważnie.

Po raz pierwszy widzą część tego straszliwego inferna w nocy. Ze stosu prefabrykatów patrzą na olbrzymi fragment kompleksu Auschwitz i znów ogarnia ich bolesne poczucie własnej słabości. Wielki reflektor rzuca długi pas ostrego światła na główną drogę. Nad bramą każdej klatki wisi kolejny reflektor, żółtym blaskiem oświetlają drogę między barakami. Setki, chyba nawet tysiące mniejszych świateł padają z betonowych słupów na fosę wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Nigdzie choćby kawałka półmroku. Klatka obok klatki, światło obok światła, olbrzymie prostokąty i kwadraty świateł, oświetlone żywe groby za kolczastym drutem, którym płynie śmierć. Przed nimi leży centrum obozu koncentracyjnego Birkenau – i Auschwitz, mały przykład niemieckiej dobrej woli. Po prawej znajdują się krematoria, z dwóch otworów nad nimi nieregularnie wybuchają oślepiające błyski. Za nimi rozciąga się wolna przestrzeń, gdzie nie ma życia ani śmierci. Po raz pierwszy widzą ten przerażający obraz gołym okiem wieczorem i z zewnątrz. Po raz pierwszy – i oby po raz ostatni.

W zdumieniu spoglądają na bijące płomienie. Przy każdym gwałtowniejszym mignięciu zielononiebieskiego światła widać ciemne kominy. Przez nie mieliśmy się stąd wydostać, pomyślał Karol i na tę myśl zadrżał, po czym się uśmiechnął. Tylko przez te kominy, nie ma innej drogi, tak nas przekonywali. Nagle ma wrażenie, że bluźni, wyśmiewa nieokiełznane żywioły, on, nic nieznaczący śmieć, ciągle jeszcze miotający się w zasięgu ich niszczycielskiej władzy. Wciąż jesteśmy w pobliżu Schwarzhubera, myśli, wciąż oblizują nas swoim strasznym oddechem śmierci zielone i czerwone, niebieskie i fioletowe płomienie. Powoli ogląda się za siebie, w ciemną, pustą przestrzeń, gdzie przy każdym wybuchu płomienia z dwóch kominów niejasno rysują się dotychczas nieobsadzone wieże strażnicze za ogrodzeniem Meksyku. I w trakcie każdego straszliwego błysku spogląda uważnie w prawo i w lewo, nasłuchuje w napięciu. W końcu z westchnieniem klęka i zaczyna się spuszczać ze stosu drewnianych elementów na ziemię. Valér za nim, powoli, ostrożnie, żeby nie spowodować żadnego hałasu.

Od strony krematoriów wieje zimny wiatr i przenosi z jednego miejsca na drugie ziarnisty śnieżny pył. Opierają się o ścianę z drewna, na dole jest cicho, o wiele jaśniej mogą rozpoznać poszczególne dźwięki. Ponieważ nie usłyszeli nic podejrzanego, przez chwilę przestępują w miejscu z nogi na nogę, zginają je w kolanach, poruszają palcami, kręcą stopami, szorują rękami łydki, wydaje im się, że nie ma w nich ani jednego wrażliwego nerwu. Valér wchodzi na sąsiedni stos i powoli, milimetr po milimetrze, zaczynają zsuwać elementy na swoje miejsce. Gdy wydaje im się, że spowodowali łoskot, natychmiast przestają pracować i zwiększają czujność. W końcu Valér schodzi i pomaga Karolowi spłaszczyć plecak, mocno go wiążą. Zrzucają z nóg skarpety i szmaty, szybko wkładają buty.

– Jak najbliżej ziemi – szepcze Karol i kładzie się na płask.

Co chwilę spoglądając w prawo i lewo, czołgają się powoli na łokciach i kolanach. Karol ciągnie za sobą plecak, Valér popycha go od tyłu. Obok zmagazynowanych części do budowy baraków przepelzają aż do drewnianej budy, tam przez chwilę nasłuchują, po czym skręcają w prawo i na leżąco ześlizgują się do rowu pod płótem z drutu. Nie pozostawiają za sobą widocznych śladów, przeczołgują się rowem po prawej stronie Meksyku, na jego końcu skręcają w lewo i z wysiłkiem wloką się dalej. Na dnie rowu zalega przymarznięty brud, miejscami cienka warstwa lodu nieprzyjemnie pęka pod łokciami i kolanami. Po chwili Karol się zatrzymuje, spogląda na Valéra i pokazuje mu ręką, że w tym miejscu muszą wdrapać się na górę i przejść pod płótem z drutu.

Wdrapują się zatem. Valér wlecze się z tyłu i w miarę możliwości zaciera ślady. Pod płótem wyciągnęli z kieszeni po dwa drewniane kołki i podłożyli je pod dolny drut. Dziura między ziemią a drutem wprawdzie się rozszerzyła, ale ponieważ grunt jest tu trochę rozgrzebany i bardziej miękki, napięty drut wciska kołki w ziemię. Przez chwilę macają rękami wokół siebie, po czym podkładają pod kołki płaskie kamyki, teraz wszystko jest w porządku, mogą się precisnąć. Po drugiej stronie płotu wyciągnęli kołki i metr za metrem przesuwają się dalej. Teraz mogą czołgać się obok siebie i wspólnymi siłami ciągnąć plecak. Za drutami ziemia okazuje się zaskakująco wilgotna, nieudeptana, błotnista, plecak już nie ślizga się tak łatwo jak w rowie na warstwie lodu. Muszą znów odpocząć.

– Dalej, chodźmy dalej – ponagla Valér po krótkim odpoczynku.

Dudnienie i trzaskanie z krematoriów osłabło tylko nieznacznie, z kominów jeszcze ciągle buchają błyskawice i w nieregularnych odstępach przecinają

ciemność szerokim kręgiem.

– Uwaga! – reagują obaj naraz.

– Szlag by ich trafił, a to co znowu?! – klnie Valér.

Przed nimi bieli się pas szeroki mniej więcej na pół metra, prawdopodobnie namalowany farbą olejną. Farba cuchnie, jest gęsta, a pas zapewne ciągnie się dookoła całego obozu.

Valér dotknął palcem mazi. Chyba została zmieszana z jakimś klejem, ponieważ trzyma się mocno i śmierdzi, paskudnie śmierdzi. Noga, która stanęłaby na niej, pozostawiłaby wyraźne ślady na drodze.

Przerzucili bagaże poza biały pas, przeskoczyli śmierdzącą przeszkodę, po czym znów zaczęli się czołgać. Kolana i łokcie mają mokre, zabłocone i poranione, ale teraz już nie mogą sobie pozwolić na odpoczynek, obaj wiedzą, że rozpoczęła się bezlitosna bitwa o sekundy. Muszą obejść półkolem drogę prowadzącą do Meksyku i wzdłuż spokojnego nurtu Wisły przedostać się za Brzezinkę, a potem za obóz główny. Po prawej stronie jednostajnie szumi Wisła, szeleszczą smagane przez wiatr rzadkie zarośla. Z lewej strony dobiega syk z kominów i dudnienie z krematoriów. Wiatr kręci się nisko nad ziemią, wciska im w oczy kurzawę, utrudnia orientację i oddychanie. Karolowi wydaje się, że obóz przesuwają się wraz z nimi, ponieważ czołgają się i czołgają bez końca, a mimo to wciąż znajdują się w kręgu strasznych dźwięków. Po dłuższej chwili dostrzegają przed sobą samotne drzewo. Bez wytchnienia wloką się w jego stronę, jednocześnie zanurzają łokcie i kolana w zimnej bagnistej ziemi. Pod drzewem oglądają się za siebie, obu zrobiło się lżej na duszy, są już spory kawałek za obozem. Tu jest ciszej i w całkowitej ciemności mogą wreszcie stanąć na nogach.

Karol się podniósł, ale natychmiast upadł. Nogi ma tak osłabione, że drżą także wtedy, gdy usiadł z Valérem na plecaku i trzyma je swobodnie wyciągnięte. Przez dłuższą chwilę zbierają siły, by powiedzieć choćby słowo. W końcu Valér wyciągnął z torby porcję chleba, pierwszą od dziewięćdziesięciu dwóch godzin.

– Wreszcie doczekaliśmy się bankietu. Jedz. Podobno w chlebie jest moc.

Przeżuwają powoli. Od czasu do czasu ocierają pot z czoła, obmacują bolące kolana i łokcie. Skończyli jeść, wstali bez słowa i z wysiłkiem ruszyli po rozmokłej ziemi. Przybliżają się jeszcze bardziej do Wisły i przez jakiś czas trzymają się rzeki. Co chwilę wymieniają się ciężkim plecakiem. Od czasu do czasu spoglądają

zatroskani do tyłu i w lewo, w stronę obozu. Krąg czy kwadraty świateł znacznie zmały, niebiesko-zielone języki płomieni buchające z kominów już ich tak nie przerażają. A dźwięki, te przeraźliwe dźwięki, tak długo mrozące im krew w żyłach, są całkiem niewyraźne; w tej odległości od obozu zlewają się w dziwne, niejasne mamrotanie.

Zatrzymali się przy suchych zaroślach. Przez chwilę pocierają mięśnie nóg, po czym podskakują z zimna.

– Już trzecia – zauważa Valér. Fosforyzujący zegarek ma przymocowany wysoko na nadgarstku. – To cud, że go nie rozbiłem. On też jeszcze chodzi...

– Za godzinę zacznie świtać – denerwuje się Karol. – Musimy się pospieszyć.

Wloką się pomiędzy kłującymi krzakami, gdzie ziemia jest trochę bardziej stabilna i sucha, po czym znów wchodzą na bagno. Valér spogląda czasami zafrasowany na zegarek, czas płynie zbyt szybko, a oni przemieszczają się w żółwym tempie. Ledwie widzi sylwetkę ciężko idącego Karola. Dookoła nich zalega gęsta ściana ciemności, ale Valérowi się wydaje, że u góry przekształca się już w szarą mgławicę. Lasek z pewnością nie jest daleko, zastanawia się, może dwa kilometry albo i mniej. Do świtu brakuje niespełna godziny. Czy zdążymy tam dotrzeć?

– Uwaga...! – niemal krzyknął idący z przodu Karol. – Jakiś płot!

Przed nimi stoją trzy rzędy drutów, drewniane kołki, chyba ogrodzenie dla koni. A może ogrodzenie dla ludzi.

– Pójdziemy wzdłuż płotu – decyduje cicho Karol. – I ostrożnie, czort wie, czy tu nie pociągnęli jakiegoś drutu alarmowego.

Nagle spojrzeli po sobie z wyrzutem, bo dotarło do nich, że zachowywali się zbyt głośno. Ciemność można by kroić, a przecież nie wiadomo, co znajduje się za drutami. Pochylili się i przez chwilę nasłuchują, próbują precyzyjnie określić albo odgadnąć najbliższe przedmioty. Valér w skupieniu wpatruje się w ciemność wzdłuż płotu, rozgląda się, po czym szepcze uradowany:

– Tam jest... popatrz dobrze, tam jest ta przeklęta tablica!

Pochyleni podeszli kilka kroków. Tak, stoją pod jedną z tablic wyznaczających granice obozu.



PRZEKROCZENIE GRANICY TEGO OBSZARU JEST SUROWO  
ZAKAZANE! TU STRZELA SIĘ BEZ OSTRZEŻENIA OSTRĄ AMUNICJĄ!  
KOMENDANT OBOZU!

Na twarzy Valéra wykwita uśmiezek.

– Zapomnieli napisać, z której strony nie wolno przekroczyć tego obszaru. Co powiesz, Karol, z zewnątrz czy od środka?

Przeszli dobrych dwanaście kilometrów, zanim dotarli do tablicy. A teraz wcale im się nie wydaje, żeby trzeba ją było przeklinać. Karol złapał żelazny drąg, do którego została przymocowana, a drugą ręką przyciągnął do siebie Valéra i powiedział z podnieceniem:

– Jesteśmy za granicą... za granicą tego przeklętego piekła.

– Och, żebyśmy tak już byli za naszą! – krzyknął Valér. – Bydlaki! Ostrzegają, żeby nikt tu nie wchodził. Jakby ludzie się do nich garnęli.

Kawałek idą kołyszającym się krokiem po sprężystym, miękkim poroście. Gęsta ciemność także przy ziemi przechodzi w szarość, z tej szarówki wynurzają się krzaki, a miejscami też pojedyncze drzewa. Z przodu, po prawej stronie, wznosi się ciemny mur, lasek. Wiedzą, że gdzieś w pobliżu zaczynają się moczary, zginęło w nich już wielu ludzi, więc boją się zabłądzić w miejsce, z którego nie będzie odwrotu. Może byłoby lepiej, gdybyśmy poczekali chwilę, zastanawia się Karol, ale idzie dalej, w dodatku stara się wydłużyć krok. Na wschodzie niespodziewanie pojawił się wąski pasek nieśmiałego dziennego światła, szybko się powiększa i przepędza ciemność. Nie, już nie możemy stracić ani chwili, za kwadrans robi się całkiem widno. W tym czasie musimy przejść jeszcze kawałek, a może nawet kawał drogi, żebyśmy mieli gdzie bezpiecznie ukryć się w ciągu dnia, który musimy przeżyć w pobliżu granic obozu.

Poczuł pod nogami twardszy grunt, kamienistą, wyboistą ścieżkę. Zeszli z niej na porost bliżej lasku, znów wloką się na granicy miękkiego gruntu i bagna, chyba tutaj zaczynają się moczary. Karol już nie ma sił, umieram od nóg, myśli, nie czuję w nich życia, jakbym chodził na protezach. Valér widzi, że Karol zwolnił; dziwnie się kołysze, traci równowagę, co pięć–sześć kroków zatrzymuje się i jęczy z bólu. Valér resztką sił podpira Karola i ciągnie go do przodu, pomiędzy krzaki rosnące na skraju rzadkiego lasku. Jeszcze kawałek, myśli Valér, dalej od skraju, głębiej między drzewa. Grzbiet mu całkiem zdrętwiał od plecaka, w piersiach go kłuje,

a biodra bolą, ma wrażenie, że załamia się pod ciężarem, który dźwiga. Jeszcze do tamtego drzewa, postanawia, i nagle ta myśl znika w gorącej ciemności, już niczego nie zauważa i nic nie czuje.

Ciemność ogarnęła go, gdy jeszcze stał, wskutek czego nie poczuł upadku, uderzenia wyczerpanego ciała o ziemię i nacisku Karola, którego pociągnął na siebie.

W końcu otwiera oczy i myśli, że to sen. Wszystko dookoła, lasek świerkowy, krzaki i znajdujący się za Valérem przygnębiający, długi płaskowyż z resztkami zeszłorocznej trawy i czerniejące na nim pogorzeliska, wszystko to widzi w świetle dogasającego dnia. Karol leży obok i patrzy zmęczonym wzrokiem. Nad nimi szumią i trzeszczą konary uderzane przez wiatr. Jeszcze wyżej blade obłoki i ciemniejsze chmury szybko płyną gdzieś na południe, może do granicy. Zbliża się wieczór.

– Obudziły mnie psiska. – Karol kiwa ręką w lewo, w stronę domniemanego końca lasu. – Tam są esesmańskie psiarnie. Trochę się przestraszyłem. Potrząsałem tobą, ale leżałeś jak kłoda. Zamiast wstać na dźwięk gongu, ty się położyłeś.

Kiedy las ogarnęła szarówka, zeskrobują z ubrań i plecaka zaschnięte błoto, rozgrzewają obolałe nogi i podrapane ręce. Odczekali, dopóki nawet pobliskie drzewa nie zginęły w półmroku, i dopiero wtedy ruszyli z wiatrem skrajem lasu w dół zbocza.

– Będziemy szli zawsze tylko po ciemku – decyduje Valér. – Ależ bolą mnie nogi! Nad ranem wdrapiemy się jak najwyżej, najlepiej gdzieś między drzewa.

Lasek nie jest duży, ale wędrówka nierówną drogą kosztuje ich wiele wysiłku. Pod nogami trzeszczy drewno, pęka cienka warstwa lodu i przymarzniętych liści, zbiegowie się ślizgają, potykają o wystające korzenie. Obaj kilka razy upadają. Karol rozciął sobie dłoń o krawędź lodu, a Valér uderzył kolaniem o ostrą skałę.

– Za chwilę będziemy mieć las za sobą – dodaje im otuchy Karol. – Potem będzie szło nam się łatwiej.

Za lasem jest tylko kawałek łagodnie opadającego płaskowyżu. Dalej wznosi się długie, ciemne wzgórze, o zboczu niemal gładkim, bez wybojów i skał, porośnięte rzadkim laskiem. Nawet mimo gęstniejącej ciemności wspinaczka przychodzi im stosunkowo łatwo, bo nogi jako tako się rozchodziły. Na wierzchołku trochę

odpoczęli, zeszli w dolinę, przeszli w bród płytki strumień i od razu zaatakowali drugie wzgórze. Na szczycie czwartego zastała ich północ i Valér ściągnął plecak, by nabrać sił podczas krótkiego odpoczynku.

Karol usiadł na niskim pniu, Valér przykucnął obok na piętach. Karol wyjął z plecaka drugą porcję chleba.

– Napijemy się trochę kawy? – spytał Valér.

– No... może po łyżku – zgodził się Karol. Przypomniawszy sobie stanowcze ostrzeżenie lekarza Andreja: „Jeśli będziecie zmęczeni i głodni, nigdy nie pijcie zbyt dużo. Od płynów puchną nogi, dla was to byłby koniec”.

– Jeszcze chyba z siedemdziesiąt kilometrów – mówi w zamyśleniu Valér. – Siedemdziesiąt kilometrów w linii prostej. Ile to może być... po takiej drodze?

Karol milczy zamyślony. Uciekli z kościstej garści najbardziej potwornej śmierci, jaka kiedykolwiek wyniszczała ludzi. Ale jeszcze nie są bezpieczni i jeszcze nie dokonali tego, czego oczekują od nich koledzy, którzy straszliwie cierpią w obozie. Tam, skąd uciekają, wróg zabija też dziś i będzie zabijać jutro, pojutrze, ciągle, dopóki nie wzbierze jakaś wielka siła i nie ukarze morderców.

– Ile to będzie do granicy? Po takiej drodze, przez góry? – Valér powtarza pytanie.

Karol, ciągle zamyślony, odpowiada:

– Nie wiem, ale na pewno sporo. Może ze sto czterdzieści kilometrów.

– Tfu! – spluwa Valér. – To dużo nawet autem.

Znów wspinają się po zboczu, miejscami pokrytym gołoledzią. Ponieważ się ślizgają, muszą iść bokiem, by mogli zapierać się obcasami o grudki ziemi i oblodzone skały. Po dwóch godzinach drogi zjedli resztki drugiej porcji chleba i wypili po łyku kawy. Od razu ruszają dalej. Valér klnie, bo zranione kolano go pobolewa, chciałby jeszcze chwilę posiedzieć, ale Karol go popędza, przed nimi długa droga, a Schwarzhuber ciągle jest tylko na odległość rzutu kamieniem.

O świcie znaleźli się nad podobozem Jawischowitz, wysuniętą częścią kompleksu Auschwitz. Zmęczeni przykucnęli za suchymi, gołymi krzakami i ponuro patrzą w dół na drogę prowadzącą z obozu. Idą nią więźniowie w eskorcie esesmanów z psami. Po chwili cały pochód zginął w dziurze u podnóża przeciwległego zbocza, pewnie w jednym z szybów jawiszowickich.

– Wygląda na to, że nigdy nie pozbedziemy się tych Szwabów – wzdycha Karol zatroskany.

Wokół nich rozpościera się kraina pustych, rzadko porośniętych wzgórz, nieprzyjazny, jednostajny, odpychający świat. Niebo jest zachmurzone i bez ustanku dmucha zimny wiatr. Trzęsą się z zimna. Podczas nocnego marszu spocili się tak, że teraz wilgotne ubrania kleją się im do ciała. Przesunęli się kawałek dalej od krzaków do niewielkiego zagłębienia, w nim próbują się zagrzać, podskakując i wykonując energiczne ruchy rękami. Wkrótce jednak rezygnują z tych starań, bo są zbyt wyczerpani. Usiedli i starannie obwiązali kawałkami suchych szmat mokre, poranione nogi. A potem aż do późnego popołudnia nabierają sił we śnie, budząc się nawzajem po godzinie niespokojnego oddychania.

Tuż przed zmierzchem chmury na zachodzie się rozeszły i z głębokiej niebieskiej dziury wychyliło się wyszczerbione, nisko wiszące słońce. W tym zimnym i słabnącym świetle widzą więźniów i esesmanów wychodzących spod przeciwległego wzgórza. Więźniowie ustawiają się na drodze, po czym przechodzą drogą obok potoku na środek ciemnej doliny, gdzie stoją niskie i długie baraki jawiszowickiego obozu koncentracyjnego.

Zaczekali, aż wszystko pod nimi ucichnie, po czym wypalili w milczeniu po jednym francuskim papierosie. Potem uważnie przepatrzyli ziemię wokół plecaka, by o czymś nie zapomnieć. Ruszyli grzbietem długiego wzgórza, jęcząc i przeklinając, gdy tylko poczują budzący się ból w nogach. Zanim zeszli z kolejnego zbocza, zrobiło się zupełnie ciemno. Na dnie doliny ogarnęła ich głęboka, przytłaczająca cisza. Tu, na dole, nie ma nawet wietrzyku, nie szumią pojedyncze drzewa, słyszą tylko własne kroki i mozolne oddechy. Po krótkim namyśle zatrzymali się, zjedli kolejną porcję chleba, dwie porcje margaryny, dopili resztkę kawy i napełnili butelkę lodowatą wodą z potoku.

– Pójdziemy kawałek doliną... czy znów pod górę? – pyta Valér.

Obmacuje ręką puchnące kolano. Po każdym krótkim postoju ból odzywa się coraz bardziej natarczywie już przy pierwszym kroku.

Karol patrzy przez chwilę badawczo na Valéra. Potrzebowałby odpoczynku, myśli. Może powinienem obwiązać mu kolano jakąś szmatą. Ale Valér aż krzyknął, daj spokój, nie obwiązuj, to jeszcze bardziej boli.

– Nie możemy kręcić się po dolinie – mówi Karol ze smutkiem. – To mogłoby się nam nie opłacić. Przez góry droga jest trudniejsza, ale krótsza. I o wiele bezpieczniejsza. Ale jeśli... jeśli bardzo chcesz, to ja się dostosuję.

– Nie chcę – odpowiada zdecydowanie Valér. – Chodźmy krótszą drogą. – Przeniósł ciężar ciała na bolącą nogę, zaczął jęczeć i stękać. – Chodźmy tą krótszą, ja... mam już naprawdę dość tej Polski.

Karol zarzucił plecak na ramiona. Ostrożnie obeszli ogromne skały, przecięli drogę na dnie doliny i powoli wdrapują się na wzgórze gdzieniegdzie porośnięte skarłowaciałymi sosnami. Po trzech godzinach już ponownie odpoczywają i te wymuszone przerwy stają się coraz dłuższe, bardziej niespokojne. W końcu powiedzieli sobie, że aż do rana będą szli bez przerwy – i nieskończenie długo wloką się po prawej stronie zboczy zwartego łańcucha gór ciągnącego się na południowy wschód. Świt zastał ich na dole pomiędzy dwoma wzgórzami, całkowicie wyczerpani obejmowali się nawzajem w pasie i zataczali jak pijani w stronę drzew u podnóża przeciwległej góry. Nie usiedli pod nimi, tylko niepewnie chwieją się na zmęczonych nogach i z tępym bólem na twarzy wpatrują się w zbocze nad sobą.

– Musimy dostać się na górę – mówi po chwili Karol. – Na górę, słyszysz, Valér? Tu... tu mogliby nas zobaczyć. Dasz radę?

Valér zacharczał z bólu i zacisnął zęby. Kuśtykał przez całą noc. Przy każdym kontakcie nogi z ziemią kolano przeszywał dręczący ból i rozchodził się po całym ciele. Spojrzał na przejaśniające się dno doliny, potem na zbocze nad sobą i znów zacharczał.

– To co, Valér? Dotrzemy na górę?

– Do-dotrzemy. Cho-chodźmy.

Gwałtownie dysząc, wspinają się po skosie. Kilka razy upadają i przez chwilę odpoczywają na leżąco. Kawałek wdrapują się na łokciach i kolanach, potem znów wstają i kroczyk za kroczykiem pokonują zbocze, co jakiś czas pomagając sobie rękami. W normalnych okolicznościach weszliby na tę górę w piętnaście minut, teraz trwa to sześć razy dłużej. Za każdym razem, gdy Valér pada i leży, traci na chwilę przytomność. A gdy się ocknie, ma wrażenie, że już nigdy się nie podniesie.

– Idź sam, Karol – mamrocze z przerwami w szale gorączki. – Na dole są Niemcy, uciekaj sam. Słyszysz? Idź sam.

Karol się uśmiecha. Pochyla się i z wielkim wysiłkiem przewraca Valéra na plecy. Patrzy na umazaną wilgotną ziemią twarz kolegi, na gwałtownie unoszącą się klatkę piersiową.

– Jeszcze sto kroków, Valér. – Powoli dźwiga go do pozycji siedzącej. – Jeszcze sto kroków, a potem... potem będziemy chrapać aż do wieczora.

Chyba za piątym razem udało mu się postawić Valéra na nogi, po czym niemal przez godzinę podpierał go i włókł nie raz, lecz dwa razy po sto kroków na szczyt wzgórza, potykając się, upadając i znów się podnosząc. W miejscu, gdzie mu się wydawało, że już w żaden sposób nie będzie można ich zauważyć z dołu, położył swojego towarzysza na ziemi, podsunął mu plecak pod głowę i zaległ obok. Natychmiast zasnęli.

Karol obudził się dopiero późnym popołudniem. Wyciągnął rękę w kierunku Valéra, lecz jego dłoń trafiła w pustkę. Podniósł się gwałtownie. Choć przy tym ruchu wszystko go rozboleło, zachichotał z ulgą, ponieważ Valér siedział u jego nóg i smutno przyglądał się opuchniętemu kolanu.

– Już tak bardzo nie rwie. – Valér opuścił nogawkę. – Przed chwilą słyszałem jakiś szum... jakby jechały auta albo coś takiego.

– Gdzieś tutaj powinna być linia kolejowa. – Karol spogląda w dół. – Przynajmniej tak to mam zaznaczone na mapie. Może zobaczymy ją z najbliższego wzgórza.

Valér ostrożnie przysunął się bliżej niego.

– Jestem... strasznie głodny – wzdycha Karol. – I spragniony, bardzo spragniony. Valér udaje zaskoczonego.

– Aha, faktycznie, przecież spałeś – mówi, a Karolowi zrobiło się niezmiernie błogo na widok figlarnego uśmiechu w oczach kolegi. – Całkiem o tym zapomniałem. Przybiegł tu Schwarzhuber i strasznie krzyczał, macie, łotry, kawał upieczonego indyka i bochen chleba, żeby wam się lepiej uciekało. Ale się obżarłem!

– Hm... Zrobiłeś mi ogromnego smaka... na kromkę chleba z margaryną. Bierzmy się więc za to.

Zjadają po całej porcji chleba i podwójnej dawce margaryny. Po czym siadają na plecaku, z rozkoszą wypalają po pół papierosa i badawczo przyglądają się krajobrazowi.

Pobliskie wzgórza są przeważnie gołe, tylko miejscami porośnięte laskami albo sosnami. Wezbrane wody zmyły z niektórych ziemie i obnażyły szare skały. Za nimi falują kolejne wzgórza, a jeszcze dalej wznosi się ściana lasów, ciemny pas, zapewne porośnięty jodłami i świerkami. Te wzgórza i lasy leżą na południu i gdzieś z tamtego kierunku znowu słychać słaby szum. Po chwili dźwięk ucichł, ponownie się odezwał i załamał, a zaraz potem bezbłędnie rozpoznali, że gdzieś pod nimi stęka lokomotywa.

– Niech to diabli! – ulżył sobie Valér. – Gdy się obudziłem, wybałuszałem wzrok i nic nie widziałem. Spójrz w prawo!

Na wąskim dnie krętej doliny Karol zauważył dwa pasy torów kolejowych. W tej chwili stukot kół na torach zabrzmiał całkiem wyraźnie. Zza zakrętu wyłonił się pociąg – mały, osobowy, z bardzo starymi wagonami. Pędził na północ. Zwykły, normalny pociąg, którym ludzie nie są wożeni na śmierć. Zaskoczeni patrzyli za nim, dopóki ostatni wagon nie zniknął za zakrętem w przesmyku między dwoma stromymi zboczami, po czym uśmiechnęli się do siebie.

– Nie straciliśmy kierunku – mówi z zadowoleniem Valér. – Jeśli nie zgubimy linii kolejowej, to nie pobłądzimy.

Aż do późnego popołudnia opatrują sobie nogi i ręce, suszą mokre rzeczy w słabym świetle słońca. Długo studiują odręczną mapkę rozłożoną na spłaszczonym plecaku; szliśmy tędy, tu wdrapywaliśmy się na tę straszną górę, gdzieś w tym miejscu wyłożyłem się w potoku, tam były Jawiszowice, teraz jesteśmy gdzieś na tych wzgórzach, a to kółko przed nami... do diabła, to ta przeklęta elektrownia wodna. I dwie noce, szlag by to trafił, dwie noce drogi do niej!

Karol przypomniał sobie ostrzeżenie Pawła.

– Najbardziej niebezpieczny odcinek drogi – stwierdził ponuro. – Jest tam dobry pułk hitlerowców. Ale stamtąd już tylko dwa, trzy dni drogi do granicy.

Gdy wzgórza przed nimi zaczęły siwieć i powoli zlewać się z ciemniejszym horyzontem, starannie spakowali rzeczy do torby i plecaka, po czym, klnąc i jęcząc, zrobili pierwsze bolesne kroki.

– Dwie noce drogi, mój Boże! – przeklina Valér i łapie się za kolano, krzywiąc twarz z bólu. – Dwie noce, a potem pułk żołdaków! Dziękuję pięknie...!

## Dwaj naprzeciw pułku

Tego poranka chyba nic na świecie nie zaskoczyłoby ich bardziej niż widok ze szczytu wzgórza. Ujrzeni go, gdy wyszli z lasu na skraj wykarczowanej poręby.

Na prawo pod nimi bieli się niewielki budynek elektrowni wodnej. Nad ciemnym, spokojnym jeziorem za murem zapory wisi gęsta sieć balonów zaporowych. Na lewo od elektrowni, u stóp przeciwległego zbocza, mieni się różnymi kolorami osada Porąbka. Tuż za nią i wszędzie dookoła wznoszą się gołe, bezleśne wzgórza, bez choćby jednego drzewa czy krzewu, doskonale spustoszone i wyczyszczone gładkie zbocza. Już z daleka można na nich rozpoznać nawet najmniejszy ruch.

– Obchodzić taki szmat drogi! – krzyknął ze złością Valér i podłamany wizją porażki osunął się pod drzewem na ziemię. – Taki szmat drogi! – powtarza płaczliwie, a jego ciało drga w ataku rozpacz. – Na Boga! – krzyczy. – Na Boga ich niemieckiego!

Minęły dwie noce pełnej trudów drogi od czasu, gdy po raz pierwszy od dwóch lat zobaczyli pociąg, który nie wiózł ludzi do gazu. Omdlewali w marszu i odzyskiwali przytomność, a właściwie stan majaczenia w gorączce, uniemożliwiający im precyzyjne widzenie i rozsądną ocenę sytuacji. Całkowicie otepiały Valér został w jednej z dolin. Po dłuższych poszukiwaniach Karol odnalazł kolegę histerycznie szlochającego, z nogami w lodowatym potoku, a górną połowę ciała na skalistym brzegu. Chwilami wlekli się na nogach, chwilami czołgali się na brzuchu, bardziej strome odcinki pokonywali na czworakach, krwawiąc z nóg i rąk, potem też z nosa i twarzy, podrapanych i poobijanych od licznych upadków. Kolano Valéra zmieniło się w olbrzymią niebiesko-fioletową opuchliznę. Oprócz tego dzień wcześniej tak mu spuchły kostki, że nie mógł zdjąć butów. Karol nadciął mu je brzytwą przy języku. Ból wprawdzie zelżał na chwilę, ale opuchlizna od razu się rozlała i wydeła przez dziurę naciętą na podbiciu. Z kolei Karol ma opuchnięte nadgarstki, nadwerżone od częstego chodzenia na czworakach. Wczoraj nie mógł oderwać od nóg zakrwawionych, przyschniętych i zlodowaciałych szmat, a te



szczypały go nieznośnie podczas każdego kroku i paliły na otwartych ranach. A dziś... dziś zjedzą ostatnią porcję chleba!

Karol oderwał wzrok od wioski i spogląda na Valéra wyciągniętego na miękkim igliwiu. Już nie szłocha, chrapliwie oddycha. Zasnął z na wpół otwartymi ustami i ręką pod bolącym kolanem, czasami szarpie nim niespokojnie. Valér jest u kresu sił i teraz chyba rzeczywiście nie ma szans na podjęcie dalszej drogi. W normalnych okolicznościach dotarliby nad granicę w ciągu dwóch, trzech nocy. Ale okoliczności są całkowicie nieprzyjazne i jedną noc pewnie stracą na przymusowym obchodzeniu przeklętych gołych wzgórz.

Uklęknął u stóp Valéra i ostrożnie ściągnął mu buty. Gdy odwijął koledze mokre onuce, ten boleśnie jęknął przez sen. Karol odczekał, aż oddech Valéra się uspokoi, potem odwiązał szmaty aż po miejsce, w którym przyschły. Tam odciął je brzytwą, a potem rozłożył na ziemi mokre pasy przesiąknięte krwią. Wyciągnął z plecaka kilka suchych szmat i owinął nimi nogi Valéra. Już w porządku, pomyślał, usiadł obok niego i spoglądał na rozciągniętą w dole osadę.

Między elektrownią a wioską stoją dwa bardzo długie baraki, koszary. Z komina bliższego budynku unosi się siwy dym, tam pewnie znajduje się kuchnia. Na dworze widać drobne szarozielone postaci żołnierzy. Od nagich wzgórz po drugiej stronie dzieli zbiegów pułk zdrowych i sytych, uzbrojonych i żądnych krwi hitlerowców. Muszą obejść te wzgórza i nikt nie wie, ilu Niemców stanie na ich drodze podczas dodatkowego marszu ani ilu ich jeszcze będzie, zanim dojdą do granicy.

Podłożył Valérowi torbę pod nogi, żeby suche szmaty na nich nie przesiąkły wilgocią, wcisnął mu pod głowę plecak i sam położył się z postanowieniem, że nie zaśnie, dopóki Valér się nie obudzi. Kilka razy się otrząsnął i z olbrzymim wysiłkiem przegonił sen. Potem znów w jego oczy zaczęła wkradać się ciemność, słabnąca przytomność już nie zdołała pokonać zmęczenia. Poddał mu się, myśląc o całkowicie wyczerpanym Valérze.

Obudził się późnym popołudniem. Zbocze wzgórz jest martwe, na dole nie widać nic podejrzanego, dziedziniec koszar opustoszał – a Valér jeszcze śpi. Karol przez chwilę nim potrząsał, patrząc na jego ubrudzoną twarz ze strużkami zaschniętej krwi pod nosem i na policzku. Valér w końcu otworzył oczy, od razu usiadł i oparł się plecami o drzewo. Pierwsze spojrzenie padło na opatrzone nogi.

– Dziękuję... Następnym razem moja kolej. – Uśmiechnął się słabo, po czym pochylił głowę, jakby się zawstydział, że znów był ciężarem. – Wiesz, co mi się śniło, gdy mnie budziłeś? Przyszliśmy do domu, a ludzie do nas: „Patrzcie na tych dziwaków! Wojna dawno się skończyła, a oni chcą wyzwać obozy koncentracyjne!”.

– Piękny sen. – Karol z uznaniem kiwa głową, po czym wysypuje na ziemię zawartość torby. – Gdybyśmy mieli chociaż połowę z niego za sobą!

Wkłada do torby przeschnięte szmaty, chustkę z lekami, brzytwę i latarkę. Jedną metalową rurkę wsunął do kieszeni, drugą podał Valérowi. Potem z westchnieniem zabrali się za ostatnią porcję chleba, wypalili wspólnie jednego papierosa i aż do zmierzchu opatrywali sobie nogi. W końcu włożyli buty, a Karol zarzucił plecak na ramiona.

– Musimy się ruszyć – mówi zamyślony. – Zanim zejdziemy, zrobi się ciemno.

– Zanim zejdziemy? – powtórzył Valér z przerażeniem.

– Nie możemy iść dookoła, Valér. Na dolnym końcu osady jest kładka, pójdziemy najkrótszą drogą. Nie możemy tracić czasu.

Valér oparł się ręką o drzewo, ale zaraz potem krzyknął z bólu i usiadł. Udręczony uniósł głowę i jęknął:

– N-n-nie mogę. Strasznie mnie... boli.

Karol patrzy na niego z desperacją. Najpierw ogarnęła go złość, potem jednak się zawstydział i powiedział z żalem:

– Wiem, Valér, że strasznie cię to boli. Ja... ja z taką nogą nie wytrzymałbym nawet tyle. – Zrzucił plecak i dodał z rezygnacją: – Schowamy się głębiej między drzewami i poczekamy dzień, dwa, trzy, aż ta opuchlizna chociaż trochę ci zejdzie. Chyba nie zdechniemy z głodu. Może nas tu nie znajdą.

W oczach Valéra pojawiła się łza. Jest mu ciężko, niezmiernie ciężko, bo wie, że należy uciekać, a nie odpoczywać, że znajdują się jeszcze bardzo daleko od granicy i jeszcze dalej od ludzi, którym chcą przekazać straszne wieści o umieraniu w Auschwitz.

– Poczekać dwa, trzy dni? – pyta przerażony. Wygląda, jakby nagle wszystko mu się pomieszało. – Poczekać dwa, trzy dni? – powtarza. – Po kiego diabła?! – Nagle podniósł się gwałtownie na znak sprzeciwu, lecz zaraz się zatoczył i jęknął z bólu, ale potem ruszył z zaciśniętymi zębami do lasu. – Na Boga, boli, strasznie boli, ale

rozchodzę to, chodźmy dalej, diabli by wzięli takie kolana – przeklina, a przy każdym stąpieniu na bolącą nogę głos mu się dziwnie załamuje. – Może tam na dole – próbuje zażartować – Niemcy dadzą mi nowe.

Wrócili kawałek lasem. Potem, pojękując z bólu, zeszli po zboczach, zmiierzają w stronę krańca osady w dole, gdzie mknie bystry potok wypływający z otworu spustowego elektrowni. Nad potokiem przerzucona jest wąska kładka. Jeśli plan się powiedzie, zyskają noc, być może decydującą. Za przeciwległym nagim wzgórzem znowu przebiega linia kolejowa. Według mapki tory skręcają niedaleko na północny wschód. Od tego zakrętu do granicy zostanie im tylko piętnaście–dwadzieścia kilometrów w linii prostej. Dwadzieścia, może dwadzieścia pięć godzin drogi.

W dolnym końcu wsi, zamkniętym między dwoma ostrymi zboczami, panują cisza i spokój. Przy kładce oddalonej o jakieś trzydzieści kroków od najbliższego domostwa nie widać nikogo. Trochę się wyprostowali, żeby nie wyglądać podejrzanie, kawałek przeszli drogą, po czym z walącymi sercami stanęli na kładce. Nie jest długa, mierzy zaledwie sześć metrów. Postanowili, że przejdą po niej powoli, spokojnie, by nie wzbudzić niczyjego zainteresowania. Ledwie jednak ich nogi dotknęły spróchniałego drewna, nerwy im puściły, przebiegli po kładce i po kolejnych pięciu, sześciu krokach zaczęli się wdrapywać na gołe zbocze nad potokiem. Panuje już dość gęsty półmrok, ale z dołu jeszcze ciągle ktoś mógłby ich zauważyć. Wspinają się na zbocze pochyleni niemal do ziemi, na czworakach, nieustannie się oglądając. W tych chwilach nie stękają i nie jęczą, męczący ból nagle ustąpił, każdy nerw wyczerpanego ciała jest skoncentrowany jedynie na wierzchołku wzgórza, za którym znajduje się obietnica ratunku. Karol, gwałtownie dysząc, spojrzął przed siebie. Jeszcze czterdzieści, pięćdziesiąt kroków i znajdą się na szczycie, przedostaną się na drugą stronę, a tam, bezpieczni, zbiorą nowe siły na dalszą drogę. W następnej chwili niemal zamarł, bo z dołu dotarło do nich szczekanie psów.

– To koniec, do diabła ich faszystowskiego, to koniec – przeklina Valér.

Wyteżają wszystkie siły, wspinają się dalej i oglądają w dół na drogę. Valér niejasno zauważył sylwetki dwóch mężczyzn odbijające się na tle bladej ściany ostatniego domu. Krzyczy:

– Przyklej się do ziemi i nie ruszaj! Chyba nas widzą.

W ciemnej ciszy zagrział wystrzał, potem drugi, i jeszcze zanim z gór odpowiedziały pierwsze echa, jedna kulka prześwisnęła nad nimi, a druga zabrzęczała na skale obok Valéra.

– Rozdzielmy się! – krzyczy Karol. – I ile masz sił, pędź na drugą stronę szczytu!

Gdy tylko się podnieśli i zaczęli biec, ciemność przecięły z dołu dwa ostre promienie reflektorów przeciwlotniczych. Przejechały od lewej do prawej i od prawej do lewej, zalały całą szerokość zbocza jasnym bladożółtym światłem. W końcu spotkały się na dwóch poruszających się postaciach. Zbocze zalał gęsty deszcz strzałów. Kule z karabinów i broni automatycznej trzaskają, brzęczą i odbijają się ze świstem od skał i kamieni, a oni w tym strasznym łoskocie, wzmocnionym przez wielokrotne echa, przeskakują z jednej strony na drugą, próbują się wyślizgnąć z niemiłosiernego objęcia światła. Na szczęście obaj szybko zrozumieli, że przed poruszającymi się promieniami można uciec tylko na teren, który znajduje się poza ich zasięgiem. Dlatego przestali skakać z jednej strony na drugą i pod gęstym wściekłym ostrzałem zaczęli biec prosto do góry. Każdy skok czy krok do przodu wydaje się wiecznością, pochłania wszystkie siły, lecz one jakimś cudem powracają. Nawet w tym strasznym napięciu Karol zdążył się zdziwić, że jeszcze nie trafiła ich żadna kula, że jeszcze żyją i że mimo gęstniejącego ostrzału króciutki odcinek między nimi a szczytem wciąż się skraca. Zaskoczenie, że żaden z nich nie padł ani nie został trafiony, nie opuściło go nawet wtedy, gdy osiągnęli już krytyczny punkt wzgórza, gdy strzały nagle ucichły i dwa pasy światła załamały się na wysokości chmur.

Idą w tę stronę, gdzie zbocze jest najbardziej strome, i myślą tylko o tym, by odległość między nimi a Niemcami rosła jak najszybciej. Czasami trzymają się za ręce i biegną wytrwale, dysząc, charcząc i wydobywając z siebie niezrozumiałe mamrotanie. Nie czują bólu, w pełni zaabsorbowało ich skrajne napięcie. Nogi stały się tępymi, niewrażliwymi mechanizmami, które służą niezmiernie wytężonej woli, by uratować życie i dostać się w bezpieczne miejsce.

Na dole ruszyli w prawo, nieco powyżej podnóża góry biegną bokiem kolejnego zbocza, po czym bez odpoczynku zaczynają się wdrapywać na górę porośniętą jodłami i świerkami. Dopiero po północy całkiem wyczerpani padli na niewielki płat przymarzniętego śniegu na górskiej równinie biczowanej przez wiatry z północy. Zimny wichur gwizdże nad nimi, a oni przyciskają rozpalone policzki,

czoła i krwawiące dłonie do ostrego, szorstkiego śniegu, liżą go i gryzą, czując aż w kościach bicie skrajnie wyczerpanych serc. Dobrą godzinę leżą bez słowa i próbują odwrócić myśli od strasznych sekund na oświetlonym wzgórzu. W końcu Karol położył się na plecach i spogląda w bezgwiezdne niebo.

– Zeszliśmy z drogi przynajmniej dziesięć kilometrów – odezwał się Valér dziwnie obcym głosem. – Proszę cię – odpoczywa po każdym słowie – rozetnij mi but.

Nerwowe napięcie ustąpiło, w nogach i rękach powrócił szarpiący ból. Ze śniegu przesunęli się na przymarznięte kępy zeszłorocznej trawy, kulą głowy w ramionach przed porywami wiatru. Karol wykonał długie cięcie brzytwą. Opuchlizna jest olbrzymia, Valér krzyczy z bólu przy próbach ściągnięcia buta. W końcu przyjaciel rozciął mu oba aż po pięty.

– Zostaw, sam je ściągnę.

Przyciągnął nogi do siebie i jednym ruchem zerwał z nich buty. Potem długo zaciskał zęby i łapał oddech, obawiając się, że z bólu straci przytomność.

– Do diabła ich faszystowskiego, do diabła – klnie po ataku. – Gdyby ktoś rano mi powiedział, że jeszcze dziś będę uciekać na tych nogach, naplułbym mu w oczy.

Karol też ściągnął buty i wyrzucił obie pary w krzaki. Potem owinęli nogi szmatami, przewiązali je wąskimi paskami, a na końcu szerszymi. Jeśli Niemcy wysłaliby za nimi psy, zwierzęta zostaną przy butach, bandaże nie zostawiają śladów, pomyślał Karol. Po czym wstał i mówi:

– Musimy na jakiś czas oddalić się od torów. Pójdziemy teraz w stronę czeskiej granicy.

Nad ranem zatrzymali się przy potoku w głębokiej, bardzo wilgotnej dolinie. W lodowatej wodzie umyli twarze i ręce, by usunąć chociaż trochę brudu z zakrwawionych ran. Potem przewietrzyli przepocone podkoszulki i koszule, w milczeniu wypalili ostatniego papierosa. W dolinie zalegała mgła, drzewa okrywał szron, a pod nogami mieli twardą gołoledź.

– Myślę, że powinniśmy wykorzystać tę mgłę – odezwał się nagle Valér. Karol spojrzał na niego z zaskoczeniem. – Zanim się rozejdzie, możemy mieć kawałek drogi za sobą.

Wskutek wyczerpania i bólu, który znów rozlewa się po całym ciele, rezygnują jednak z marszu na szczyt najbliższego wzgórza. Dalsza droga i tak byłaby już

bardzo ryzykowna, ponieważ mgła na dole zaczęła rwać się na kawałki, ustępować i podnosić, a przez rozszerzające się dziury widać coraz większe połacie nieprzyjaznego świata. Znaleźli bardziej suche miejsce na legowisko, zdjęli chlebak, plecak i usiedli pod drzewem, opierając się plecami o jego pień.

– Zdrzemnij się – zaproponował Karol. – Obudzę cię za godzinę.

– Nie ma mowy – sprzeciwił się Valér. I dodał wyczerpany: – Jeśli zmrużę oczy, to nie obudzisz mnie przez dwa dni.

W igliwiu miękko szumi wietrzyk, nie za zimny, nie za wilgotny, a na unoszącej się pod nimi mlecznej mgłę zatrzymało się światło słońca. W zamyśleniu obserwują, jak kłęby mgły rozrywają się i łączą, rzadną i gęstnieją, co chwilę odsłaniają lub zasłaniają szare zbocza i ciemne dno doliny. Chmury też rozrywają się i łączą, światło słońca tylko z rzadka prześwituje pomiędzy szpar. Do tych kolorów, tego półmroku i delikatnie grzejącego blasku, do zmian ciemności i światła można porównać też ich myśli.

Są na dnie, całkiem na dnie. Nie mają już ani kromki chleba czy kawałka margaryny, a nawet nadziei, że gdzieś po drodze mogliby się zaopatrzyć w jakieś jedzenie. Zostały leki i brzytwa, zegarek (cud, że się nie rozbił!), mapa, latarka, szmaty i metalowe rurki...

Karol wstał gwałtownie i zaczął sprawdzać kieszenie. Pobladł i z miną, jakby za chwilę miał się rozplakać, jęknął:

– Mój Boże, nie ma jej!

Zgubił metalową rurkę, pewnie przy elektrowni wodnej, gdy podczas szaleńczego biegu po życie upadali wiele razy. W rurce miał zwinięty szkic krematoriów, plan obozu koncentracyjnego i koszar esesmanów. Ach, ja nieszczęśliwy! Ach, drogi Wasylu, daremna była twoja praca!

Klnąc, lamentując i narzekając na własną nieuwagę, przeprosza Pawła, który ryzykował życie, gdy organizował dla niego ten papier, oraz Wasyla, który narysował te plany w małej budce ślusarskiej. Trzyma w podrapanych dłoniach głowę pełną pomieszanych i nieszczęśliwych myśli, a Valér niepewnie go uspokaja.

– Nic się nie martw, Karol! Ludzie też się pogubili, a świat idzie dalej. Takie plany sami naskrobiemy, nie musi to być ręka topografa. Znajdą Auschwitz na mapie, a resztę dorysujemy. Koniec końców... to też im wystarczy – wskazał na drugą metalową rurkę. Ukryli w niej istotne dokumenty, historię budowy obozu,

listę transportów, całą hierarchię esesmanów, niewiarygodne okrucieństwa i niewiarygodne ofiary, nalepkę z puszki z cyklonem...

W końcu Karol przestał przeklinać, ale się nie uspokoił, sumienie dalej go dręczy. Zniknęła jedna rurka z bardzo ważnymi dowodami. To dla nich ryzykowali życie Paweł, Wasyl i wielu innych ludzi. Myśl o Pawle, Wasylu oraz kolegach z niekończących się karawan w pasiakach nagle nim poruszyła.

– Wyciągnij, proszę, mapę.

Rozłożyli mapkę na plecaku i próbują znaleźć punkt, w którym się znajdują.

– Jesteśmy prawdopodobnie tutaj. – Valér dziabnął patyczkiem w krzyżyk oznaczający wzgórze. – Jakies dwadzieścia kilometrów w linii prostej od granicy. Za tą górą – wskazuje ręką na najbliższy szczyt z długim zagłębionym grzbietem – powinna być Milówka. Za Milówką linia kolejowa skręca w stronę Zwardonia. Stamtąd to już kawałek...

Góra jest porośnięta karłowatymi, szeroko rozgałęzionymi sosnami. Dzięki temu mają szansę na trochę słońca i możliwość dobrze utajonego poruszania się w ciągu dnia. Bardzo im tego w trakcie ucieczki dotychczas brakowało. Karol spogląda wyzywająco na Valéra, ten zamyślony pochylił głowę, potem mrugnął i powiedział niepewnie:

– Wszystko mi jedno. Możemy iść. Będę szedł, dopóki wytrzymam.

Po trzech godzinach powolnej wspinaczki znaleźli się na górze, u której stóp leży Milówka. Rozejrzeli się, potem usiedli między sosnami na stosie odłamanych gałęzi i zaczęli odwijać z nóg wilgotne postrzępione szmaty. Valér od czasu do czasu spogląda z z troskaniem na Karola, kolega nawet nie próbuje ukrywać, że coś bardzo go niepokoi. Potrzebowalibyśmy się zdrzemnąć, pomyślał Valér, gdy skończył owijać nogi w suche szmaty.

– Jesteś głodny? – pyta Karol.

Zaskoczony Valér aż otworzył usta.

– Nn-nie, kolego, jestem nażarty. Kurczę, zjadłbym byle jakie ścierwo!

– A nogi... nogi bardzo cię bolą?

– Nn-nie. Właśnie się zastanawiałem, czy nie powinienem trochę się przebiec. Ruch, kolego, tak mówił też Schwarzhuber, właśnie ruchu najbardziej mi brakuje. – Spojrzał badawczo na Karola. – Jeśli powiesz, że chcesz iść kawałek dalej, przywiążę cię do drzewa i do nocy się nie ruszymy.

– Hm... Naprawdę powinniśmy pójść kawałek dalej. Przynajmniej dopóki nie zobaczymy linii kolejowej. Ja też już nie mam siły... ani trochę. Ale byłoby lepiej, gdybyśmy znaleźli się bliżej granicy.

Następny postój urządzili dopiero za Milówką. W dolinie linia kolejowa szerokim łukiem skręcała w stronę Zwardonia. Właśnie ze Zwardonia tą drogą od ponad dwóch lat jeżdżą bydłące wagony z towarem ludzkim do Auschwitz. Zwardoń, Auschwitz, krematoria. Już od ponad dwóch lat, dzień w dzień, noc w noc.

– Trochę tu odpoczniemy – zaproponował Karol.

Valér, zapatrzony w dwa błyszczące pasy torów kolejowych, pokręcił głową.

– Wszędzie, tylko nie tu – powiedział z przygnębieniem. – Myślę, że... że widzieliśmy już wystarczająco dużo pociągów.

Mniej więcej po godzinie zobaczyli w oddali spore skały. Gdzieś za nimi albo wśród nich powinna się znajdować najwyższa – Skalité. W położonej pod nią miejscowości rozpoczynają się rodzinne strony. Noc, najwyżej jedna noc i pół dnia żmudnej drogi przez góry.

Utykają i przeklinają swoją bezradność podczas powolnej wspinaczki na kolejny grzbiet, a tam przychodzi rozczarowanie. Skały na południu zostały zakryte przez gęste chmury lub mgłę, a oni mieli nadzieję, że już może stamtąd zobaczą Skalité. Przygnębieni zeszli z grzbietu na południowe zbocze, nie ma tam śladu po warstwie lodu. Aż do wieczora chcą pozostać pomiędzy drzewami nad potokiem. Gdy jednak zatrzymali się przy spienionym potoku, na górnym końcu doliny zagrział potężny wybuch, potem drugi, trzeci, czwarty... Kawałek wyżej pewnie jest kamieniołom. Bez słowa przepawili się przez potok, przebiegli przez wyboistą drogę i resztkami sił, które może nie docierają już do ciała z kości i mięśni, ale pochodzą tylko z impulsów pragnącego żyć mózgu, doczołgali się i dowlekli na wzgórze za drogą. A tam, zanim w ich oczy zdążyła się zakraść gęsta i gorąca ciemność, dotarło do nich, że patrzą na wiadukty.

Gdy oprzytomnieli, zrzucili z nóg mokre szmaty i rozłożyli je do wyschnięcia. Następnie owinęli nogi zapasowymi skrawkami materiału i jęcząc, zaczęli szukać pozycji, w której ból najmniej będzie im doskwierał.

Leżą twarzami do siebie, między nimi jest mapka. Patrzą na nią ponuro.



Na ich drodze stoją pilnie strzeżone wiadukty. Teren wzdłuż torów nieustannie patrolują strażnicy. Straże są zapewne rozstawione też na dole, pod mostami. Po torach od czasu do czasu przejeżdża mała służbowa drezyna, wyraźnie widzą na niej ludzi w wojskowych mundurach. Widzą też lampy. W nocy wiadukty są oświetlone, a nad linią kolejową co sto pięćdziesiąt metrów zamontowana jest silna żarówka. Gdybyśmy rozbili chociaż jedną, pomyślał Karol. Ale co by nam to dało? Niepotrzebnie wywołalibyśmy alarm, zwrócilibyśmy na siebie uwagę. I jak daleko ucieklibyśmy na takich wyniszczonych nogach? W nocy nie przejdziemy, musimy spróbować rano. Rano pewnie rozleje się mgła i pod jej ochroną może uda nam się prześliznąć.

– Po zmroku zejdziemy trochę i lepiej się temu przyjrzymy – mówi Karol. – Jeśli nie przejdziemy wieczorem, spróbujemy rano.

– Niżej, wyżej, niżej i znów wyżej – zrzędzi Valér. – Do diabła z taką turystyką! Jestem głodny, mój Boże, strasznie głodny – dodaje naburmuszony.

Karol się uśmiecha.

– Przed chwilą byłeś nażarty.

– Ja mógłbym jeść nawet najedzony. Nigdy się nie gniewam, gdy jestem syty.

Westchnął pożądliwie, przetarł usta i splunął.

## Śmierć mieszka po drugiej stronie

Zerwali się na dźwięk kroków, trzask drewna i łoskot strąconego kamienia. Obaj jak na komendę przycisnęli się do ziemi i lekko unosząc się na łokciach, odczołgali się z chlebakiem i plecakiem za sosnę. Około trzydziestu metrów wyżej rosną kolejne sosny, poskręcane, gęste, z konarami szeroko rozłożonymi przy ziemi. Valér chce się do nich doczołgać, ale Karol go powstrzymuje, nie idź tam, stamtąd nie moglibyśmy obserwować. Dwie postaci u dołu co chwilę znikają i wynurzają się z zagłębień, a oni cierpną, bo z tej odległości nie mogą rozpoznać, czy to cywile, czy żołnierze. Cywile raczej nie, myśli Karol, nie szliby przecież w nocy w puste góry. A może jednak są tu gdzieś w pobliżu pojedyncze domostwa?

– Kto to może być? – zadręcza się Valér. – Chyba przemytnicy...

– Myślisz od razu o tym, co najlepsze. A jeśli to niemieccy łącznicy...? Albo jacyś prowokatorzy?

Valér pokuśtykał kawałek do tyłu, tam rozejrzał się uważnie i po chwili wrócił z grubą gałęzią.

– Z tej strony czysto. Co zrobimy?

Mózg Karola analizuje najróżniejsze możliwości. Jeszcze jest jasno, zastanawia się. Gdybyśmy teraz ruszyli w drogę, musielibyśmy jej nadłożyć na północny wschód. Nie znamy okolicy. Na mapce są wprawdzie zaznaczone osady, ale to nie wyklucza samotnych domostw ani mniejszych obozów z nazistowską załogą. Nie da się nic zrobić, musimy poczekać i przyjrzeć się tym dwóm z ukrycia. Możliwe, że nie wiedzą o naszym istnieniu.

– Poczekamy – zdecydował Karol. – Są bez psów, nie wierzę, że nas znajdą... jeśli idą za nami. A jeśli nie idą za nami, to na razie nie ma się czego bać.

Valér wycofuje się ciężkim krokiem, lecz po chwili wraca zadowolony. Z tyłu jest naprawdę spokojnie, w najgorszym razie tych dwóch uderzą z kryjówki kamieniem w łeb, zawłoką między drzewa i...

– Kobieta i chłopiec! – szepnął zaskoczony Karol. – Kobieta i chłopiec... Czego szukają tak późno w górach?

Obcy pojawili się niespodziewanie i całkiem blisko, tuż pod nimi.

Kobieta z plecakiem na ramionach spokojnie wspina się po zakosach ścieżki; na oko dziesięcioletni chłopiec w szarym płaszczku, ciemnych spodniach z połatanymi kolanami i w dużych męskich butach niezdarnie drepcze za nią. Parę metrów poniżej uciekinierów podszli do szerokiej płaskiej skały i tam się zatrzymali. Kobieta powoli ściągnęła plecak, usiadła na skale i powiedziała:

– Siadaj, Władek, trochę odpoczniemy.

Gdyby przez chwilę się zastanawiali albo umawiali, czy wyjść zza sosny czy nie, pewnie zwyciężyłaby ostrożność. Ale oni nawet przez chwilę nie pomyśleli. Plecak natychmiast wywołał w nich wizję jedzenia i rzeczy, dobrych i suchych rzeczy, które mogłyby im się przydać. Szansa na jedzenie wręcz wypchnęła ich zza sosny. Stoją przy niej, Valér z grubą gałęzią, a Karol z dwoma ostrymi odłamkami skały w rękach, i gapią się pożądliwie na plecak u nóg kobiety.

Kobieta i chłopiec od razu ich zauważyli. Chłopiec zerwał się przerażony, ale kobieta złapała go za rękę, przyciągnęła do siebie i zaskoczona wpatruje się w oberwańców. Ma pociągłą twarz, jasne oczy, patrzy na wprost i zdecydowanie, bez strachu. Spod chustki nad wysokim czołem wystają jasne włosy rozdzielone pośrodku przedziałkiem.

– Nie bój się, Władek – szepnęła do chłopca. Po czym przywitała się na głos: – Dzień dobry, panowie.

Od ich ostatniego wyjścia z klatki po raz pierwszy odezwał się do nich inny człowiek! Władek zauważył zmieszanie na ich wychudłych, ubrudzonych twarzach i jeszcze bardziej się przestraszył.

– Nie bój się panów – ośmiela go kobieta. Uważnie mierzy ich wzrokiem. – Nie bój się, nic ci nie zrobią.

Karol z zakłopotaniem wypuścił z rąk kamienie, a Valér nieumiejętnie próbuje sprawiać wrażenie, że gałąź służy mu do podpierania się. Na ustach kobiety pojawił się słaby uśmiech. Potem znów badawczo zapatrzyła się na ich nogi owinięte brudnymi szmatami, na poszarpane ubrania pokryte zaschniętym błotem. Obaj czują jej długie, uważne, badawcze spojrzenie i wydaje im się, że ich wygląd jej nie zaskakuje. W końcu kobieta spokojnie, ale z widoczną ciekawością, pyta:

– Daleko, panowie? I... z daleka?

Trzeba unikać pytań, pomyślał Karol, musimy skierować uwagę kobiety na coś innego, na jakieś nieistotne głupstwa. Ale Valér już palnął dobrą polszczyzną:

– Idziemy do Soły, do pracy. To jeszcze daleko?

Kobieta znów spojrzała na ich nogi, po czym z karcącym uśmiechem skomentowała:

– Wy chcecie iść do pracy? Hm... raczej bym powiedziała, że z jakiejś wracacie.

Valér zerknął na Karola. Nie podoba mu się, co ta kobieta do nich mówi, powinni szybko zniknąć, ona im nie wierzy, może coś podejrzewa, i jeśli jak najszybciej się jej nie pozbędą, może sprowadzić na nich nieszczęście. Może należałoby pogonić ją tam, skąd przyszła. Ale nie, to nie byłoby mądre, nie mogą się z nią rozstać w gniewie. Trzeba ją przekonać, że potrzebują pomocy.

– Idziemy albo wracamy, to obojętne, proszę pani. – Karol panuje nad swoim głosem. – To chyba nieistotne, prawda?

– A co... jeśli tak? – Odpowiedź ich zaskoczyła. – Człowiek zawsze chętnie pomoże odważnym ludziom w potrzebie. – Spojrzała w skupieniu na Karola, po czym bez owijania w bawełnę spytała: – Chcecie się przedostać za granicę, prawda? Za którą?

Powiedziała to tak spokojnie, jakby chodziło o codzienną i najłatwiejszą rzecz na świecie. Jej bezpośredniość wzbudziła w Karolu najbardziej naiwne podejrzenia. Śmiała kobieta o dużych jasnych oczach jest piękna, może to być przebrana agentka tych morderców. Dobra, ciągle jeszcze mamy czas, by ją załatwić; powiem jej, przynajmniej zobaczymy, jak zareaguje.

– Chcemy się przedostać na Słowację. Więc to już pani wie. A teraz proszę nam poradzić, potem każdy pójdzie swoją drogą. Gdyby coś, to nigdy się nie widzieliśmy.

Jasne oczy trochę pociemniały, nad nosem pogłębiły się dwie krótkie pionowe zmarszczki. Kobieta spojrzała w stronę gór na południowym wschodzie, oni również. Następnie ich oczy się spotkały i Karol nagle doznał wrażenia, że w tej jasnej i spokojnej głębi nie ma ani odrobiny fałszu, nieuczciwości.

– To nie jest daleko – zastanawia się kobieta. – Ale nawet dla zdrowych nóg nie jest to łatwe. – Zamilkła, a potem zaskoczyła ich kolejnym pytaniem: – Nie wierzycie mi, prawda?

Karol się zamyślił.

– Myślę, że jest pani dobrym człowiekiem – mówi z powagą.

Od razu jednak popadł w przygnębienie. A co, jeśli się myli? Na jakiej podstawie odgadła, że chcą przedostać się za granicę? Skąd ta uwaga o zdrowych nogach? Czemu zadaje im takie dziwne pytania?

– Jeśli naprawdę mi wierzycie, poczekajcie tu do jutra – zaproponowała kobieta.  
– Przyjdę o tej porze, ze szwagrem. Szwagier czuje się w tych górach jak w domu, przynajmniej kawałek bezpiecznie was przeprowadzi.

Kobieta wstała, zaczęła rozwiązywać plecak, a Karol się zastanawia: wierzyć jej czy nie? Czekać czy nie? Jeśli zostaną, stracą dzień i sporo z resztek sił. Możliwe, że zamiast szwagra sprowadzi im na kark Niemców. Nie, teraz już nie możemy niepotrzebnie ryzykować, pójdziemy dalej najszybciej, jak zdołamy. Czemu ja, nieszczęsny, wypaplałem, że uciekamy na Słowację?

Kobieta w milczeniu wyciągnęła z plecaka dwa niewielkie obrusy czy prześcieradła, stare i dziurawe, i wytłumaczyła, że zazwyczaj nosi w nich suche gałęzie z lasu.

– Weźcie – zaproponowała całkiem naturalnie. Z tonu jej głosu czuć obawę, że nie wyzbędą się braku zaufania do niej. – Ziemia jest wilgotna, jedno połóżcie na ziemi, a drugim się przykryjecie. – Wydaje się, że ich zaskoczenie sprawiło jej radość, bo się uśmiechnęła. – Nie bójcie się, nie są kradzione. – Następnie podała im dwa kawałki dobrze wypieczonego czarnego chleba. – Zjedzcie. – W jej głosie brzmi radość, że może ich poczęstować, a Karolowi się wydaje, że usłyszał bicie najpiękniejszego dzwonu. – Dziś wprawdzie odważni ludzie rzadko są syci, ale takich głodnych oczu jak wasze to jeszcze nie widziałam. Jedzcie, niech wam wyjdzie na zdrowie. Nie mam nic innego.

Nagle opuściły ich wszelkie podejrzania. Powycierali ręce w brudne płaszcze i wręcz wyszarpnęli jej chleb. Obracają go w ręce, w ich wzroku pojawiły się zaskoczenie i zachwyt, w końcu spojrzeli na siebie zdziwieni i się roześmiali. Mały Władek już się nie boi, uśmiecha się, jest dumny, że matka sprawiła tyle radości tym dwóm wychudzonym, obdartym i strasznie brudnym mężczyznom.

– Jedzcie, panowie – zachęca ich – jest dobry, rano go upiekliśmy.

Jedzą łąpczywie. W ich ciałach rozlewa się przyjemne ciepło. Na moment zapomnieli o trudach, które już pokonali, i o tych, które jeszcze ich czekają.

Przeżuwając, z pełnymi ustami, Karol spojrział z ukosa na kobietę, a ona od razu odwróciła twarz, żeby nie musiał się wstydzić swojej łapczywości. Patrzy na jej wysokie czoło, prosty nos, znamię na policzku, duże, jasne, szczere oczy, i nagle ogarnia go głębokie zadowolenie. Pogoda ducha, która dotarła w każdy zakamarek obolałego ciała, wypływa z ogromnej radości i przekonania, że w końcu spotkali człowieka z sumieniem i dobrym sercem. Kobieta czuje na sobie to długie, ciepłe spojrzenie, i może po to, żeby rozwiać wątpliwości, zaczyna opowiadać. Ma jasny i niezwykle gładki głos, miły dla ucha.

Na dole, po drugiej stronie wzgórza, jest fabryka jakichś części i urządzeń precyzyjnych. Z wielu Polaków, którzy kiedyś zasiedlali okolicę, zostało może z sześć rodzin. Kawalek dalej, w chałupach pod górami, mieszkają kobiety z dziećmi. Niemal wszystkich mężczyzn, ale też wiele kobiet, zabrano i do tej pory nikt z nich nie wrócił. Pozostali to przesiedleńcy, Niemcy z Rzeszy i krajów okupowanych, folksdojcz.

– Mój mąż pracuje w fabryce – mówi dalej kobieta. – Jest specjalistą, dlatego na razie go zostawili. Niemcy zatrudniają też kilku rosyjskich jeńców. Wzdłuż czeskiej granicy, panowie, jest wiele obozów, a słuchy, jakie o nich chodzą... och, lepiej nie mówić. Nie ma tygodnia, żeby przez te góry nie uciekali ludzie z transportów albo obozów jenieckich. Biedacy, skóra i kości, nie znają okolicy, a Szwaby ich ścigają. Każdy z nas, kto się nie boi, pomaga jak może.

– Pani mieszka gdzieś w tych górach? – pyta Valér.

– Nie, na dole przy fabryce. Ale na Strmej, to jest ta łączka pod tym szczytem, mamy szopę na siano i za jednym zamachem zawsze zbieramy też trochę drewna.

Karol jeszcze uważniej wpatruje się w jej twarz, poważną i szczerą, a potem w oczy, zauważył w nich lekki smutek. W końcu opuścił wzrok na jej ręce. Są stosunkowo duże, spracowane, żylaste, z mocnymi długimi palcami i ciemne; takie zazwyczaj mają ludzie pracujący pod gołym niebem. Przed chwilą uważałem ją za zdrajczynię, która służy Niemcom, pomyślał ze skruchą, i pod ciężarem własnego błędu skłonił zawstydzony głowę.

Chciałby powiedzieć coś miłego, czym przewyciężyłby poczucie winy, ale kobieta nagle wstała, zarzuciła plecak na ramiona, wzięła Władka za rękę i powiedziała:

– Musimy iść, robi się ciemno. Zostańcie tu spokojnie do jutra. Nie musicie się bać, tak wysoko nie chodzą. Przynajmniej nie w nocy. I nie włączcie się niepotrzebnie, dbajcie o nogi.

Pożegnała się z nimi lekkim skinieniem głowy i skracając sobie drogę, ruszyła z Władkiem ostro w dół. Władek kilka razy się odwrócił, pomachał im, a oni z uśmiechem mu odpowiedzieli. Potem przez całą godzinę milczą, myślą o tym dziwnym spotkaniu i patrzą w dół w stronę budynku stacji oraz na góry na południowym wschodzie, choć teraz jednak bardziej się ich domyślają, niż je widzą.

– Zastanawiam się – Valér przerywa ciszę – czemu nie powiedziała nic konkretnego o swoim szwagrze. Ani o tej bezpiecznej drodze. Mogła nam wytłumaczyć, sami byśmy spróbowali.

Karol milczy, a Valér nerwowo przebiera palcami.

– Zostaniemy do jutra? – pyta natarczywie. – Będziemy czekać, kim okaże się ten szwagier? Jeśli zostaniemy, na pewno stracimy dzień. Będziemy jeszcze bardziej głodni i słabsi. Możliwe, że stracimy też coś więcej. Może wszystko.

Zamyślony Karol patrzy w dół na linię kolejową, na stację, na wieś za nią, na wolną pagórkowatą przestrzeń za wsią, niknącą w chłodnym zmierzchu, i powtarza sobie w duchu wszystkie słowa kobiety.

– Zaryzykujemy? – pyta znów Valér.

– Nie wierzę, żeby łapali nas na raty – odpowiada z namysłem Karol. – Tej kobiety nie ma już od niemal półtorej godziny. Gdyby chciała nas zdradzić, dawno coś by się wydarzyło. To dobry, odważny człowiek. Wierzę jej.

Valér się zachmurzył. Słowa „wierzę jej” brzmią mu w tej sytuacji całkiem niezrozumiale, obco, nierealnie.

– Wierzysz pierwszemu człowiekowi, którego spotkaliśmy – mówi z wyrzutem.

– Jeśli chcesz żyć, musisz wierzyć – odpowiada cicho Karol. – Jesteśmy uzależnieni od odważnych ludzi i jeśli chcesz funkcjonować wśród nich, musisz wierzyć w ich odwagę. Czyż nie uciekamy do takich właśnie ludzi, by pomogli powstrzymać to potworne szaleństwo? Czyż nie wierzymy, że nam pomogą? Ja wierzę, z całych sił wierzę. Przecież gdybym nie wierzył, nie byłoby mnie tutaj, bo dawno zawisnąłbym na drutach.

Na budynku stacji zapaliły się światła. Kolejne żółtawe kręgi wykwitają w ciemności wzdłuż torów. Wstali zamyśleni i cicho przeklinając obolałe nogi, powoli zeszli do wąwozu, by chociaż z grubsza oszacować sytuację w okolicach stacji i wiaduktu. Po lewej stronie widzą dwa rzędy świateł.

– Wiadukt. – Valér uważnie przejechał wzrokiem po światłach. Ostatnie lampy zlewają się w dwa wąskie paski jasności; między światłami nie widać żadnego ruchu, z góry ani z dołu nie dobiega żaden dźwięk, nic, co zwróciłoby ich uwagę. – Czort wie, ilu go pilnuje. I czy podczas obchodu nie idą też kawałek dalej.

– Myślę, że pilnują na obu końcach mostu – ocenia Karol – i może też pod wiaduktem, przy filarach. Nie wydaje mi się, żeby błakali się po ciemku. Ta kobieta też mówiła, że w nocy za dużo nie chodzą.

– Brzuch mnie boli od tej twojej wiary w przypadkowo spotkaną osobę – powiedział zrezygnowany Valér.

Nagle, wbrew jego woli, tknęła go dziwna myśl. Aż sam był nią zaskoczony. Kobieta zachowywała się odważnie i wszystko świadczy o tym, że można jej zaufać. Mimo to on jej nie wierzy. Dała im po kawałku chleba, przykrycie, zasugerowała, żeby wystrzegali się czeskiej granicy, zaproponowała im przewodnika, a mimo to w jego wnętrzu coś każe widzieć w tym wszystkim tylko podłą dwulicowość. Coś mu podpowiada, że ta kobieta chce, żeby ktoś ich łatwo złapał i zyskał przychylność Niemców.

W tym piekle przestałem wierzyć ludziom, zdał sobie sprawę, i to stwierdzenie bardzo go zaniepokoiło.

– Janosik to był kawał chłopca, a też zdradziła go kobieta – powiedział półżartem, starając się przegonić niepokój.

– Teraz jest wojna, Niemcom brakuje grochu dla wojska, a co dopiero dla kobiety – odparł ze śmiechem Karol<sup>[4]</sup>.

Valér też się roześmiał, ale niepokój wciąż się w nim tlił. Gdzieś w ciemności, za przykrytymi rzadką mgłą żółtawymi światłami, wije się ścieżka, to nią ma ich bezpiecznie przeprowadzić szwagier tej kobiety. Czy w kraju, w którym zapanowali esesmani i w którym we dnie i w nocy zabijają tysiące niewinnych ludzi, może znaleźć jakiegokolwiek bezpieczne miejsce ktoś, kto przeciwstawił się mordercom? Czy ta ścieżka jest naprawdę bezpieczna i doprowadzi ich do granicy? I czy jest w ogóle możliwe, by całkiem obcy człowiek ryzykował życie



i bezinteresownie decydował się na takie niebezpieczeństwo z powodu dwóch nieznanym mu ludzi, na których losie nie może mu przecież zależeć? To przecież niemożliwe, uznał Valér, ale natychmiast zaczął wątpić w swój osąd. Przecież w obozie warunki były o wiele cięższe i bardziej niebezpieczne, a jednak wielu ludzi pomogło im przeżyć i wydostać się z olbrzymiej fabryki śmierci, by zanieśli wiadomość światu. Wydaje im się, że ludzie po zewnętrznej stronie drutów może mają jakieś podejrzenia na temat cierpień więźniów, ale nikt nie wie nic konkretnego.

Daleko przed nimi po lewej stronie pojawiły się dwa światła. Zataczają ostry krąg, znów się pojawiają i znacznie większe przejeżdżają z łoskotem żelaza po wiadukcie. Pociąg towarowy z południowego wschodu, od granicy słowackiej. Przed stacją przeciągle zagwizdał, ale się nie zatrzymał, nawet nie zwolnił, pędzi dalej, w końcu jego łoskot ginie między górami na północy.

– Biedacy, pewnie znów Holendrzy. – Zziębnięty Karol złapał Valéra za rękę. – Albo nawet już Węgrzy.

Valér siarczyście zaklął, kolejne dwa tysiące ludzi dla nienasyconych wnętrzości pieców, a ci w pociągu niczego nie podejrzewają, jest im zimno, tulą się do siebie, rozgrzewają, jedzą, rozmyślają, gdzie będą mieszkać i co będą robić, patrzą w ciemność przez szparę w drzwiach, może też sylabizują nierealne życzenia i pragnienia w rytm kół na torach.

– Matko droga, kto powstrzyma to mordowanie? – krzyknął gardłowym głosem i Karol aż zadrżał. – Kto ich ukarze?

Valér złapał się za głowę i potrząsa nią jak w strasznym odurzeniu.

– Chodźmy stąd! – krzyczy. – Chodźmy stąd natychmiast, mój Boże, te transporty nie mają końca, a my tu chcemy zmarnować cały dzień! – Po czym się odwrócił i utykając, rusza pod górę. – Kto powstrzyma to mordowanie? – powtarza, mamrocząc jak w gorączce.

Kawałek od miejsca, gdzie spotkali kobietę i Władka, usiedli na otrzymanych rzeczach i długo dręczyli się i męczyli, aż w końcu postanowili, że poczekają na nią i jej szwagra.

– Może tych dwoje nakarmi nas do syta – zakończył niewesołą rozmowę Karol – i jeśli ten człowiek naprawdę dobrze zna góry, łatwo nadrobimy stracony czas.

Później przez całą noc drzemali na zmianę. O świcie wstali i zaczęli wspinać się na grzbiet. Valér znów przeklina kolano, opuchlizna trochę zesza, mówi, ale nadal boli. Od czasu do czasu się zatrzymują, zrywają niebieskawe jagody z kłujących krzaków między sosnami, próbują jedną po drugiej i wypluwają, wszystkie są bardzo twarde i gorzkie jak żółć, soku z nich nie przełkniesz.

Szarówka ustępuje, odkrywa coraz większy kawałek pagórkowatego świata wokół nich. W końcu wyszło słońce i w jego blasku cała okolica nagle się powiększyła. W oddali wyłaniają się brązowawe i zielonkawe wzgórza, szare skały i pograniczne szczyty, wysokie, rozłożyste, granatowe, za nimi zaczynają się rodzinne strony. Oby niebo za tymi szczytami nie było zasnuwane dymem z krematoriów, oby w domu ciągle jeszcze umierano tylko śmiercią naturalną!

Siedzą na złożonych prześcieradłach i szacują nad mapką, ile kilometrów przeszli, a ile jeszcze mogą mieć przed sobą. Gdy na dole przenikliwie zagwizdała lokomotywa i przez stację przejechał pociąg towarowy, złożyli mapkę i schowali ją do chlebaka. Pociąg jadący na północ przypomniał im ostrzegawczo, że jeszcze nie mogą czuć się bezpieczni. Karol pokuścił kawałek na drugą stronę grzbietu, by rozejrzeć się po okolicy, a potem sprawdzają na zmianę, czy nie grozi im jakieś niebezpieczeństwo zza pleców.

Powyżej i poniżej nich zalegają cienkie płaty śniegu. Śnieg topi się pod wpływem ciepła słonecznego i ścieka krętymi kanalikami w dół po zboczu. Myją się parę kroków niżej, gdzie czysta zimna woda zatrzymała się w płytkim kamiennym zagłębieniu. Zadowoleni, że są w miarę czysti, przenieśli prześcieradła, chlebak i plecak bliżej sosen, usiedli i wystawili twarze ku słońcu.

Po chwili Karol się położył i z myślami o domu wpatruje się w niebieskawą rozległą równinę nad głową. Myśli o domu zawsze wywoływały w nim niepokój i ekscytację, to specyficzne, przejmujące drżenie krwi w żyłach, ale teraz w te uczucia wkradły się też nieokreślone obawy. Od dwóch lat nie był w domu. Przez ten czas na pewno wiele się tam zmieniło, i to na gorsze. Czy to nie jego rodacy wysłali go wraz z setkami, wręcz tysiącami innych za druty Auschwitz? Czy w jego kraju nie panuje porządek, który to wszystko aprobuje i wspiera? Podczas tej ucieczki tysiąc razy wyobrażał sobie swoje spotkanie z najbliższymi, znajomymi, ludźmi, którym będzie opowiadał o mordowaniu i paleniu w Auschwitz. Do tych ludzi ucieka teraz z ważnymi dowodami, planami, obliczeniami, ale czy ich odnajdzie? Faszyzm jak zaraza objął przecież całą Europę i faszyci wszędzie

zabijają ludzi z sumieniem. Dokąd pójdzie, kogo będzie przekonywać, pobudzać, komu przedstawi dokumenty, szkice, obliczenia transportów, jeśli w domu też są klatki, wieże strażnicze i krematoria? Komu, jeśli ludzie, którzy mogliby pomóc i przekazać gdzieś informacje od nich dwóch, chodzą piątkami, otoczeni przez esesmanów i członków Gwardii Hlinki, do bezsensownej pracy – po śmierć?

Ach, nie, to niemożliwe, tak nie może być. Za tymi ciemnymi szczytami ziemia z pewnością jeszcze nie śmierdzi tysiącami rozkładających się ciał, może nie ma też drutów kolczastych. Przynajmniej na razie nie ma – tak słyszał od czeskich więźniów niedawno przywiezionych do obozu.

Valér usiadł i spogląda, jak Karol drobi w palcach grudki ziemi.

– Od rana dręczy mnie myśl, czy ktoś w domu nam uwierzy.

– Jeśli nie uwierzą słowom, mamy dowody, dokumenty. – Karol na chwilę zamilkł, myśli o Pawle, w duchu powtarza sobie ostatnią rozmowę z nim. – Pójdziemy do takich, którzy walczą z faszystami, których faszyści prześladują. Ty myślisz, że ogłosimy ten raport... w słowackim sejmie?

Valér się roześmiał, ale natychmiast poważnieje.

– No nie, tylko myślę, że nawet w domu nikt nie ma wypisanych na czole swoich przekonań i sumienia.

W wiosce za stacją zabrzmiał dzwon, minęło południe. Są spragnieni, głodni i udręczeni niewesołymi myślami. Karol wstał, by napić się roztopionego śniegu z szumiącego źródła, ale po pierwszym kroku zrezygnował z tej próby i znów usiadł. Ciało ma zeszytywniałe od leżenia, ledwie udało mu się podnieść, ostro go zabolalo. Na siedząco wyciągnął się w stronę krzaków pod sosną, maca po ziemi i zbiera niebieskawe jagody. Są zeschnięte i bardzo twarde, ale z głodu nie może się pohamować. W końcu Valér też zaczął je zbierać. Gryzą, przeżuwają i połykają, choć są cierpkie i gorzkie jak piołun, pieką jak najostrzejszy pieprz i palą jak ogień. W środku są trująco żółte, od tego koloru żółkną im zęby, język i usta. Wyczyścili ziemię pod krzaczkami do ostatniej jagody, lecz ani trochę nie zaspokoiili głodu. W ich żołądkach rozlewa się dziwny żar i obaj mają wrażenie, że od tych jagód zrobili się jeszcze bardziej głodni.

Niemal całe przedpołudnie nawet nie myśleli o jedzeniu. Wraz z dzwonieniem na obiad na dole we wsi głód pojawił się tak nagły i silny, że wręcz poczuli, jak uchodzą z nich siły. Dziwne drżenie w żołądkach przekształciło się w dręczący ból.

Po jagodach ból rozlał się na całe ciało i wchłonął wszystkie bóle z ran na nogach i rękach, bóle przenikające z umęczonych kości i mięśni. W końcu uderzył im do głów jak ciemna, gorąca fala, obu się wydaje, że nagle gwałtownie się ociepliło i ściemniło.

Pomagając sobie kolanami, powlekli się kawałek od krzaków i tam oczami przesłoniętymi mdłą ciemnością szukają grubszych kępek starej, rdzawej trawy. Skubią pojedyncze źdźbła, wkładają do ust i przeżuwiają. Potem nazbierali ich dobrą garść, dowlekli się z powrotem do rzeczy, poukładali swój łup w kilka mniejszych pęczków i aż do zachodu słońca leżą i siedzą, rozdrabniając w zębach na papkę wyschniętą, szorstką trawę. Siły stopniowo im wracają, świat pojaśniał. Już nie myślą o tym, że powinni się pozbierać i rozejrzeć, czy wróg nie zajdzie ich od tyłu.

Zachodowi słońca towarzyszą wiatr i purpurowa łuna na horyzoncie. Uspokajająca zieleń skarłowaciałych sosen zrobiła się ciemniejsza, mrocznieją też skały na południowym wschodzie. Wysokie przygraniczne góry są już całkiem czarne i wydaje się, że ciemność promieniuje od nich po całej okolicy. W sosnach czasem zawieje wiaterek i ten odświeżający szum wyrywa ich z wielogodzinnego ośpienia.

– Powinni już przyjść – zauważa Karol.

Wstali, zwinęli prześcieradła, zwiążali plecak i utykając, podeszli bliżej miejsca wczorajszego spotkania.

– Już myślałam, że mi nie uwierzycie i... uciekliście – usłyszeli jasny, dźwięczny, przyjemny głos.

Odwrócili się. Kobieta stoi z Władkiem przy płaskim kamieniu, na którym siedzieli wczoraj, z plecakiem u nóg. Uśmiecha się, ale oni są rozczarowani, bo nie widzą jej szwagra.

– Rozwiąż – mówi kobieta do Władka.

– Szwagier... szwagier nie przyszedł? – pyta Valér.

– Zaraz tu będzie – odpowiada kobieta wciąż z uśmiechem i spogląda gdzieś za ich plecami.

Obaj się odwracają.

Od strony krzaków i sosen, gdzie przez długie godziny walczyli z głodem i omdleniem, zbliża się do nich niewysoki mężczyzna. Idzie pewnie, energicznie,

a zarazem bezgłośnie. Zatrzymał się kawałek przed nimi, prawą rękę trzyma w kieszeni ciemnoszarego, połatanego prochowca i patrzy na nich ostro, przenikliwie. Czapkę naciągnął nisko na czoło, a jego twarz jest zimną kamienną maską, z której nie można wyczytać żadnych emocji.

– To jest... szwagier – przedstawia kobieta, a oni słabo się uśmiechnęli.

Mężczyzna lekko kiwnął głową i dalej spogląda na nich badawczo. Karol czuje, że ich ocenia i że od rezultatu tego badania będzie zależało, czy im pomoże.

– Daj im jeść – powiedział w końcu mężczyzna.

Kobieta wyciągnęła z plecaka dwa garnki, dwa kawałki chleba i łyżki.

– Jedzcie.

Kapusta z ziemniakami? Szeroko otwartymi od pożądania oczami patrzą w garnki. Karol przełknął ślinę i zwilżył językiem usta. Valér szybko pochylił się nad garnkiem i coś niezrozumiale mamrocze. Potem łapczywie przysuwają naczynia do siebie i z półotwartymi ustami patrzą to na uśmiechniętą kobietę, to na mężczyznę, który kiwnięciem głowy zasugerował im, żeby jedli.

Przerażeni, że mającą i pełne kapusty i ziemniaków garnki w każdej chwili mogą rozpląnąć się w powietrzu, zaczynają łakomie jeść. Chciwie połykają całe łyżki, coraz szybciej i szybciej, a potem prostacko zeskrobują resztki ze ścianek i wycierają je palcami.

– Dziękujemy, pięknie dziękujemy – odezwał się Valér i grzbietem ręki otarł usta.

– Dwa lata takiej nie jadłem. – Karol spojrzał na garnki, jakby nie wierzył własnym oczom. – Och, ale była dobra!

Mężczyzna zszedł do nich, w dłoni, którą do tej pory miał w kieszeni, trzyma dwa długie papierosy.

– Palicie? – A gdy zapalili, dodał: – Widziałem was, jak jedliście, i to mi wystarczy. Daleko stąd tak was wygłodzili?

Karol przez chwilę się waha, po czym odpowiada:

– No... dziesięć nocy drogi przez góry.

– To nie jest bardzo... daleko – stwierdził ostrożnie mężczyzna.

Po czym szybko się pochylił i zanim Karol zdążył się odsunąć, podwinął rękaw na jego lewej ręce.

– Fii! – Szwagier aż gwizdnął zaskoczony. – Dwadzieścia dziewięć sto sześćdziesiąt dwa! Starzy, naprawdę starzy! Sądzę, że tak czterdziesty drugi rok. Auschwitz...! Słowacy, tak? – Omiótł spojrzeniem ich twarze.

Jego postępowanie wręcz ich zdumiało. Są i zaskoczeni, i zmieszani. Karola ogarnął strach, że teraz mężczyzna się wycofa i zostawi ich na pastwę nocy.

– Uciekliście przed tygodniem, tak? – mówi dalej szwagier. – Na was dwóch jest list gończy, panowie. Barbara – odwraca się do kobiety – jeśli masz coś jeszcze, daj im, musimy ruszać.

Z Karola wydobyło się westchnienie ulgi.

– Myśleliście, że was tu zostawię, prawda? – zgaduje mężczyzna. – Nie bójcie się, zaprowadzę was do granicy. No... pospieszcie się.

Podczas gdy Władek pakował prześcieradła, a kobieta odkładała garnki w krzaki, Karol i Valér, zaskoczeni wiedzą mężczyzny na ich temat, wypijają po kubku koziego mleka i zjadają jeszcze po kawałku chleba.

– Szmaty... nie dałaś im jeszcze szmat – przypomniał mężczyzna.

Barbara zrobiła skruszoną minę, wyciągnęła z plecaka mocne, gęsto tkane szmaty.

Zrzućcie z siebie te strzępy, powiedziała, i owińcie sobie nogi, daleko będziecie tak nie zaszli.

– Idziemy – odezwał się mężczyzna, gdy mają już suche rzeczy na nogach.

Barbara ich objęła, dużo szczęścia w życiu, chłopcy, odnajdźcie swoje matki zdrowe i nie pijcie wody, nogi by wam nie wytrzymały, idźcie już, szkoda każdej chwili.

Zanim zeszli ze zbocza, zrobiło się zupełnie ciemno. Kawałek od drogi mężczyzna się zatrzymał i powiedział zachęcająco:

– W ten sposób daleko z wami nie zajdę, panowie. Idzicie powoli i mocno jęczycie. Wiem, że macie poranione nogi, ale musicie zacisnąć zęby i dopóki wam nie pozwolę, nawet nie zakaszlecie. Ty pójdziesz środkiem – dotknął Valéra – a ty z tyłu – polecił Karolowi. – Trzy kroki od siebie. W górę po nasypie, przez tory i w dół z nasypu pójdziemy obok siebie. Potem znów jeden za drugim.

– Daleko do granicy? – nie wytrzymał Karol.

– To zależy od was. Jeśli się postaracie, rano będziecie mieli najgorsze za sobą. Nie utykajcie. Postarajcie się iść normalnie. Ciało przyzwyczai się do bólu.

Ruszyli w milczeniu w odstępnie trzech kroków. Blisko torów wynurzył się spomiędzy drzew starutki kolejarz, trzyma lampę za plecami, żeby ich nie oświetlić. Przez chwilę rozmawia z mężczyzną, porozumiewają się spokojnie i cicho, po niemiecku, po czym kolejarz wszedł na nasyp i kiwając lampą, ruszył w lewo, w stronę stacji.

Odczekali dwie, trzy minuty. Potem złapali się za ręce, przekroczyli tory, minęli stację i ruszyli w stronę gór.

Mężczyzna idzie szybko i równym krokiem. Nie ogląda się i w ogóle go nie interesuje, czy za nim nadążają. Zmusza ich do maksymalnego wysiłku. Są zdyszani i spoceni. Z olbrzymią zawziętością próbują nie poddać się bólowi, zatrzymać albo stłumić każdy jęk i stąpać mocno. Na niewielkiej górskiej łące, która przechodzi w trudno dostępną dolinę, jeszcze bardziej przyspieszył i po raz pierwszy odezwał się do nich dopiero pod wysoką ścianą skalną w pobliżu starych pieców węglarzy.

– Jesteście bardzo wyczerpani, prawda?

Przytaknęli, próbując złapać oddech.

– Nie myślcie o zmęczeniu. Narzućcie sobie jakieś inne myśli. Myślcie o tym, że jutro przejdziecie przez granicę. Musimy ciągle iść szybko i po cichu. Powolność mogłaby zabić nie tylko nas, ale też tych, którym trzeba będzie pomóc jutro. Rany na nogach bolą?

– Strasznie.

– Wykaraskacie się z nich. – Zabrał plecak od Karola, zarzucił go sobie na ramiona i dodał: – Nie zapominajcie: to jest bezpieczna droga, ale tylko dla szybkich. Idziemy!

Zatrzymali się dopiero po północy. Żółte światło księżyca zalewa porębę otoczoną ze wszystkich stron wysokimi dębami.

– Siadajcie – mówi do nich mężczyzna.

Zwalili się na gnijące śmierdzące liście i w jednej chwili zasnęli. Przez chwilę słuchał ich chrapliwych oddechów, obserwował kurczową szarpaninę rąk i nóg, a potem podłożył im płaszcz pod głowy.

– Pięknie się urządzili – szepnął.

Po półgodzinie potrząsnął nimi. Karol usiadł spłoszony, ogarnął go strach, że ten krępy Polak z surową i zimną twarzą ich opuścił, ponieważ nikogo nie zauważył w cichej ciemności wokół siebie. Dopiero po chwili dostrzegł dwa blade, zimne ogniki, oczy mężczyzny, i blisko nad sobą poczuł ciepło jego ciała.

– Wstańcie – słyszy rozkazujący głos. – Natychmiast wstańcie, bo złapiecie wilka.

Oparli się o drzewa. Doskwiera im zimno, nogi trzęsą się w kolanach, po krótkim mocnym śnie pozostały im w głowie mroczki przed oczami.

– Daleko jeszcze? – bardziej jęknął, niż powiedział Valér.

– Żadna droga nie jest dość długa, jeśli na jej końcu czeka życie.

– Skąd pan wiedział, że my... że my uciekliśmy z Auschwitz? – odważył się spytać Karol. – Przecież tu jest tyle obozów, a pan... pan się domyślił na podstawie numeru.

– Nie bądźcie śmieszni, chłopcy. Dowiedzieliśmy się o ucieczce... i liczyliśmy się z tym, że może na was natrafimy i będzie trzeba wam pomóc. Tacy jak wy nie uciekają przecież po głównej drodze.

Liczyliśmy się z tym, Karol powtarza w duchu słowa Polaka. Kto liczył się z tym, że będą uciekać w stronę słowackiej granicy? Z kim współpracuje ten ofiarny człowiek, który z taką pewnością siebie i bez strachu porusza się po niedostępnych górach?

– Nie myślcie o mnie za wiele – słyszy jego cichy, głęboki głos. – Mam na imię Tadeusz... jeśli chcielibyście ze mną porozmawiać. Ale teraz już chodźmy, rano muszę być w fabryce.

Długo potykają się o kamienie i korzenie na ścieżce nad szumiącym potokiem. Ścieżka to opada, to się wznosi, zakręca, po czym znowu znika, przed nimi jest poręba z wieloma niezwiezionymi pniami. Teraz i Tadeusz idzie wolniej, coraz częściej ociera kark i czoło. Dystans między nimi a ich przewodnikiem trochę się zwiększył. Zawziętość, z jaką tłumili ból albo nie chcieli go dopuszczać do swojej świadomości, znacznie osłabła. Jęczą i nie mają sił, w marszu opierają ręce na udach. Karol zatrzymał się na chwilę, złapał się za biodro, ale Tadeusz od razu wychwycił, że kroki za jego plecami ucichły, i powiedział:

– Jeszcze do tych drzew, dobrze? Tam odpoczniecie. – Pod drzewami zrzucił plecak i gdy się do niego dowlekli, dodał: – Usiądźcie tu i bądźcie spokojni, zaraz



wracam. Nie ruszajcie się z miejsca, żebym nie musiał was szukać. Nie bójcie się, tu jesteście bezpieczni.

Zniknął szybko między drzewami i po chwili otoczyła ich cisza.

– Chodzi jak kot – zdążył tylko zauważyć Valér, zanim głowa opadła mu na piersi.

Karol z przygnębieniem wpatruje się w ciemność. Nagle się zerwał i szybko wsunął pod drzewo, bo miał wrażenie, że w pobliżu trzasnęła sucha gałąź. Natychmiast otoczyła go kakofonia ciemnych, stłumionych dźwięków. Spogląda z jednej strony na drugą i ku górze, ku wierzchołkom drzew liźniętych bladym światłem księżyca. Próbuje rozpoznać, co to za hałasy, i określić kierunek, z którego dochodzą, i dopiero po chwili zrozumiał, że nie słyszy ich naprawdę, że to huczy w jego rozpalonej głowie. Nagle się odwrócił, instynktownie poczuł, że za jego plecami ktoś stoi. Tadeusz.

– Zapalimy i pójdziemy dalej. – Ich dobroczyńca budzi Valéra. – Wstawaj, synek, będziesz spał po... po drugiej stronie.

Zaciągnął ich głębiej między drzewa i poczęstował papierosem.

– To przesyłają wam nasi. Papierosy i buty wojskowe. Przymierzcie... są dość duże.

– Wasi? – Karol ostrożnie zapalił papierosa.

– Nasi, synek. Papieros, którego palisz, jest niemiecki. Papierosy i reszta, to wszystko, co zostało wczoraj po południu z jednej niemieckiej kolumny. Przymierzcie te buty.

Z radością zaczęli odkręcać szmaty z nóg, ale opuchlizny są zbyt duże i bolesne. Rozdrażnieni wrzucili buty do plecaka i ponownie obwiązali sobie nogi.

– To nic, chłopcy – pociesza Tadeusz – każda muzyka ma swoją cenę. A wam Szwaby pięknie zagrały, prawda? Dopalcie, idziemy.

Wdrapali się na grzbiet, przekroczyli przełęcz, po czym zeszli do podnóża góry. Ku ich zaskoczeniu Tadeusz wyraźnie zwolnił i już ich nie popędzał. W końcu się zatrzymał i z westchnieniem, które zdradzało ulgę i zadowolenie, oznajmił:

– Wystarczy, panowie, przed nami jest granica. Gdy się rozwidni, zobaczycie słupy graniczne. A pod nimi pola i ludzi.

Pod Karolem zakręciła się ziemia, a nad nim gwiaździste niebo; ledwie powstrzymał okrzyk radości. Na ciemnym szczycie zalanym światłem księżyca

mają być słupy graniczne, a za nimi rodzinne strony! Nagle obaj z radością obejmują Tadeusza, on nie ma jak wy dostać się z ich kościstych rąk.

– Wystarczy, wystarczy – uspokaja ich. Ewidentnie też jest wzruszony, ponieważ głos mu się łamie. – Już wystarczy, zostawcie to raczej dla matek.

A potem zaskoczył ich pytaniem, na które niejednokrotnie bezskutecznie szukali odpowiedzi.

– Do kogo zwrócić się na Słowacji? Na matkach wprowadzie nawet dziś najbardziej można polegać, ale one są bardzo słabe. Nie uratują was, jeśli ktoś będzie was ścigać.

Milczą zakłopotani.

– Tuż za granicą będziecie potrzebowali kogoś absolutnie zaufanego – ciągnie Tadeusz. – Będzie was musiał opatrzyć, nakarmić, ubrać. Dwieście sześćdziesiąt cztery, dobrze zapamiętajcie ten numer. Dwieście sześćdziesiąt cztery. Nie zapomnicie? Drugi dom w drugim rzędzie, tuż na skraju. Hasło brzmi „Żywy Góral”. „Żywy Góral z Milówki”. Powiecie, że przychodzicie od Żywych Górali. Matej Koneczny, tego nazwiska też nie zapomnijcie. Gdybyście nie znaleźli nikogo w Skalitem, idźcie do Konecznego do Čadcy. Mieszka w kolonii kolejarskiej. Matej Koneczny jest kolejarzem. Z pewnością wam pomoże. Nie zapomnijcie: w Skalitem numer dwieście sześćdziesiąt cztery i hasło „Żywy Góral z Milówki”. W kolonii kolejarskiej w Čadcy odnajdźcie palacza Mateja Konecznego. Powtórzcie to.

Powoli i z jakimś obrzędowym szacunkiem powtarzają numer domu, hasło i nazwisko kolejarza. Tadeusz kiwa głową, tak, dobrze, nie możecie się pomylić. Potem w kilku słowach naszkicował im sytuację na granicy w miejscu zakładanego przejścia; chałupa, lasek, na górze na grzbiecie ławka i dęby, stamtąd do Zwardonia są ponad cztery kilometry, tę drogę patroluje straż graniczna. Jeden obchód trwa godzinę, rozumiecie?

– Unikajcie faszystów – doradził i mocno uściśnął im dłonie. – Polscy czy słowaccy faszyści nie są lepsi od niemieckich. Jeśli będziecie szukać pomocy u komunistów, z pewnością dożyjecie końca wojny. Chociaż może nie, kto wie... – Zamyślił się. – Ale lepiej umrzeć w walce niż zdechnąć w pokorze. Weźcie to, będziecie czuli się pewniej.

Podał Karolowi mały pistolet, klepnął ich w ramię, odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Po kilku krokach jednak się zatrzymał, wydaje się, że o czymś zapomniał.

– Komuniści pomogli wam w Polsce, pomogą wam też w domu – dodaje. – Opowiadajcie o Auschwitz, mówcie dużo i wszystko, tylko zwracajcie uwagę na to, by słuchały was uczciwe uszy. Trzymajcie się!

Zniknął między drzewami jak dobrotliwa, wszechmocna i wszechwiedząca istota z bajki, a oni patrzyli za nim, dopóki nie zaczęło świtać, ba, dopóki szerokich płatów śniegu pomiędzy tu i ówdzie rozrzuconymi drzewami i krzakami nie dotknęły promienie słońca. Potem położyli się za gęstym krzakiem w śniegu i z narastającym podekscytowaniem, nieustannie myśląc o Tadeuszu i jego słowach, czekali na pierwsze oznaki życia po tej stronie granicy.

Leżą na niewielkim wzniesieniu, przed szczytem ze stosunkowo długim i równym grzbietem. Naprzeciwko, na długim i łagodnym zboczu góry, śnieg już całkiem stopniał. Stok jest brązowawy, pewnie to zaorane pole. W końcu zaczynają się tam wspinać ludzie, nadchodzą od lewej, przeważnie starcy w sukiennych spodniach i sukmanach, kilka starszych kobiet w chustach i czepcach, z motykami w rękach. Przez ten szczyt prowadzi granica państwa. Wyraźnie widzą słupy graniczne, gdzieś blisko nich muszą być stare dęby, a pod nimi ławka, środek czterokilometrowego odcinka, na którym według Tadeusza spotykają się dwa patrole straży granicznej.

Ludzie na zboczu dziabia motykami ziemię, zbierają i wynoszą kamienie, a jest ich wiele, zbyt wiele jak na ten kawałek kamienistego pola. Zbiegowie obserwują ich z zainteresowaniem. Następnie kierują wzrok ku górze, na nagi grzbiet; serca biją im mocniej, bo właśnie spotkały się tam dwie pary mężczyzn w mundurach. Beztrosko stoją na szczycie, zapewne rozmawiają, a z ruchu ich rąk można wywnioskować, że palą papierosy. Po kilku minutach niespiesznie się rozstają.

– Pójdziemy teraz czy dopiero wieczorem? – pyta Valér.

Wieczorem, gdy zbocze będzie opuszczone i ciche, nie byłoby rozsądnie iść, zastanawia się Karol. Wieczorem podejrzany będzie każdy szmer i kto wie, czy w nocy nie będą świecić tam reflektory. Tadeusz mówił, że jeden obchód trwa godzinę. Musimy to sprawdzić.

Po sześćdziesięciu dwóch minutach patrole ponownie spotkały się na papierosa, po czym się rozeszły.

– Pójdziemy teraz? – pyta Karol.

Valér chwilę się zastanawia, błędząc wzrokiem po stromym zboczu.

– Teraz – odpowiada spokojnie. – Pójdziemy pochyleni, będziemy coś zbierać, kamyki albo drewno, i wrzucać do plecaka.

Karol rozwiązał plecak i złapał go za paski.

Valéra opuścił spokój, ogarnęło go silne podniecenie.

– Matko droga, trzymaj za nas kciuki! – westchnął, gdy wstali. – Zobacz, cały się trzęsę. I słowo daję, że nie ze strachu. Tylko żeby to się nie skończyło nowym maratonem!

Zeszli ze wzniesienia, okrążyli drewnianą chałupę pod świerkiem i lewym skrajem pola zaczęli wspinać się po zboczu. Co chwilę wrzucają do plecaka drobne gałęzie, liście, boją się choć trochę wyprostować, by ich obce twarze nie wzbudziły czyjejs uwagi. Ale ludzie grzebiący w ziemi dobrych trzydzieści kroków dalej nawet ich nie zauważają. Karol z Valérem wolno pokonują zbocze i od czasu do czasu spoglądają do góry; w takiej chwili wręcz zamierają z napięcia. Na szczycie nie ma jednak nikogo i ogarnia ich dzikie podniecenie. Jeszcze dwadzieścia kroków! Jeszcze kawałek i będą mogli powiedzieć, że Śmierć mieszka po drugiej stronie.

Ścieżka graniczna jest pusta, cicha. Przy ławce w pobliżu trzech dębów leży kilka niedopałków, stara polska gazeta, pudełko po zapalniczkach. Pochyleni przebiegli kilka metrów na drugą stronę wzgórza. Dotarli na rodzinną ziemię, wreszcie są na rodzinnej ziemi. Po prawej, dość daleko od siebie, widzą rozproszoną grupę ludzi, może ze dwieście metrów niżej są domostwa z dachami krytymi gontem, dachówkami i eternitem, Skalité, słowacka wieś, słowaccy ludzie, a po lewej las, gęsty, zielony, mocno pachnący wiosenną żywicą. Valér się pochylił i nienawistnie spluwa na biały kamień graniczny z wymalowanym dużym czarnym „D” – Deutschland.

– Diabli, dzikusy, mordercy, ciemiężcy! – krzyczy po każdym splunięciu i z wytrzeszczonymi oczami spogląda na Karola. – Mój Boże, tracę rozum! – stwierdza przerażony.

Karol leży rozciągnięty na wilgotnych liściach i obejmuje rękami cienki pęd świerka. Niczym w ataku szału miota się wokół gałęzi i łamiącym się z niezmiernego szczęścia i płaczu głosem krzyczy:

– Rodzinne strony, droga rodzinna ziemia, ach, na Boga ich faszystowskiego, uciekliśmy im, jesteśmy w domu, śmierć jest za nami, drogi Pawle, nie bój się, wykonamy zadanie.

– Nie krzycz tyle. – Valér szarpie go za ramię. – Słyszysz? Mój Boże, tyle przeszedł, a w domu w końcu zwariował!

Karol nagle usiadł, w oczach ma gorączkowy błysk, a usta dziwnie skrzywione.

– Jesteśmy w domu! – Odetchnął i spogląda w dół ku chałupom. – Dwieście sześćdziesiąt cztery... Żywy Góral z Milówki... Ach, Pawle, drogi Pawle, Wasylu, Adamku, Bolku, Filipie, my już jesteśmy w domu, wśród swoich.

Wytrząsnął z plecaka kamyki, drewno i liście, wstał, założył plecak na ramiona i pospiesznie ruszył w dół zbocza.

– Chodź – mówi do Valéra – chodź szybko, bo coś mi się stanie.

Mocno zdenerwowani, niezauważeni i nie niepokojeni przez nic i nikogo zatrzymali się dopiero na skraju wsi.

– Drugi dom w drugim rzędzie z brzegu – Valér powtarza słowa Tadeusza.

Chałupy stoją daleko od siebie, z tyłu, od strony lasu, mają niewielkie podwórza. Pochyleni przeszli wzdłuż płotu, spojrzeli z przodu na blaszaną tabliczkę z numerem, a potem z mocno bijącymi sercami weszli na podwórko i zapukali do drzwi.

– Kto tam? – słyszą z sieni starczy głos. – Kim jesteście?

Przez chwilę milczą. Karola oblał gorący pot.

– Otwórzcie, dziadku – prosi, starając się stłumić podniecenie i obronić przed słabością, która przenika jego głowę.

Drzwi się otworzyły. Głowa starca z siwą brodą, skrzynia i szafa w sieni zaczynają się kręcić jak na dzikiej karuzeli i Karol ma wrażenie, że leci w bezkresną ciemną otchłań. Tępy ból po upadku na udeptaną ziemię w sieni przywrócił mu na chwilę świadomość i podczas tego krótkiego przeblysku usłyszał głos Valéra:

– Żywy Góral z Milówki. Przychodzimy od...

Potem znów światło zaczęło gasnąć. Zanim otoczyła go głucha i gorąca ciemność, dotarły do niego jeszcze ciche słowa starca:

– Hanka, chodź no tu! Znów są dwaj dla Ondreja. Chodź szybko, jeden leży jak kłoda.

## Widzieliście to na własne oczy?

Pokój, w którym leżą już od dwóch dni, jest nieduży, ciemny, z zaimpregnowanymi na brązowo belkami na stropie, półmroczny kwadrat z dwoma wąskimi oknami po bokach. Dwa mocne łóżka małżeńskie, na środku stół, krzesła, ciężka szafa, między oknami skrzynia ze zdobionym mosiężnym okuciem, na ścianie Madonna z Dzieciątkiem i Chrystus w Ogrodzie Oliwnym. Do tych obrazów przybiegała żona Ondreja, Hanka, za każdym razem, gdy wydawało się jej, że w dwóch nieruchomych ciałach ze strasznie pokaleczonymi nogami nie ma już ani odrobiny życia, że już się nie obudzą, a zatem zgodnie ze słowami dziadka tym razem już na pewno rodzinę czekają problemy z celnikami lub żandarmami.

Jak tylko się obudzą, powiem Ondrejowi, żeby ich stąd odesłał, postanawiała. Jej obawy wzrosły, gdy w płaszczu jednego z nich znalazła pistolet, a w plecaku dwie pary wojskowych butów (dziadek powiedział, że są niemieckie), latarkę, brzytwę, jakąś rurkę i kilka innych podejrzanych drobiazgów.

Ondrej zważył w dłoni straszną broń, spokojnie stwierdził „belgijski”, i włożył pistolet z powrotem do plecaka, a Hanka zaniósła wszystko do komórki i przykryła starymi szmatami. Mój Boże, pistolet! A co, jeśli ci dwaj wychudzeni, zarośnięci, bladzi młodzieńcy są poszukiwani za jakieś przestępstwo i zostaną znaleźieni w jej domu? Ondrej i dziadek wprawdzie ją uspokajali, ale ona nieustannie sztywniała ze strachu, czasami wychodziła na zewnątrz i rozglądała się po ulicy, czy ktoś nie idzie. Bała się bardzo o Ondreja, bo wiedziała, że jest w coś zamieszany. Dojeżdżał do pracy do Vítkovic, ale nieregularnie, często go nie było. Czasem nawet dwa razy w miesiącu przechodził do Polski, często wyprawiał się do Čadcy i Žyliny, a nieraz już sprowadził jej do domu ludzi, z którymi – jak się domyślała – nie wszystko było w porządku. Przed trzema tygodniami odwiedzili ich też celnicy, czy w nocy ktoś ich nie budził, czy czegoś nie słyszeli i czy czasem nie udzielają komuś noclegu.

– Nie rób mi na złość – dogadywała mężowi – musimy się ich pozbyć, bo nie zaznam ani chwili spokoju.

Kiedy jednak ci dwaj się budzili i zaskoczonym wzrokiem krążyli po twarzach wokół siebie, nie mogła się zdobyć na choćby jedno nieżyczliwe słowo. W takich chwilach w domu było co robić. Hanka nalewała gęstą zupę fasolową – na polecenie Ondreja gotowała ją w dużym garnku – kroїła kielbasę, chleb, jedzcie, nie bójcie się, mamy dość – i zdziwieni domownicy patrzyli, jakie góry jedzenia błyskawicznie potrafili spałaszować goście. A potem zazwyczaj od razu zasypiali i Hanka nosiła z kuchni letnią i gorącą wodę, a dziadek z Ondrejem myli im nogi, czasami też podczas snu, i myli dopóty, dopóki ze strupów nie odlepił się ostatni kawałek brudnej zakrwawionej szmaty.

– Hanka, tam są dwie kostki octanu – powiedział raz Ondrej. – Rozpuść je w miednicy i przygotuj okłady.

Hanka zatem cierpliwie zmieniała im okłady.

– Hanka, załatw gdzieś maść cynkową.

– A gdy będą pytać dla kogo, to co im powiem?

– Ach, głupiutka, koza otarła sobie boki. Coś wymyślisz – upominał ją dziadek.

Spali bardzo mocno, ale niespokojnie. Podczas mycia nóg rzucali się, szarpali, szeptali i wyrzucali z siebie słowa, które wprawdzie dziadkowi i Hance niewiele mówiły, ale Ondrej cierpliwie je segregował i układał. Pomалу wszystko zaczęło tworzyć logiczną całość. Przybyli od Żywych oraz mieli wytatuowane numery na rękach, a to rozproszyło wszelkie wątpliwości. Słowa i zdania wykrzykiwane przez niespokojny sen podpowiadały mu na razie, że ci dwaj to sprawa raczej dla doktora Poláka niż dla Mateja Konecznego z kolonii kolejarskiej w Čadcy.

– Nie lamentuj, głupia! To nie są mordercy ani złodzieje – powiedział kilka razy Hance.

Tuż przed obudzeniem zarejestrował kiedyś te słowa półprzytomny Karol. Hanka westchnęła „chwała Bogu”, a potem dała upust nieszczęściu i strachowi, który od dłuższego czasu ją dręczył. Rozpłakała się. Ma dość tego życia przy granicy. We dnie i w nocy tu strzelają, kogoś łapią. Ondrej powinien lepiej ją traktować, jest chora, coraz z nią gorzej, krzyża już nie czuje, powinien jej posłuchać i wyjechać z tych strasznych gór. Przecież znaleźliby zajęcie gdzieś w Čadcy albo Żylinie.

– Nie bój się, Hanka, nadejdzie pora i wyjedziemy. – Karol usłyszał głęboki głos Ondreja – Ale najpierw musimy tu załatwić różne drobne sprawy. Wyjedziemy,



wytrzymaj jeszcze chwilę.

Przebudzili się ze świeżymi siłami i z ulgą w ciałach po długim śnie przerywanym tylko na chwile, podczas których obficie jedli.

Niebo jest jasne, powietrze czyste i ostre, widoczne przez okno zbocze wydaje się całkiem blisko, wystarczy wyciągnąć rękę i dotknąć świerków. Na górze z lewej strony świeci słońce, stok na prawo od domostw jest spowity niebieskawym cieniem. Karol z szerokim uśmiechem przygląda się Valérowi, ten z kolei z powagą mierzy wzrokiem Karola, a na obu z zadowoleniem patrzą dziadek, Ondrej i Hanka, spójrzcie, dotarli tu półmartwi, a jak pięknie się wykaraskali! Ondrej załatwił, co tylko mógł. Dla Karola kombinezon roboczy, flanelową koszulę w kratę, spodnie z mocnego materiału nazywanego diabłą skórą i czapkę, trochę na niego za małą. Na Valéra czekają wyszywana koszula bez kołnierza, za to z kokardą do zawiązania, i sukienne spodnie, gotowy rekrut, śmieją się, w sam raz, jutro w Čadcy jest pobór.

– Proszę uważać, żeby nie wzięli pana do wojska – śmieje się Hanka do Valéra.

– No, a pan jest jak elektryk – komentuje Ondrej kostium Karola.

– Elegancyści chłopcy, tylko ogolić się jeszcze nie umieją – dodaje dziadek, niezmiernie dumny ze swojej brzytwy.

Pod wieczór Ondrej przyniósł dwie pary butów z gumową podeszwą, ponieważ w tych niemieckich ohydztwach, jak je nazwał, mogliby wydać się podejrzani, a oprócz tego są ciężkie i twarde jak skorupa, jeszcze bardziej pokaleczyłyby im nogi. Gdy Hanka przygotowywała kolację, zakryli wilgotne rany ściereczkami z maścią cynkową, włożyli ciepłe, miękkie skarpetki, buty, a potem zaczęli kuśtykać po pokoju, żeby chociaż trochę je rozchodzić. Wydaje się, że ból spał wraz z nimi. Im dłużej chodzą, tym staje się mocniejszy. Buty są jednak miękkie, plastyczne, aż wreszcie obaj przestali wykrzywiać twarze i jęczeć, to nic, teraz już wszystko wytrzymają, są przecież syci i silni, mają wokół siebie dobrych ludzi, nie muszą uciekać dniem i nocą, w końcu przestał też ich gnębić najgorszy nieprzyjaciel, Strach.

Strach wprawdzie zniknął po ostatnim przebudzeniu, ale nerwowość ciągle narasta. Minęły przecież dwa dni, a oni nadal są w Skalitem! W tym czasie być może spalono w piecach Auschwitz osiem tysięcy ludzi. Paweł, Wasyl, Bolek, Adamek i wszyscy pozostali, bądźcie cierpliwi, nie zawiedziemy, zrobimy

wszystko, by prawda o Auschwitz trafiła do całego świata, rozmawia z nimi w myślach Karol. Nie gniewajcie się, drodzy koledzy, ale ta droga była naprawdę straszna i trwała niezmiernie długo, ale teraz już... Co właściwie teraz będzie? Gdzie są ludzie, z którymi będą mogli porozmawiać? Kto i kiedy z nimi się skontaktuje? Ondrej? Czy Ondrej może znać takich ludzi? Tak, może tak, przecież już im zasugerował, że zaprowadzi ich gdzieś, gdzie zadbają o nich należycie.

Jakim dziwnym człowiekiem jest ten Ondrej! O nic nie wypytuje. Mówi bardzo mało, tylko o sytuacji na Słowacji, żeby wyrobili sobie chociaż przybliżony obraz życia, do którego powracają. Ma wąskie czarne oczy, jest wysoki, barczysty, bardzo ostrożny w słowach i niezmiernie serdeczny, Hanka, weź im coś podgrzej, przynieś jeszcze kiełbaski, a wy, dziadku, skoczcie po piwo, pragnienie dość ich już dręczyło.

Po kolacji, gdy mieli za sobą po dwa pełne talerze zupy ziemniaczanej z suszonymi grzybami, kawałku wędzonego mięsa i kubku mleka, Ondrej powiedział:

– Wiecie, że jeszcze teraz chodzą mi po plecach ciarki od tego, co krzyczeliście przez sen?

Karola nachodził czasem w ciągu dnia nastrój do rozmowy, lecz Ondrej zawsze zręcznie się wykręcał: „Hanka, weź ich trochę podkarm, widzisz, że wyglądają jak opuchnięty patyk”. Teraz Karola też świerzbi język, ale wydaje się, że Ondrej nie jest niczego ciekaw. Zwięźle stwierdza:

– Szkoda czasu, jutro będziecie opowiadać. Połóżcie się, pójdziemy o północy.

Krótko przed północą wyprowadził ich do lasu oszczędnickiego.

– Trzymajcie się tej drogi, nie zabłądzicie. Nad ranem wyjdźcie na główną szosę. W Čadcy jest targ, będzie tam jechało wiele wozów, ktoś was podwiezie. – I podając im rękę, dodał: – Tak jak się umówiliśmy: dopóki mnie tam nie znajdziecie, nie ruszajcie się z targu. Będę z wozem.

O świcie wyszli na szosę. Jakie to dziwne uczucie, iść powoli główną drogą, całkiem wygodnie, móc zatrzymać się i odpocząć, gdzie się zechce, nie poszukiwać kryjówek, bez strachu przed nozdrzami wilczurów, w dobrym, miękkim obuwiu i z pełnym żołądkiem!

Wozy załadowane drewnem, pługami, bramami, drobiem, kwiczącymi nieustannie prosiakami, turkoczą w stronę Čadcy. Za milczącą zgodą gazdy

wskoczyli z tyłu na furmankę zaprzęgniętą w leniwe drobne woły z białymi plamami na bokach, wsłuchują się w dźwięki harmonii i śpiew rekrutów, którzy jadą na wozie drabiniastym kawałek przed nimi. Gazda z pomarszczoną twarzą i podejrzenie czerwonym nosem nieustannie wymachuje biczem i zrzędzi, jedźmy, leniwa raso, dostałyście żreć, to teraz ciągnijcie, zanim się tam z wami doczłapię, nie będzie ani śladu po kupcach.

Ale kupców i sprzedających na rynku jest wielu, znacznie więcej, niż przypuszczali. Wszędzie sływać krzyk, narzekanie, objawy niezadowolenia, zachwalanie, szybciej go zachłosczyć, ale za takie pieniądze nie dam, poczekajcie, nie uciekajcie, jakąś koronę może opuszczę, a niech to diabli, sprzedawać za bezcen, a jak chcesz kupić, to zedrą z ciebie skórę. Wszędzie gdacze drób, kwiczą prosięta, chrząkają świnie i meczą krówki, prawdziwy duży targ, wszyscy chcą dobrze sprzedać i dobrze kupić. Ludzie w cywilnych ubraniach i sukmanach, bardziej zamożni i biedacy. Obok poręczy, do których poprzywiązywany jest dobytek, załatwia się kilku niemieckich żołnierzy, przyglądają się krowom, ten *krafa nicht gut*, skóra i kości, ten *krafa fein, aber, mein Gott, drochaa, verflucht drochaa*.

Na drugim końcu targowiska odnaleźli wreszcie Ondreja. Naburmuszony targuje się z dwoma starszymi mężczyznami w sukmanach. Z czterech par prosięta sprzedał tylko jedną, ci dwaj chcą kupić kolejne, ale cisną go mocno co do ceny.

– Czy świat widział kiedy takich skapców? – denerwuje się gospodarz. – Dadzą dwieście czterdzieści za parę! Wolę nabić je na rożen i nakarmić osadę cygańską!

Mężczyźni w sukmanach udali się do następnego wozu, a Ondrej mówi do Karola i Valéra, żeby jeszcze trochę się pokręcili, nie może przecież wrócić z targu z pustymi rękami. Gdy przyszli ponownie, był już zadowolony i uśmiechnięty, została mu tylko jedna para i sprzedał dobrze, nikt go nie ograbił. Jego wóz jest niewielki, konik na krótkich mocnych nogach stoi spokojnie, głowę wetknął do worka z obrokiem, czasami macha długim gęstym ogonem. Ondrej się śmieje i krzyczy żartem:

– Kupcie prosiaki, panowie. Wam sprzedam nawet za dwieście. – Potem w dobrym nastroju rozgląda się wokół i dodaje ciszej: – Postójcie przy wozie, za chwilę wracam.

Wrócił po dobrej godzinie, zaraz po dzwonku na obiad.

– Siadajcie na wóz, jedziemy. To niedaleko.

Na małym placu skręcili w krótką boczną uliczkę i tam weszli do piętrowego domu. Ondrej zapukał do drzwi z blaszaną tabliczką „dr V. Polák, lekarz rodzinny”. W nieukrywanym napięciu czekają, aż drzwi się otworzą. Mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna w białym fartuchu, stosunkowo wysoki, ciemnowłosa, z poważnym wzrokiem, spojrzał pytająco na Ondreja. Ondrej pokiwał głową, tak, to oni.

– Wejdźcie – zaprosił lekarz. W poczekalni, która teraz, w porze obiadowej, jest pusta, zatrzymał się na moment i zachęcił Karola: – Ten plecak proszę odłożyć w kącie.

Karol szybko spojrzał na Ondreja, nie, nie wypuszczę plecaka z ręki, i wszedł z nim do gabinetu. Młoda kobieta od razu wstała od biurka i spytała lekarza:

– Mogę na chwilę wyskoczyć do miasta?

– Niech pani idzie – pozwolił lekarz, a ciemnowłosa dziewczyna zdjęła fartuch i wyszła.

Lekarz zaprosił ich, żeby usiedli na otomanie przykrytej białym prześcieradłem, przysunął bliżej krzesło, usiadł i spytał:

– Skąd?

Karol spojrzał pytająco na Valéra i Ondreja. Gospodarz kiwnął głową, więc Karol odparł:

– Z Auschwitz.

– Z Auschwitz? – Lekarz z niedowierzaniem powtórzył nazwę obozu. – A macie... numery? Przepraszam, ale tu się mówiło, że tam każdego numerują.

Obaj podwinęli rękawy. Lekarz z dziwnym wyrazem twarzy patrzy na ich nadgarstki.

– Hm... a zatem z tego cieszącego się złą sławą Auschwitz.

Tysiące przypuszczeń, z którymi wchodzili do tego domu, zlały się teraz w silne podniecenie. Przed nimi jest jeden z tych, pomyślał Karol, którym będziemy musieli wszystko opowiedzieć. Powiemy mu – i dokąd nas potem wyśle? Boże mój, przychodzi mu od razu do głowy, lekarz w Čadcy! Jakie kontakty może mieć lekarz z Čadcy? Do kogo nas wyśle albo dokąd nas zaprowadzi?

– Tak, z Auschwitz. – Valér całkiem niepotrzebnie potwierdził odpowiedź Karola.

– Uciekliście? – spytał lekarz.

Valér poruszył się rozdrażniony.

– Nie, proszę pana, wypędzili nas stamtąd, bo za dużo jedliśmy. – Już trochę spokojniej dodał: – Jasne, że uciekliśmy, stamtąd przecież nie wypuszczają na urlop.

Na twarzy lekarza pojawiło się zaskoczenie. Słyszał już wiele o Auschwitz od ludzi z kraju i z radia. Nie było to nic przyjemnego. Same straszne rzeczy. Przymusowe rozrywanie więzi rodzinnych, nieludzkie traktowanie więźniów, a nawet mordowanie... Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wywieziono, tak słyszał, a nikt do tej pory nie wrócił. A tu są dwaj, którzy stamtąd uciekli. Dwóch naocznych świadków!

– Przepraszam – powiedział cicho – nie chciałem panów urazić. Proszę zdjąć buty.

Zdejmują obuwie, a on pyta:

– A czy to prawda, że tam... że tam rzeczywiście mordują?

Valér spojrzał na Karola, widzisz go, lekarz, a takie głupie pytania.

– Tam mordują... naprawdę – odpowiada Valér, prostując boscie nogi.

– A wy dwaj... widzieliście to mordowanie na własne oczy?

– Czasem nawet musieliśmy je zamykać! – syknął Valér. – Czasem było to takie... takie... mój Boże, co za pytanie! Jasne, że widzieliśmy! My i dziesiątki tysięcy innych. Wszyscy to widzieliśmy, w każdej godzinie, przez całe dwa lata. Teraz zabijają tam co najmniej pięć tysięcy ludzi dziennie. Pięć tysięcy, panie doktorze!

– Pięć tysięcy dziennie? – Lekarz się wzdrygnął i uniósł brwi. – A wy... wy moglibyście szczegółowo o wszystkim opowiedzieć?

– Czy moglibyśmy? – pyta przeciągle Karol. – My chcemy i musimy. Znamy całą historię, wszystko. My musimy o tym opowiedzieć, panie doktorze.

Przez chwilę patrzą sobie w oczy, po czym lekarz wstał, podszedł do telefonu, tak, już może pan przyjść, właśnie dostałem lek. Następnie pochylił się nad ich nogami.

– Musimy się spieszyć, za chwilę zaczną przychodzić pacjenci. – Zrywa im z ran szmaty i ściereczki. Od czasu do czasu jęczą i cofają nogi. – Straszne, będzie bolało, ale nic innego nie da się zrobić. – Obcina skórę wokół ran i zgniłe kawałki mięsa, zalewa wodą utlenioną, rany mocno się spieniły i zaszczypały, potem przykłada na nie gazę z maścią, obwiązuje, to wszystko, macie piekielne szczęście, łatwo mogliście stracić nogi.

Ktoś zapukał do bocznych drzwi. Lekarz je uchylił, a potem otworzył. Do gabinetu wszedł mężczyzna w szarym garniturze, trochę okrągły i na pozór niezdarny, w okularach na żywych oczach i z małą odznaką członka Gwardii Hlinki w klapie płaszcza. Przywitał się z nimi kiwnięciem głowy. Karol i Valér z zakłopotaniem patrzą na podwójny krzyż na niebieskim polu, lekarz ich uspokaja, wszystko w porządku, nie musicie się bać, będziecie w dobrych rękach. Karol jednak wetknął rękę do kieszeni i zacisnął palce na małym belgijskim pistolecie.

– A dokąd... dokąd teraz pojedziemy? – pyta.

– Do Żyliny – wyjaśnił lekarz. – Tam spotkacie się z ludźmi, którym wszystko opowiecie. – Wyciągnął portfel, odliczył pięćset koron i podał je Karolowi. – Na początek to wam powinno wystarczyć.

Karol się waha, czy je przyjąć, ale lekarz jest nieugięty.

– Weźcie, to nie są tylko moje, będziecie ich potrzebować.

Wypuścił ich bocznymi drzwiami na wąski korytarz i szepnął do mężczyzny z odznaką Gwardii:

– Bądźcie ostrożni, ci dwaj są na wagę złota.

Po czym na głos pouczył Karola i Valéra:

– Na noc smarować i nie bandażować! Jak najmniej chodzić! Utrzymywać w czystości! Bądźcie zdrowi!

Ondreja, który chciał ich odprowadzić na stację, zatrzymał ze słowami:

– Niech pan zostanie na chwilę, porozmawiamy o pańskiej żonie.

Na stację idą jak w transie. Dookoła nich płyną ludzie, turkoczą wozy. Starsza kobieta wiesza mokrą matę na płocie z desek przed domem, przywitała ich z szacunkiem. Ze szkoły wybiegły dzieci, nagle jest ich pełen chodnik, pełna ulica. Kawałek przed nimi młody mężczyzna, klnąc, próbuje uruchomić stary motocykl. Z uliczki po lewej stronie wyszła grupa rekrutów z długimi trójkolorowymi

wstążkami na kapeluszach, są podchmieleni, dwaj z przodu z butelkami w rękach machają do taktu, a wszyscy śpiewają:

– Mikulaszscy pani, ja waszą Maryję, kto w domu będzie dbał o moją rodzinę...

Słowo „mikulaszscy” nie brzmi w tej piosence czysto i zgodnie. Karol od razu zauważył, że zmieszało się ze słowem „bratysławscy”.

– Słyszycie? – odezwał się do nich po raz pierwszy mężczyzna z odznaką Gwardii. – Wszyscy mają tego dosyć.

Ulica jest zalana południowym słońcem. W jego promieniach migoczą miriady cząsteczek kurzu. Powietrze pachnie nagrzewającą się powoli ziemią. W tym wiosennym dobrym nastroju, w drodze na stację, obaj myślą o dziwnym łańcuchu dobrych ludzi, którzy pozwolili im przedostać się w rodzinne strony. O Pawle, Bolku, Adamku, Wasylu, Andreju, Filipie i innych w Auschwitz; o Tadeuszu z grupy Żywych operującej na polskim pograniczu; o Ondreju ze Skalitego; o lekarzu Poláku oraz o mężczyźnie z odznaką Gwardii, który częstuje ich kolejnymi papierosami, gdy tylko skończą palić. I naturalnie o ludziach, z którymi mają się spotkać w Żylinie.

Czy spotkają ich już dzisiaj? Kto to będzie? Jacy to ludzie? Czy od razu będą mogli zacząć działać?

## Tu są przecież kartki...

Dom starców w Żylinie, szary dwupiętrowy budynek z wysokimi wąskimi oknami, jest niemal opuszczony. Na parterze mieszka dozorca, w części wychodzącej na podwórze mieszczą się kuchnia i mały magazyn, a w pokoiku obok magazynu urzęduje gospodyni. Na pierwszym piętrze lokatorzy zajmują tylko kilka pokoi, a na drugim zamieszkały jest tylko jeden, właściwie to łazienka, którą zwolnili dla Karola i Valéra. Z małego okna widać podwórze oraz sąsiedni ogród, od rana do wieczora dobiega z niego szczebiotanie dzieci.

Do budynku przywieziono ich ambulansem; ich przyjazd nie wzbudził niczyich podejrzeń. Trzy razy w ciągu dnia zgrzytał klucz w drzwiach pomieszczenia przed łazienką, trzy razy w ciągu dnia słyszeli, jak odpychana jest szafka na lekarstwa, która ukrywała niskie i wąskie drzwi do łazienki, po czym wchodziła do nich z paczką prowiantu pani Betka, gospodyni, starsza, posiwiiała, trochę smutna kobieta.

Dwa razy odwiedził ich Vendelín, robotnik z celulozowni, niski mężczyzna z kanciastym pomarszczonym czołem, prostym nosem i zadumanym wzrokiem. Jeszcze przed wspólnym posiedzeniem ze wszystkimi zainteresowanymi osobami chciał poznać parę szczegółów, a Karol i Valér mieli wrażenie, że weryfikuje informacje, które już dotarły do niego o Auschwitz. Ich odpowiedzi mocno go zaniepokoiły. Słuchał uważnie i nie przerywał im nawet wtedy, gdy kierując się wewnętrzną potrzebą, by opowiedzieć i wyjaśnić jak najwięcej, utopili pożądaną informację w powodzi mniej istotnych faktów. Gdy zegnał się z nimi wczoraj po godzinie, zauważył, że chyba byłoby najlepiej, gdyby spisali wszystko, co wiedzą o Auschwitz.

– Może uda się załatwić – powiedział – żeby dotarło to jakąś drogą do rządów walczących z faszystami.

W końcu rozpoczyna się niecierpliwie wyczekiwane spotkanie. Przeszli do pokoju sąsiadującego z łazienką. Oprócz długiego stołu z telefonem, krzeseł i szafki na lekarstwa, która zasłania drzwi do łazienki, nie ma w nim więcej mebli.



Przy stole siedzi Vendelín, robotnik z fabryki celulozy. Obok rumiany blondyn, prawnik z niekształtną brodą, sprawia wrażenie niezwykle spokojnego i powolnego człowieka. Do zadań w podziemiu dobrze wykorzystuje swoje kontakty z niektórymi pracownikami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz kilkoma niepozornymi instytucjami na Słowacji i za granicą. Korespondent szwajcarskiej prasy działający w Pradze, szczupły i żywy młody człowiek o nerwowych oczach, osobiście zna działaczy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Pani Ibi, kobieta w średnim wieku, ma brązowe oczy, kasztanowe włosy i sześcioramienną gwiazdę na ubraniu; przed wojną była działaczką postępowej żydowskiej organizacji młodzieżowej, a teraz współpracuje z miejscowym podziemnym ruchem oporu. Okrągły, na pozór niezdarny mężczyzna, który przywiózł ich tutaj z Čadcy, teraz bez odznaki Gwardii Hlinki, pracuje w referacie finansowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i przekazuje członkom podziemia cenne informacje o działaniach planowanych przez faszystów. Wreszcie są Karol i Valér, w tej chwili nie potrafią stłumić narastającego zniecierpliwienia.

Ludzie przy stole ewidentnie jeszcze na kogoś czekają. Prawnik coś tłumaczy Vendelínowi, Karol usłyszał nazwisko Waren. Okrągły niezdarny mężczyzna rozmawia po cichu ze szwajcarskim korespondentem; pani Ibi stawia na stole butelki wody mineralnej, szklanki, talerzyki z widelcami, półmisek z kiełbasą, jajkami i sałatką, a przed szwajcarskim dziennikarzem jeszcze talerzyk z migdałami. Prawnik podczas rozmowy niecierpliwie spogląda na zegarek, a gdy zadzwonił telefon, szybko podniósł słuchawkę, wysłuchał rozmówcy ze zniechęconą miną, po czym rozczarowany odłożył telefon.

– Pan Waren przyjedzie dopiero jutro lub pojutrze – mówi. – No nic, zaczniemy bez niego.

Zamknął drzwi, usiadł na swoim miejscu i ze wzrokiem wbitym w Karola i Valéra w końcu przechodzi do rzeczy.

– A więc byliście panowie w Auschwitz – mówi podniesionym głosem. – Dwa lata, niemal dwa lata czekaliśmy, aż jakiś naoczny świadek potwierdzi nam te złe wieści albo je zdementuje. W końcu się doczekaliśmy! Witajcie, jesteśmy szczęśliwi, że widzimy was tutaj. Powiedzcie, proszę, czy to było takie... czy tak trudno się stamtąd wydostać?

Karol spogląda na prawnika, jakby analizował, czy to naiwne pytanie zostało zadane na serio. Twarz blondyna jest jednak dostojna, poważna, i Karol zdaje sobie

sprawę, że padnie tu zapewne więcej naiwnych pytań i że cierpliwie będą musieli na wszystkie odpowiadać. Dlatego spokojnie, ale zwięźle odparł:

– O wiele trudniej niż tam się dostać.

– Jak wam się to udało, skoro to takie trudne? – pyta szwajcarski korespondent, przeżuając migdały. – Powiedzcie nam, jak stamtąd uciekliście.

Valérowi wydawało się, że w pytaniu Szwajcara kryje się lekka podejrzliwość. Pochylił się zdenerwowany, by udzielić zjadliwej odpowiedzi, ale wycofał się bez słowa, ponieważ Karol ścisnął go mocno za rękę.

– To wprawdzie nie jest za bardzo interesujące – odpowiada Karol – ale mogę panu opowiedzieć. Wyruszyliśmy dziesiątego kwietnia, czyli przed czternastoma dniami. Dziesięć dni tułaliśmy się jak zamożni turyści, w każdej kieszeni po węgierskiej kiełbasie. Wszędzie witały nas uroczyste bramy, niemiecka muzyka wojskowa, trzy dni odpoczywaliśmy w Zakopanem, no a z Čadcy przywieziono nas w wagonie pulmanowskim.

Vendelín uśmiecha się ze zrozumieniem. Spojrzenie prawnika mówi: dobry, bardzo dobry dowcip. Okrągły mężczyzna z referatu finansowego z zakłopotaniem gniecie w palcach kolorowy papierek od cukierka. W brązowych oczach pani Ibi, wbitych w zmieszanego szwajcarskiego korespondenta, widać łagodny wyrzut.

– Przepraszam, trochę się uniosłem – mówi dalej Karol – ale o tym, jak uciekliśmy... Ach, przecież nie to jest teraz ważne! Teraz powinniście się zastanowić, jak najszybciej można zakończyć to straszne zabijanie.

– Dlatego się spotkaliśmy – przytakuje prawnik. – Ale jeśli mamy przekazać wieści dalej, musimy poznać okoliczności, całą historię. Opowiedzcie nam o wszystkim, co tam przeżyliście i widzieliście.

W końcu mądre słowa, pomyślał Karol i zachęcił Valéra, żeby zaczął opowiadać. Valér jest „starszym” więźniem, był w Lublinie, gdy oświęcimska fabryka śmierci jeszcze nie istniała.

Blondwłosa prawnik, robotnik Vendelín, szwajcarski korespondent, pani Ibi oraz człowiek z referatu finansowego wysłuchują więc opowieści o mężczyznach, kobietach i dzieciach wypędzonych na najbardziej bestialską śmierć pod pozorem osiedlenia w nowej ojczyźnie. Valér opowiada chwilami bardzo szybko, jakby chciał wyrzucić z siebie wszystko naraz, a chwilami bardzo powoli, z trudem szuka słów, którymi trafnie wyraziłby swoje myśli. Nie chce o niczym zapomnieć.

Chciałby im powiedzieć wszystko po kolei, żeby nie wzbudzić w nich nawet cienia wątpliwości. Chce mówić jako świadek, same fakty, ale straszne wydarzenia porywają go jak dziki prąd, przeżywa je każdym nerwem, każdym porem swojego ciała, więc po godzinie jest całkiem wyczerpany. Och, po co im to tak obszernie opowiadam? Przecież wszystko, co mnie tak dręczy i zżera, dałoby się podsumować kilkoma słowami: uwierzcie nam, miliony niewinnych ludzi już zabili, a zabiją kolejne miliony, jeśli świat nie zmusi Hitlera, by natychmiast wstrzymał transporty.

Gdy opowiada o likwidowaniu żydowskich rodzin, o mężczyznach zapędzonych do niewolniczej pracy, o ich kobietach i dzieciach, które pomordowano, Szwajcar przestaje na chwilę przeżuwać i pyta:

– Te kobiety?

– Dzieci też – dodaje zmęczony Valér.

– Dobry Boże – wzdycha pani Ibi i ociera chusteczką oczy.

– Mówił pan o głodzie na Majdanku – wtrąca się prawnik. – Ten głód był od początku czy pojawił się później?

– Od początku. Ale później był jeszcze większy. Gdy nasz transport zapędzono na Majdanek, od razu obstarali nas obdarci i zakrwawieni ludzie. Najpierw myśleliśmy, że to jacyś mordercy skazani na dożywocie albo coś podobnego. Wszyscy wyciągali ręce i zebrali o chleb i papierosy.

– Przecież chyba dawano im tam jeść – zauważa ze zdziwieniem Szwajcar. – Panowie z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża mówili mi niedawno o nadzwyczajnych dostawach żywności. A te akcje wysyłania paczek podobno...

– Jasne, że dawali! – przerywa mu Valér. – Jeśli jest pan ciekaw, zdradzę panu standardowy jadłospis: na śniadanie jajka, kiełbasa, masło, miód i kawa... o niczym nie zapomniałem, Karol? Na obiad gulasz, zupa, ciasta, wino... och, dawali jeść, dawali, skurwiele! – Obejrzał się skruszony na panią Ibi. – Proszę się nie gniewać. Ale skórka suchego chleba... Och, kto zliczyłby tych wszystkich, którzy za skórę chleba poszli tam do gazu? – Spojrzał na korespondenta i dodał trochę łagodniej: – Mój panie, te obozy zorganizowano po to, by ludzie w nich szybko umierali. Jak najszybciej, rozumie pan?

– O ile da się to zrozumieć – ripostuje korespondent.

Im dłużej Valér opowiada, tym bardziej jest nieprzyjemny, rozgoryczony. Bardzo by chciał, żeby mu uwierzyli. Gdyby się zdumieli, współczuli albo zaprotestowali, byłby bardziej zadowolony, ponieważ to by znaczyło, że wierzą. Ale oni milczą i na ich twarzach nie dostrzega nic oprócz uważnego zainteresowania. Najbardziej denerwuje go obojętność Szwajcara. Do obrzydzenia szczęka żuchwą, cicho mlaska, przeżuwa, spogląda przy tym na żółty talerzyk, jakby liczył, ile jeszcze zostało mu migdałów. Na pewno wierzy panom z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, przecież wysyłają do niektórych obozów paczki z żywnością i ubraniami. Tych panów, jak już dowiedzieli się z Karolem od prawnika, naziści zapewniali, że w „nowej ojczyźnie” ludzie nie cierpią żadnego niedostatku. O więźniach podobno nie ma mowy, ponieważ ci ludzie normalnie żyją i pracują. Jeśli nam nie uwierzą, przyszło do głowy Valérowi, chyba byłoby mądrzej, gdybyśmy zostali u Tadeusza i pomogli mu sprzątać Niemców z za drzew. Zaraz jednak zdał sobie sprawę z własnej bezsilności i pojawił się w nim opór. Muszą uwierzyć, przekonuje sam siebie. Musi uwierzyć i zrozumieć też szwajcarski korespondent, ponieważ prawdopodobnie on mógłby najszybciej zorganizować wszystkie potrzebne działania.

Cierpliwie i szczegółowo opowiada o samorządzie więziennym.

– Wytlumaczcie nam, co robili ludzie, których przydzielono do pracy – poprosił go prawnik.

– Tylko to, co służyło do budowy obozów oraz szybszego zabijania i usuwania ofiar – odparł Valér.

– W każdym obozie?

– Wszędzie, gdzie byłem. W Lublinie, Majdanku i Auschwitz. – Zamilkł na chwilę, potem ściszym głosem mówi dalej: – Zwłaszcza tam. Wiecie państwo, pierwszego dnia myśleliśmy, że przyjechaliśmy do jakiegoś lepszego miejsca, ponieważ obóz główny w Auschwitz zaskoczył nas porządkiem i czystością. Lecz gdy przydzielono nas do pracy, szybko zauważyliśmy, że na Majdanku nie umierało się tak prędko. Słyszeli państwo coś o Bunie?

– Co z nią? – pyta szwajcarski korespondent.

– Jedno z najgorszych miejsc pracy podlegających administracji Auschwitz. Olbrzymie zakłady produkcji gumy syntetycznej. My ten zakład budowaliśmy... Kopaliśmy i betonowaliśmy fundamenty, instalowaliśmy stalowe konstrukcje i tym

podobnie. Mój Boże, ilu stamtąd wysłali na tamten świat! Ilu żywcem zabetonowano w fundamentach! Dziesięć metrów kwadratowych, to był odcinek pracy. Na każdym takim odcinku pracowała grupa pod specjalnym nadzorem, ponieważ budowa znajdowała się poza ostatnim łańcuchem straży otaczającym Auschwitz. Pół kroku za ten kwadrat – śmierć. Chwila odpoczynku – śmierć. Rozmowa z kolegą – śmierć.

– Tak... bez sądu?

– Każdy esesman był sędzią, ławą przysięgłych i katem. Kilkadziesiąt tysięcy, panie redaktorze, kilkadziesiąt tysięcy zginęło podczas betonowania tych fundamentów. I wątpię, żeby pozostał choć jeden z nas, gdyby nie wstrzymano budowy na kilka tygodni.

– Bombardowanie? – pyta Vendelín.

– Tyfus plamisty – odpowiada Valér, a z ust pani Ibi wydziera się westchnienie. – Może to zabrzmieć dziwnie, ale były to tygodnie odpoczynku. Tyfus strasznie kosił, ale było to przyjemniejsze umieranie, ponieważ ludzie byli w agonii, a oczy nie widziały tych bestialstw.

Karol patrzy gdzieś pod stół. Próbuje wcielić się w rolę człowieka, który po raz pierwszy słucha szczegółów tej przerażającej tragedii. Czy Valér opowiada dość jasno? Czy można to wszystko zrozumieć i w to uwierzyć? Bycie słuchaczem jest trudne, wręcz niemożliwe. Buna, męczące upały, strzelanina, krzyk, nie, nie może być słuchaczem, ponieważ Valér nieustannie wciąga go do bezdennego grobu żywych i martwych. Karol uniósł głowę i spogląda na stół. Oprócz pani Ibi wszyscy robią notatki. W napięciu słucha i skrobie po papierze już także szwajcarski dziennikarz: pisze i nieustannie przeżuwa brązowe pestki, a pani Ibi ciągle dostarcza mu kolejne porcje.

– Czy może nam pan powiedzieć coś na temat konkretnych okrucieństw esesmanów? – pyta Szwajcar.

Twarz Valéra zmarszczyła się w bezgranicznym osłupieniu. Wszyscy są zaskoczeni, ponieważ do tej pory nie mówiło się tu o niczym innym.

– To tak samo – odpowiada z zażenowaniem Valér – jakby pan chciał, żebym opowiedział, jak konkretnego dnia płynęła woda w Dunaju. Może nie podałem właściwego przykładu – zamyśla się – ale te bestialstwa są tam popełniane nieustannie, we dnie i w nocy. Bestialstwem było już to, że wypędzono nas

z rodzinnych stron i własnych domów, trzyma się nas w bestialskich warunkach, nieludzka jest praca i nieludzkie umieranie.

– Mam na myśli konkretne przykłady, w których mógłby pan wymienić nazwiska. Zdarzyło się to i to, a zrobił to ten i ten – uzupełnił swoje pytanie dziennikarz.

Valér zapalił papierosa. Tak, teraz zrozumiał, o co chodzi, może odpowiedzieć.

– Ci, którzy nie dostali tyfusu plamistego na Bunie – kontynuuje spokojnie – musieli w lagrze smarować narty dla niemieckiej armii. Lekka praca, prawda? Ale esesman Henkel codziennie podliczał robotę i załatwiał każdego, kto nie posmarował co najmniej stu dwudziestu nart. Kolejni z Buni zbijali skrzynki na granaty. To też nie jest ciężka praca... dla sytych. Około piętnastu tysięcy skrzynek nie odpowiadało przepisowym rozmiarom. Za każdych sto skrzynek zastrzelili jednego więźnia. Mam... mówić dalej?

Szwajcarski korespondent przewrócił kartkę w notatniku i pokiwał głową.

– Esesman Palitzsch udusił więźnia, takiego słabiutkiego astmatyka, ponieważ biedak dostał ataku kaszlu akurat wtedy, gdy padł rozkaz „cisza”! Więzień, taki nowicjusz, który przybył do lagru dopiero kilka dni wcześniej i jeszcze nie wiedział, co można, a czego nie wolno, pospieszył z pomocą podduszonemu i zaczął do nas krzyczeć: „Ludzie, pomóżcie mu, on się jeszcze rusza, żyje!”. Palitzsch capnął chłopaka za szyję i spytał: „Naprawdę jeszcze żyje?”. „Żyje, żyje, przecież pan widzi, jak chce wymiotować” – krzyczał młody więzień. „Ty też to widzisz?” – spytał Palitzsch. „Mam przecież oczy!” – odpowiedział więzień. „Ale całkiem niepotrzebnie”, Palitzsch złapał go za szyję, wyciągnął rewolwer i strzelił chłopakowi między oczy.

Valér wspomniał jeszcze o kilku podobnych przypadkach, po czym zaczął mówić o budowie Birkenau i dziesiątkach transportów, które popędzono prosto z rampy do komór gazowych.

Pani Ibi mu przerwała:

– Jeśli można, co to są te rampy?

– Miejsce, gdzie zatrzymywały się pociągi towarowe z ludźmi „do pracy”.

Przed Vendelínem, prawnikiem, korespondentem, człowiekiem z referatu finansowego oraz panią Ibi zaczęła się teraz rozgrywać bardziej zbiorowa sztuka, bardziej masowe sceny, straszny los ludzi wypędzanych z pociągów na rampach,

ustawianych piątkami i maszerujących razem z dziećmi do łaźni, gdzie z pryszniców nie płynęła woda, ale wydzielał się duszący gaz.

– Nie podejrzewali, że idą na śmierć? – pyta prawnik.

– Nie było dla nich podejrzane to, że mają się wykąpać po długiej podróży – wyjaśnił Valér. – Wielu nawet się cieszyło. Przeważnie szli spokojnie. Strach ogarniał ich dopiero w łaźni, gdzie stali upchnięci obok siebie, pięćset, sześćset osób w małym pomieszczeniu, a tysiąc dwieście, tysiąc pięćset w większym, bez okien, tylko z wywietrznikami, i kiedy zrozumieli, że w takim ścisku, gdzie człowiek depta po własnym dziecku, nie może być mowy o kąpielu. Wtedy zawsze zrywały się krzyki i płacz, wszyscy zaczęli się przeciskać do żelaznych stalowych drzwi, ale nikt nie wy dostał się żywy z pomieszczenia, ponieważ do środka pchali się z zewnątrz kolejni, których esesmani zagnali tam kolbami i psami.

– Powiedział pan, że z ramp szli przeważnie spokojnie – stwierdza korespondent.

– Były też przypadki, że buntowali się na rampach? Że szli niespokojnie?

– Z wagonów szli spokojnie. Przecież spędzili w nich kilka dni. Z Grecji jechali czasem nawet dwa tygodnie. Byli wyczerpani, zmęczeni, cieszyli się zatem, że są na miejscu. Do wagonów też pewnie szli spokojnie, dlatego spokojnie z nich wysiadali. Bardzo często jednak od razu na rampach dochodziło do selekcji. Wtedy ludziom wszystko zaczynało wydawać się podejrzane.

– Niech nam pan wytłumaczy, co to jest selekcja – poprosił go Vendelín, a Karol szybko spojrzał na niego. Vendelín przecież wie, co to jest selekcja, wczoraj chciał, żeby opowiedzieli mu o tym ze szczegółami. Pytanie zadał pewnie po to, by pozostałym nie umknęło nic istotnego.

– Młodszych stawiają z jednej strony – tłumaczy Valér – tak jak do pracy, by uzupełnić luki po zamordowanych i wyczerpanych, a z drugiej strony stają dzieci obok starców i takich, których nie wybrano do pracy, ale do spalenia. Wtedy często coś się przytrafiało. Matki nie chciały wypuścić dzieci, mężczyźni z kolei nie chcieli opuścić żon, a esesmani rozbijali im głowy, czasem strzelali do nich jak oszalali. My potem zawsze musieliśmy szybko usuwać ślady po tych jatkach, żeby nowi, którzy już byli w drodze, nie zauważyli nic podejznanego.

Valér szczegółowo opowiada o selekcji na rampach oraz o częstym, niemal regularnym wybieraniu ofiar we wszystkich klatkach, a Karol badawczo obserwuje twarze przy stole. Vendelín nie robi teraz żadnych notatek, uważnie słucha. Pani Ibi

pobladała, niesamowicie przygnębiona nieszczęściem, które dotknęło miliony ludzi. Blondwłosego prawnik na pozór zachowuje spokój, ale różowe policzki znacznie mu pociemniały. Wszystko, co do tej pory zrobił przeciwko faszyzmowi, wydaje mu się błahe, śmieszne, niemal pozbawione znaczenia. Sumiennie notuje i zastanawia się, czy będą mogli od razu coś przedsięwziąć przeciwko takiej niesłychanej zbrodni popełnianej przez mocarstwo, które rozpleniło się niemal po całej Europie i wszędzie wprowadziło swoje wilcze prawa. Okrągły mężczyzna z referatu finansowego sprawia wrażenie sennego, ale w rzeczywistości nie umknęło mu ani jedno słowo, za ospałym wyglądem kryją się skrajnie napięte nerwy i żywe reakcje. Czy to możliwe, zastanawia się, żeby alianci o tym wszystkim nie wiedzieli? Na pewno wiedzą, choć prawdopodobnie nie wszystko i nie mają szczegółowych informacji o tych strasznych zdarzeniach. Na twarzy szwajcarskiego korespondenta nie pozostał już nawet ślad niedowierzania. Od czasu do czasu pochyła się nad notatnikiem i poruszając szczękami, zastanawia się, czy jego gazeta znajdzie dość odwagi, by opublikować to straszne oskarżenie pod adresem potężnego nazistowskiego sąsiada Szwajcarii.

Valér napił się wody mineralnej, a prawnik skorzystał z przerwy i spytał:

– Co się stało z bagażami nieszczęśników? Czy więźniowie też dostawali coś z tych rzeczy?

– Czasem coś trafiło się Kanadzie.

– Kanadzie?

– Tak nazywano Aufräumungskommando, pracowało na rampach – tłumaczy Valér. – Wiedzą państwo, oni przy opróżnianiu pociągów zawsze mogli załatwić sobie coś na ząb i jakieś papierosy. Chłopcy zatem pakowali bagaże na ciężarówki. Robiliśmy to noc w noc, dzień w dzień, całe stosy. Wszystko wożono do magazynów w Auschwitz, potem też w Birkenau, gdzie sortowały to uwięzione dziewczęta i kobiety. Tekstylnia, ubrania, buty i zabawki szły do Rzeszy, dla czystej rasy, konserwy i artykuły spożywcze o długim terminie przydatności prosto na front, a reszta do różnych urzędów gospodarczych SS. Natomiast złoto, całe skrzynie złota i biżuterii, prosto do urzędu Himmlera. Coś z tego zawsze jednak skapnęło też dowódcom i ich żonom, oficerom SS i ich kochankom, a coś też Scharführerowi Wykloffowi, który nadzorował sortowanie. Prawda, nasi chłopcy też nie byli głupi.



– Ludzie, którzy tam przyjeżdżali, wiedzieli, że trafili do Auschwitz? – pyta Vendelín.

– Dla Polaków było jasne, co to jest Auschwitz, ale inni nawet nie podejrzewali. Jeszcze na rampach niemal wszyscy wierzyli, że przyjechali rzeczywiście tylko do pracy, jak powiedziano im w domu. A jeśli nawet im tego nie powiedziano, mało kto myślał o czymś innym.

– Nie buntowali się, gdy zauważyli, że ich oszukano? – spytał Szwajcar.

Valér odczekał, aż pani Ibi ściągnęła roletę i zapaliła światło.

– Ależ owszem, czasem widziałem na rampie wielką wrzawę. Młodym Polakom nieraz porządnie wzburzyła się krew. Ledwo co wypędzono ich z pociągu, rozejrzeli się i od razu wiedzieli, gdzie się znaleźli. Kto wie, może któryś z naszych coś im szepnął. Ci młodzi od razu rzucali się jak osy na esesmanów. I to z gołymi rękami, słowo honoru, z gołymi rękami! Mieszali się też do tego starszawi faceci z gett, upakowani w tylnych wagonach, i były przez to stosy martwych, ponieważ Niemcy cięli do nich z karabinów i pistoletów maszynowych, a Sonderkommando miało potem nie tylko uduszonych, ale też rozstrzelanych.

Valér zdał sobie sprawę, że trzeba wytłumaczyć słuchaczom, czym jest Sonderkommando.

– Było ich na początku trzystu, teraz jest czterystu, a może i więcej. Pracują w krematoriach. Wrzucają do pieców całe zagazowane transporty i martwych z komand. Palą martwych, a nieraz i żywych.

– Palą żywych? – pyta z przerażeniem pani Ibi.

– Po zagazowaniu, czyli przed kremacją, każdemu martwemu wyłamują złote zęby, ściągają koronki – mówi słabym głosem Valér. – Muszą to robić dokładnie, bo nadzorują ich szeregowy esesman i szef krematorium, którzy od czasu do czasu żelaznym hakiem otwierają trupowi usta, żeby sprawdzić, czy Sonderkommando nie chce wypuścić choćby grama złota górą przez komin. Przez bijący od pieców żar chłopcy z Sonderkommanda są strasznie wyczerpani i w tym pośpiechu nawet przy największej staranności zdarza się, że nie zauważą jakiegoś kawałka złota. A gdy zauważy go esesman, kładą kogoś z Sonderkommanda na nosze i wrzucają do ognia. Na namydlone nosze, żeby łatwiej się ślizgał.

Jest już zmęczony, od napięcia nerwowego drżą mu powieki. Prawnik podpalił mu papierosa, Valér pociągnął raz, drugi, po czym dodaje chrypliwie:

– Piętnastego stycznia w czterdziestym trzecim przeniesiono nas za karę do Birkenau i tam spotkałem Karola. Resztę opowie państwu on.

Wyraz koncentracji na twarzach ustąpił. Pani Ibi od razu wstała, zgasiła światło i otworzyła okno, by przewietrzyć zadymione pomieszczenie. Prawnik i Vendelín stanęli w pobliżu okna i rozmawiają. Mężczyzna z referatu finansowego przez cały czas nie powiedział ani słowa, teraz częstuje Karola i Valéra jedzeniem, jedzcie, ciągle jedzcie, ci przekłęci ludzie porządnie was tam przegłodzili. Korespondent rozmawia z panią Ibi, tak, to jest straszne, na pewno o tym napisze i zrobi wszystko, żeby szef to puścił, przecież świat musi się dowiedzieć, co dzieje się za drutami w obozach koncentracyjnych. A Karol i Valér jedzą, kiełbasę, jajka, sałatkę z majonezem i masło, od czasu do czasu unoszą głowy, żeby lepiej zrozumieć, co prawnik mówi Vendelínowi o więźniach z Terezína. Tak, tłumaczy prawnik, z Terezína wysłano ich do Auschwitz lub Birkenau i stamtąd podobno ciągle piszą, że niczego im nie brakuje, są razem, dziękują za paczki i tym podobnie.

Do drzwi dwa razy zapukała Betka, postawiła na stole koszyk z herbatnikami, słodkim pieczywem, termos kawy, to jest, proszę, kolacja dla tych dwóch panów, a jeśli państwo jeszcze byście mnie potrzebowali, mogę poczekać godzinę na dole.

– Nie, dziękujemy. – Prawnik zamknął za nią drzwi.

– Możemy kontynuować? – spytał Vendelín.

Karol przytaknął. Wyciągnął spod płaszcza cienką rurkę.

– Tu są dowody. – Wyjmuje z niej zwitki papieru. – Więźniowie w kancelarii głównej i wydziale politycznym ryzykowali, że skończą w komorze gazowej, gdy nam to przepisywali. – Rozłożył zwitki, wszyscy pochylają się nad stołem. Ogarnęło ich zdumienie, na pobrudzonych kawałkach papieru jest wiele istotnych faktów, daty powstania i rozbudowy poszczególnych obozów, liczby ofiar, które spędzono tam najpierw z Polski, potem z Niemiec, Francji i wreszcie ze wszystkich okupowanych krajów Europy oraz z „nieokupowanej” Słowacji.

– Ma pan tam też coś o sowieckich jeńcach wojennych? – pyta Vendelín.

Szwajcar natychmiast się ożywił, pochylił się niżej nad stołem, tak, to bardzo interesująca kwestia, z powodu tych jeńców wojennych radio moskiewskie narobiło już sporo krzyku.

– Ale mnie się wydaje – mówi dalej korespondent – że to tylko ruch propagandowy. Niemcy nie są przecież tacy naiwni, żeby naruszać umowy międzynarodowe dotyczące traktowania jeńców, bo dobrze wiedzą, że to jest broń obosieczna.

Nie, faszyści nie są naiwni, są niesamowicie przebiegli, pomyślał Karol. Przecież w lagrach mordują całe narody w taki sposób, że nawet ta najdrobniejsza informacja, która przedostanie się do świata, wydaje się nie do uwierzenia. Naiwni są ludzie, na przykład ten Szwajcar, którzy przypisują Niemcom nienaganność, uczciwość – cechy całkiem im obce.

– Dwanaście tysięcy radzieckich jeńców wojennych z Mińska i Witebska z samodzielnym numerem porządkowym. – Karol zagląda do zwiotka, choć zna te dane na pamięć. – Nie zostało nawet stu. Zatruli ich, rozstrzelali i podusili. Kilkuset zmarło z głodu, chorób i pozamarzali w komandach, w barakach i pod barakami jeszcze zimą przed naszym przyjazdem.

– To brzmi tak fantastycznie, to niewiarygodne! – Szwajcarowi nie mieszczą się w głowie szczegóły na temat jeńców. – Może to była jakaś pomyłka. Może stracili ich tam samowolnie... bez wiedzy Berlina, bez świadomości dowództwa Wehrmachtu. Czy nie dopuszcza pan – spojrzał na Karola – jakiejś pomyłki?

– Obozów koncentracyjnych nie zbudowano przez pomyłkę ani tej wojny nie rozpoczęto przez pomyłkę – odpowiada twardo Karol. – Tam zabijają w sposób perfekcyjnie zorganizowany, zamierzony.

Potem mówi trochę mrocznie i ze wzruszeniem, odkładając poszczególne zwitki. Twarze ludzi przy stole wyrażają coraz większą zgrozę i zdumienie, emocje te rosną wprost proporcjonalnie do narastającej świadomości, że tego okropnego bezprawia panującego nad olbrzymimi przestrzeniami nie da się pokonać apelami, petycjami ani naciskami moralnymi, jedynym rozwiązaniem jest użycie sił wojskowych. Ze zwitków wypadają transporty i chmury śmierdzącego benzolem i metanolem dymu; pobrudzone kawałki papieru krzyczą o ofiarach spalonych w olbrzymim dole, potem zasypanym i wyrównanym walcem, o prowizorycznych bunkrach gazowych w barakach, gdzie otruto ponad milion ludzi, o budowie krematoriów, które dzień w dzień i noc w noc pochłaniają sześć, osiem, a teraz może już dziesięć tysięcy ludzi.

Karol zapalił papierosa. Krótką pauzę uciążliwej ciszy wykorzystał prawnik.

– W sierpniu lub wrześniu czterdziestego trzeciego wyjechał z Terezína do Auschwitz transport. Miałem w nim kolegę ze szkoły... Nie wie pan, co się stało z tym transportem?

Karol rozumie, prawnik chce tym pytaniem sprawdzić autentyczność zapisków na zwitkach. Wziął zwitek, który już wcześniej odłożył, po czym czyta razem z prawnikiem: „8 wrześ. 1943 transport z Terezína, 5006 ludzi, zlikwidowany dnia 8 marca 1944...”.

Aż do kwietnia 1944 roku wyłaniają się z tych zwitków mieszkańcy Polski, Protektoratu Czech i Moraw, Słowacji, Jugosławii; rosyjscy cywile i jeńcy wojenni uzupełniają brakującą liczbę zabitych jeńców, do tego Holendrzy, Francuzi, Belgowie, Cyganie ze wszystkich zakątków Europy, ludzie z kilkudziesięciu obozów koncentracyjnych i więzień w Niemczech i krajach okupowanych. Dniami i nocami gwizdże lokomotywa na ślepy torze, kilka razy dziennie wychodzi na rampy Aufräumungskommando i jego członkowie nieustannie zapełniają dwanaście pieców, wszystkich czterdzieści sześć retort w Birkenau.

– Transporty z zewnątrz kierują prosto do pieców – mówi dalej Karol – a w obozach są coraz straszniejsze selekcje. Tylko w styczniu czterdziestego czwartego doktor Thilo wysłał do gazu pięć tysięcy młodych dziewczyn. Każdego tygodnia wybierano wielu więźniów dla doktorów Mengelego, Clauberga, Mrugowskiego, Schumanna...

– Wybierano dla doktorów... Jak to rozumieć? – dopytuje Szwajcar.

Żółty talerzyk przed nim jest znowu pełen, ale korespondent już nie przeżuwa, teraz pali papierosa, zapewne lepiej go to uspokaja.

– Te nazwiska niech pan sobie dobrze zanotuje – radzi Karol. – Doktor Mengele jest tam szefem naukowej eksterminacji i osobiście specjalizuje się w eksperymentach na bliźniakach. SS Brigadeführer doktor Horst Schumann sterylizuje kobiety i mężczyzn. Asystentem Clauberga jest doktor Władysław Dering. A SS Brigadeführer Joachim Mrugowsky, doktor i profesor bakteriologii, kierownik Instytutu Higieny SS, testuje na więźniach skuteczność najróżniejszych bakterii.

– Pan twierdzi, że tam ludzi... że tam żywych ludzi wykorzystuje się do eksperymentów jak świnki morskie albo króliki? – pyta z przerażeniem korespondent.

– Wstrzykują im raka, tyfus, malarię, zabijają ich fenolem, sterylizują, podczas eksperymentów deformują im czaszki, nogi, ręce, piersi, a meldunki o rezultatach badań piszą pod abażurami z ludzkiej skóry.

Każde słowo Karola działa jak uderzenie w tył głowy. Korespondent mocniej ścisnął ołówek, zrobił kilka hasłowych notatek, po czym poprosił Karola, by powtórzył nazwiska lekarzy oraz ich stopnie w SS. Karol dyktuje, a Valér skręca pobrudzone papiery w zwitki.

Po raz pierwszy w tej dyskusji odezwał się mężczyzna z referatu finansowego.

– To jest straszne, nie do uwierzenia. Ludzki rozum tego nie obejmie. – Zapalił krótkiego papierosa i z ciemnym błyskiem w oczach dodał: – Trzeba coś uczynić przeciwko temu, ale, mój Boże, co i jak?

To pytanie zawisło nad stołem jak problem nie do rozwiązania. Karol ma wrażenie, że pod jego ciężarem wszyscy się skulili, zmniejszili, stali bardziej nieokreśleni i bezsilni. Co można zrobić? – zastanawia się prawnik i z tym pytaniem w oczach wpatruje się w korespondenta. Karol widzi jednak to pytanie w każdej twarzy i wręcz fizycznie czuje ciężar bezradności, jaka ogarnęła wszystkich w pomieszczeniu. W jednej chwili on i Valér zrozumieli: co mogą wskórać przeciwko olbrzymiej zbrodni, siedmioro ludzi, za którymi nie stoi niemal nic oprócz własnego sumienia? Z jakimi naiwnymi wyobrażeniami tu uciekali! Będą opowiadać, pokażą dowody, plany – a ludzie z sumieniem ruszą jak lawina, potną klatki z drutu kolczastego i wieże strażnicze, wyzwolą i nakarmią więźniów, dadzą im broń do ręki i wspólnie z nimi ukarzą zbrodniarzy.

Teraz już znaleźli się wśród nich, wśród ludzi z sumieniem, i opowiadają im, jak życzyli sobie tego Paweł, Wasyl, Adamek, Bolek, Filip, Tadeusz, wszyscy i wszystkie w klatkach. Opowiadają o wszystkim, przekonują i odpowiadają na pytania, i co teraz zrobi tych pięć osób? Dokąd pójdą i kogo o tym poinformują? Komu opowie to na przykład pani Ibi? Kobietom i mężczyznom z żółtymi gwiazdami na ubraniach, którym na razie w drodze wyjątku pozwolono tu zostać, albo tym, którzy ukrywają się w piwnicach, ale już jutro mogą zostać wepchnięci do pociągu i wysłani na rampę w Auschwitz? Kogo i ile osób mogą pobudzić w tym kraju, gdzie faszyzm przywdział sutannę, by pod nią służyć Hitlerowi z jeszcze większą pokorą? Przecież to śmieszne, odzywa się w nim ostry głos. Słowami szaleństwa nie pokonasz, słowami nie wygrasz z tym przerażającym

systemem zbrodni, do tego trzeba uzbrojenia i wojska, do tego jest potrzebna olbrzymia siła.

Przetarł oczy, powieki ma ciężkie, opuchnięte. Korespondent mówi coś po cichu do Vendelína, a pani Ibi równie cicho im odpowiada. No tak, pomyślał Karol, Szwajcar ma możliwości. Może zadbać o to, żeby całą prawdę o obozach koncentracyjnych poznały rządy w Londynie, Waszyngtonie, Moskwie i na całym świecie. A Vendelín przecież jasno zasugerował, że gdyby spisali raport o sytuacji w Auschwitz i Birkenau, można by go dostarczyć jakąś bezpieczną drogą do Moskwy. Vendelín jest zapewne komunistą, zastanawia się Karol, i ma kontakty z ludźmi kierującymi podziemiem, oni może potrafiliby jakoś przesłać raport do rządów krajów walczących z faszyzmem.

Na pytanie mężczyzny z referatu finansowego jeszcze nikt nie odpowiedział. Wciąż wisi ono w powietrzu, przygniata ich swoim ciężarem i pilnie domaga się odpowiedzi. Ciszę w końcu przerwał Vendelín:

– Możecie im zorganizować maszynę do pisania? Maszynę do pisania i papier!

Pytanie było skierowane do prawnika i okrągłego mężczyzny z referatu finansowego. Prawnik przytaknął, oczywiście, to drobiazg, rano mogą ją mieć.

– Wszystko, co nam powiedzieliście – instruuje Vendelín – i to, o czym może zapomnieliście, napiszecie nam ładnie po kolei. Umiecie pisać na maszynie?

Karol przytaknął.

– Napiszcie to w pięciu, sześciu kopiach. Nic, tylko gołe fakty.

Karol się uśmiechnął, a Valér przytaknął z ochotą. Tak, będą pisać dniem i nocą, napiszą to w dwa, trzy dni. Z twarzy okrągłego mężczyzny znikła pozorna ospałość, spojrzał na szwajcarskiego korespondenta i powiedział żywo:

– Wspaniały pomysł. W Szwajcarii postaramy się, by trafiło to w ręce Amerykanów albo Brytyjczyków.

– Na pewno... jeśli go tam przewiozę.

– Wczoraj wspominaliście o jeszcze jednym dowodzie – mówi Vendelín, a Karol od razu wyciąga z rurki zwiniętą etykietę i kawałek papieru zapisanego ołówkiem. Podaje to prawnikowi.

– Na etykietce są tylko pierwsze dwie części – opowiada. – Jak pan widzi, kawałek jest oderwany. Trzecia i czwarta część została dopisana ołówkiem, ale

słowo w słowo. – Spojrzał na ludzi przy stole i dodaje: – Takie naklejki były na każdej puszcze gazu.

Prawnik przygląda się przez chwilę naklejce, po czym czyta na głos:

1. Trujący gaz: DRP... (numer rozmazany)... Preparat cyjankowy. Przechowywać w chłodnym i suchym miejscu. Chronić przed słońcem i otwartym ogniem. DRP... otwierać i stosować może tylko przeszkolony personel. Cyklon.
2. Cyklon (znak towarowy TESTA), Tesch i Stabenow, Międzynarodowa Spółka ds. Walki ze Szkodnikami Sp. z o.o., Hamburg, Messberghof. Prawo wyłącznej sprzedaży na terytorium Rzeszy na wschód od Łaby, włącznie z terytorium Sudetów, Generalnego Gubernatorstwa, Komisariatu Rzeszy ds. Okupowanych Terytoriów Wschodnich oraz Danii, Finlandii i Norwegii.

Prawnik podaje naklejkę korespondentowi i dalej czyta z kartki:

3. Okres przydatności: trzy miesiące magazynowania u konsumenta.
4. Degesch. Cyklon. Zawartość cyjanku 1500 g. Produkt Niemieckiej Spółki ds. Walki ze Szkodnikami Sp. z o.o., Frankfurt nad Menem.

Kawałek naklejki i zapisana kartka, która zastępuje brakujący fragment, wędrują z rąk do rąk. Wszyscy trzymają je tylko koniuszkami palców, jakby się obawiali, że w kontakcie z ludzkim ciepłem świstki te mogą się przekształcić w mordercze kryształki. Unieśli głowy, w ich spojrzeniach widać bezradność i jakąś tragiczną obawę. W końcu prawnik się podniósł, a za nim też pozostali. Prawnik spojrzął na zegarek, już czwarta, powiedział, za chwilę zacznie świtać, ale nie żegna się i nie wychodzi, z odrętwiałą twarzą spogląda na Karola i Valéra, szuka słów, którymi pobudziłby ich nadzieje. Cokolwiek teraz im powiem, zastanawia się, będzie puste, tanie i może nie na miejscu. Rano przyślę im maszynę do pisania, spotkamy się za trzy dni, a potem zrobimy coś z tym raportem.

– Rano dostaniecie maszynę, a za trzy dni tu... – zaczął wreszcie, ale Valér mu przerwał.

Rozdrażniony wyskoczył zza stołu i z twarzą zmarszczoną od nagłej złości zaczął krzyczeć:

– Łatwo wam mówić, za trzy dni! Ale tam teraz wrzucają ludzi do ognia, a przez trzy dni zakatrupią ich tysiące. Zróbcie coś teraz! – Valér zbliżył się do prawnika,

a Karol szarpie go za rękę, nie krzycz, upomina go, jest noc, wszystko daleko słyhać. Valér jednak w amoku krzyczy dalej: – Zróbcie coś teraz! Słyszycie? Mój Boże, stoją jak słup soli! Pan, pan – wskazuje palcem najpierw na korespondenta i prawnika, potem na pozostałych – wszyscy pójdziecie do gazu, jeśli coś się nie wydarzy! Słyszycie?!

Nagle skulił ramiona, dziwnie się wygiął i całkiem roztrzęsiony opadł na krzesło. Pani Ibi stoi nad nim i czule do niego przemawia, niech pan się uspokoi, mój synu, zobaczy pan, wszystko dobrze się skończy, proszę się uspokoić, teraz proszę się położyć, już świta, proszę się uspokoić, wszystko będzie dobrze.

Gdy pomieszczenie opustoszało, pani Ibi zgasiła światło, otworzyła okno, a potem pomogła Karolowi odsunąć spod drzwi do łazienki wysoką szafę na lekarstwa.

Trzeciego dnia wieczorem w końcu przybył też pan Waren, łącznik Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Serdecznie przywitał się z Karolem i Valérem. Więc to są ci dwaj, spojrzał na prawnika, którzy pozbawili pana spokojnego snu.

Pan Waren jest wysoki i na pierwszy rzut oka sympatyczny. Porusza się sprężysto i naturalnie. Głos ma głęboki i dźwięczny. Ale już po kilku słowach pierwsze wrażenie blednie, sympatia dla niego znika, pozostają tylko nadmierna pewność siebie i podkreślanie własnego znaczenia. Karol i Valér dowiedzieli się, że pan Waren uczestniczył już w wielu rokowaniach, dzięki nim złagodzone cierpienia tysięcy ludzi. Uważa Międzynarodowy Czerwony Krzyż za armię, która bez broni, krok po kroku, zachęca walczące strony, a właściwie Niemców, by chociaż mniej więcej przestrzegały zasad tej okrutnej gry. Pisali raport przez trzy dni, z tego dwa aż do świtu, a już po pierwszych minutach rozmowy z panem Warenem wyrobili sobie opinię na temat poziomu jego kontrargumentów, ich bardzo wątpliwych źródeł. Należały do nich dementi ministra propagandy Rzeszy Goebbelsa, Urzędu Rzeszy do spraw Osadnictwa i Deutsche Arbeitsfrontu, odpowiedzi doktora Roberta E. Grawitza, członka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wysokiego rangą działacza Niemieckiego Czerwonego Krzyża, na rozmaite pytania z centrali międzynarodowej w Genewie. Obaj uciekinierzy byli wręcz zdumieni tą niezrozumiałą naiwnością, a Karol odniósł wrażenie, że pan Waren skupia się na przekonaniu ludzi przy stole, że należy wierzyć niemieckim władzom, skoro



zapewniają, że wszystko jest w całkowitym albo chociaż względnym porządku. Pan Waren wydawał się sugerować, że trzeba okazać pobłażliwość i cierpliwie czekać, aż problem przesiedlonych i porwanych będzie można postawić bardziej śmiało... Jeśli dobrze zrozumieli Warena, ten czas nadejdzie po inwazji Brytyjczyków i Amerykanów gdzieś w Europie. Potem Niemcy w obliczu nowego zagrożenia będą podobno o wiele bardziej uступliwi.

Dziwaczne poglądy Warena rozwiewały niemal wszelkie nadzieje, jakie Karol i Valér pokładali w tym spotkaniu oraz raporcie. Nie pomagała im nieobecność Vendelína ani to, że prawnik, korespondent, mężczyzna z referatu finansowego oraz pani Ibi przyjmowali zachowanie Warena z jakimś cierpliwym oddaniem. We dwóch napisali raport w sześciu kopiach i teraz oczekują na bardziej konkretne decyzje. Tymczasem ten nowy człowiek, choć – jak zrozumieli na podstawie wcześniejszych uwag – spędził całe przedpołudnie z prawnikiem, został więc już przynajmniej pobieżnie poinformowany o ich świadectwach, zmarnował niemal całą godzinę na opowieści o swoim spotkaniu ze szwedzkim hrabią Bernadottem, podobno omawiali kwestie jeszcze szerszej pomocy dla „europejskich przesiedleńców”. Następnie, rzucając od czasu do czasu okiem na pierwsze strony raportu, długo opowiadał o najróżniejszych akcjach Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, które – dosłownie tak powiedział – w wielu krajach okupowanej Europy łagodzą jeńcom i więźniom głód, zimno, brud, i wzbudzają w nich wiarę, że świat o nich nie zapomni. Karola przez cały czas nie opuszczało zdumienie, ponieważ ten atleta o gładkiej twarzy i gładkich słowach włożył wiele wysiłku w podkreślanie ofiarnej działalności bogatych panów z Czerwonego Krzyża, a za najważniejszy cel tej międzynarodowej organizacji uważał masowe przesyłanie paczek.

– Jeśli pan pozwoli – przerwał mu w końcu nerwowo Karol – mleko, herbatniki, pończochy i mydło nie pomogły tam jeszcze ani jednemu więźniowi. Mleko i herbatniki zżerają esesmani, w ubraniach chodzą bastardi, a mydłem myją się niemieckie kurwy. Mogę pana o coś spytać?

Zaskoczony pan Waren uniósł brew. Karol uznał, że to przyzwolenie.

– Jak długo wysyłacie do lagrów te paczki?

W odpowiedzi usłyszał, że już od ponad dwóch lat.

– Widzi pan! – Nie krył rozdrażnienia. – Przez te dwa lata spalono tam co najmniej trzy miliony tych... jak ich pan nazywa, przesiedleńców. I żaden Bóg się

nie doliczy, ile tysięcy zmarło z głodu, z zimna, w brudzie... we własnych odchodach. Wy tam przesyłacie mleko, a więźniowie piją wodę z tyfusem i dyzenterią. Wy macie spokojne sumienie, że robicie coś dobrego, tymczasem oni giną na wielką skalę. Wy przesyłacie pończochy, a esesmani strzelają i biczą na wpół zamrożonych więźniów za ściereczki na ropiejących ranach, gałgany znalezione na rampie albo w magazynie. A komu, do diabła, przesyłacie mydło, skoro tam ludzi... tysiące ludzi dziennie kąpią w cyklonie?

Pan Waren uniósł zadbaną rękę, ale nie powstrzymał potoku słów Karola. Mrugał i wydawał się zaskoczony, rozczarowany. Ten młody człowiek, deklarował jego wzrok, jest zbyt wybuchowy, w obecności damy powinien bardziej nad sobą panować. W końcu jednak lekko się uśmiechnął i pokiwał głową, mów, młody człowieku, łatwo sobie poradzę z tymi nieuzasadnionymi obwinieniami.

– Wasze paczuski – Karolowi płonęły oczy – nie przedłużyły ani o sekundę życia choćby jednego więźnia, nie uchroniły nawet przed zżerającymi nas wszami.  
– Delikatny, pełen wyrzutu uśmiech na twarzy Warena jeszcze bardziej go zirytował. – Niech diabli wezmą wasze akcje przesyłania paczek... Pożytek z nich ma tylko Rzesza! Jeśli chcecie pomóc więźniom...

– Dopuści mnie pan w końcu do głosu? – Waren przerwał mu bez uśmiechu.

– Jeszcze jedno panu powiem. Nawet gdyby dostawali te paczki, nie byłyby to żadna pomoc. Zdechnąć z nimi czy bez nich to żadna różnica. Oni nie potrzebują jałmużny. Zwróćcie im wolność! Opowiedzcie światu, co tam się dzieje, i zmuszcie Hitlera, żeby zlikwidował obozy koncentracyjne! Nie uspokajajcie sobie sumienia herbatnikami, gdy codziennie smażą się tam tony ludzkiego mięsa.

Waren z lekkim roztargnieniem wertuje miniaturowy notatnik. Naprawdę umie świetnie nad sobą panować. W jednej chwili zniknęły czerwien na policzkach i nerwowe ruchy palców. Gdy zaczął mówić, jego głos znów jest dźwięczny, gładki i pewny siebie jak wcześniej, można też wyraźnie poczuć, jak wielką wagę przypisuje swoim słowom.

– W tym roku dostałem od pana doktora Ernsta-Roberta Grawitza kilka listów. W tym na przykład... to list z lutego... Píše: „Niemiecki Czerwony Krzyż ma nadzieję, że akcje Międzynarodowego Czerwonego Krzyża będą jeszcze częstsze i że także dzięki nim jeńcy i przesiedleńcy doczekają końca wojny w warunkach jak najmniejszych wyrzeczeń...”. To napisał mi osobiście pan Grawitz... reprezentant Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

Valér oparł się łokciami o stół i trochę się uniósł.

– Ten Grawitz to Niemiec, prawda? – W jego głosie pobrzmiwa drwina. – I faszysta, gorliwy faszysta. Gdyby nim nie był, nie piastowałby tak wysokiej funkcji. O Hitlerze mówi „mein Führer”. Co innego może napisać taka świnia?

– Grawitz osobiście dogląda masowego tępienia ludzi w Auschwitz i Birkenau! – krzyknął wzburzony Karol. – Mój Boże, jeszcze nas pan przekona, że nas tam nie było i nic nie widzieliśmy albo że te obozy Hitler zorganizował po to, żeby panowie z Czerwonego Krzyża mogli nakarmić ludzi, którzy głodowali w domu.

Pan Waren wstał i przechadza się od ściany do ściany. Wydaje się, że po raz pierwszy brakuje mu w notatniku uwagi, cytatu z jakiegoś listu, przekonującego argumentu. Korespondent przygląda mu się z uśmiechem. Valér zwinął sześćdziesięciostronicowy raport i zdesperowany uderzył nim o stół.

– Grawitz to, Grawitz tamto. Ten raport pisaliśmy przez trzy dni! – wybuchnął zdenerwowany. – Jest w nim wszystko, cała historia. O transportach, rampach, piecach, esesmanach, o życiu więźniów w komandach i barakach. Możliwe, że liczba ofiar nie jest precyzyjna, pięćdziesiąt tysięcy mniej lub więcej. Ale napisaliśmy go dlatego, żebyście przeczytali go od razu i dali komuś, kto zamiast herbatników wyśle tam samoloty. Samoloty, rozumie pan? Zakatrupić esesmanów, roztrzaskać im koszary, piece, ogrodzenia, tory kolejowe, wszystko, co trzeba. Paczki są do niczego! Herbatnikami dogadzają sobie ludzie Himmlera. Nie wiem, co pan robi, ale musi pan coś zrobić, bo w przeciwnym razie będą tam teraz zwozić transporty z Węgier. A po nich znów Rosjan, Holendrów, wszystkich. – Twarz Valéra skurczyła się ze złości, ponieważ pan Waren ciągle jeszcze sprawdza w milczeniu rozmiar pomieszczenia. – Nie pojmuję pan tego? – podniósł głos. – Czego pan tu nie rozumie? Co jest dla pana niejasne? A może pana to nie dotyczy? Przecież jeśli nie zburzy się tych pieców, to przyjdzie kolej też na Szwajcarów i ich banki.

Pan Waren zatrzymał się i uśmiechnął pobłaźliwie.

– Widzi pan wszystko w przesadnie czarnych barwach, młody człowieku. – Potem jednak zadrżał słabiutko, jakby nagle zrozumiał, co umknęło mu w poprzedniej chwili. Spojrzał na twarze przy stole i wymamrotał: – To niemożliwe, przecież to jest niemożliwe.

Spojrzenia korespondenta, prawnika, mężczyzny z referatu finansowego i pani Ibi mówią coś przeciwnego i pan Waren w końcu usiadł ciężko. Zmuszając się do powściągliwego spokoju, zaczął czytać obszerny raport.

Wszyscy czytają, przewracają strony. Pan Waren od czasu do czasu robi notatki na wąskich marginesach.

26 marca 1942 przywieziono 1000 żydowskich dziewczyn ze Słowacji.

30 marca 1942: 1112 więźniów z Paryża.

W czerwcu 1942 zginęło w komandach roboczych w Auschwitz i Birkenau do 4000 osób.

Waren przewraca kolejne strony.

17 lipca 1942 otwarto w obecności Himmlera drugi bunkier do gazowania.

Karol uważnie przygląda się twarzy Warena czytającego raport. Jest nieruchoma, odrętwiała, nie zdradza żadnego poruszenia.

Od 15–17 sierpnia 1942 zagazowano w bunkrach 1 i 2 osiem tysięcy Żydów z Sosnowca.

Waren w końcu uniósł głowę, na gładkim czole pojawiła się zmarszczka.

– Te dane – pyta – czy te dane są wiarygodne?

– Zostały przepisane z księgi ewidencyjnej, z notatek na wydziale politycznym, część dali nam chłopcy z krematoriów, są to też własne zapiski z rampy i obozu – wyjaśnia Karol. – Są prawdziwe, ale niepełne. Mówią tylko o dużych transportach i dużych selekcjach. Nie ma tu ofiar, które w grupach po kilkadziesiąt lub sto osób przywożono tam autami lub pędzono na piechotę, ani tych, które zabijano strzałami i zastrzykami.

Im dłużej pan Waren czyta, tym transporty są gęstsze, liczba ofiar idzie już w setki tysięcy. Półtorej godziny później wstał i otworzył okno, strasznie tu duszno, mówi, i spogląda przepraszająco na panią Ibi, po czym rozpina kołnierz koszuli i rozluźnia krawat. Po chwili wrócił do raportu i przez następną godzinę nie odezwał się ani słowem.

21 stycznia 1943 zabili około 1600 Żydów z getta w Terezynie.

28 lutego 1943 selekcja w obozie kobiecym. Zagazowali ponad tysiąc więźniarek.

24 marca 1943 zabili ponad dwa tysiące Żydów z Salonik.

29 sierpnia 1943 selekcja w obozie męskim. Wybrali ponad cztery tysiące więźniów.

7 października 1943 zagazowano 1260 dzieci z Terezína i około 50 opiekunów, którzy przyjechali z nimi do obozu.

8 marca 1944 zlikwidowano 3800 Żydów z terezińskiego obozu rodzinnego, resztę z transportu z 8 września 1943. Pozostawiono tylko kilkoro dzieci, bliźniaki, na eksperymenty.

Waren spochmurniał, a jego duszę przeniknął mróz. Te fakty są przerażające, cały raport jest straszny przez swoje suche i chłodne wyliczanie ofiar. Zapalił kolejnego papierosa i czyta nazwy obozów należących do administracji Auschwitz, ponad trzydzieści podobozów. A potem nazwiska esesmańskich dygnitarzy: Höss, Aumeier, Liebenhenschel, Schwarzhuber, Kaduk, Bischoff, Moll, Grabner, Boger, Palitzsch, Stiewitz, Schneider, Buntrock, Perschel, Lausmann, Baretzki... Przy kobietach: Hössler, Mandl, Drechsler... Lekarze Thilo, Mengele, Wirths, Clauberg, Brode, Schumann... Koszary esesmanów, magazyny, rampy, krematoria, psiarnie, system wież strażniczych. Na końcu raportu wykaz ofiar według narodowości...

Pan Waren otarł chusteczką czoło i odsunął od siebie straszny dokument. Patrzy na niego z przerażeniem, czeka, aż wszyscy skończą czytać. Co się w nim dzieje? – zastanawia się Karol. Czy uwierzył? Będzie miał jakieś zastrzeżenia, zarzuty? I co zaproponuje? Ach, może nic albo coś obieca, żeby ich uspokoić, ale nie wywiąże się z obietnic. Ale czemu miałyby się nie wywiązać? Trzy miliony niewinnie zamordowanych nie mogą przecież nikogo pozostawić obojętnym. Jest tu jeszcze korespondent. Prawdopodobnie opublikuje ten raport w prasie i przekaże go Brytyjczykom i Amerykanom w Szwajcarii. Choć nigdy nie wiadomo, może tego nie zrobi. Wielu ludziom wydaje się przecież, że ognia w oddali nie trzeba gasić, bo bezpośrednio im nie zagraża. No i jeszcze Vendelín, który na pewno raport... Gdzie właściwie jest Vendelín? Czemu do tej pory nie przyszedł? Vendelín na pewno ich nie zawiedzie, przyjdzie jutro, właściwie dziś, bo minęła już północ.

Wszyscy skończyli czytać. Po opowieści Valéra i Karola sprzed trzech dni pozostały w nich tysiące pytań i wątpliwości. Wiele twierdzeń uważali za przesadzone, podyktowane chęcią przekonania ich o potrzebie natychmiastowej interwencji, a także nienawiścią do ludzi, którzy zadali im tyle cierpienia. Dziś jednak te zwięzłe i uporządkowane na chłodno dane o najbardziej sadystycznym zabijaniu i ograbianiu wstrząsnęły nimi do szpiku kości. Przed trzema dniami rozstali się zakłopotani, przygnębieni i smutni, lecz emocje te łagodzili nadzieją, że przecież nie może tam być aż tak strasznie. W wiele szczegółów uwierzyli, ale sporo nie zrozumieli, ponieważ nie mieściło się to w ich wyobraźni. Ten rzeczowy raport, złożony z setek suchych i okrutnych faktów, zmazał większość znaków zapytania i rozwiązał niemal wszystkie wątpliwości. Wreszcie plan kompleksu Auschwitz, który teraz przedstawił Valér, żeby nie dać im ani chwili na poszukiwanie tysięcy „dlaczego” i „jak” ani na wyciąganie najróżniejszych berlińskich i ludzkich dementi, ukazał im widok na całą maszynę zabijania, zorganizowaną ze szczegółową niemiecką precyzją.

– To jest Auschwitz – Valér pokazuje palcem na amatorsko narysowanym planie – a to jest Brzezinka-Birkenau. Tu płynie Wisła, a tu Soła. Tu są koszary SS... willa dowódcy... budynek sztabu... Proszę popatrzeć, to jest dworzec kolejowy... ślepy tor... rampy... Stąd maszerowali do łaźni, tu się rozbierali... To są te cztery krematoria, gdzie pracuje Sonderkommando. To są magazyny, a tu był ten olbrzymi dół. Tam jest obóz kobiecy, a to są obozy męskie... magazyny... łańcuchy straży... psiarnie... Rozumieją państwo? I tu gdzieś jest ta mordercza Buna koncernu IG Farben. Czy to jest dla was wystarczająco jasne? Widzą państwo, jakie to wszystko jest przemyślane? Proszę powiedzieć, czy jest to dla was jasne?

Amatorski plan okazał się przekonującą wizualizacją wyrafinowanego przemysłowego systemu zabijania, strasznego łańcucha precyzyjnie powiązanych ze sobą obiektów, potwornego pasa śmierci z krótką procedurą od ramp do komór gazowych i pieców oraz trochę dłuższą procedurą od ramp do klatek czy bloków, a stamtąd do komand i potem do trupiarni albo z komand do bloków i po selekcji pod prysznic gazowy. Przygnębienie i smutek pozostały, natomiast zakłopotanie ustąpiło miejsca męczącemu niepokojowi i poczuciu współprzynależności do ludzi, których faszyści z zimną krwią tak dręczą i zabijają.

– To jest trasa naszej ucieczki. – Valér położył na stole kawałek kartki. Po krótkim objaśnieniu dodał: – A to są nasze numery! Tyle wystarczy? – Podciągnął

rękaw, Karol zrobił to samo. – Czy to państwu wystarczy? Czy jest to dla was wystarczająco zrozumiałe?

Pani Ibi, blada jak kreda, ściska raport w zaciśniętych palcach. Mężczyzna z referatu finansowego potrząsa głową, wydaje się, że przepędza obrazy, które raport w nim wywołał.

– Niewiarygodne – szepnął zdruzgotany. – Co zrobić? Powiedzcie, co zrobić?

Korespondent jest osowiały, nie ma pytań. Przed trzema dniami interesowały go różne sprawy, a dziś doskonale rozumie, czemu na jego naiwne, głupie pytania odpowiadali tak nerwowo, uszczypliwie i z oburzeniem. Czasami musieli przecież odnosić wrażenie, że lekceważy ich wielkie cierpienia jak ignorant. Bez względu na zdanie Warena, bez względu na rezultat, spróbuje dostarczyć raport do swojego kraju i postara się, by trafił do jakiegoś przedstawicielstwa dyplomatycznego. Z pewnością jednak byłoby lepiej i przyniosłoby to większy pożytek, zastanawia się dalej, gdyby też Międzynarodowy Czerwony Krzyż oficjalnie zapoznał z raportem wszystkie kraje zaangażowane w wojnę i państwa neutralne.

Pan Waren się zamyślił. Jego twarz już nie jest chłodną maską, można z niej wyczytać wszystko, co dzieje się w jego duszy. Przedpołudniowa rozmowa z prawnikiem wprawdzie wzbudziła w nim zainteresowanie, ale potem, kiedy przemyślał ją w samotności, stwierdził, że spotka się prawdopodobnie z dwoma wykolejonymi psychicznie młodzieńcami i z ich słów łatwo oddzieli mnóstwo przesadnych kłamstw od naiwnych prawdopodobieństw. W tej opinii umacniał się także na początku dzisiejszego spotkania, ale jednocześnie przekonywał się, że rozmawia z całkiem normalnymi ludźmi. A później, podczas lektury raportu, stopniowo jego kontrargumenty zniknęły i pozostało tylko własne niedowierzanie, nieoparte niczym innym niż nieumiejętnością zrozumienia albo znalezienia motywu oburzających zbrodni. I jeszcze listy od doktora Grawitza, wysokiego rangą działacza Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Ale te listy były właściwie mgliste, niczego nie tłumaczyły, Niemiecki Czerwony Krzyż troszczy się... i tym podobnie, ich autor do konkretów przechodził wyłącznie wtedy, gdy nienatrętnie domagał się zorganizowania kolejnych akcji przesyłania paczek. Pan Waren został zatem bez argumentów i przepełniają go uczucia, jakich do tej pory nie znał. Myśl o tym, że trzeba będzie zająć zdecydowane stanowisko i podjąć działania przeciwko tej strasznej zbrodni, wręcz go przeraża, bo dostrzega niezmiernie

komplikacje. Z łokciami na stole i głową w dłoniach spojrzął na prawnika. Wszyscy czekają na jego słowa.

Waren wyciągnął z kieszeni na piersi dwie kartki. Karol z Valérem poderwali się, bo dobrze je znają.

– W raporcie stwierdzają panowie, że transport tereziński zlikwidowano ósmego marca czterdziestego czwartego roku. Tu są kartki od dwóch Żydów z tego transportu, z Birkenau bei Waldsee... Na obu jest pieczętka z końca marca. Jak to wytłumaczycie?

– Musieliśmy pisać takie kartki, przeważnie bez daty, uzupełniali ją potem esesmani. Pisali je też ci, którzy za dzień, dwa mieli iść do gazu – wyjaśnia Karol.

Znowu dopada go pytanie: czemu nie wziąłem z sobą kartki od van Cohena? Czemu oddałem ją Kaczmarkowi? Teraz łatwo mógłbym udowodnić, że ich treść jest podobna jak dwie krople wody. Och, drogi Pawle, skąd wiedziałeś, że trudniejsze od ucieczki z tego piekła będzie przekonanie ludzi, by nam uwierzyli? Żeby zrozumieli, że należy od razu działać.

– Jeśli pan chce, mogę powiedzieć, co mniej więcej jest na tych kartkach. „Za kilka dni mamy stąd wyjechać. Jesteśmy razem, a dzieci są zdrowe. Dziękujemy za pozdrowienia i paczkę. Mamy nadzieję, że wkrótce się zobaczymy...”. Albo: „Jeszcze nie przydzielono nas do pracy, ale będziemy pracować w swojej branży. Nie martwcie się, czujemy się dobrze”. Coś w tym rodzaju?

Wszyscy pochylają się nad kartkami i są zaskoczeni, właśnie tak jest, mamrocze prawnik, już wcześniej widział takie kartki, to jest straszne, wręcz diabelsko przemyślane.

– Jeśli panowie pozwolą, zadam jeszcze parę pytań. – Głos Warena znów brzmi dźwięcznie, ale już nie tak gładko i melodyjnie.

Waren wypytuje dobre pół godziny, a Karol i Valér cierpliwie odpowiadają. Pytania nie są nieinteresujące, podczas odpowiedzi korespondent od czasu do czasu bierze do ręki wieczne pióro.

– W ubiegłym roku za zgodą doktora Goebbelsa wysłaliśmy do obozu komisję. Miała zweryfikować, czy informacje zagranicznych rozgłośni, zwłaszcza o Birkenau, są prawdziwe. I ta komisja...

– Nie wróciła, prawda? – przerwał mu Karol. – Tak, taka komisja była w Auschwitz. Myślę, że pod koniec lata czterdziestego trzeciego. Tego dnia



w małym krematorium w Auschwitz nic się nie działo. Ale u nas w Birkenau ostro gazowali. W Auschwitz na potrzeby komisji na pozór wszystko było w porządku. Możliwe, że jakiś więzień coś szepnął tym ludziom, bo bardzo się upierali, że chcą zobaczyć też Birkenau. No i w Birkenau zlikwidowali komisję, a potem rozgłosili, że miała wypadek samochodowy, utopiła się w Wiśle czy coś podobnego. Chłopcy z Sonderkommando dobrze jednak wiedzieli, kogo wrzucają do pieca.

Chwila ciszy.

– Wiecie, ilu spośród zmarłych było Żydami?

Karol się zastanawia.

– Na pewno sporo. Może półtora miliona albo i więcej. Ale nie rozumiem... tego pytania. Auschwitz przecież nie zbudowano dla Żydów. Ich zabijają też w chałupach, za stodołami, w lasach, w gettach, gdzie tylko znajdują. Do Auschwitz przywożono wszystko, co było dla nazistów niewygodne, co stało im na drodze, także Żydów, także komunistów. I z wielkim zaangażowaniem też Słowian. Ale na Słowianach, jak już państwo wiecie, się nie skończyło. Niebawem przyjdzie kolej na Węgrów.

– Skąd pan wie, że teraz będzie kolej na Węgrów?

– To nie było tam żadną tajemnicą. W marcu i kwietniu kończono bezpośredni tor od rampy do krematoriów. Już wówczas esesmani zacierali ręce i cieszyli się na węgierskie smakołyki, kielbasę, słoninę i wino. Mówiło się nawet o szybkiej likwidacji pół miliona Węgrów, naturalnie w pierwszej kolejności Żydów.

Znów pauza.

– Dziękuję, to wszystko – powiedział pan Waren słabym głosem.

Karolowi wydaje się, że stał się całkiem bezradny.

– Co zrobicie? – pyta Valér. – I kiedy to zrobicie?

Pan Waren znów trzyma głowę w dłoniach.

– Co teraz zrobicie? – znów wypalił Valér.

Pan Waren uniósł głowę, czoło ma pomarszczone, usta zaciśnięte.

– Co zrobicie z tym raportem? – powtarza Valér. – Powielicie go? Wykorzystacie na ulotkach? Wyślecie go w świat, czy... Dokąd możecie go przekazać?

Pan Waren zapalił papierosa. Wypuszcza obłoczek dymu.

– Spróbujemy zrobić wszystko, żeby trafił w ręce odpowiedzialnych Amerykanów – mówi z powagą. – Spróbujemy uzyskać obietnicę, że będą negocjować, by Niemcy powstrzymały...

– Nie negocjujcie, z mordercami nie negocjujcie! – krzyknął z przerażeniem Karol. – Okłamią was! Na morderców samoloty, rozumiecie? Samoloty i bomby. I zniszczyć wszystko, koszary, krematoria, wszystko. Tak, przekażcie go Amerykanom – mówi szybko, oczy błyszczą mu gorączkowo. – Anglikom też. Dajcie go też wszystkim rządowi emigracyjnemu. A Vendelín niech wyśle go do Moskwy.

Korespondent przytakuje. Tak, zrobi wszystko, żeby raport dotarł w ręce zachodnich aliantów. Oprócz tego, jeśli tylko sytuacja polityczna na to pozwoli, jego gazeta też o tym napisze. A gdy pan Waren z całą powagą również obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, pozostali odetchnęli.

Karol trzyma w ręce raport odłożony dla Vendelína i wpatrując się w prawnika, pyta:

– Będzie pan widział się dziś rano z Vendelínem?

Prawnik wstał, a Karola ogarnęły złe przeczucia.

– Vendelín... Nie czekajcie na Vendelína – powiedział cicho. – Nie chciałem was od razu martwić, ale... wczoraj w porze obiadowej zatrzymano go wraz z kilkoma osobami. – I dodał: – Miejmy nadzieję, że to nie będzie nic poważnego, że faszyci tylko zabezpieczają się przed pierwszym maja. Miejmy nadzieję...

Wzrok Karola zasnuła mgła. Zamknięto Vendelína! Vendelína, który na pewno przekazałby raport w odpowiednie ręce! Przez moment był bliski omdlenia. Słyszy przekleństwa Valéra. Gdy oprzytomniał, prawnik położył na stole dwa dokumenty, jeden ze zdjęciem Karola, a drugi – Valéra.

– Pan nazywa się teraz Jozef Vicen – powiedział cicho do Karola. – A pan – spojrzał na Valéra – Ján Vrbský. W południe pojedziecie w nowe miejsce.

Ciemny kwadrat okna jaśnieje od świtu, daleko na stacji przenikliwie zawyła lokomotywa. W pokoju nastąpiła tak głęboka cisza, jaka panowała tu w lipcu 1942 roku, gdy z tego domu wyjechali do rodzin wszyscy starcy i wszystkie staruszki, by z bliskimi przeczekać trudny czas.

## Ludzka wyobraźnia ma granice

Lipcowy dzień, omdlewający upałem, zakończył się krótkim, cichym deszczykiem. Powietrze jest świeże, intensywnie nasycone zapachem ogrodów, winnic, łąk i pobliskich lasów. Na ciemne gwiazdzone niebo księżyc jeszcze nie wyrzął. Z odległego centrum miasta dobiega niezrozumiała mieszanina dźwięków; zanika w silnym szumie, gdy od strony lasów przez łąki, winnice i ogrody skacze wiaterek i zatrzymuje się na rozgałęzionych lipach w ciemnej ulicy. Zawsze, gdy się unosi, na ulicy między drzewami zaczyna się kołysać skąpe niebieskawe światło latarni. Wisząca na drucie lampa zaskrzypiała, Jozef szybko uniósł wzrok znad radioodbiornika i spojrzął na ciemne okno.

– To lampa, Joško – mawia do niego w takich chwilach Horňáček, krępy mężczyzna o kanciastej twarzy i spokojnych oczach pod rzadkimi brwiami, właściciel tego niewielkiego domku na peryferiach. – Będzie pan chyba do śmierci tak się podrywać.

W pokoju pomalowanym jasną farbą są jeszcze Vinco i Michal, codzienni goście Horňáčka. Siedzą pochyleni tuż przy radioodbiorniku, który syczy, charczy i piszczy. Tylko od czasu do czasu da się wyłapać przerywane słowa. Horňáček pochylił się nad aparatem i ze skupioną twarzą próbuje wyłowić z tego pisku i charkotu jakiś zrozumiały tekst. Nagle wszyscy zwiększają czujność.

„Drodzy słucha... w Czech... ogłaszamy... nadzwyczajną informację...” – słyszą z głośnika, ale kolejne słowa od razu zaginęły w szumie i pisku, w dodatku wmieszała się do niego jakaś muzyka. I po chwili: „Tu wolny nadajnik... nadzwyczajna wiado... titi... siii... dziś...”.

– Kurczę, zaraz go kopnę – złości się Horňáček. – Akurat teraz musi charczeć jak zarzynana świnia!

– Niech pan spróbuje na innej fali – proponuje Jozef.

Horňáček ostrożnie stroi radio. Nadzwyczajna informacja! Byle tylko nie jakiś zamach stanu w Niemczech! Albo... kapitulacja? Co to może być?

Z nowej częstotliwości słowa płyną wyraźniej i gęściej. Jozef podsunął sobie krzesło, a Hornáček aż przycisnął ucho do odbiornika.

„...mieccy faszyści latami wyrafinowanie maskowali... mimo to... nie udało... ukryć niewiarygodnego okrucieństwa i masowych mordów... najstraszniejsza zbrodnia... historia ludzkości... w pobliżu polskiego Oświęcimia... naziści... olbrzymi kompleks obozów koncentracyjnych. W jednym z nich... Birkenau... murowane krematoria... Żydów ze zniewolonych i zajętych krajów w tych... gazem i palą... dwaj naoczni świadkowie, młodzi słowaccy więźniowie, którym... po dwuletnim internowaniu z obozu, przekazali porażające i... dowody niesłychanej zbrodni... historia...”

Odbiornik znów stuka i charczy. Jozef oderwał zaaferowaną twarz od aparatu i spojrzał najpierw na Hornáčka, a potem na Michala i Vinca. Mój Boże, pomyślał, gwałtownie oddychając, ten raport... Raport w końcu ujrzał światło dzienne! W końcu świat o nim usłyszał! Po trzech miesiącach! Michal siedzi z otwartymi ustami, a Vinco nerwowo łamie kolejne zapalki w długich i silnych palcach.

– Ja go zaraz... – przeklina Hornáček, ale od razu zamilkł, bo charczący szum ustał i znów słycać słowa.

„...czterdziestego drugiego do kwietnia tego roku uśmiercili... kompleksu Auschwitz już ponad trzy miliony ludzi...”

– Cooo? – Policzki Michala jeszcze bardziej zbieleły.

– Zamilcz! – złości się Hornáček. – Bądźcie cicho i słuchajcie!

„...w ostatnich tygodniach cztery transporty dziennie... dnia zamordują aż dziesięć tysięcy ludzi... dowody, że... jeszcze większe mordowanie... wilnej ludności... chrr... sisisi... tititi... z tymi dokumentami bliżej... po naszych regularnych wiadomościach... Śmierć faszyzmowi...! Tititi... crrr... Hallo, hallo... *radio Alger... radio... vous allez... vous allez écouter... tisi...*”

Hornáček wyłączył radio. Jozef obserwuje ich w napięciu. Wszyscy trochę się odsunęli, jakby w tej skrzyneczce krył się ładunek, który w każdej chwili może wybuchnąć. Są zaskoczeni, przerażeni. Każdemu cisną się na język słowa, ale milczą, usta mają nieruchome. Ponad trzy miliony zamordowanych! – Hornáček analizuje słowa spikera. Dziesięć tysięcy ludzi dziennie! Mój Boże, to przecież niewiarygodne, myśli i nerwowo odpala papierosa. Po czym spojrzał na Jozefa i w końcu odezwał się stłumionym głosem:

– To jest... to jest niewiarygodne! Przecież to musieliby być szaleńcy, a nie normalni ludzie. Ci, co zabijają, i ci, którzy pchają im karki pod nóż.

Michał zamrugał oczami, tak, to prawda, coś takiego mogą uczynić tylko szaleńcy. Vinco przestał już łamać zapalki, po tej wiadomości zeszło z niego całe powietrze. Trzy miliony ludzi! Przecież to jest tyle, ile... naród słowacki. Vinco poczuł dreszcze, zatrzęsł się, a potem także on spojrzał na Jozefa, jakby oczekiwał od niego jakichś uspokajających słów.

– To niewiarygodne – powtarza Horňáček cicho. Zacisnął ręce tak mocno, aż palce mu zsiniąły.

Jozef wstał raptownie, a Horňáček, Vinco i Michał dostrzegli błyszczące od gorączki oczy i wychudłą twarz ściągniętą niezrozumiałym bólem.

– Jožko, co panu jest? – spytał z troską Horňáček. – No tak, ta wiadomość... to nie jest drobnostka. Ale może to nie całkiem tak. Wie pan, trwa wojna, w jej trakcie nie dba się tak bardzo o prawdę.

– Może to tylko propaganda – przytakuje Michał.

Jozef się zachwiał, zamknął na moment oczy, musi oprzeć się o krzesło.

Gdy chwila słabości minęła, usiadł i podparł głowę dłońmi. To niewiarygodne, uznali Horňáček, Michał i Vinco. Widział to na ich twarzach, oni naprawdę nie uwierzyli. Może to tylko propaganda, powiedział Michał, a Horňáček i Vinco przytaknęli. Jozefa przepelniają ból, niepokój i smutek. Tak reagowali niemal wszyscy, którzy pomagali mu po wyjeździe z Żyliny, u których po parę dni nocował i jadł. Tak albo podobnie, ale przez całe trzy miesiące nie spotkał ani jednego człowieka, który przyjąłby wieści o masowych mordach w obozach koncentracyjnych bez zastrzeżeń i uwag o propagandzie. Jeśli przez cały czas zakładał, że to niedowierzanie zniknie, gdy raport z Żyliny dotrze do świata dzięki prasie lub radiu, teraz miał okazję się przekonać, że potworność tych zbrodni jest naprawdę niewiarygodna.

– Jožko, co panu jest? – znów pyta Horňáček.

Głos Horňáčka dobiega do niego słaby, stłumiony. Uniósł głowę, widzi, że obserwują go zmartwieni. Nawet oni nie wierzą, nikt nie chce wierzyć, przemknęło mu przez rozpalony umysł i zbiera mu się na płacz.

– Głowa, trochę głowa mnie rozbolała – wydusił z siebie. – Myślę, że to od żołądka.

Co im powiedzieć? Jak wytłumaczyć, co czuje w tej chwili? Jakimi słowami przekonać, że usłyszeli czystą prawdę? Jak opisać straszne cierpienia, bezgraniczne nieszczęście? Śmierć tylu starców, kobiet, dzieci, mężczyzn? Jakimi metodami unaocznic im straszną nędzę tysięcy ludzi, którzy ciągle jeszcze harują tam we krwi, w pocie i moczu i których dniem i nocą naziści nadal zwożą w transportach? Jak, skoro ludzka wyobraźnia ma granice?

Ilu ludzi usłyszało tę wiadomość? Ilu z nich mogła przekonać? Ilu uwierzyło? A ilu powiedziało: „To niewiarygodne... ale czy to rzeczywiście Niemcy?”. Ilu ich mogło być? Och, pragnie, by uwierzyli wszyscy, całe to miasto, cały świat!

Hornáček postawił na stole kieliszek wódki.

– Niech się pan napije, Jožko! To dobrze robi na żołądek.

– Dziękuję. – Wypił do dna.

Hornáček kiwnął głową w stronę radiodbiornika i spytał:

– Co pan o tym myśli, Jožko?

Jozef milczał. W końcu odezwał się Michal. Mówi powoli, ledwo poruszając cienkimi wargami.

– Ja coś tam słyszałem, od sąsiada. Ale to było jeszcze w czterdziestym drugim, kiedy zaczęli stąd wywozić Żydów. A ten sąsiad, kolejarz, powiedział mi tylko tyle, że nic dobrego ich w tych obozach na pewno nie spotka.

– Na robotach podczas wojny, i to na dodatek za granicą, to naprawdę nie jest nic przyjemnego – dodał Vinco.

Jozef zacisnął usta. Ciało oblała fala gorąca i na chwilę przytępiła zmysły. Na robotach, tak mówią niemal wszyscy. Czemu naziści mieliby zabijać ludzi, skoro biorą ich do pracy? Z martwych przecież nie ma pożytku. Słowa „na robotach” przeniknęły mu do serca i mózgu jak rozżarzone igły, w gardle czuje duszący ucisk. Już kiedyś doświadczył podobnego stanu, ale to było daleko stąd, a transporty ludzi zmierzały ku niebu w niekończących się kłębach dymu.

– Ja też słyszałem, że im się tam za bardzo nie powodzi. – Hornáček znów nalał do kieliszka. Zamilkł, przypomniał sobie wielu Niemców, których spotkał dawno temu. Jedli jak on, śmiali się, przeklinali, spali, chrapali, tańczyli, wszystko robili jak on, normalnie, przyzwoicie. A teraz żeby takie rzeczy? – Słyszałem, słyszałem, ale nigdy mnie to bardzo nie martwiło, bo wszędzie się mówiło i pisało, że Żydzi jadą tylko na roboty!

– Ach, do diabła! – Jozef gwałtownie rozłożył ręce.

Spojrzeli na niego zdumieni.

– Na roboty! Że niby tylko na roboty!

– No tak – powiedział Vinco. – Każdemu wydawało się dziwne, że biorą też dzieci, kobiety, a nawet kaleki. No, ale po co by ich zabijali? W czym mogliby im przeszkadzać tacy... to znaczy, nie żołnierze? A jeśli to jest prawda, nie daj Boże, co zrobiliby z tyloma martwymi? Co? Trzy miliony ludzi, przecież to nie jest igła, która zniknie w stogu siana.

Jozef go rozumie, Vinco potrzebuje jasnych słów. Chce mieć pewność na temat faszystów. Chce znać odpowiedź na pytanie „DLACZEGO?”. Zdaniem Vinca oszaleć mogą naraz dwaj, trzej ludzie, nawet grupa, ale nie mogą oszaleć miliony. Czy może oszaleć, stracić rozum, rozsądek i człowieczeństwo niemal cały naród jednocześnie? Czy szaleńcy mogą ustanawiać prawo, rządzić, konstruować przemysłne maszyny i sterować nimi, handlować, liczyć, budować fabryki, pałace, drogi, tworzyć powieści i wiersze, tańczyć i śpiewać? Przecież to niewiarygodne, do takich czynów człowiek potrzebuje czystej, zdrowej głowy, talentu, ludzkich uczuć. Kim zatem są, jeśli nie szaleńcami, jeśli te wiadomości o strasznych zbrodniach i torturach są prawdziwe? Kim są? Jak to rozumieć?

Jozef domyśla się, co oni czują. Vinco naprawdę nie może wiedzieć, jak wygląda krematorium, część morderczej maszynerii Auschwitz. Nie mogą o tym wiedzieć też Horňáček ani Michal.

– Niech pan nam nic o tym nie mówi, Jožko – zwraca się do niego Horňáček. – Z takimi myślami człowiekowi trudno jest zasnąć.

Jozef zdobył się na uśmiech. W tym domu był już sześciokrotnie i za każdym razem przyniósł im nowiny. Raz o froncie, kiedy indziej o Niemczech, nieszczerzej polityce zachodnich aliantów, a podczas jego ostatniej wizyty długo zwierzali się ze swoich wyobrażeń o powojennym świecie. Dziś jednak, po tej wiadomości w radiu, chciałby im powiedzieć coś innego, żeby zrozumieli, uwierzyli i poszli spać z nienawiścią w duszy. Ale jak im to powiedzieć? Będą domagać się dowodów. Pewnie nie uwierzą w numer. Bo czy to jest przekonujący dowód? Ktoś ma wytatuowany numer, ktoś inny na przykład węża, jeszcze inny kotwicę, serce czy kobiecą głowę. Jaki to jest dowód?

Zapalił papierosa, zaciągnął się powoli i wypuścił dym, po czym powiedział:

– Kiedyś wam... przyprowadzę człowieka, który widział to wszystko i przeżył. Może niedługo... Na pewno go tu przyprowadzę. Tylko nie dajcie się nikomu zbałamucić i w tę wiadomość... uwierzcie w tę wiadomość, to jest prawda, każde słowo to prawda.

Zamilkł, dostrzegł przed sobą zeszywniałą twarz Vinca. Vinco Marenčík jest kierowcą. Codziennie kontroluje samochód, żeby przez cały dzień jeździł bez usterek i bezpiecznie. Poczciwy człowiek, muchy by nie skrzywdził. Gdy wraca z pracy do domu, zazwyczaj ma w ręce torebkę tanich cukierków i przez chwilę idzie otoczony rozszczebiotanymi dziećmi. Jest szczęśliwy, gdy może pocieszyć człowieka choćby dobrym słowem. Zna swoje miasto jak własną kieszeń, za nic na świecie nie zamieniłby go na inne ani nie opuścił. Jak taki człowiek miałby sobie wyobrazić, że po milionach ludzi pozostała tylko garstka popiołu, lekkiego szarego pyłu?

Michał Juhas w wieku czternastu lat został inwalidą. Widział sporo świata. Może kiedyś był twardym człowiekiem, ale teraz jest miękki, wrażliwy i uległy, nawet jeśli w jakiejś sprawie ma rację, woli ustąpić, zamiast się kłócić i przekonywać. Pracuje jako ogrodnik. Dbą o sady, parki, pieści się z każdym kwiatkiem i roślinką. Jest mu bardzo przykro, gdy niegrzeczne dziecko zniszczy w parku tulipana, i jest mu równie przykro, gdy musi wyganiać dzieci z parku. Jak ten miłośnik dzieci i kwiatów ma zrozumieć i uwierzyć, że parę kilometrów za granicą Niemcy niszczą zastrzykami i gazem te najdroższe i najcenniejsze kwiaty – dzieci? Wiele z nich widział dokazujące w parku. Jak?

Matej Hornáček jest mistrzem stolarskim. Nigdy jeszcze nie wyjechał z miasta, nie trzymał broni w ręce. Człowiek pracy. Od rana do późnego wieczora pochyla się nad heblem, piłką, młotkiem i klejem. Ma dwójkę małych dzieci, jeśli zdarzy mu się wrócić z pracy wcześniej do domu, sam układa je do snu. Zna trzy czy cztery bajki o odwadze, dobrym sercu i szczęściu, które wynagrodzi każdego, kto miłuje prawdę, i tymi opowiastkami zazwyczaj usypia swoje maluchy. Trudno wymagać, by także Hornáček uwierzył, że jacyś ludzie chcą odebrać bajki wszystkim niemieckim dzieciom, systematycznie wychowują własne dzieci na przyszłych morderców ludzi, których nie zdążyli zamordować oni, rodzice.

Jozef wziął głęboki oddech i zacisnął szczęki. Otarł palcami czoło, skronie, zamknął oczy. Ale nie można odpędzić apokalipsy.

– Chce pan jeszcze kieliszek? – proponuje Hornáček.



– Nie, dziękuję – odparł cicho i nagle wstał. – Dobranoc i do widzenia.

– Dużo zdrowia i niech pan nie zapomni przyjść – pożegnał go Vinco.

Jozef idzie wzdłuż płotów i sadów na skraju miasta, przed oczami ma Horňáčka, Vinca, Michala, a w uszach nieustannie brzmią mu słowa wiadomości z radia.

Gdy wspina się nad skąpo oświetlonym miastem, odruchowo ściska w kieszeni pistolet. Od czasu do czasu się ogląda. Chciałby zastanowić się w spokoju, gdzie schronić się na kolejne dni, ale jego umysł jest poruszony, w głowie nieustannie słyszy radiowy komunikat, a słowa przekształcają się w przerażające obrazy. Chwilami się urywają i znów widzi przed sobą stolarza Horňáčka, kierowcę Vinca i ogrodnika Michala. Nie uwierzyli, powątpiewają. Mój Boże, czy naprawdę nie spotkamy nikogo, kto uwierzy bez zastrzeżeń?

Zatrzymał się dopiero na wzgórzu nad Bratysławą, na Kolibie. Dookoła jest cicho, drzewa szumią delikatnie, czasem zatrzepocze skrzydłami sowa i wrzaśnie jakiś nocny ptak. Po lewej ręce na polanach palą się ogniska, słychać dźwięki gitary i śpiew, są wakacje, studenci o czymś marzą i kogoś pragną. W dole pod nimi rozciąga się miasto. Duże miasto, tysiące domów i kilkadziesiąt tysięcy śpiących mieszkańców. Ilu z nich usłyszało dziś tę wiadomość? W ilu wywołała niepokój? Sumienie ilu poruszyła lub wzburzyła?

Sześćdziesiąt kilometrów koleją na północ od granicy zbudowano też inne miasto, najdziwniejsze miasto na świecie. W tym milion razy przeklętym mieście potwornie wyją okropne kominy. Od ich strasznego przerywanego zawodzenia ludziom zastyga krew w żyłach, ale ono aż tutaj nie dociera. Czemu zbrodniczego wycia nie słychać na całym świecie? Czemu płacz, jęki i przedśmiertne okrzyki niekończących się karawan w pasiakach nie docierają aż tutaj? Ludzie z pewnością przestaliby wątpić i szybciej by uwierzyli. Może jeszcze dziś otworzyłyby się drzwi wszystkich mieszkań i ludzie by wyszli, z tego miasta, z tego kraju, ze wszystkich krajów ruszyłyby ogromne zastępy, by ukarać najbardziej oszalałych morderców i barbarzyńców, jakich kiedykolwiek nosiła ta ziemia.

Całymi dniami tak błądzą, on i Janko, chodzą w górę i w dół, czasem też nocą, od jednego miejsca do drugiego, z jednej góry na drugą. Błądzą, nieustannie czegoś szukają, czasami wydaje im się, że w zaczarowanym kręgu szukają samych siebie. Ale czy tylko oni tak żyją? Czy inni nie żyją jeszcze gorzej? Miliony cierpią w okopach, ziemiankach, górach, gettach, katakumbach, kanałach i za drutami, walczą, krwawią, umierają.

Na dole w mieście ludzie śpią i odpoczywają, a w jego żyłach przelewa się żal, w smutnej duszy boleśnie kipi zazdrość. Ludzi na dole trapią różne zmartwienia, lecz przecież żyją razem z rodzinami, nie dręczą ich szalone wizje, a on, jeden z nich, nie może dołączyć, ponieważ wyrwano go przemocą z ich kręgu i oznaczono piętnem odrzuconych.

Kawałek wyżej oparł się o szczapy drewna i spojrzał w lewo. Jakieś pięćdziesiąt kroków od niego pali się ognisko. Siedzą przy nim chłopcy, grają na gitarach i mandolinie, śpiewają. Jeden właśnie wstał, wyszedł z kręgu światła w ciemność i wrócił z suchymi gałęziami. Ogień strzelił, płomienie się wydłużyły (jakie przyjemne płomienie), mocniej rozświetliły postaci i namioty, rozruszały swoim ciepłem konary drzew. W tym momencie ogarnęło go niemal niepoahamowane pragnienie, by podejść do ognia i wsłuchać się w beztroskie słowa. Chłopcy śpiewają o jakimś odległym kraju, gdzie piękne ciemne kobiety czekają z otwartymi ramionami i gdzie ludzkiego szczęścia pilnują złote gwiazdy na wysokim ciepłym niebie. Jozef odruchowo spojrzał w górę.

Niebo jest ciemne, patrzy na ziemię miriadami lśniących zmieniających się oczu. Poeci mawiają, że każdy człowiek ma swoją gwiazdę. W którym miejscu świeci ta jego? Musi być niezmiernie daleko i strasznie mała, może nawet nie istnieje. Wyciągnął pistolet i zaczął się mu przyglądać. Do czego jest mu potrzebna ta broń? Na kogo ją podnieść, w kogo wycelować? To prawda, w mordercę. Tylko w mordercę. Gdyby wymierzył w niego lufę, poczułby chociaż muśnięcie szczęścia. Jakie to dziwne, gdy człowiek musi szukać szczęścia w zemście. Kawałek własnego szczęścia.

Na południowym zachodzie, za Dunajem, ciemność przecinają dwa wąskie promienie światła. Wzlatują wysoko, krzyżują się, skręcają z jednej strony horyzontu na drugą, a potem dołączają do nich kolejne. Gdzieś w ciemności huczą samoloty.

Przez chwilę patrzy na poszukujące światła reflektorów, po czym wkłada broń do kieszeni i oddala się od ognia. Przeszedł między drzewami na polanę. Oparł się o szczapy. Stąd ma widok na ciemne, śpiące miasto. Tam po lewej chyba jest Apolka, fabryka Apollo. Niedawno zniszczyły ją amerykańskie bombowce. Apolkę! Wybuchł pożar, zginęło kilkudziesięciu robotników, pozostały ruiny, pogorzelnisko. Oraz sieroty i wdowy. Spojrzał w górę na ciemne niebo. Języki światła wciąż obmacują ciemność, samoloty jeszcze huczą. Może to amerykańskie.

Prawdopodobnie amerykańskie lub brytyjskie, one latają w tych stronach. Na myśl o Apolce i samolotach ogarnęła go gniewna, bezgraniczna rozpacz. Czemu zniszczyli Apolkę? Czemu nie zrzucili bomb na ten straszliwy grób sześćdziesiąt kilometrów na północ od granicy? Czemu, skoro o tym wiedzą? Mogli tam rozbić koszary esesmanów, rampy, krematoria, drogi, tory kolejowe. Czemu tego nie zrobili?

Huk samolotów już umilkł, ale promienie reflektorów jeszcze ślizgają się po lekkich, zmierzwionych chmurkach. Wielka chmura odpłynęła na południe i odsłoniła niezwykle duży, żółty księżyc. Na polanie zrobiło się niemal widno, a powykęcane drzewa wokół niej stworzyły fantastyczne obrazy. Po niewielkim popołudniowym deszczu unoszą się ciepłe opary przesycone zapachem końskiego moczu.

Jozef spojrzął na fosforyzujący zegarek, po czym jeszcze raz obejrzał się w lewo. Podszedł kilka kroków do ogniska. Nagle się zatrzymał. Nie, nie może tam pójść. Co go tam spotka? Nadal jest tylko numerem, nie potrafi beztróska śmiać się i bawić, i może ta umiejętność nigdy już nie wróci. O czym by z nimi rozmawiał? Może zacząłby opowiadać. Nie uwierzyliby. Czemu właśnie oni mieliby uwierzyć? Są przecież młodzi, beztroscy, niedoświadczeni.

Wycofuje się, posmutniały, idzie powoli w górę przez polanę. Odwrócił się w stronę miasta, wpatruje się w miejsce, gdzie chyba znajduje się dom Hornáčka. Nie uwierzyli! Nawet teraz! Kto uwierzy potem, gdy faszyci zatuszują wszystkie ślady zbrodni? Kto da świadectwo, gdy zniszczą wszystkich ponumerowanych?

Odwrócił się, wyciągnął pistolet i podszedł jeszcze wyżej w stronę koliby, w której nocują z Jankiem.

Dodatek  
Sprawozdania  
Alfréda Wetzlera i Rudolfa Vrby

## Sprawozdanie Alfréda Wetzlera

W dniu 13 kwietnia 1942 roku załadowano nas – 1000 mężczyzn – w obozie zbiorczym Sered’ do wagonów. Drzwi wagonów zamknięto, więc nie mogliśmy ustalić kierunku jazdy. Gdy po długiej jeździe drzwi otworzono, stwierdziliśmy, że minęliśmy granicę słowacką i znajdujemy się w Zwardoniu. Strażników z Gwardii Hlinki, którzy konwojowali nas do tego miejsca, zastąpili esesmani. Po odłączeniu małej części naszego transportu, pojechaliśmy dalej i nocą przybyliśmy do Auschwitz, gdzie zatrzymaliśmy się na bocznym torze. Zatrzymanie mniejszej części transportu nastąpiło rzekomo z powodu chwilowego braku miejsc w Auschwitz. Poza tym i ta część transportu przybyła po kilku dniach do obozu. Ustawiono nas piątkami i policzono. Przybyło nas 643 osoby. Po około 20-minutowym marszu z naszymi ciężkimi bagażami – wyjechaliśmy ze Słowacji dobrze wyposażeni – przybyliśmy do obozu Auschwitz.

Skierowano nas od razu do dużego baraku. Po jednej stronie musieliśmy złożyć cały bagaż, po drugiej stronie musieliśmy się rozebrać do naga i oddać naszą odzież oraz przedmioty wartościowe. Nago udaliśmy się do sąsiedniego baraku, gdzie ogolono nam głowy i usunięto pozostałe owłosienie oraz zdezynfekowano nas lizolem. Przy wyjściu z baraku każdy otrzymał do ręki numerki. Numerki zaczynały się od 28 600 i wzrastały kolejno. Z numerkami w ręku popędzono nas do trzeciego baraku, gdzie odbyła się rejestracja. Polegała ona na tym, że numer otrzymany w drugim baraku wytatuowano nam w niezwykle brutalny sposób – wielu przy tym zemdlło – na lewej piersi i spisano nasze personalia. W grupach po sto osób zaprowadzono nas do piwnicy, później do baraku, gdzie otrzymaliśmy pasiaki i drewniaki. Cała ta procedura trwała do godz. 10 rano. Jeszcze tego samego popołudnia zabrano nam pasiaki i zastąpiono je brudnymi rosyjskimi mundurami wojskowymi (raczej strzępami mundurów). Tak wyposażonych zaprowadzono nas do Birkenau.

Auschwitz jest obozem koncentracyjnym dla więźniów politycznych, tzw. uwięzionych ochronnie. W chwili mojego przybycia, tzn. w kwietniu 1942 roku, było w nim ok. 15 000 więźniów, przeważnie Polaków, Niemców z Rzeszy i tzw.

uwięzionych ochronnie cywilnych Rosjan. Małą część więźniów stanowili więźniowie kryminalni oraz „elementy stroniące od pracy”.

Komendanturze obozu Auschwitz podlega również obóz pracy Birkenau, następnie małe gospodarstwo obozowe Harmense. A więc więźniów przywozi się do Auschwitz, tam otrzymują numery, następnie albo zostają na miejscu, albo wysyła się ich do Birkenau lub w bardzo małej liczbie do Harmense. Więźniów numeruje się według kolejności przybywania. Każdy numer jest używany tylko raz, więc ostatni numer wyraża ogólną liczbę wszystkich dotychczas deportowanych więźniów. W chwili naszej ucieczki z obozu Birkenau, tj. na początku kwietnia 1944 roku, liczba ta wynosiła ok. 180 000. Początkowo numery tatuowano na lewej piersi, później – ponieważ tatuaż tam się nieco zacierał – na lewym przedramieniu.

Wszyscy więźniowie – bez względu na kategorię lub narodowość – są traktowani jednakowo. Dla ułatwienia ewidencji oznaczani są różnie przy pomocy kolorowych trójkątów naszytych na ubraniu na lewej piersi poniżej numeru obozowego, przy czym litera początkowa wskazuje narodowość więźnia (np. dla Polaków „P”). Ta litera pojawia się wewnątrz trójkąta. Poszczególne kolory oznaczają:

trójkąt czerwony – więzień polityczny

zielony – kryminalista

czarny – stroniący od pracy, aspołeczni (głównie Rosjanie)

różowy – homoseksualista

fioletowy – członkowie sekty badaczy Biblii

Oznaczanie więźniów Żydów różni się od opisanego sposobu oznaczania Aryjczyków tym, że odpowiedni trójkąt (na ogół czerwony) jest uzupełniony żółtymi wierzchołkami, tworząc gwiazdę Dawida.

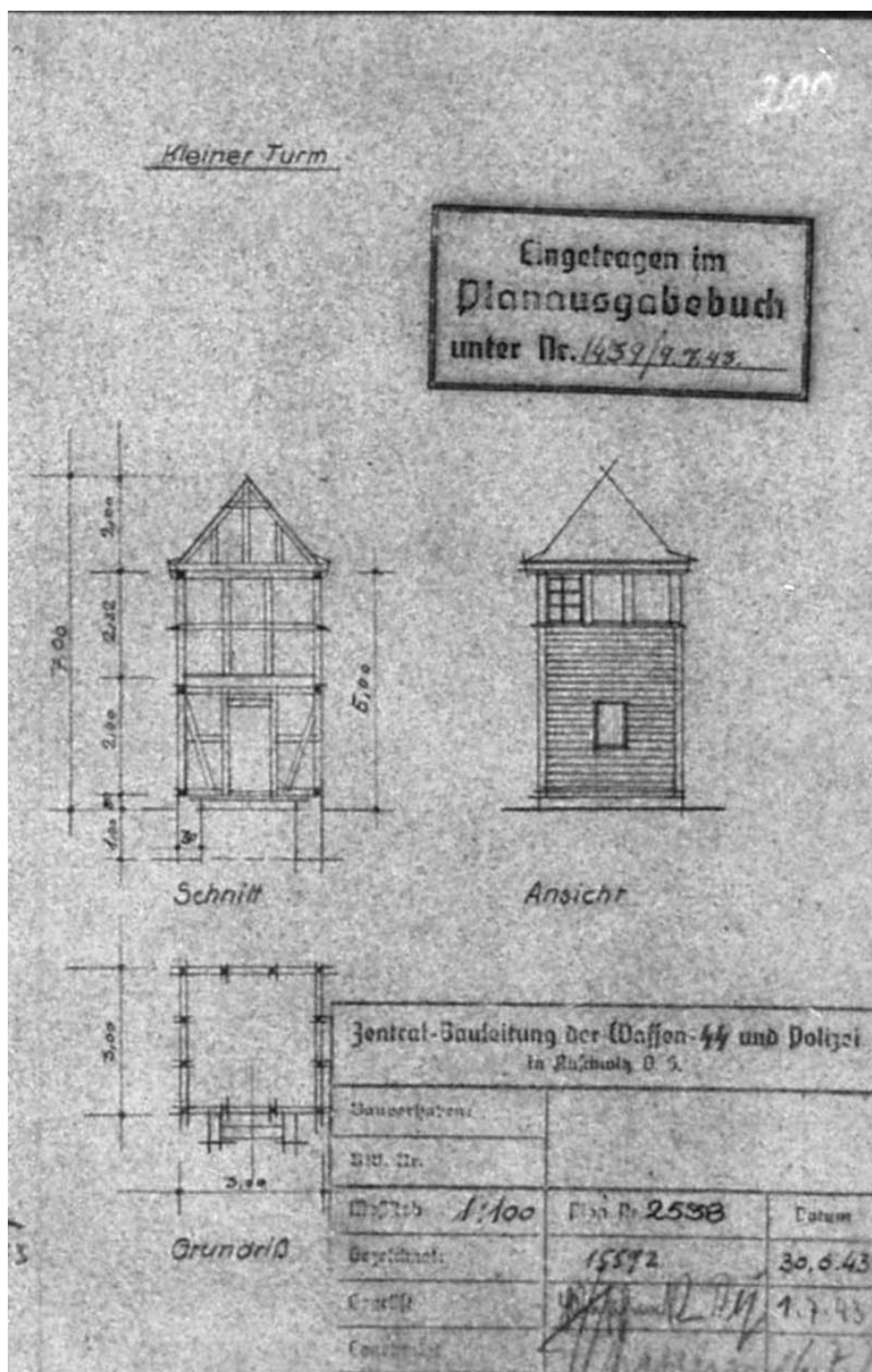
Na terenie obozu Auschwitz znajdują się różne fabryki. Fabryka Niemieckich Zakładów Wyposażenia (Deutsche Ausrüstungswerke – DAW), fabryka firmy Kruppa oraz fabryka Zakładów Siemens. Następnie nieco poza obrębem obozu olbrzymi obiekt budowlany ciągnący się kilometrami nazywany „Buna”. W zakładach tych pracują więźniowie.



Fabryka Siemens

Teren mieszkalny, a więc obóz w węższym znaczeniu, znajduje się na obszarze wielkości ok.  $500 \times 300$  m. Jest otoczony podwójnym rzędem betonowych słupów wysokości 3 m, które z dwóch stron (a więc od wewnątrz i zewnątrz) połączone są ze sobą przewodami wysokiego napięcia, umieszczonymi na izolatorach, gęsto obok siebie. Pomiedzy tymi dwoma ogrodzeniami, w odstępach 150 m, stoją wieże strażnicze o wysokości 5 m, wyposażone w karabiny maszynowe i reflektory. Nieco przed wewnętrznym ogrodzeniem pod wysokim napięciem jest jeszcze zwyczajne ogrodzenie z drutów. Już samo dotknięcie tego ogrodzenia powoduje strzał z wieży strażniczej. Ten system strzeżenia nazywa się „małym łańcuchem straży”. Sam obóz składa się z 3 rzędów budynków. Pomiedzy pierwszym i drugim rzędem biegnie ulica obozowa, pomiedzy drugim a trzecim stał w pierwszym okresie mur. W budynkach w szeregu oddzielonym murem mieszkały do połowy sierpnia 1942 roku dziewczęta żydowskie ze Słowacji, 7000, które deportowano do obozu w marcu i kwietniu 1942 roku. Po przeniesieniu dziewcząt do Birkenau mur ten pomiedzy drugim a trzecim rzędem budynków zburzono. W poprzek rzędów

budynków biegnie droga wjazdowa. Nad bramą, która jest oczywiście stale pilnowana, umieszczony jest, wykonany dużymi literami, ironiczny napis „Arbeit macht frei”.



Projekt wieżyczki strażniczej

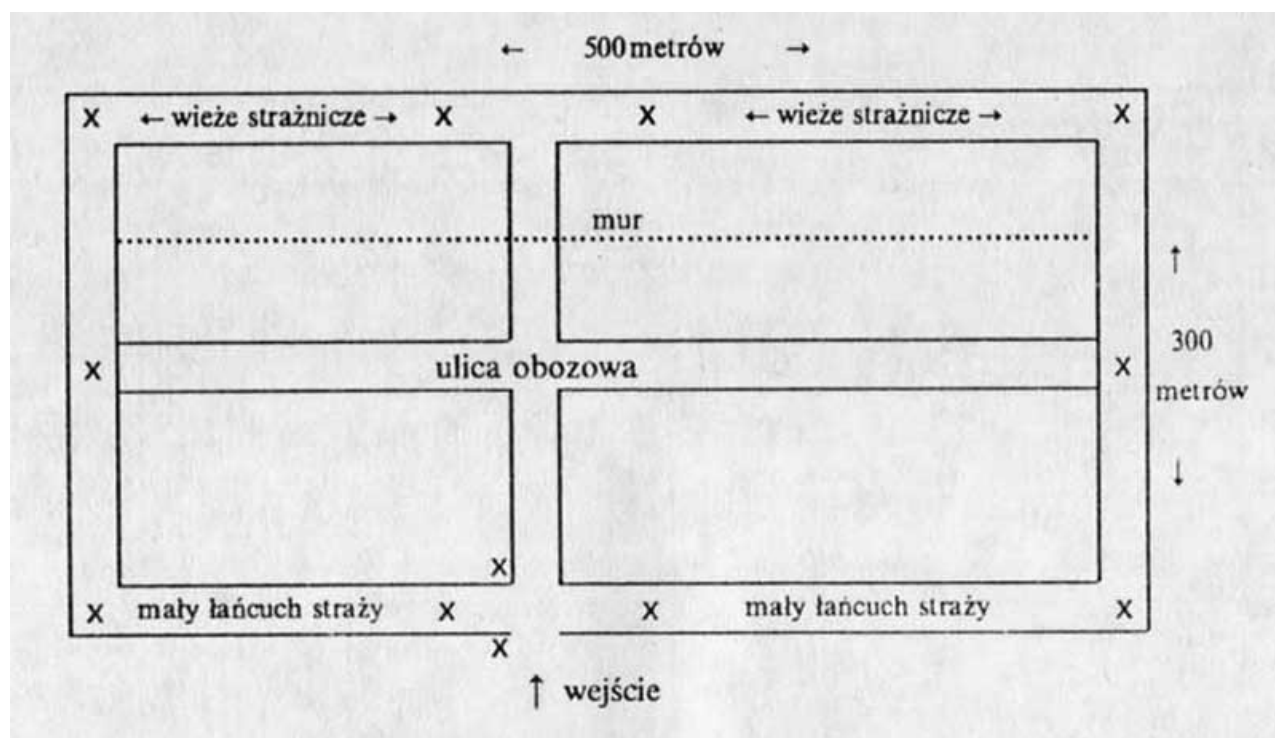
Cały obóz w promieniu ok. 2000 m jest otoczony wieżami strażniczymi stojącymi w odległości 150 metrów od siebie, jest to „duży łańcuch straży”. Na



terenie pomiędzy małym a dużym łańcuchem straży znajdują się zakłady i inne miejsca pracy. Wieże małego łańcucha straży są obsadzone tylko nocą, równocześnie włącza się prąd elektryczny do podwójnego ogrodzenia. W ciągu dnia obsługa wież strażniczych w małym łańcuchu jest zdejmowana, a w tym samym czasie są obsadzane wieże dużego łańcucha straży. Ucieczka przez ten łańcuch straży – było dużo prób – jest prawie wykluczona. Przejście nocą przez mały łańcuch straży jest absolutnie niemożliwe, a wieże dużego łańcucha straży stoją tak blisko siebie (tylko 150 m, a więc promień przypadający na jedną wieżę wynosi 75 m), że niepostrzeżone zbliżenie się jest niemożliwe. W razie zbliżenia wartownik strzela bez ostrzeżenia. Wycofanie załogi strażniczej z dużego łańcucha straży po zapadnięciu zmroku odbywa się dopiero po apelu przeprowadzonym w obrębie małego łańcucha straży, na którym stwierdza się, że wszyscy więźniowie znajdują się w obozie. Jeżeli podczas apelu stwierdzi się brak jakiegoś więźnia, wtedy syreny ogłaszają alarm.



Ogrodzenie w Auschwitz



Obóz Auschwitz w przybliżonym zarysie

Załoga dużego łańcucha straży pozostaje w swoich wieżach, załoga małego łańcucha straży zajmuje swoje stanowiska i wtedy zaczyna się przeszukiwanie terenu pomiędzy obydwoma łańcuchami straży. Kontrolę przeprowadzają setki esesmanów z psami gończymi. Syrena powoduje, że nawet daleka okolica Auschwitz jest w stanie alarmu, a więc jeśli więźniowi uda się zupełnie cudem przejść przez duży łańcuch straży, to trzeba się liczyć z dużym prawdopodobieństwem, że zostanie schwytyany przez gęste patrole niemieckiej policji i SS. Wielką przeszkodą dla uciekiniera jest ogolona głowa, oznakowane ubranie (pasiak lub pomalowane czerwoną farbą inne łachmany) oraz w najlepszym przypadku pasywne zachowanie nadzwyczaj mocno zastraszonej ludności. Nie tylko minimalna pomoc, ale nawet samo niezgłoszenie pobytu domniemanego uciekiniera karane jest śmiercią. Jeśli uciekinier nie zostanie schwytyany wcześniej, duży i mały łańcuch straży obsadzony jest przez 3 dni i nocę. Po tym okresie przyjmuje się, że uciekinierowi udało się w jakiś sposób przebyć łańcuch straży, więc następnego wieczoru wycofuje się straż. Jeżeli uciekinier zostanie schwytyany, wieszka się go w obecności całego obozu. Jeśli znajdą go martwego, to jego zwłoki – gdziekolwiek by ich nie znaleziono – zawsze sprowadza się do obozu (dzięki wytatuowanemu numerowi łatwo można było dokonać identyfikacji zwłok

i przynależności więźnia do danej grupy) i umieszcza się je przy bramie głównej obok małego łańcucha straży z tabliczką w rękę. Na tabliczce jest napis: „Tu jestem”. W czasie naszego prawie dwuletniego pobytu w obozie było bardzo dużo prób ucieczki. Z wyjątkiem 2 lub 3 przypadków uciekinierów zawsze sprowadzano do obozu, żywych lub martwych. Czy tym nielicznym, którzy nie zostali sprowadzeni z powrotem do obozu, naprawdę udało się zbiec, nie wiemy. Z pewnością można jednak stwierdzić, że spośród Żydów deportowanych ze Słowacji do Auschwitz względnie Birkenau jesteśmy do dzisiaj jedynymi osobami, którym udało się uratować.



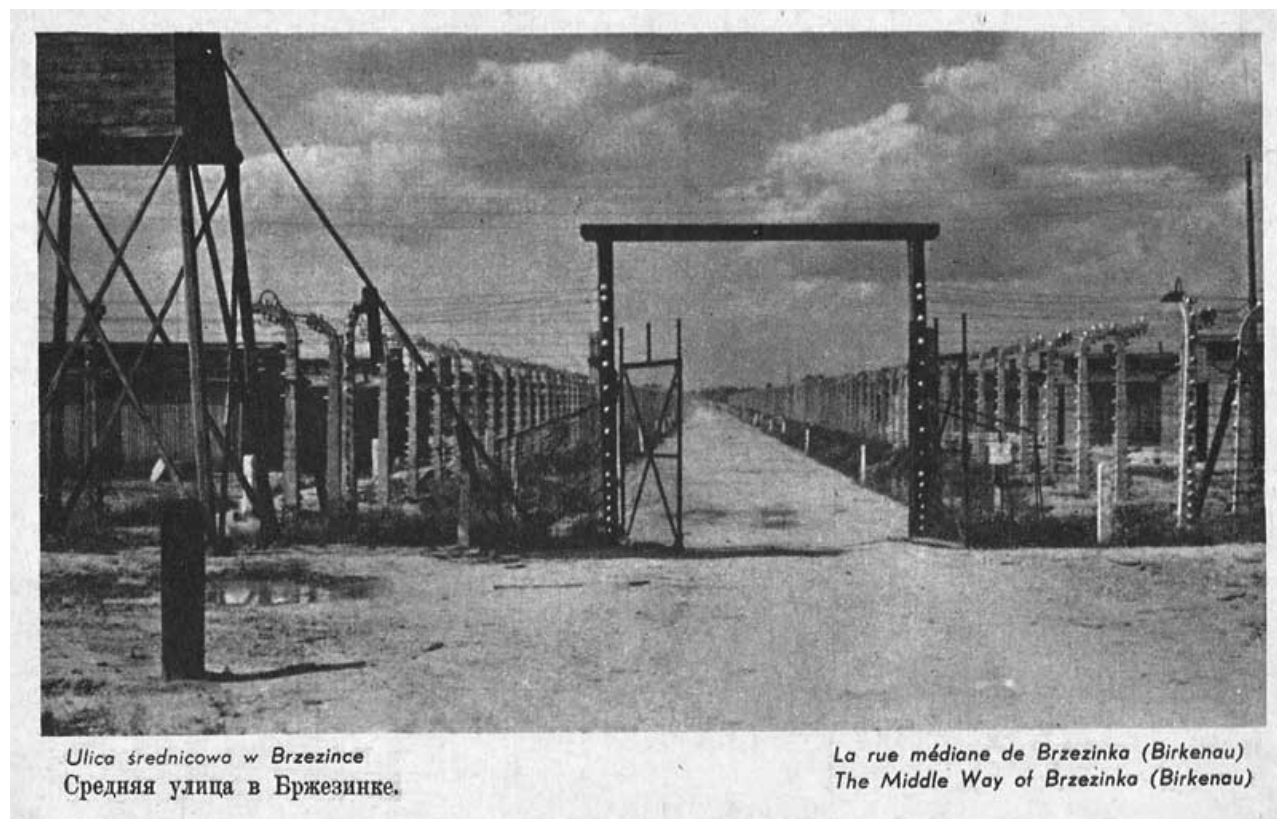
Selekcja więźniów, rok 1944

Jak już wspomniano, w pierwszym dniu przyjazdu do Auschwitz skierowano nas do Birkenau.

Gmina o nazwie Birkenau właściwie nie istnieje. Również nazwa Birkenau jest nowa i „wywodzi” się od lasu brzozowego znajdującego się w pobliżu. Cały teren, który dziś nazywa się Birkenau, ludność nazywała i dotąd nazywa Rajsko. Centrum obecnego obozu Birkenau jest oddalone od obozu Auschwitz o ok. 4 km. Obydwa

duże łańcuchy straży Auschwitz i Birkenau stykają się, dzieli je tylko tor kolejowy. O Neu Berun, który musieliśmy podawać – nie wiadomo dlaczego – jako urząd pocztowy dla Birkenau, nigdy nie słyszeliśmy. Miasto to mogło być oddalone od Birkenau chyba o 30–40 km.

W chwili przybycia do Birkenau zastaliśmy tam tylko bardzo dużą kuchnię dla 15 000 osób, następnie dwa gotowe murowane baraki i jeden w budowie. Te obiekty były otoczone zwykłym ogrodzeniem z drutu kolczastego. W barakach, które zastaliśmy, jak również w zbudowanych później, mieszkali więźniowie. Wszystkie zbudowane są według jednego wzoru. Każdy barak ma długość ok. 30 m i 8–10 m szerokości. Wysokość ścian nie przekracza chyba 2 m, podczas gdy więzanie dachowe jest nieproporcjonalnie wysokie, ok. 5 m. Sprawia wrażenie stajni, nad którą znajduje się wielki strych na siano. To pomieszczenie nie posiada od wewnątrz sufitu, tak że wewnętrzna wysokość całego pomieszczenia w centrum dochodzi do ok. 7 m. Pomieszczenie dzieli na dwie części ściana ustawiona wzdłuż, z tym że w środku jest ona przzerwana, by ułatwić komunikację między obydwiema częściami. Zarówno z obu stron ścian bocznych, jak i z obu stron ścianki działowej zbudowane są na całej długości dwie kondygnacje w wysokości od podłogi i od siebie ok. 80 × 80 cm. Te kondygnacje są podzielone na małe pomieszczenia za pomocą ścianek działowych. W ten sposób powstają trzy kondygnacje (podłoga i dwie kondygnacje ze ścian bocznych). W jednym pomieszczeniu umieszcza się normalnie trzy osoby. Pomieszczenia są, jak wynika z rozmiarów, za wąskie, żeby można się położyć z wyciągniętymi nogami, i niedostatecznie wysokie, żeby można w nich prosto usiąść. O staniu nie może być mowy. W ten sposób w jednym baraku lub bloku – jak się je nazywa – umieszcza się 400–500 osób.

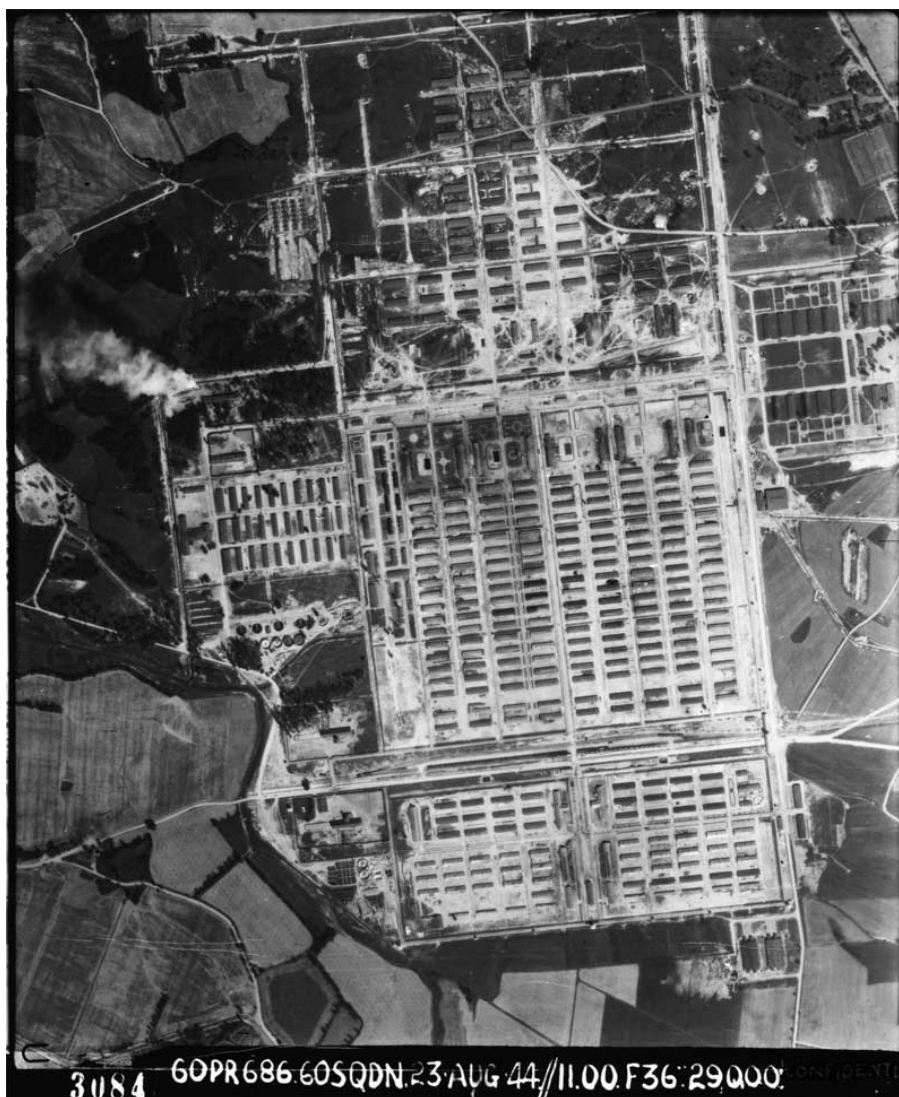


*Ulica średnicowa w Brzezince*  
Средняя улица в Бржезинке.

*La rue médiane de Brzezinka (Birkenau)*  
*The Middle Way of Brzezinka (Birkenau)*

Dzisiejszy obóz Birkenau położony jest na terenie wielkości ok.  $1600 \times 850$  m, który tak samo jak obóz Auschwitz otoczony jest małym łańcuchem straży. Ponadto pracuje się obecnie na terenie, który jest jeszcze większy niż istniejący obóz, po zakończeniu prac ma być przyłączony do istniejącego już obozu. Cel tych olbrzymich przygotowań nie jest nam znany.

W promieniu 2 km obóz Birkenau, tak samo jak obóz Auschwitz, jest otoczony wielkim łańcuchem straży. System strzeżenia jest taki sam jak w obozie Auschwitz.



Zdjęcie lotnicze obozu

Obiekty budowlane, jakie w chwili przyjazdu zastaliśmy w Birkenau, zbudowało 12 000 rosyjskich jeńców wojennych, którzy zostali przywiezieni w grudniu 1941 roku. Pracowali oni w czasie ostrej zimy w tak nieludzkich warunkach, że niemalże wszyscy zginęli, z wyjątkiem małej grupy np. tych, którzy byli zatrudnieni w kuchni. Byli numerowani 1–12 000, ale poza bieżącą, już opisaną numeracją. Dalsze transporty rosyjskich jeńców wojennych nie otrzymywały w Auschwitz kolejnych numerów jak pozostali więźniowie, lecz wciąż numery 1–12 000 w miejsce już zmarłego Rosjanina. W przypadku tej kategorii więźniów nie można wnioskować na podstawie właśnie przyznanego numeru o liczbie dotychczas deportowanych. Podobno rosyjscy jeńcy wojenni są do Auschwitz względnie Birkenau kierowani karnie z obozów jenieckich. Resztę tych Rosjan zastaliśmy

w stanie strasznego zaniedbania, „mieszkali” na niedokończonej budowie bez jakiegokolwiek zabezpieczenia przed zimmem i deszczem i masowo umierali. Ich zwłoki grzebano setkami i tysiącami tuż pod powierzchnią ziemi, wydawały one zaduch istnej zarazy. Później musieliśmy te zwłoki wykopywać i dostarczać na spalenie.

Tydzień przed naszym przyjazdem do Auschwitz przybył tam pierwszy żydowski transport męski (dziewczęta przyjęto oddzielnie, miały one numerację równoległą do mężczyzn; dziewczęta ze Słowacji otrzymały numery 1000–8000), liczący 1300 naturalizowanych Żydów francuskich z Paryża. Otrzymali oni numerację zaczynającą się mniej więcej od 27 500. Ponieważ my – jak już wspomniano – otrzymaliśmy numery począwszy od 28 600, wynika z tego, że między transportem francuskim a naszym do Auschwitz nie przybył żaden transport męski. Pozostałych przy życiu tych francuskich Żydów, ok. 700 osób, spotkaliśmy w Birkenau w stanie straszliwego wycieńczenia. Brakująca połowa zmarła w czasie jednego tygodnia.

W trzech gotowych blokach byli umieszczeni:

- I. Tak zwani prominenci – kryminaliści i starsi polscy więźniowie polityczni, pełniący w obozie funkcje administracyjne.
- II. Reszta Żydów francuskich, ok. 700 osób.
- III. Żydzi słowaccy, początkowo 643 osoby, po kilku dniach doszli ci, których zatrzymano w Zwardoniu.
- IV. Pozostali jeszcze przy życiu Rosjanie przebywali w niewykończonym bloku oraz pod gołym niebem. Liczba ich malała tak szybko, że nie stanowili już znaczniejszej grupy.

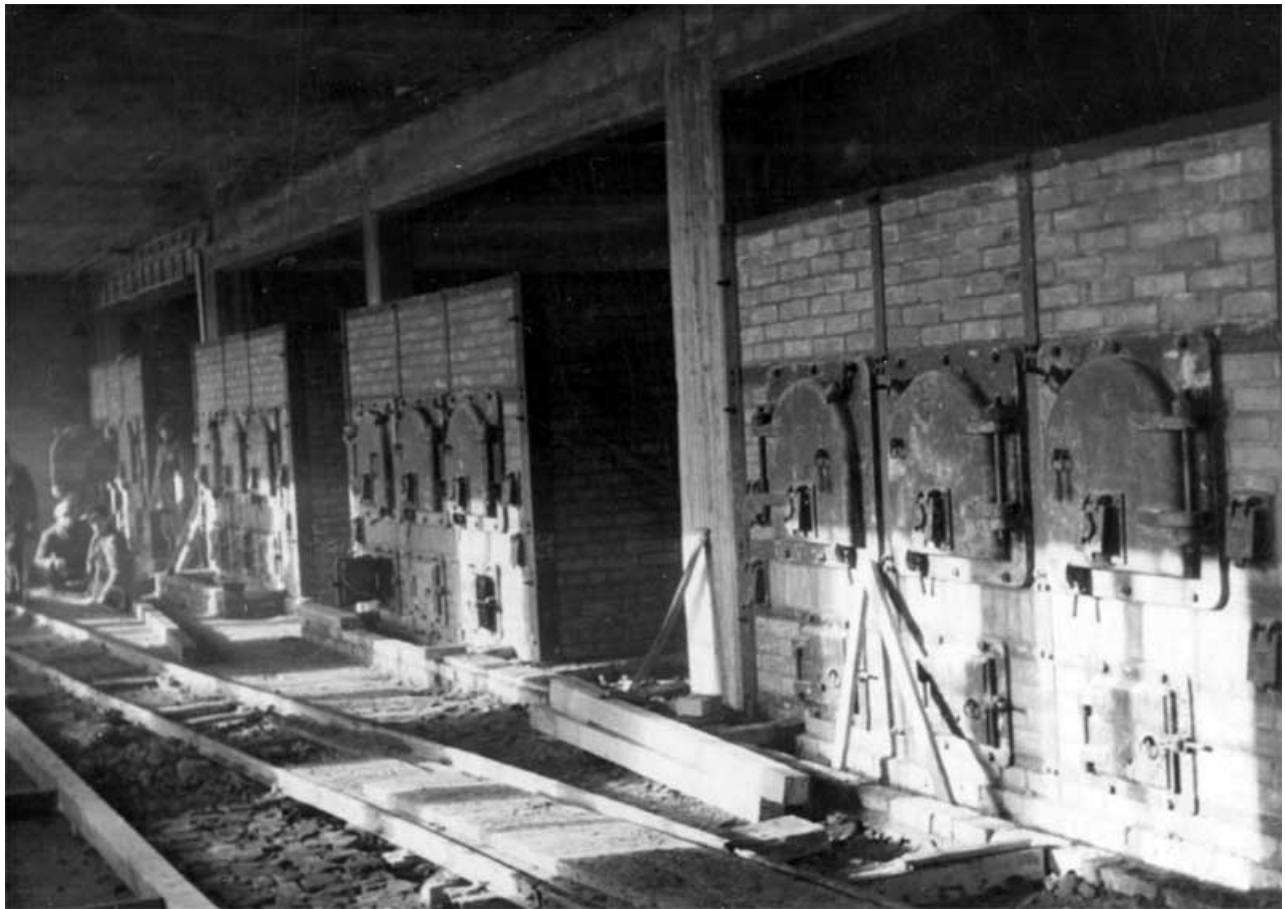
Słowaccy Żydzi pracowali wspólnie z resztą rosyjskich jeńców wojennych na budowie, podczas gdy Żydzi francuscy musieli wykonywać prace ziemne. Po trzech dniach skierowano mnie wraz z 200 słowackimi Żydami do pracy w Niemieckich Zakładach Wyposażenia w Auschwitz. Miejscem naszego zamieszkania pozostało Birkenau. Wychodziliśmy do pracy wcześniej, a wracaliśmy późnym wieczorem. Pracowaliśmy w stolarni i przy budowie dróg. Do jedzenia otrzymywaliśmy na obiad 1 litr zupy z brukwi, a wieczorem 300 g niedobrego chleba. Warunki pracy były niewyobrażalnie ciężkie, tak że większość z nas – osłabiona wskutek głodu i niejadalnego pożywienia – nie wytrzymała ich.

Śmiertelność była przerażająca. Codziennie mieliśmy w naszej grupie liczącej 200 osób – 30–35 zgonów. Wielu z więźniów zostało przez dozorców, kapo, bez jakiegokolwiek winy podczas pracy po prostu zamordowanych. Ubytki spowodowane zgonami uzupełniano codziennie spośród tej części, która pracowała w Birkenau. Bardzo ciężki i niebezpieczny dla nas był codzienny wieczorny powrót z pracy. Musieliśmy nieść 5 km do obozu narzędzia pracy, ciężkie kotły kuchenne i naszych zmarłych, którzy zmarli lub zostali zabici w czasie pracy. Z tak wielkim obciążeniem musieliśmy maszerować dziarsko. Kto nie podobał się kapo, był okrutnie bity, jeśli nie zabijany. Do przybycia drugiego słowackiego transportu mężczyzn po ok. 14 dniach z naszego transportu pozostało przy życiu już tylko około 150 osób. Co wieczór byliśmy liczeni, zwłoki kładziono na płaskich wózkach kolejki polowej lub załadowywano na ciężarówki i wywożono do pobliskiego lasu brzoźowego, gdzie spalano je w dole głębokości kilku metrów i długości ok. 15 m. W drodze do pracy spotykaliśmy codziennie komando (grupa robocza), składające się z 300 żydowskich dziewcząt ze Słowacji, które wykonywały w pobliżu prace ziemne. Odziane były w stare rosyjskie postrzępione mundury, a na nogach miały drewniaki. Głowy miały ogolone, niestety nie mogliśmy z nimi rozmawiać.

Do połowy maja 1942 roku przybyły ze Słowacji łącznie 4 żydowskie transporty mężczyzn do Birkenau, które potraktowano w ten sam sposób jak nas.

Spośród mężczyzn pierwszego i drugiego transportu wybrano 120 osób (w tym również mnie) i na żądanie kierownictwa obozu Auschwitz, które domagało się lekarzy, dentystów, studentów i zawodowych urzędników, oddano do jego dyspozycji. Grupa składała się z 90 słowackich i 30 francuskich Żydów. Ponieważ w międzyczasie wywalczyłem sobie w Birkenau dobrą pozycję, stojąc na czele komanda, dzięki czemu korzystałem z niemałych przywilejów, nie chciałem początkowo pójść do Auschwitz. Dałem się jednak przekonać i poszedłem. Po 8 dniach ze 120 przedstawicieli inteligencji wybrano 18 lekarzy i pielęgniarzy oraz 3 dalsze osoby. Lekarzy zatrudniono w szpitalu obozowym w Auschwitz, a nas trzech odesłano do Birkenau. Moi towarzysze Ladislav Braun z Trnavy i Gross z Vrbové (?), którzy później zmarli, poszli do bloku słowackiego, ja do francuskiego, gdzie zajmowaliśmy się pracami ewidencyjnymi i tak zwaną „pielęgnacją chorych”. Dalszych 99 osób skierowano do pracy w żwirowni, gdzie wszyscy w krótkim czasie zginęli.





Krematoria

Krótko potem w jednym obiekcie urządzono tzw. szpital obozowy. Był to osławiony blok 7. Zostałem tam zatrudniony najpierw jako „główny pielęgniarz”, następnie jako zarządca. Szefem szpitala był Polak Wiktor Mordarski, numer obozowy 3550. Szpital nie był niczym innym jak punktem zbornym dla kandydatów na śmierć. Tu przywożono wszystkich niezdolnych do pracy więźniów. O leczeniu i pielęgnacji nie mogło być mowy. Codziennie odnotowywaliśmy ok. 150 zgonów. Zwłoki wywożono każdego dnia do krematorium w Auschwitz.

Równocześnie zaczęły się tzw. selekcje. Dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i w czwartki, lekarz garnizonowy (lekarz obozowy) ustalał liczbę więźniów, którzy mieli być zagazowani, a następnie spaleni. Wyselekcjonowanych ładowano na ciężarówkę i wywożono do lasu brzozowego. Ci, którzy dojeżdżali tam jeszcze żywi, byli zagazowywani w dużym baraku zbudowanym w tym celu obok dołu do spalania, potem rzucono ich do dołu i spalano. Tygodniowe ubytki w bloku 7 wynosiły ok. 2000, z tego 1200 umierało „śmiercią naturalną”, a ok. 800 umierało

wskutek selekcji. Dla niewyselekcjonowanych wystawiano akty zgonu i wysyłano je do głównej komendantury obozów w Oranienburgu. Dla wyselekcjonowanych prowadzono księgę oznaczoną „SB” (Sonderbehandelt). Do 15 stycznia 1943, do którego to czasu pełniłem funkcję zarządcy bloku 7 i miałem z tego względu możliwość bezpośredniego obserwowania wydarzeń, zginęło śmiercią naturalną lub wskutek selekcji ok. 50 000 więźniów.

## Sprawozdanie Alfréda Wetzlera i Rudolfa Vrby

Ponieważ więźniowie – jak już wspomniano – otrzymywali numery bieżące, jesteśmy w stanie zrekonstruować z dostateczną dokładnością kolejność i los poszczególnych transportów.

Pierwszy transport Żydów przywieziony do Auschwitz względnie Birkenau, to – jak już wspomniano – transport 1320 naturalizowanych francuskich Żydów, którzy otrzymali mniej więcej następujące numery: ok. 27400–28600.

ok. 28 600–29 600	W kwietniu 1942 roku pierwszy transport Żydów słowackich (nasz transport).
ok. 29 600–29 700	100 mężczyzn (Aryjczyków) z różnych obozów koncentracyjnych.
ok. 29 700–32 700	3 transporty Żydów słowackich.
ok. 32 700–33 100	400 kryminalistów (Aryjczyków) z więzień warszawskich.
ok. 33 100–35 000	2000 Żydów krakowskich.
ok. 35 000–36 000	1000 Polaków (Aryjczyków), więźniów politycznych.
ok. 36 000–37 300	W maju 1942 roku 1330 słowackich Żydów z Lublina-Majdanka.
ok. 37 300–37 900	600 Polaków (Aryjczyków) z Radomia, wśród nich kilku Żydów.
ok. 37 900–38 000	100 Polaków z obozu koncentracyjnego Dachau.
ok. 38 000–38 400	400 francuskich naturalizowanych Żydów. Ci Żydzi przyjechali z rodzinami.

Cały transport liczył ok. 1600 osób, z tego ok. 400 mężczyzn i ok. 200 dziewcząt skierowano w sposób już opisany do obozu, podczas gdy pozostałe 1000 osób (kobiety, starcy, dzieci, a także mężczyźni) bez jakiegokolwiek ewidencji lub rejestracji skierowano bezpośrednio z rampy kolejowej do lasu brzozowego, tam zagazowano i spalono. Od tego momentu wszystkie żydowskie transporty traktowano podobnie. Około 10 procent mężczyzn i 5 procent kobiet z danego transportu kierowano do obozu, a resztę bezpośrednio gazowano. Z polskimi Żydami postępowano w ten sposób już wcześniej. W ciągu długich miesięcy samochody ciężarowe przywoziły nieustannie tysiące Żydów z różnych gett bezpośrednio do dołu w lasu brzozowym.

ok. 38 400–39 200	800 naturalizowanych francuskich Żydów. Resztę transportu zagazowano –
-------------------	--

	w sposób wyżej opisany.
ok. 39 200–40 000	800 Polaków (Aryjczyków), polityczni więźniowie.
ok. 40 000–40 150	150 słowackich Żydów – transport rodzinny. Poza dalszymi 50 dziewczętami skierowanymi do obozu kobiecego, wszystkich zagazowano w lasku brzozowym. Wśród tych 150 mężczyzn znajdowali się m.in. Zucker ze wschodniej Słowacji (imię nieznane) i Sonnenschein Viliam ze wschodniej Słowacji.
ok. 40 150–43 800	ok. 4000 francuskich naturalizowanych Żydów, na ogół inteligencja. Z tego transportu skierowano do obozu kobiecego ok. 1000 kobiet, resztę, ok. 3000 osób, zagazowano w lasku brzozowym.
ok. 43 800–44 200	400 słowackich Żydów z Lublina, wśród nich Matej Klein i nr 43820 Mejloch Laufer ze wschodniej Słowacji. Ten transport przybył 30 czerwca 1942 roku.
ok. 44 200–45 000	200 słowackich Żydów. Transport liczył 1000 osób. Pewną liczbę kobiet skierowano do obozu kobiecego, resztę zagazowano w lasku brzozowym. Wśród skierowanych do obozu byli: Josef Zelmanović – Snina, Adolf Kahan – Bratysława, Walter Reichman – Sučany, Ester Kahan – Bratysława. Z tą ostatnią miałem okazję rozmawiać 1 kwietnia 1944 roku. Jest blokową w obozie kobiecym.
ok. 45 000–47 000	2000 Francuzów (Aryjczyków), komunistów i innych więźniów politycznych, wśród nich brat Thoreza i młodszy brat Léona Bluma. Tego ostatniego strasznie skatowano, potem zagazowano i spalono.
ok. 47 000–47 500	500 Żydów z Holandii, głównie niemieccy emigranci. Resztę transportu, ok. 2500 osób, zagazowano w lasku brzozowym.
ok. 47 500–47 800	Kilkaset tzw. Rosjan uwięzionych ochronnie.
ok. 48 300–48 620	320 Żydów ze Słowacji. Ok. 70 dziewcząt skierowano do obozu kobiecego, resztę, ok. 650 osób, zagazowano w lasku brzozowym. W tym transporcie było 80 osób, które węgierska policja przeniosła do Sereci. Tym transportem przybyli m.in. dr Zoltan Mandel z Preszowa (w międzyczasie zmarł), Holz (imię nieznane) rzeźnik z Piestany (wysłany później do Warszawy), Miklos Engel, Żylina, Chaim Katz, Snina, pracuje obecnie w „trupiarzni”, żonę i 6 dzieci zagazowano.
ok. 49 000–64 800	15 000 naturalizowanych francuskich, belgijskich i holenderskich Żydów. Podana liczba nie stanowi nawet 10 procent przywiezionych tymi transportami. Działo się to w okresie od 1 lipca do 15 września 1942 roku. Duże transporty rodzinne nadchodziły ze wszystkich krajów, kierowano je bezpośrednio do lasku brzozowego. Sonderkommando zatrudnione przy gazowaniu i spalaniu pracowało na dzienną i nocną zmianę. Zagazowano wtedy setki tysięcy Żydów.
ok. 64 800–65 000	200 słowackich Żydów. Z tego transportu do obozu kobiecego skierowano ok. 100 kobiet, resztę do lasku brzozowego. Wśród przybyłych znajdowali się: Ludwig Katz – Żylina, Avri Burger – Bratysława, Poprad (żona zmarła) – Mikulas Steiner, Považská Bystrica – Juraj Fried, Trenczyn – ? Buchwald – Josef Rosenwasser, wschodnia Słowacja – Julius Neumann, Bardejov – Sandor Wertheimer, Vrbové – Misi Wertheimer, Vrbové – Béla Blau, Żylina.
ok. 65 000–68 000	Naturalizowani francuscy, belgijscy i holenderscy Żydzi. Z przybyłych

	transportów skierowano ok. 1000 kobiet do obozu kobiecego, a co najmniej 30 000 osób zagazowano.
ok. 68 000–70 500	2500 niemieckich Żydów z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.
ok. 71 000–80 000	Naturalizowani francuscy, belgijscy i holenderscy Żydzi. Skierowani do obozu stanowili zaledwie 10 procent ogólnej liczby. Szacując ostrożnie można przyjąć, że 65–70 000 osób zagazowano.

W dniu 17 grudnia 1942 roku zamordowano w Birkenau 200 żydowskich chłopców ze Słowacji, którzy pracowali w tzw. Sonderkommando przy gazowaniu i spalaniu zwłok. Egzekucja nastąpiła z powodu planowanego buntu i zamierzonych ucieczek, a plany te zdradził przedwcześnie jeden Żyd. Do komanda skierowano 200 polskich Żydów, którzy właśnie przybyli transportem z Makowa. Wśród skazanych znaleźli się: Alexander Weiss – Trnava, Fero Wagner – Trnava, Scheiner Oskar – Trnava, Wetzler Dezider – Trnava, Aladar Spitzer – Trnava, Wojtech Weiss – Trnava.

Z powodu zmiany zaszłej w Sonderkommando straciliśmy bezpośredni kontakt z tym „miejscem pracy”, co odbiło się bardzo ujemnie na naszym zaopatrzeniu. Transporty kierowane do lasu brzoźowego – chociaż musiały zostawić bagaże w Auschwitz – przywoziły znaczne sumy pieniędzy w walutach, przeważnie złote i papierowe dolary, olbrzymie ilości złota i kamieni szlachetnych, a także żywność. Chociaż przedmioty wartościowe należało zdeponować, nie sposób było uniknąć tego, że kilka wartościowych przedmiotów (głównie dolary w złocie) przy przeszukiwaniu pozostawionej odzieży zagazowanych ginęło w kieszeniach naszych chłopców. W taki sposób przynosili oni do obozu znaczne środki, oprócz tego żywność. Co prawda za pieniądze oficjalnie nie można było niczego kupić, ale można było robić interesy z esesmanami i innymi pracownikami cywilnymi, którzy byli zatrudniani na terenie obozu jako wykwalifikowana siła robocza i mieli okazję przynieść ze sobą trochę żywności i papierosów. Ceny były oczywiście dostosowane do okoliczności, zupełnie niezwykle. Za kilkaset papierosów płacono 20-dolarówką w złocie. Kwitł także handel wymienny. Drożyzna nie odgrywała u nas żadnej roli, mieliśmy tyle pieniędzy, ile tylko chcieliśmy. Od Sonderkommanda otrzymywaliśmy także odzież. Nasze łachmany mogliśmy wymieniać na dobrą odzież tych, których skierowano do gazu. Marynarka, którą jeszcze dzisiaj mam na sobie, należała do holenderskiego Żyda (na wewnętrznej stronie marynarki przyszyty jest rzeczywiście znak firmowy amsterdamskiego krawca).

Ludzie z Sonderkommando mieszkali oddzielnie. Kontaktowaliśmy się z nimi mało, gdyż wydzielali potworny fetor. Byli zawsze brudni, zupełnie zaniedbani, całkiem zdziczali i niezwykle brutalni i bezwzględni. Nierzadko zdarzało się – u innych więźniów uchodziło to za sensację – że jeden drugiego po prostu zabijał. Zabicie więźnia nie jest przestępstwem. Po prostu odnotowuje się, że taki to a taki numer zmarł. Sposób, w jaki ktoś został wyprawiony na tamten świat, jest czymś zupełnie drugorzędnym.

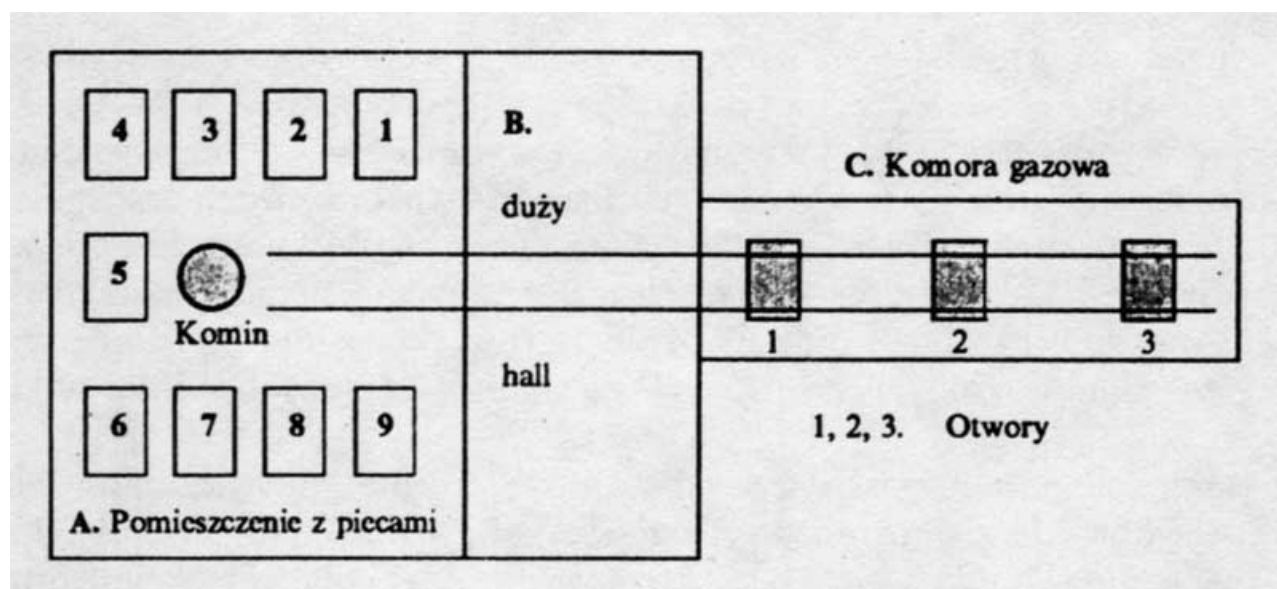
Pewnego razu przyglądałem się, jak młody polski Żyd Jossel demonstrował esesmanowi na Żydzie „fachowe mordowanie”, zabijając Żyda ręką bez użycia jakiegokolwiek broni.

Od numeru ok. 80000 zaczęła się systematyczna eksterminacja polskich gett.

ok. 80 000–85 000	Ok. 5000 Żydów z różnych polskich gett, w tym z Mławy – Makowa – Ciechanowa – Łomży – Grodna – Białegostoku – przez 30 dni przybywały te transporty nieprzerwanie. Tylko 500 osób skierowano do obozu, wszystkich pozostałych natychmiast gazowano. Sonderkommando pracowało codziennie na dwie zmiany przez całą dobę. Prawie nie nadążali z gazowaniem i spalaniem. Bez przesady można przyjąć, że z tych transportów 80 – 90 000 osób skierowano do gazu. Transporty te przywoziły z sobą szczególnie dużo pieniędzy, walut i kamieni szlachetnych.
ok. 85 000–92 000	6000 Żydów z Grodna, Białegostoku i Krakowa oraz 1000 Polaków Aryjczyków. Daleko większą część transportów żydowskich bezpośrednio zagazowano. Codziennie pędzono ok. 4000 Żydów do komór gazowych. W połowie stycznia 1943 roku z Terezína nadeszły 3 transporty po 2000 osób każdy. Były oznaczone literami „CU”, „CR” i „R”. (Znaczenie tych liter nie jest nam znane). Znaki te były umieszczone na bagażach. Z tych 6000 osób skierowano do obozu tylko ok. 600 mężczyzn i 300 kobiet, resztę jak zwykle zagazowano.
ok. 99 000–100 000	Pod koniec stycznia 1943 roku nadeszły duże transporty Żydów francuskich i holenderskich. Tylko część z nich skierowano do obozu.
ok. 100 000–102 000	W lutym 1943 roku 2000 Polaków Aryjczyków, przeważnie inteligencja.
ok. 102 000–103 000	700 Czechów Aryjczyków; później wysłano tych, którzy z tego transportu pozostali jeszcze przy życiu, do Buchenwaldu.
ok. 103 000–108 000	3000 francuskich i holenderskich Żydów oraz 2000 Polaków (Aryjczyków). W lutym 1943 roku nadchodziły codziennie przeciętnie 2 transporty polskich, francuskich i holenderskich Żydów, którzy w większości zostali zabici gazem, nie wprowadzono uprzednio do obozu nawet części z nich. Liczbę zagazowanych w tym miesiącu można określić na ok. 90 000.

Pod koniec lutego 1943 roku otwarto w Birkenau nowo wybudowane nowoczesne krematorium i urządzenie do gazowania. Gazowanie i spalanie zwłok w lasku brzozowym przerwano i proceder ten przeprowadzano odtąd w 4 nowych, zbudowanych w tym celu krematoriach. Wielki dół zasypano, teren wyrównano, popioły już wcześniej stosowano jako nawóz w gospodarstwie obozowym w Harmense, tak że dzisiaj trudno odnaleźć ślad przeprowadzanej tutaj masowej eksterminacji.

W Birkenau czynne są obecnie 4 krematoria. Dwa większe – I i II oraz dwa mniejsze – III i IV. Krematoria typu I i II składają się z trzech części. A – pomieszczenie z piecami, B – duża hala, C – komora gazowa. Ze środka pomieszczenia z piecami unosi się w górę olbrzymi komin. Wokół jest 9 pieców, każdy ma 4 otwory. W każdym otworze mieszczą się naraz 3 normalne zwłoki, które spalają się całkowicie w ciągu półtorej godziny. Odpowiada to dziennej pojemności ok. 2000 zwłok. Obok jest duża hala przygotowawcza urządzona w ten sposób, że sprawia wrażenie, jakby się było w hali zakładu kąpielowego. Mieści się w niej 2000 osób, poniżej istnieje rzekomo jeszcze poczekalnia tej samej wielkości. Stąd prowadzą drzwi i kilka stopni do położonej nieco niżej wąskiej i bardzo długiej komory gazowej. Ściany komory są maskowane ślepyimi natryskami, tak że sprawia ona wrażenie olbrzymiej łaźni. W płaskim dachu znajdują się 3 otwory zamykane hermetycznie klapami z zewnątrz. Z komory prowadzą podwójne szyny przez halę do pomieszczenia z piecami. Gazowanie odbywa się w taki sposób, że nieszczęśliwców prowadzi się do hali B, gdzie mówi im się, że pójdą do kąpeli. Tam się rozbierają i żeby utrzymać ich w przekonaniu, że rzeczywiście pójdą do kąpeli, dwaj mężczyźni w białych płaszczach wręczają każdemu ręcznik i kawałek mydła.



Krematoria I i II w Birkenau w przybliżonym zarysie

Następnie wpycha się ich do komory gazowej C. 2000 osób wypełnia to pomieszczenie tak, że każdy może stać tylko prosto. Aby stłoczyć taką ilość osób raz po raz padają strzały, zmuszające do ścieśnienia się w komorze. Gdy wszyscy są już wewnątrz, zamyka się ciężkie drzwi. Czeka się krótko, prawdopodobnie żeby temperatura w komorze osiągnęła odpowiedni poziom, następnie esesmani w maskach przeciwgazowych wychodzą na dach, otwierają kłapy otworów i wsypują do komory z blaszanych puszek sproszkowany preparat. Puszki mają napis „Cyklon”, środek owadobójczy, produkowany w fabryce w Hamburgu. Należy przyjąć, że chodzi o preparat cyjankowy ulatniający się w pewnej temperaturze. Po 3 minutach w komorze wszyscy są martwi. Dotychczas nie było przypadku, żeby po otwarciu komory ktoś dawał znak życia, co przy prymitywnej metodzie stosowanej w lasku brzozowym nie należało do rzadkości. Komora jest otwierana, wietrzona, a Sonderkommando transportuje zwłoki na płaskich wózkach kolejki polowej do pomieszczenia z piecami, gdzie odbywa się spalanie. Dwa pozostałe krematoria – III i IV – są w zasadzie zbudowane według tego samego modelu. Ale ich wydajność jest o połowę mniejsza. Ogólna wydajność 4 krematoriów w Birkenau wynosi zatem dziennie 6000 zagazowań i kremacji.

Do komory gazowej kieruje się tylko Żydów, Aryjczyków jedynie w rzadkich, wyjątkowych wypadkach. Tych „traktuje się specjalnie”, zazwyczaj przez rozstrzelanie. Przed uruchomieniem krematoriów odbywało się to w lasku



brzozowym, gdzie następnie palono zwłoki w dole, później w wielkiej hali krematorium, która posiadała do tego celu specjalne urządzenie.

Na poświęcenie pierwszego krematorium na początku marca 1943 roku, które uczczono zagazowaniem i spaleniem 8000 krakowskich Żydów, przyjechali promineneci z Berlina, wysocy oficerowie i cywile. Byli bardzo zadowoleni z wydajności i ochoczo korzystali z wziernika umieszczonego w drzwiach prowadzących do komory gazowej. Wypowiadali się żywo na temat nowo wybudowanego obiektu.

ok. 109 000–119 000

Na początku marca 1943 roku przybyło 45 000 Żydów z Salonik. 10 000 skierowano do obozu, oprócz tego małą część kobiet, resztę liczącą daleko ponad 30 000 do krematorium. Prawie wszyscy z 10 000 osób z tego transportu zmarli wkrótce albo wskutek choroby podobnej do malarii, szalejącej wśród nich i widocznie zakaźnej, albo na tyfus plamisty lub wskutek panujących w obozie warunków, których nie byli w stanie znieść.

Ponieważ malaria i tyfus plamisty podniosły gwałtownie wskaźnik śmiertelności wśród greckich Żydów, okresowo zaprzestano „selekcji”. Chorym greckim Żydom kazano się zgłaszać. Mimo naszych ostrzeżeń wielu z nich rzeczywiście się zgłosiło. Wszyscy oni zostali zabici dosercowymi zastrzykami fenolu. Zastrzyki te wykonywał sanitariusz kapral, a czescy lekarze więźniowie musieli mu przy tym asystować. Lekarzami tymi byli: dr Honsa Cespira, Praga, obecnie w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, – dr Zdenek Stich, Praga, obecnie w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Robili oni wszystko, co było w ich mocy, by pomóc ofiarom.

Resztę pozostałych przy życiu greckich Żydów z owych 10 000 – prawie 1000 mężczyzn – wysłano wraz z innymi 500 Żydami do Warszawy do robót fortyfikacyjnych. Po kilku tygodniach kilkuset z nich powróciło w beznadziejnym stanie i zostali oni natychmiast zagazowani. Pozostała część prawdopodobnie tam zginęła. 400 greckich Żydów chorych na malarię, po zaprzestaniu akcji fenolowych, wysłano do Lublina, rzekomo na „dalsze leczenie”. Najprawdopodobniej dotarli tam. Ale nie wiemy niczego o ich dalszym losie. Jedno jest pewne, ani jeden z 10 000 greckich Żydów nie znajduje się w obozie.



KL Auschwitz II – Birkenau. Nagie Żydówki w drodze do komory gazowej. Zdjęcie wykonane przez członka Sonderkommando, prawdopodobnie Żyda z Grecji o imieniu Alex, 1944 rok

Równocześnie z zaprzestaniem selekcji zabroniono mordowania więźniów. Oślawieni mordercy jak:

Niemiec z Rzeszy, kryminalista Alexander Neumann

Niemiec z Rzeszy, kryminalista Zimmer

Niemiec z Rzeszy, kryminalista Albert Hamerle

Niemiec z Rzeszy, kryminalista Rudi Osteringer

Niemiec z Rzeszy, kryminalista Rudi Berchert

Niemiec z Rzeszy, więzień polityczny Alfred Kien

Niemiec z Rzeszy, więzień polityczny Alois Stahler

zostali ukarani z powodu często popełnianych morderstw i musieli złożyć pisemne oświadczenie, że zamordowali pewną liczbę więźniów.



KL Auschwitz II – Birkenau. Palenie zwłok na wolnym powietrzu. Widoczni mężczyźni to członkowie Sonderkommando

Na początku roku 1943 Oddział Polityczny w Auschwitz otrzymał 500 000 formularzy zwolnień. Uradowani przypuszczaliśmy, że nastąpią przynajmniej jakieś zwolnienia. Formularze wypełniono danymi zagazowanych i oddano do archiwum.

ok. 119 000–120 000

1000 Polaków (Aryjczyków) z więzienia karnego Pawiak z Warszawy.

ok. 120 000–123 000

3000 greckich Żydów, których część została wysłana do Warszawy w miejsce ich zmarłych krajan. Reszta szybko wymarła.

ok. 123 000–124 000

1000 Polaków (Aryjczyków) z Radomia i Tarnowa.

ok. 124 000–126 000

2000 osób z mieszanych aryjskich transportów.

W tym czasie bez przerwy nadchodziły transporty polskich oraz kilka transportów francuskich i belgijskich Żydów, które bez reszty zostały zagazowane, nawet części nie skierowano do obozu. W tym także transport 1000 polskich Żydów z Majdanka, wśród których znajdowało się 3 Słowaków. Jednym z nich był Spira ze Stropkova lub Vranova.

Pod koniec lipca 1943 roku lawina transportów nagle ustała. Nastąpiła mała przerwa. Krematoria gruntownie wyczyszczono, naprawiono urządzenia i przygotowano do dalszej eksploatacji. W dniu 3 sierpnia mordercza machina znów ruszyła. Przybył pierwszy transport Żydów z Będzina i Sosnowca, a dalsze przybywały w ciągu całego sierpnia.

ok. 132 000–136 000

Tylko 4000 mężczyzn i mała liczba kobiet została skierowana do obozu. Daleko ponad 35 000 zostało zagazowanych. Spośród 4000 mężczyzn skierowanych do obozu wielu zmarło w okresie tzw. kwarantanny wskutek szykan, głodu, chorób, których się nabawili, oraz wskutek bezpośredniego zamordowania. Główną winę za to ponosi niemiecki zbrodniarz Tyn z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen i polski polityczny więzień nr 8516 Mieczysław Katarzyński z Warszawy. Znów wprowadzono selekcję, i to w zastraszających rozmiarach, szczególnie w obozie kobiecym. Lekarz obozowy, SS-Hauptsturmführer, syn lub bratanek prezydenta policji w Berlinie (nazwisko wypadło nam z pamięci) wyróżniał się tu brutalnością. System selekcji był nieprzerwanie kontynuowany od tej pory aż do naszej ucieczki.

ok. 137 000–138 000

Pod koniec sierpnia przybyło 1000 Polaków z więzienia karnego Pawiak i 80 Żydów z Grecji.

ok. 138 000–141 000

3000 mężczyzn z różnych aryjskich transportów.

ok. 142 000–145 000

Z początkiem września 1943 roku 3000 Żydów z polskich obozów pracy i rosyjscy jeńcy wojenni.

ok. 148 000–152 000

W ciągu tygodnia po 7 września 1943 roku nadjeżdżały transporty rodzinne Żydów z Theresienstadt. Nie mogliśmy zrozumieć, że transporty te korzystały z nieznanych dotąd przywilejów. Rodzin nie rozdzielano, ani jednej osoby nie skierowano bezpośrednio do komory gazowej. Nawet ich nie ogolono i umieszczono razem tak jak przybyli, mężczyźni, kobiety i dzieci, w wydzielonej części obozu, wolno im było nawet zatrzymać bagaże. Mężczyźni nie musieli pracować, dla dzieci zezwolono nawet na szkołę pod kierownictwem Fredey Hirscha (Makabi, Praga), a nawet wolno im było bez kontroli korespondować. Byli jedynie w niesłychany sposób szykanowani przez swojego „Lagerälteste”, niemieckiego kryminalistę Arno Böhma, nr obozowy 8, jednego z największych bandytów w obozie. Nasze zdumienie wzrosło jeszcze, gdy po pewnym czasie zobaczyliśmy oficjalne listy tych transportów, których oznaczenie brzmiało: „SB – Transport czeskich Żydów z 6-miesięczną kwarantanną”.

Wiedzieliśmy doskonale, co oznacza SB (specjalne traktowanie), ale nie mogliśmy zrozumieć sposobu ich traktowania i tego nadzwyczaj długiego, 6-miesięcznego okresu kwarantanny, tym bardziej że według naszego skromnego doświadczenia okres kwarantanny nigdy nie przekraczał 3 tygodni. Byliśmy zdumieni. Im bardziej 6-miesięczny okres kwarantanny dobiegał końca, nabieraliśmy przekonania, że również los tych Żydów zakończy się w komorze gazowej. Szukaliśmy okazji, żeby skontaktować się z kierownikiem tej grupy. Wyłumaczyliśmy im, jaka jest ich sytuacja i czego mogą się spodziewać. Kilkoro z nich, szczególnie Fredy Hirsch, który jak widać cieszył się zaufaniem współwięźniów

w obozie, powiedziało nam, że gdyby nasze obawy miały okazać się słuszne, to zorganizują opór. Ludzie z Sonderkommanda przyrzekli nam, że jeżeli Żydzi zaczną się bronić, dołączą także do nich. Kilku sądziło, że w ten sposób zainscenizują w obozie ogólną rewoltę. 6 marca 1944 roku dowiedzieliśmy się, że krematoria są przygotowane na przyjęcie czeskich Żydów. Pobiegnęłam do Fredy Hirscha, żeby mu to przekazać i prosiłam go usilnie, żeby działał, gdyż i tak nie było już nic do stracenia. Odpowiedział, że zna swój obowiązek. Przed wieczorem podkradłem się znów do czeskiego obozu, wtedy dowiedziałem się, że Fredy Hirsch jest umierający. Otruł się luminalem. Następnego dnia, 7 marca, w stanie nieprzytomnym został, wraz z 3791 towarzyszami, którzy 7 września 1943 roku przybyli do Birkenau, samochodami ciężarowymi zawieziony do krematorium i zagazowany. Młodzież jechała na śmierć, śpiewając. Ku naszemu ogromnemu rozczarowaniu nie było żadnego oporu. Mężczyźni z Sonderkommando zdecydowani na współdziałanie, czekali nadaremnie.

Ok. 500 starszych osób zmarło jeszcze w okresie kwarantanny. Tylko 11 par bliźniąt zachowano z tego transportu przy życiu. Na tych dzieciach przeprowadza się w Auschwitz różne medyczne doświadczenia. Gdy opuszczaliśmy Birkenau, żyły jeszcze. Wśród zagazowanych znajdował się m.in. także Bozsi Fürst z Seredi, pochodzący ze Słowacji.

Tydzień przed zagazowaniem, a więc 1 marca 1944 roku, wszyscy więźniowie musieli napisać do swych rodzin za granicą, że czują się dobrze. Listy musiały mieć datę od 23 do 25 marca 1944. Polecono im, żeby żądali od rodziny za granicą przysyłania paczek.

ok. 153 000–154 000

1000 polskich Aryjczyków z więzienia karnego Pawiak.

ok. 155 000–159 000

W październiku i listopadzie 1943 roku 4000 osób z różnych więzień karnych i małe transporty Żydów z Będzina i okolicy, których wyciągnięto z kryjówek, następnie grupa Rosjan uwięzionych ochronnie z rejonu Mińsk-Witebsk.

Przybyli także rosyjscy jeńcy wojenni, którzy – jak już wspomniano – otrzymywali numery od 1 do 12 000.

ok. 160 000–165 000

W grudniu 1943 roku 5000 mężczyzn głównie z transportów holenderskich, belgijskich, francuskich i po raz pierwszy włoskich Żydów z Fiume, Triestu i Rzymu. Co najmniej 30 000 osób z tych transportów natychmiast zagazowano.

Śmiertelność wśród Żydów była bardzo wysoka. Bestialstwo osiągnęło swój szczyt około 10 i 24 stycznia 1944 roku, gdy selekcjonowano także zdrową

młodzież bez względu na zawód i przydział pracy – z selekcji wyłączono tylko lekarzy.

Wszyscy musieli ustawić się w szeregach, kontrolowano surowo, czy wszyscy są obecni, następnie lekarz obozowy (syn lub bratanek prezydenta policji w Berlinie) oraz kierownik obozu Birkenau, SS-Untersturmführer Schwarzhuber przeprowadzali selekcję Żydów znajdujących się w szpitalu obozowym, który został przeniesiony z bloku 7 do oddzielnej części, gdzie ostatnio panowały warunki stosunkowo możliwe do przyjęcia, zagazowano wszystkich bez wyjątku. Oprócz nich, wskutek tej akcji 2500 mężczyzn i ponad 6000 kobiet z obozu kobiecego skierowano do komór gazowych.

ok. 165 000–168 000

W dniu 23 grudnia 1943 roku przybyło znów 3000 Żydów z Theresienstadt. Lista transportowa miała taki sam napis jak w wypadku tych, którzy przybyli 7 września: „SB – Transport czeskich Żydów z 6-miesięczną kwarantanną”. Po przybyciu, mężczyźni, kobiety i dzieci umieszczono w tym samym odcinku obozowym, w którym przebywali ci, którzy przybyli we wrześniu. Korzystali ze wszystkich przywilejów, jak ich poprzednicy. Na 24 godziny przed zagazowaniem pierwszej grupy przeniesiono ich do sąsiadującego odcinka, który przypadkowo był pusty i w ten sposób odizolowano ich od tamtej grupy. Jeszcze dzisiaj znajdują się w tym odcinku obozowym. Ponieważ po zagazowaniu pierwszej grupy nie ma już żadnych wątpliwości odnośnie ich dalszego losu, już dziś przygotowują się do oporu. Opór organizują Ruzenka Laufschnier z Pragi i Hugo Langsfeld z Pragi. Gromadzą oni powoli paliwo i zamierzają podpalić bloki swojego odcinka, gdy zaistnieje poważna sytuacja. Okres ich kwarantanny upływa 20 czerwca 1944 roku.

ok. 169 000–170 000

Osoby (1000) w różnych małych grupach, Żydzi, Polacy i Rosjanie uwięzieni ochronnie.

ok. 170 000–171 000

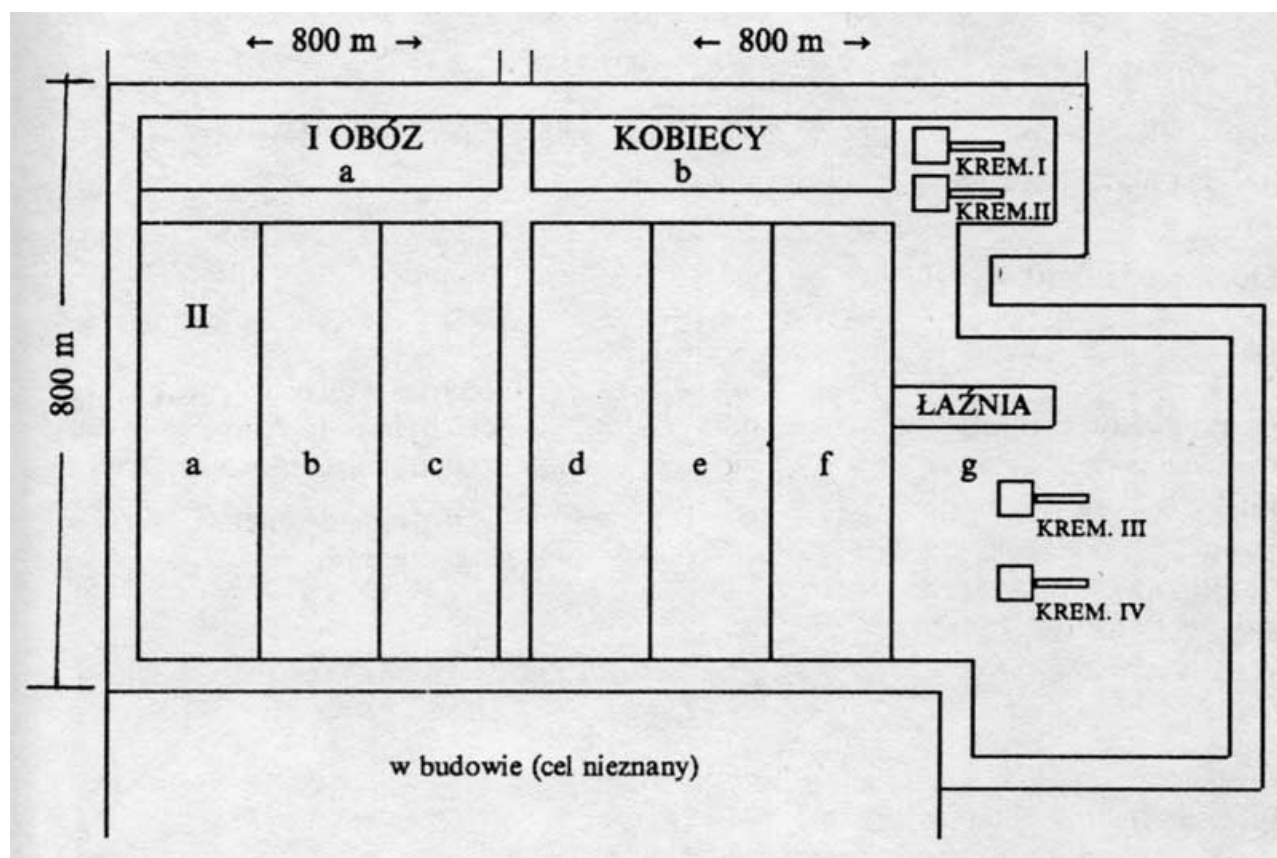
1000 Polaków i Rosjan uwięzionych ochronnie, również pewna liczba Jugosłowian.

ok. 171 000–174 000

Koniec lutego, początek marca – 3000 Żydów z Holandii, Belgii i po raz pierwszy osiadli od dawien dawna Żydzi francuscy (nienaturalizowani) z Vichy – Francja. Zdecydowanie większą część tego transportu zaraz po przybyciu zagazowano.

W połowie marca przybyła mała grupa Żydów z Będzina i Sosnowca, wyłowionych z kryjówek. Od jednego z nich dowiedzieliśmy się, że wielu polskich Żydów ratuje się, uchodząc na Słowację, a stamtąd na Węgry, a Żydzi słowaccy pomagają im w tym.

Po zagazowaniu transportu z Theresienstadt, nie było dalszych przybywających aż do 15 marca 1944 roku. Stan obozu zmniejszył się, dlatego wszystkich mężczyzn z bieżąco nadchodzących transportów, szczególnie Żydów holenderskich, kierowano do obozu. Opuściliśmy obóz 7 kwietnia 1944 roku i słyszeliśmy jeszcze, że nadchodzą duże transporty Żydów greckich.



Zarys obozu Birkenau w przybliżeniu

Obóz Birkenau składa się z trzech odcinków budowlanych. Obecnie tylko odcinki budowlane I i II są otoczone małym łańcuchem straży, ponieważ odcinek III znajduje się jeszcze w budowie i nie jest zamieszkały. W chwili gdy opuszczaliśmy Birkenau (początek kwietnia 1944 roku), obóz był zamieszkały w następujący sposób:

	Żydzi słow.	inni Żydzi	Aryjczycy	uwagi
Odcinek budowlany I (kobiety obóz koncentracyjny)				
Ia i Ib	ok. 300	ok. 7000	ok. 6000	Oprócz 300 słowackich żydowskich dziewcząt jest jeszcze ok. 100 w budynku sztabowym Auschwitz.
Odcinek budowlany II				
IIa obóz kwarantanny	2	ok. 200	ok. 800	Jednym z dwóch Żydów słowackich jest dr Andreas Müller z Podolinca, blokowy.
IIb Żydzi z Theresienstadt	–	ok. 3500		Z 6-miesięcznym okresem kwarantanny.

Iic obecnie nie zamieszkały				
IId obóz macierzysty	58	ok. 4000	ok. 6000	
Iie obóz cygański	–	–	ok. 4500	To reszta z 16 000 Cyganów. Nie wykorzystuje się ich do pracy, szybko wymierają.
IIf szpital obozowy	6	–	ok. 500	Wszyscy słowaccy Żydzi w liczbie 6 są w szpitalu obozowym funkcyjnymi, a mianowicie: nr 36832 Walter Spitzer – blokowy z Nemcovej, przybył do Birkenau z Lublina nr 29867 Jozef Neumann, „kapo zwłokowy” ze Sniny nr 44989 Jozef Zelmanovic, „personel” ze Sniny nr ? Chaim Katz, „personel” ze Sniny nr 32407 Ludwig Eisenstädter, tatuażnik z Krompachy nr 30049 Ludwig Solmann, pisarz, Kežmarok

Wewnętrzną administrację obozu prowadzili wyznaczeni do tego więźniowie. Bloki nie są zamieszkałe według narodowości, lecz z punktu widzenia podziału pracy (komanda robocze). Każdy blok ma 5 funkcyjnych, a mianowicie: blokowego, pisarza blokowego, pielęgniarza, 2 sztabowych.

### Blokowy

Nosi na lewym ramieniu opaskę z oznaczeniem swojego bloku: Blok nr... Jest odpowiedzialny za ogólny porządek w bloku, jest w swoim bloku panem życia i śmierci. Do lutego 1944 roku ok. 50 procent wszystkich blokowych to byli Żydzi, potem nadeszła z Berlina dyrektywa, że Żydzi nie mogą pełnić tej funkcji. A więc zmieniono ich z wyjątkiem 3 słowackich Żydów, którzy mimo zakazu nadal byli blokowymi.

Ci trzej słowaccy Żydzi, to: Arnost Rosim (Haček), Żylina – blokowy w bloku 24, komando „Kanada” i będzińscy rzemieślnicy, dr Andreas Müller, Podolinec – blokowy w bloku 15, obóz kwarantanny, Walter Spitzer, Nemcova – blokowy w bloku 14 – szpital obozowy.



## Pisarz blokowy

Jest organem wykonawczym blokowego, wykonuje wszystkie pisemne prace, prowadzi stan więźniów i kartotekę. Praca pisarza jest bardzo odpowiedzialna, stan więźniów musi być prowadzony nadzwyczaj dokładnie. Ewidencja więźniów nie opiera się na nazwiskach, lecz na numerach, stąd łatwo może wkraść się błąd. Może to mieć fatalne skutki. Jeśli pisarz blokowy zgłosił jakiś numer jako martwy – co przy tak wysokiej śmiertelności jest bardzo możliwe i rzeczywiście zdarza się często – to błąd taki naprawia się w ten sposób, że osobę tę zgładza się rzeczywiście później. W meldunku już wysłanym nie może dokonać żadnej korekty. Pozycja blokowego jest w bloku pozycją władzy i często bywa nadużywana.

## Pielęgniarz i sztubowi

Wykonują prace porządkowe i ręczne w bloku i wokół niego, przy czym o pielęgnacji nie ma w ogóle mowy.

Starszy obozu stoi na czele całego obozu. Jest to też więzień. Obecny starszy obozu w Birkenau to nr obozowy 11182 Franz Danisch, więzień polityczny z Chorzowa, Górny Śląsk. Jest nieograniczonym panem całego obozu, może mianować blokowych i pisarzy blokowych lub zwalniać ich, przydzielać miejsca pracy itd. Danisch zachowuje się również wobec Żydów bardzo poprawnie, jest obiektywny i nieprzekupny.

Obok starszego obozu występuje pisarz raportowy. Posiada on w obozie największą władzę. Ma bezpośredni kontakt z komendanturą obozu, będąc tym, który przejmuje rozkazy kierownictwa obozu i składa mu wszystkie meldunki. Ma duży wpływ na kierownictwo obozu. Podlegają mu bezpośrednio wszyscy pisarze blokowi, którzy muszą mu przedkładać swoje meldunki. Pisarzem raportowym w obozie Birkenau jest nr obozowy 31029 Kazimierz Gork, Polak, były urzędnik bankowy z Warszawy. Jest chyba antysemitą, ale bezpośrednio Żydom nie szkodził.

Kontrolę nadrzędną nad blokami sprawuje 6–8 Blokführerów, są nimi esesmani. Co wieczór przyjmują apel, a wynik apelu przekazują swojemu przełożonemu: kierownikowi obozu Untersturmführerowi Schwarzhuberowi z Tyrolu. Schwarzhuber jest alkoholikiem i sadystą. Zwierzchnikiem kierownika obozu jest komendant obozu. Jest on równocześnie komendantem obozu Auschwitz. Obóz

koncentracyjny Auschwitz ma także kierownika obozu, który podlega temu samemu komendantowi obozu Auschwitz-Birkenau. Komendant obozu nazywa się Höss.

Kierownikiem komanda roboczego (grupy roboczej) jest kapo. Podczas pracy kapo jest najwyższym autorytetem, on dysponuje całkowicie podległymi mu więźniami. Nie jest rzadkością, że kapo morduje w czasie pracy podległego mu więźnia. Większe komanda posiadają kilku kapo, dowodzi nimi wówczas nadkapo. Dawniej Żydzi bywali często kapo, ale zarządzenie z Berlina zabroniło tego. Mimo to jeden Żyd zachował to stanowisko, jest nim Roth z miejscowości Michalovce, z zawodu instalator.

Najwyższą kontrolę pracy sprawują niemieccy specjaliści.

## Sprawozdanie Rudolfa Vrby

W dniu 14 czerwca 1942 roku opuściliśmy Nováky, minęliśmy Żylinę i około 5 godz. wieczorem przybyliśmy do Zwardonia. Tam musieliśmy wysiąść i policzono nas. Transport przyjęli esesmani. Jeden z esesmanów zdenerwował się bardzo, że jechaliśmy bez wody, robiąc głośną uwagę: „Ci słowaccy barbarzyńcy, nie dali wody!”. Ruszyliśmy dalej, po dwóch dniach przybyliśmy do Lublina. W Lublinie padł rozkaz: „Zdolni do pracy od 15 do 50 lat wysiadać, dzieci i starcy pozostają w wagonach”. Wysiedliśmy. Stacja była otoczona Litwinami w mundurach SS, uzbrojonymi w pistolety maszynowe. Wagony, w których znajdowali się niezdolni do pracy, dzieci i starcy, zostały natychmiast zamknięte i pociąg odjechał. Dokąd i co się z nimi stało, nie wiemy.

Dowodzący SS-Scharführer powiedział nam, że czeka nas dłuższa droga. Kto chce zabrać ze sobą bagaż, może to zrobić, kto nie chce, może załadować go na stojący obok samochód ciężarowy, który na pewno dotrze na miejsce. Część naszego transportu niosła swoje bagaże, reszta załadowała je na samochód.

Tuż za miastem była fabryka „Bekleidungswerke”. Na placu fabrycznym stało w szeregach ok. 1000 ludzi, mieli na sobie brudne, pasiaste ubrania więźniarskie, czekali oni na obiad. Widok ten – zorientowaliśmy się, że byli to Żydzi – raczej nie budził nadziei. Zupełnie nieoczekiwanie zobaczyliśmy ze wzniesienia olbrzymi obóz barakowy Majdanek, otoczony ogrodzeniem z drutu kolczastego o 3 m wysokości. Załedwie przekroczyłem bramę obozu, zobaczyłem Maco Winklera z Trnavy, który zwrócił mi natychmiast uwagę, że tu każdemu wszystko zabierają. Wokół nas stali słowaccy Żydzi w stanie zaniedbania, z ogolonymi głowami, wszyscy w brudnych pasiakach, w drewniakach lub boso, obszarpani, wielu miało opuchnięte nogi. Żebrali, żebyśmy im odstępili coś z naszego prowiantu. Co było możliwe, rozdaliśmy im, ponieważ nam powiedziano, że nam wszystko zabiorą. Zaprowadzono nas do Effektenkammer, tam musieliśmy oddać wszystko, co mieliśmy z sobą. Potem popędzono nas biegiem do innego baraku, gdzie rozebraliśmy się, usunięto nam owłosienie, musieliśmy stanąć pod prysznicem, następnie otrzymaliśmy bieliznę i odzież więźniarską, drewniaki i czapkę.

Zostałem przydzielony do tzw. pola II. Cały obóz składał się mianowicie z trzech pól oddzielonych od siebie ogrodzeniem z drutu kolczastego. Pole II zajmowali

Żydzi słowaccy i czescy. Przez dwa dni pouczano nas, jak zdejmować czapkę i jak ją znowu nakładać, gdy spotkamy Niemca. Potem w strugach deszczu odbywały się wielogodzinne apele.

Wyposażenie baraków było całkiem oryginalne. Trzy długie stoły (prawie tej samej długości co barak) były ustawione jeden na drugim. Te cztery kondygnacje (podłoga i trzy stoły) służyły jako legowisko. Wokół stołów wzdłuż ścian było wąskie przejście.

Do jedzenia otrzymywaliśmy rano „zupę”. Była dość gęsta i trzeba było jeść ją ręką. W południe podobną zupę, wieczorem tzw. herbatę i 30 dkg niejadalnego, złego chleba. Poza tym 2–3 dkg marmolady lub sztucznego tłuszczu najgorszego gatunku.

Największą wagę przywiązywano w pierwszych dniach do nauczenia się „hymnu obozowego”. Godzinami staliśmy i musieliśmy śpiewać:

Z całej Europy my Żydzi  
Przybyliśmy do Lublina  
Jest dużo pracy do zrobienia  
A to jest początek

Aby podołać temu obowiązkowi  
Zapomnij o przeszłości  
Gdyż w spełnieniu obowiązku  
Tkwi wspólność

Więc zwawo do roboty  
Niech każdy dotrzyma kroku  
Działać będziemy wspólnie  
W jednym rytmie pracy

Nie wszyscy chcą zrozumieć  
Po co stoimy w szeregach  
Trzeba ich przeto zmusić  
Aby zrozumieli wszystko

Nowy czas musi wszystkim  
Nam wszystkim wciąż wyjaśniać  
Że należymy już tylko do pracy  
Do pracy

Więc żwawo do roboty  
Niech każdy dotrzyma kroku  
Działać będziemy wspólnie  
W jednym rytmie pracy

Pole I zajmowali Żydzi słowaccy  
Pole II Żydzi słowaccy i czescy  
Pole III Partyzanci  
Pole IV i V zostało zbudowane przez Żydów z pola I i II.

Partyzanci na polu III byli zamknięci w barakach, nie pracowali, jedzenie rzucano im jak psom. Straż nie miała odwagi zbliżyć się do nich. Umierali w tych przepełnionych barakach masowo, straż ostrzeliwała ich przy lada okazji.

Kapo byli to Niemcy z Rzeszy lub Czesi. Ci pierwsi byli brutalni, podczas gdy Czesi pomagali, gdzie tylko mogli. Starszym obozu był Cygan z Holic, nazywał się Galbavy, jego zastępcą był Żyd Mittler z Seredi. Prawdopodobnie Mittler zawdzięczał swoją pozycję brutalnemu zachowaniu. Wykorzystywał swoją władzę, żeby dokuczać i tak już dostatecznie zgnębionym Żydom, bił ich i szykanował, gdzie tylko mógł zrobić coś złego, nie zaniebował tego. W czasie wieczornych apelów esesmani szykanowali nas w sposób jak najbrutalniejszy. Godzinami musieliśmy stać na dworze po ciężkiej pracy i musieliśmy śpiewać „hymn”, a kapelmistrz Żyd z dachu jednego z budynków musiał dyrygować, wśród wrzaskliwego śmiechu esesmanów.

Przy takich okazjach esesmani nie szczydzili nam kar cielesnych. Tragiczny był koniec rabina z Seredi Ecksteina. Pewnego razu spóźnił się kilka minut na apel, ponieważ miał biegunkę i był w klozecie. Za to Scharführer zanurzył go głową dwa razy kolejno głęboko w ujściu klozetowym, następnie splukał go zimną wodą, wyjął swój rewolwer i zastrzelił rabina.

Między polem I i II znajdowało się krematorium, gdzie palono zwłoki. Wskaźnik śmiertelności na poszczególnym polu na ogólną liczbę 6–8 tysięcy osób ok. 30 zgonów dziennie, później wskaźnik ten zwiększył się pięcio- i sześciokrotnie. Potem powtarzały się przypadki, że z izby chorych transportowano 10–20 więźniów do krematorium, gdzie zabijano ich w sposób mi nieznany, a następnie spalano. Było to krematorium opalane prądem elektrycznym, pracowali tam Rosjanie.

Z powodu niewłaściwego wyżywienia i ogólnie bardzo złych warunków bytowych mnożyły się stopniowo choroby. Oprócz ciężkich schorzeń żołądkowych rozprzestrzenił się w obozie nieuleczalny obrzęk nóg. Ludziom puchły nogi tak, że nie mogli się poruszać. Coraz więcej tych chorych zaczęto prowadzić do krematorium. Gdy 26 czerwca 1942 roku liczba chorych zamordowanych w krematorium osiągnęła 70, postanowiłem wykorzystać nadarzącą się okazję i zgłosiłem się do przeniesienia do Auschwitz.

W dniu 27 czerwca 1942 roku zdałem pasiak, otrzymałem ubranie cywilne i z transportem pojechałem do Auschwitz.

Po 48-godzinnej podróży odbytej w zamkniętych wagonach, bez jedzenia i picia, półżywi przybyliśmy do Auschwitz. Nad bramą powitał nas duży napis „Arbeit macht frei”. Podwórze było czyste, uporządkowane, budynki murowane zrobiły na nas, po brudnych i prymitywnych barakach w Lublinie, bardzo dobre wrażenie. Sądziliśmy, że dokonaliśmy dobrej zamiany. Natychmiast zaprowadzono nas do piwnicy, otrzymaliśmy herbatę i chleb. Następnego dnia odebrano nam cywilne ubrania, ogolono nas, wytatuowano nam numery na lewym przedramieniu, w końcu otrzymaliśmy podobne pasiaki, jakie mieliśmy w Lublinie, i gdy nasze personalia zarejestrowano, staliśmy się regularnymi, tzw. politycznymi więźniami obozu koncentracyjnego Auschwitz.



Panorama zakładów syntetycznej gumy i syntetycznej benzyny Buna-Werke, należących do niemieckiego koncernu IG Farbenindustrie

Umieszczono nas w bloku 17, gdzie musieliśmy leżeć na podłodze. W szeregu budynków, oddzielonych od nas murem, mieszkały żydowskie dziewczęta ze Słowacji, które przyjechały do Auschwitz w marcu i kwietniu 1942 roku. Jako miejsce pracy przydzielono nam budowę olbrzymiego obiektu fabrycznego Buna. O godzinie 3 rano pędzono nas do pracy. Do jedzenia otrzymywaliśmy w południe zupełną ziemniaczaną lub z brukwi, wieczorem chleb. Podczas pracy potwornie nas maltretowano. Ponieważ miejsce pracy znajdowało się poza dużym łańcuchem straży, podzielono to miejsce na kwadraty o wymiarze  $10 \times 10$  m. Każdego kwadratu pilnował jeden esesman. Kto podczas pracy przekroczył granicę swojego kwadratu, tego zastrzelono „w czasie uciezki” bez ostrzeżenia. Często zdarzało się, że esesman kazał więźniowi przynieść jakieś narzędzie lub jakiś przedmiot znajdujący się poza linią kwadratu. Gdy więzień wykonywał rozkaz, zastrzelono go przy przekroczeniu granicy kwadratu. Praca była bardzo ciężka, nie dawano nam chwili wytchnienia. Drogę z pracy trzeba było pokonać w szyku wojskowym, kto wystąpił z szeregu, tego zastrzelono. W okresie gdy byłem w tym miejscu pracy, pracowało tam ok. 3000 osób, w tym ok. 2000 słowackich Żydów. Ciężką pracę

bez wyżywienia i odpoczynku wytrzymywali tylko bardzo nieliczni z nas. Próby ucieczki, chociaż nie było prawie żadnej nadziei na ich powodzenie, były na porządku dziennym. Każdego tygodnia wieszano kilku.

Po paru tygodniach morderczej pracy na budowie Buny w obozie wybuchła nagle straszna epidemia duru plamistego. Osłabieni więźniowie padali setkami. Zarządzono zamknięcie obozu i przerwano prace na budowie Buny. Więźniowie z tego miejsca pracy, którzy pozostali jeszcze przy życiu, pod koniec lipca 1942 roku, zostali skierowani do żwirowni. Praca tam była chyba jeszcze cięższa niż praca na budowie Buny. Nie mając już siły, nie byliśmy w stanie, mimo najlepszej woli, pracować tak wydajnie, żeby zadowolić naszych dozorców. Większość z nas miała opuchnięte nogi. Dlatego nasze komando zostało zgłoszone jako leniwe i źle pracujące. Przybyła komisja, każdego z nas dokładnie badano. Wszystkich tych, którzy mieli opuchnięte nogi albo wystąpili niezbyt pewnie, oddzielono. Chociaż czułem w nogach okropny ból, opanowałem się i pręźnie stanąłem przed komisją. Uznano mnie za zdrowego. Z 300 osób ok. 200 uznano za chore. Natychmiast wysłano je do Birkenau i zagazowano w lasku brzozowym. Ja zostałem skierowany do pracy w DAW (Deutsche Ausrüstungswerke). Tam pokrywaliśmy farbą narty. Przewidziana norma dzienna wynosiła 120 sztuk. Kto tej ilości nie wykonał, otrzymywał wieczorem tęgie lanie. Trzeba było się uwijać, żeby uniknąć bicia. Inna grupa wykonywała skrzynie na granaty. Gdy któregoś dnia 15 000 skrzynek było gotowych, okazało się, że są o kilka centymetrów za małe. W związku z tym pewną liczbę więźniów Żydów, wśród nich był Erdel (podobno ma krewnych w Banovce), rozstrzelano za sabotaż.

W połowie sierpnia 1942 roku dziewczęta żydowskie ze Słowacji, umieszczone po drugiej stronie muru, przeniesiono do Birkenau. Miałem okazję krótko z nimi porozmawiać. Były bardzo wynędzniałe i wygłodzone. Ubrane były w stare wystrzępione rosyjskie mundury, na nogach miały drewniaki albo chodziły boso. Włosy miały zgolone i były zupełnie zaniedbane. Tego samego dnia zostaliśmy wszyscy znowu dokładnie zbadani, wszyscy podejrzani o tyfus plamisty zostali wysłani do Birkenau, nas zdrowych, rozebranych do naga, zakwaterowano w pomieszczeniach, które właśnie opuściły dziewczęta. Znowu nas gruntownie ogolono, wykąpano i otrzymaliśmy nową odzież. Przypadkowo dowiedziałem się, że w Aufräumungskommando są wolne miejsca. Zgłosiłem się i przydzielono mnie do tego komanda.





Sortowanie na terenie magazynów tzw. Kanady I w pobliżu KL Auschwitz mienia zamordowanych Żydów

Aufräumungskommando liczyło 100 więźniów, wyłącznie Żydów. Zaprowadzono nas w zupełnie wydzielony kąt obozu, gdzie były olbrzymie stopy i magazyny pełne plecaków, waliz i różnych bagaży. Nasza praca polegała na otwieraniu tych pakunków i sortowaniu znajdujących się w nich przedmiotów do walizek lub oddzielnych magazynów. A więc były walizki z grzebieniami, lusterkami, z cukrem, konserwami, czekoladą, lekarstwami. Walizki układano w stopy zgodnie z zawartością. Bieliznę i odzież umieszczono w dużym baraku, gdzie dziewczęta żydowskie ze Słowacji sortowały i pakowały ją. Te tekstylia ładowano później do wagonów i wysyłano. Garderobę kiepską, nienadającą się do użytku, wysyłano na adres „Textilfabriken Memel”, a nadającą się do noszenia do jakiegoś zakładu odzieżowego (adresu nie zapamiętałem) do Berlina. Rzeczy wartościowe jak złoto, pieniądze, dewizy i kamienie szlachetne oddawano do Oddziału Politycznego. Dużą część tych przedmiotów kradli nadzorujący esesmani

albo ginęły one w kieszeniach zatrudnionych tutaj więźniów. Szefem tej sortowni jest Albert Davidovič ze Spiskiej Nowej Wsi, który jeszcze dziś jest na tym stanowisku. Stał się istnym autorytetem w tej dziedzinie. Kierownikiem oddziału jest SS-Scharführer Wykloff, nieokrzesany, brutalny człowiek, który często bił także dziewczęta. Dziewczęta przychodziły codziennie do pracy z Birkenau. Opowiadały o strasznych stosunkach, jakie tam panowały. Były tyranizowane i bite. Śmiertelność wśród nich była większa niż wśród mężczyzn. Dwa razy tygodniowo przeprowadzano selekcję. Codziennie do pracy przychodziły nowe dziewczęta, w miejsce wyselekcjonowanych lub zgładzonych w inny sposób.

Pracując po raz pierwszy na nocnej zmianie miałem okazję po raz pierwszy przyjrzeć się, jak traktowano transporty przybywające do Auschwitz. Przybył transport polskich Żydów. Nie mieli w wagonach wody i gdy przyjechali, było wśród nich ok. 100 zmarłych. Otworzono drzwi wagonów, a my musieliśmy z wielkim krzykiem wypędzać z nich Żydów umęczonych i zupełnie wyczerpanych podróżą. Załoga SS uderzeniami pałek zmuszała ich do szybkiego wysiadania. Ustawiono ich piątkami. Opróżnić wagony ze zmarłych, półmartwych i bagaży, to była nasza praca. Zmarłych rzucano w punkcie zbornym na stos. Wszystkich, którzy nie byli w stanie utrzymać się na własnych nogach, uważano za martwych. Paczki składano na stos, a wagony musiały być gruntownie oczyszczone. Po transporcie nie mogło być śladu. Komisja z Oddziału Politycznego wybrała potem ok. 10 procent mężczyzn i 5 procent kobiet, których odprowadzono i według znanej procedury przydzielono do obozów. Pozostałych załadowano na samochody ciężarowe i powieziono do lasu brzozowego, gdzie zostali zagazowani. Martwych i znajdujących się wśród nich półmartwych załadowano również na samochody. Spalono ich bezpośrednio w lasu. Często rzucano małe dzieci na samochody ze zwłokami. Paczki przewożono samochodami ciężarowymi do magazynów i tam je sortowano w opisany już sposób.

W okresie od lipca do września 1942 roku szalała w obozie Auschwitz, ale szczególnie w obozie kobiecym Birkenau, epidemia tyfusu plamistego. Chorych w ogóle nie leczono. Początkowo wszystkich posądzanych o tyfus zabijano zastrzykami fenolu, później gazowano ich masowo. W ciągu dwóch miesięcy zmarło 15–20 000 więźniów, przeważnie Żydów. Szczególnie ucierpiał obóz dla dziewcząt. Nie było w nim żadnych urządzeń sanitarnych, dziewczęta były kompletnie zawszone. Co tydzień odbywały się wielkie selekcje. W czasie selekcji

dziewczeta musiały się rozebrać do naga i za każdym razem ze śmiertelną trwogą oczekiwały, czy zostaną wyselekcjonowane czy też uzyskają odroczenie na okres jednego tygodnia. Było dużo samobójstw popełnianych w ten sposób, że wieczorem szło się do małego łańcucha straży i dotykało przewodów wysokiego napięcia. Trwało to tak długo, aż ich początkowy stan zmalał do ok. 5 procent. Dziś w Auschwitz i Birkenau żyje jeszcze tylko ok. 400 tych dziewcząt, większa część z nich zapewniła sobie później dobre stanowiska administracyjne w obozie kobiecym. Jedną z nich, Katję (nazwiska nie znam) z Považskej Bystricy (gdzie ma krewnych o nazwisku Langfelder), pełni wysoką funkcję pisarza raportowego. Ok. 100 żydowskich dziewcząt ze Słowacji znalazło zatrudnienie w budynku sztabowym Auschwitz. Wykonują tam całość prac pisemnych związanych z administracją obozów Auschwitz i Birkenau. Dzięki znajomości języków zatrudnia się je do tłumaczenia przy przesłuchaniach więźniów mówiących obcymi językami. Część z nich pracuje także w kuchni i w pralni budynku sztabowego. W ostatnim okresie dziewczeta te są stosunkowo dobrze ubrane, ponieważ mają możliwości uzupełniania swojej garderoby z zasobów komand roboczych. Często noszą nawet jedwabne pończochy. Zapuszczają znowu włosy i powodzi im się stosunkowo dobrze. Oczywiście nie można tego twierdzić o pozostałych kilku tysiącach więźniarek w obozie kobiecym. Żydowskie dziewczeta ze Słowacji są właśnie najstarszymi więźniarkami w obozie kobiecym. Nawet jeżeli teraz cieszą się pewnymi przywilejami, to poprzednio wycierpiały potwornie.

Swego stosunkowo dobrego przydziału do komanda „Kanada” nie mogłem zachować długo. Po krótkim czasie zostałem karnie przeniesiony do Birkenau, gdzie przebywałem ponad półtora roku. W dniu 7 kwietnia 1944 roku udało mi się wraz z moim kolegą zbiec.

Przybliżona ocena zagazowanych Żydów w Brzezince od kwietnia 1942 do kwietnia 1944 roku (według krajów z których pochodzili)

Polska (dostarczeni w samochodach ciężarowych)	ok. 300 000
Polska (dostarczeni pociągiem)	ok. 600 000
Holandia	ok. 100 000
Grecja	45 000

Francja	150 000
Belgia	50 000
Niemcy	60 000
Jugosławia, Włochy, Norwegia	50 000
Litwa	50 000
Czechy, Morawy, Austria	30 000
Słowacja	30 000
Różne obozy w Polsce, w których przebywali Żydzi z innych krajów	300 000
Razem:	1 765 000

Aby przeczytać opatrzone szczegółowymi komentarzami sprawozdanie Alfréda Wetzlera i Rudolfa Vrby, odsyłamy do IV numeru specjalnego „Zeszytów Oświęcimskich” Raporty uciekinierów z KL Auschwitz (Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, 1991), które opracował i opatrzył przypisami Henryk Świebocki.

## Przypisy

[1] Chodzi o członków Gwardii Hlinki (Hlinkova garda), oddziałów paramilitarnych Słowackiej Partii Ludowej księdza Josefa Tiso, rządzącej w istniejącym od marca 1939 roku Państwie Słowackim. W 1942 roku członkowie jej oddziałów szturmowych brali wraz z SS udział w akcjach deportacyjnych ludności żydowskiej do obozów koncentracyjnych. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy i redakcji).

[2] Słow. *Rež a rúbaj do krve, nebude to po prvé*. Fragment pieśni, przy której defilowali członkowie Gwardii Hlinki.

[3] „Każdy tam zmierza” (łac.). Fragment Ody II, 3 (*Do Deliusza*) Horacego, w przekładzie Andrzeja Lama.

[4] W jednej z wersji legendy Janosika wydaje w ręce żandarmów jego kochanka – podstępnie sypie mu pod nogi groch, by zbójnik upadł podczas walki.